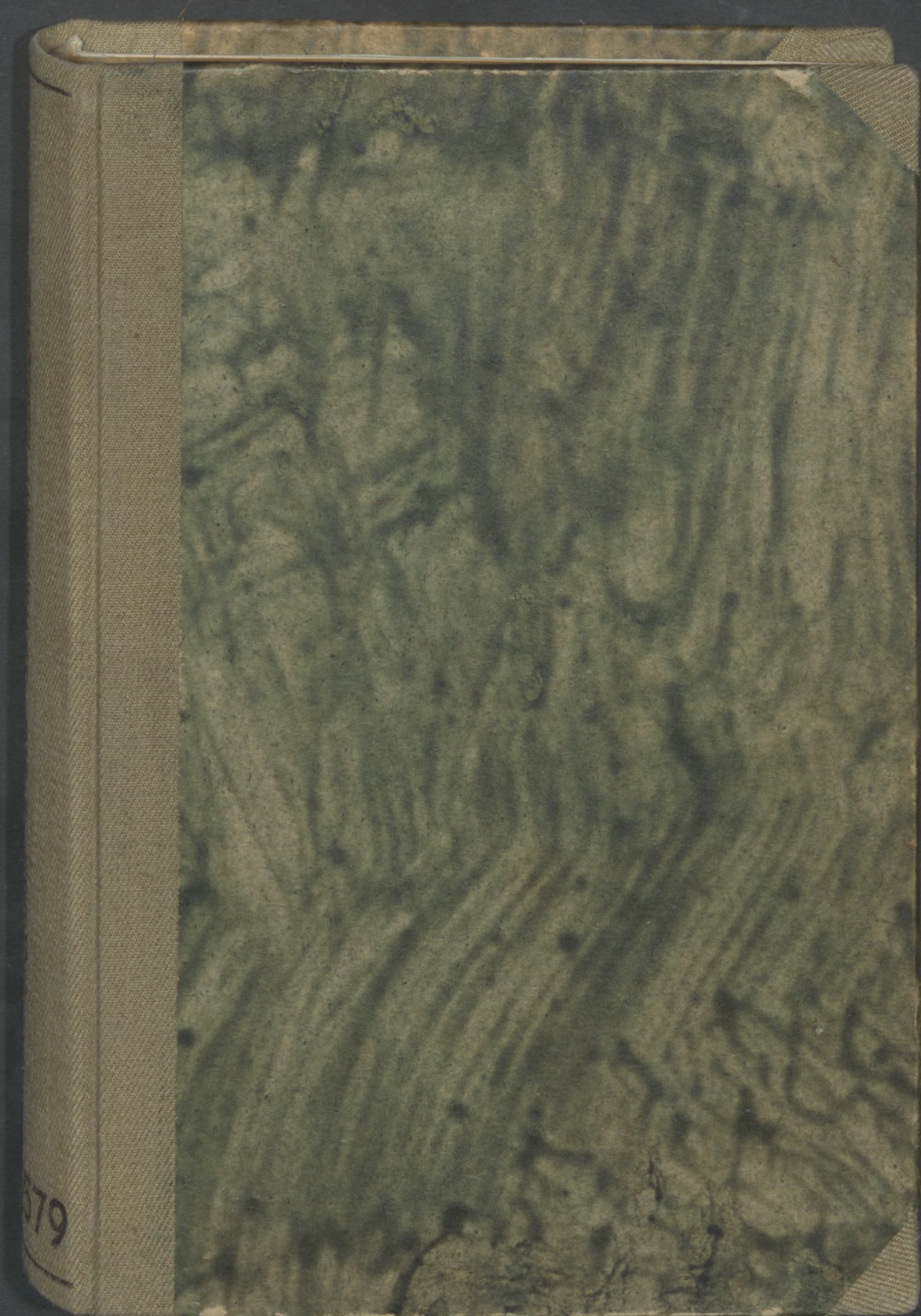


REMOJEDIO MCHONREMIWAZ

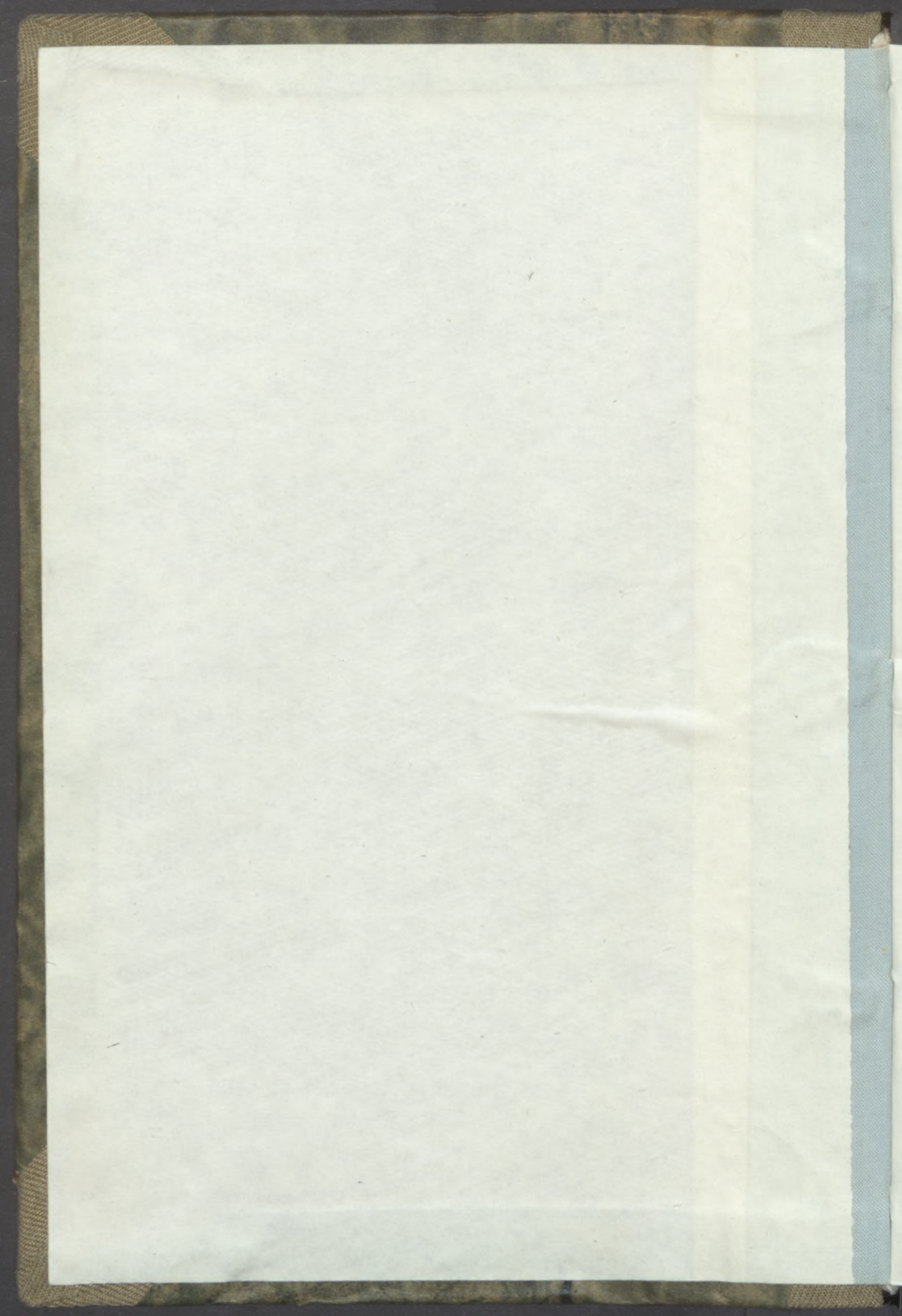
IND 2

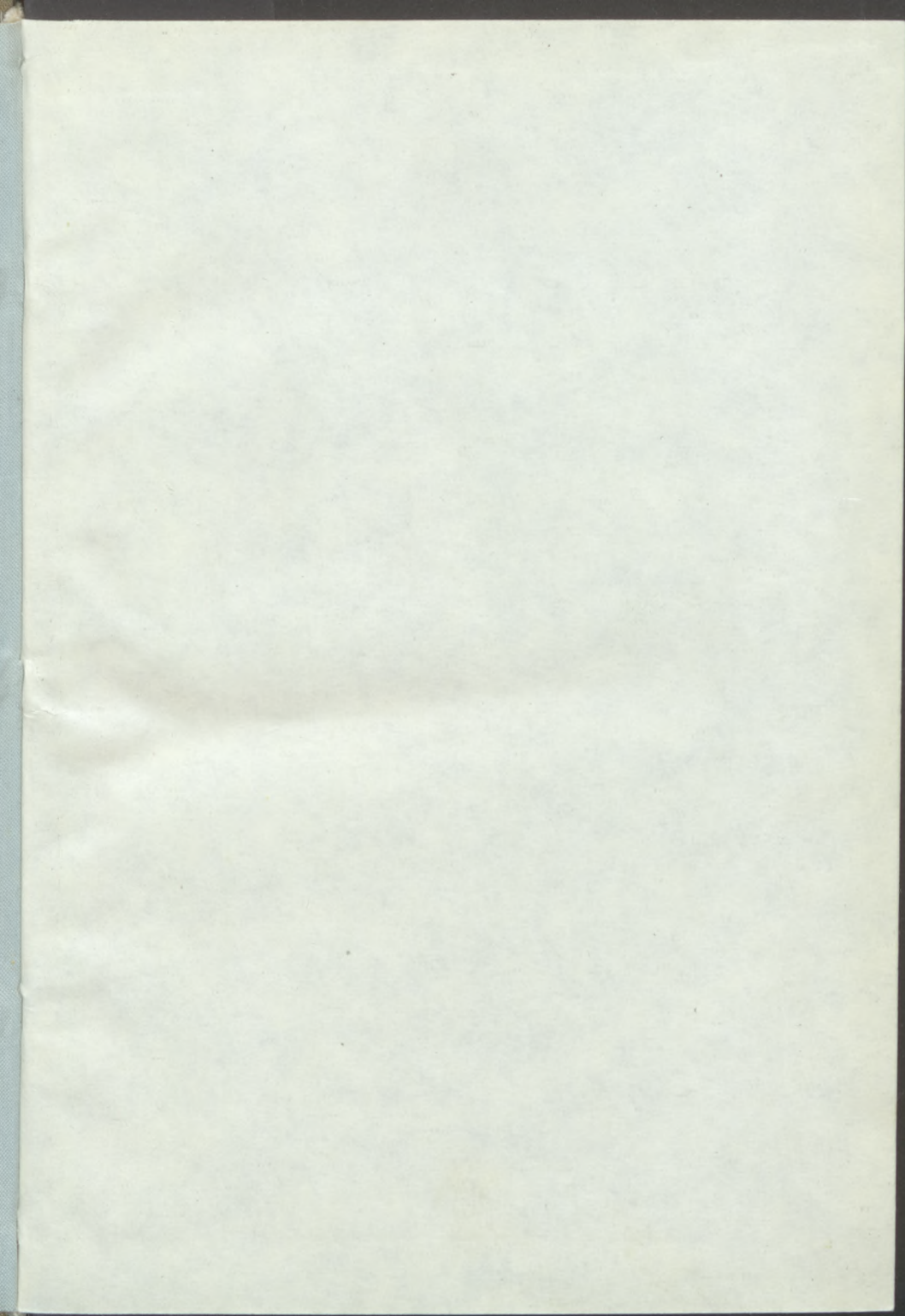
Srokowski z dni

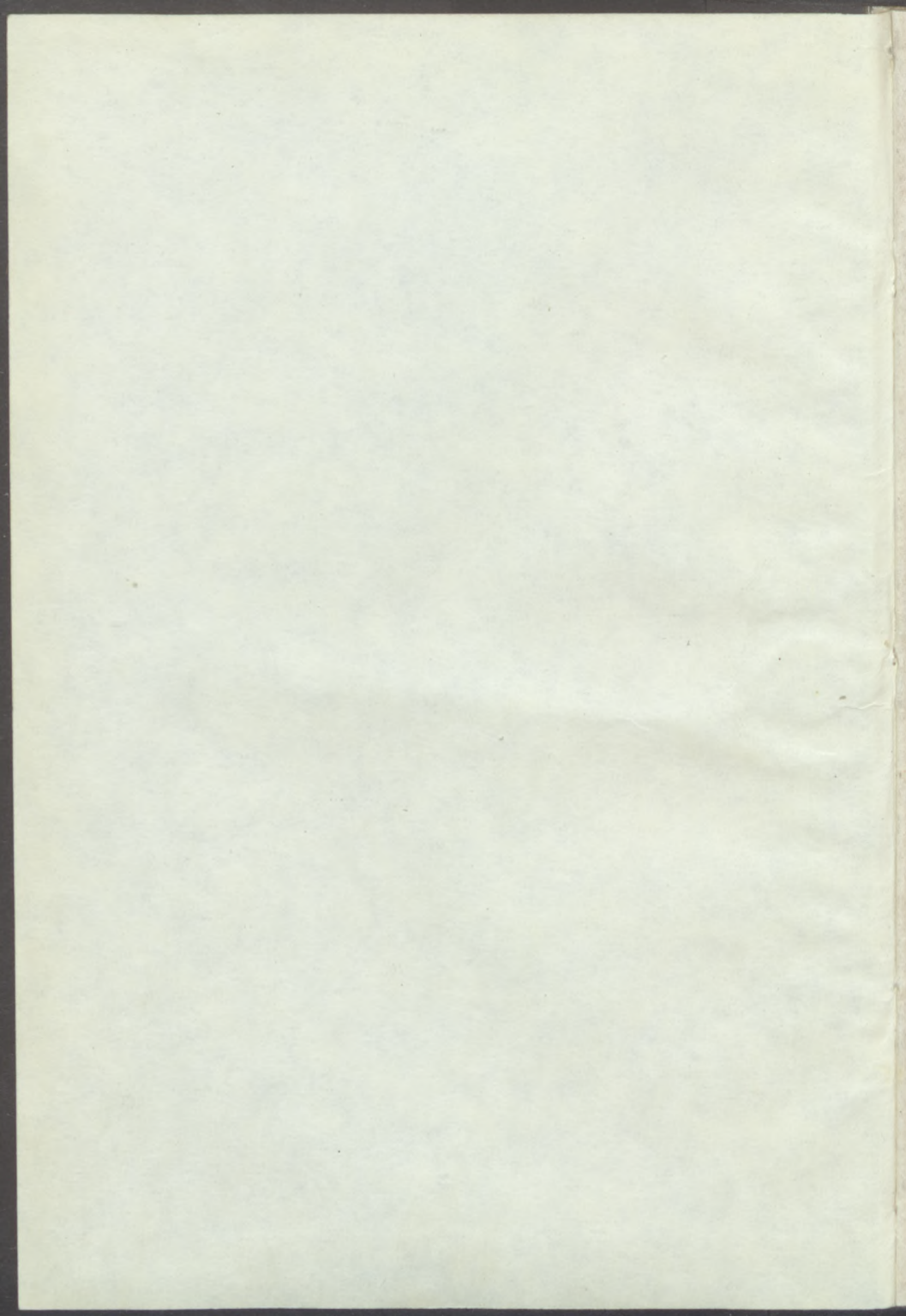
162579



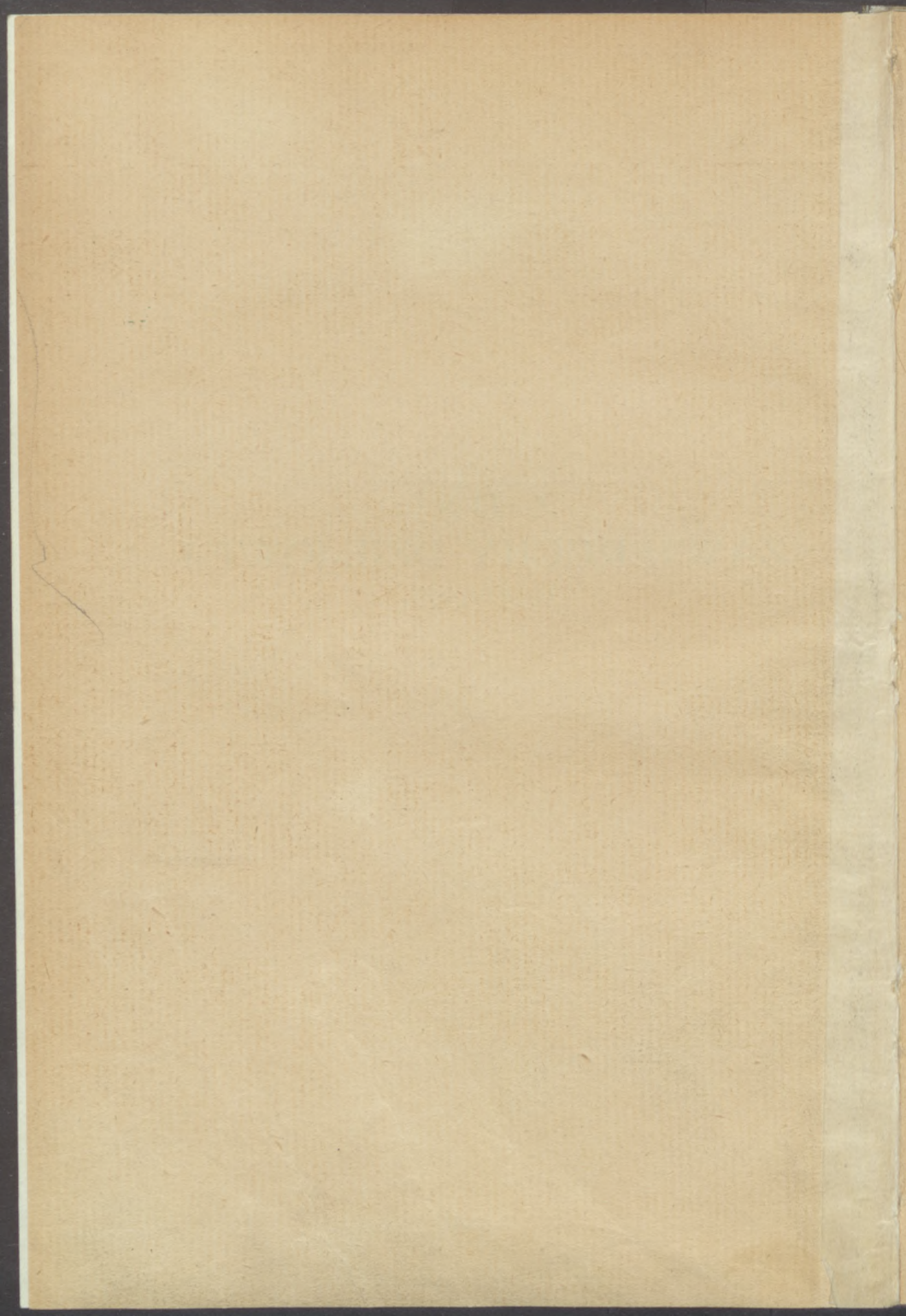
579







Z DNI
ZAWIERUCHY DZIEJOWEJ
1914—1918



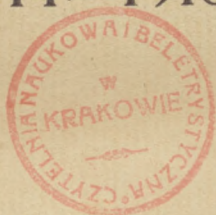
262 579

STANISŁAW SROKOWSKI

022 65m
a

Z DNI
ZAWIERUCHY
DZIEJOWEJ

1914—1918



KRAKÓW 1932

NAKŁADEM KSIĘGARNI GEOGRAFICZNEJ „ORBIS“



262.579

K. 655/51

PRZEDMOWA.

Książka moja powstała drogą codziennych zapisków, czynionych w czasie wojny światowej. Z bezstronnością, na jaką tylko mogłem się zdobyć, ale i z zupełną bezpośredniością, bo tak, jak przeżywałem w tych chwilach różne zdarzenia, notowałem je kolejno, przedewszystkiem zaś to, w czem brałem osobiście udział albo czego byłem świadkiem. Zebrane notatki, po latach 12, gdyż dopiero w zimie 1931/32, nieco przegrupowałem i stylistycznie opracowałem, wstrzymując się od daleko idących poprawek i przeróbek tekstu, a jeszcze bardziej od wprowadzania szczegółów uzupełniających, zaczerpniętych z innych książek, które w międzyczasie się ukazały. Tego wszystkiego nie czyniłem głównie dlatego, bo rzecz moja straciłaby wówczas charakter pamiętnika, snującego w pierwszym rzędzie nić przeżyć i spostrzeżeń osobistych. Nie chciałem także patrzeć na sprawy oczyma cudzemi, skoro mogłem widzieć własnymi. Rozumie się, że przy ostatecznem redagowaniu mojego pamiętnika, z tych samych przyczyn zupełnie na uboczu pozostawiłem również codzienną prasę polską i obcą z okresu wojny, jako nie dającą, wskutek kolejnych zarządzeń cenzuralnych różnych armij, żadnej niemal rękojmi podawania wiadomości pewnych i nietendcyjnych. Natomiast tem pilniej zaglądałem do znajdujących się w mojem posiadaniu współczesnych wypadkom listów, a także i do przygodnych zapisków, poczynionych przez

niektóre osoby. Tych atoli informacji było bardzo mało, tak, iż one na całość mojej książki nie wywarły żadnego większego wpływu.

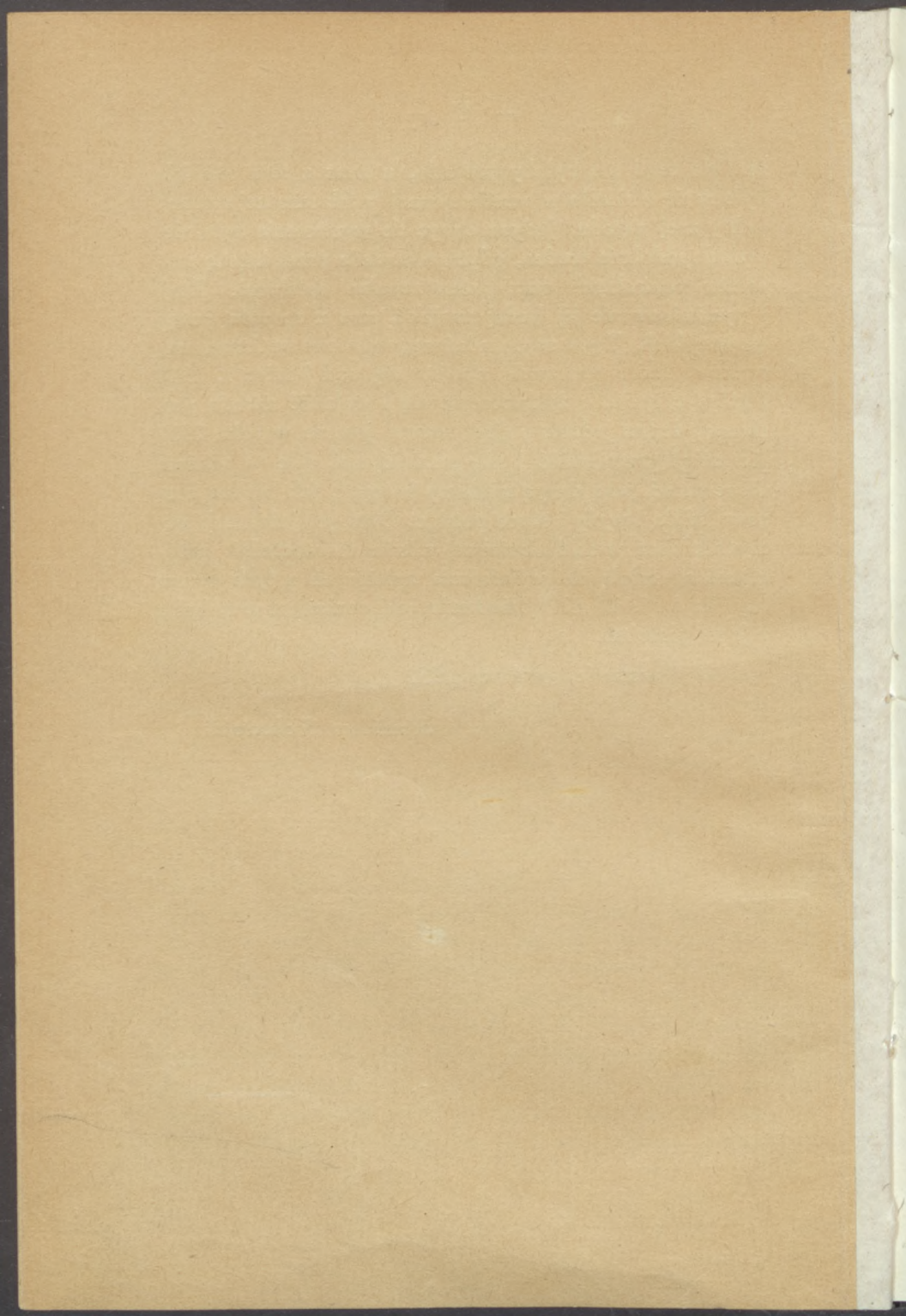
Przystępu do sfer, w których rękę leżały rozstrzygnięcia w wielkich sprawach, czasu wojny nie miałem nigdy, stąd czytelnik nie dowie się odemnie o jakichś doniosłych tajemnicach dyplomatycznych, politycznych lub wojskowych. W miejsce nich przed oczyma jego duszy przejdzie zato cały korowód wypadków, dziejących się na oczach wielu, a wraz z nimi może ożyją także nastroje czasów, do których się odnosi moje opowiadanie. Dla niektórych spraw charakteru lokalnego mój pamiętnik będzie jedynym dotąd źródłem informacyjnym, bo wiem, że o niejednej z nich nikt do dziś dnia nie przekazał żadnej wiadomości polskiemu ogółowi.

Jeżeli idzie o osoby, to w charakterystyce ich starałem się być raczej sędzią łagodnym niż surowym, szczególnie zaś w tym razie, gdy w grę wchodziły kwestje natury politycznej. Wszak w okresie wojny światowej wszyscy stąpaliśmy w ciemnościach i w naszym działaniu, mającym na względzie Polskę, popełnialiśmy niebezpieczne nieraz błędy, przypuszczając, że droga, którą idziemy, jest jedyna, jaka prowadzi do wolnej Ojczyzny. Na szczęście wszystkie te błędy w swej sumie nie przyniosły klęski ogólnej, bo nie brakło u nas również dzieł wielkiego rozsądku i gorącego patriotyzmu. Poza tem były i działały także przyczyny nieporównanie większej, światowej wagi. Oto dziś, ale dopiero dziś, wiemy, dawni zwolennicy różnych t. zw. orientacyj, że pełne zwycięstwo państw centralnych dałoby było co najwyżej jakiś surogat polskiego państewka niezależnego, poobcinanego ze wszystkich stron i pozbawionego swobody działania, co się zaś tyczy ewentualnej wygranej sojuszników zachodnich w przymierzu z Rosją, co miało nam przynieść bodaj upragnione scalenie ziem polskich pod jednym zaborcą, to zgóry przypuszczać należy,

że i do tego nie byłoby przyszło, a wraz z tem niewiele byłoby się zmieniło w przedwojennej, a tak smutnej sytuacji politycznej narodu. Jedyna droga do wyzwolenia była nieprawdopodobnie trudna, gdyż prowadziła przez klęskę mocarstw centralnych oraz przez zupełne osłabienie Rosji i wyeliminowanie jej bodaj na jakiś czas z zespołu potęg europejskich. Tego najpożądańszego dla nas optimum warunków, które naprawdę zjawilo się pod koniec r. 1918 i które przyniosło zjednoczenie się i wolność narodu polskiego, żaden jednak polityk nawet jeszcze w roku 1917 nie mógł przewidzieć i nie przewidywał. Ale ta właśnie niepewność, jaką drogą mieliśmy kroczyć, tak bardzo roznamiętniała umysły i serca polskie. Dlatego, jeżeli mój pamiętnik choć w najdrobniejszej mierze równocześnie przyczynić się zdoła do wyjaśnienia niektórych z tych spraw i sytuacji, nie żal mi będzie trudu, jaki poniosłem w związku z jego pisanem.

W Warszawie, w marcu 1932 r.

Stanisław Srokowski



ROZDZIAŁ I.

Po wydaniu wojny Serbji. W drodze do kraju. Wybuch wojny austriacko-rosyjskiej. Tarnopol i Podole w sierpniu 1914 roku. Miejscowe nastroje polityczne. Pierwsze doniesienia z okolicy o walkach wojsk austro-węgierskich. Ewakuacja Tarnopola.

Ostatnie dni lipca 1914 roku były nad brzegami Adrii szczególnie piękne. Abbacja wprost pławiła się w pełni gorących promieni słonecznych, rozkoszne morze codzień napępiał wrzask i plusk tysięcy i dziesiątek tysięcy kąpiących się w beztrosce ciał ludzkich, podwieczorne promenady iskrzyły się od nieprzeliczonych oczu najpowabniejszych kobiet, regata za regatą mknęła po modrych jak szafir falach zatoki Quarnero, spokojnej i równej, jakby nieznającej co burza, co poruszone głębie, co zmaganie się wprowadzonych z równowagi odmętów.

Jeden tylko dzień stanowił wyjątek!

Gdzieś w połowie lipca od starej madziarskiej Budy, poprzez Kroację nadciągnęła ku Adriatykowi burza, jakiej tu żeglarze o podobnej sile nie zapamiętali. W opodal Abbacji leżącej Rjece spiętrzone bałwany wyrzucały na brzeg statki, tłukąc je jak orzechy, a fale poprzez mola rzucały się w głąb ulic. Wszystko jednak przeszło nad wyraz szybko! Pamiętam ten dzień dobrze! Znajdowałem się wówczas na wysokości Punta Nero na pokładzie okrętu „Tatra“ i płynąłem ku starożytniej Poli, oglądać jej potężny amfiteatr, pyszną „porta aurea“, którą jakaś stęskniona Rzymianka wystawić miała na powitanie swego męża, wracającego

z dalekiej wojennej wyprawy, wreszcie białą marmurową, Jowiszowi zdaje się poświęconą świątynią, tak dobrze zachowaną bez skazy od czasów Oktawjana, jakby ją dziś dopiero skończyli architekci.

Ładne to były rzeczy, a ludzie mieli czas na interesowanie się niemi. Zdawało się, że ten bujny spokój gładkiego jak tafla zwierciadlana życia, ta równowaga codziennego bytu tysięcy i kroci, niczem i przez nikogo nie mogą być naruszone, że prędzej miną wszyscy, którychś spotykał, aniżeli miałoby przyjść do czegoś podobnego. Dopiero w głębszej podświadomości odczuwałeś jakieś niepokoje. I gdy dziś, w perspektywie lat kilkunastu wmyślam się w ówczesne czasy i wypadki, wydaje mi się zawsze, że jeżeli kiedy, to w tym właśnie dniu, kiedy przepotężny cyklon orał spokojne jak raj brzegi Adrii, zapadały też w stolicy madziarskiej brzemiennie dla całego świata postanowienia. Przesądnym źle wróżył również pogrzeb zamordowanej w Sarajewie pary arcyksiążęcej. Kto naczytał się, jakby pisanych ręką Odyna, Nibelungów, ten w owym osobliwym pogrzebie arcyksiążęcym przy świetle piorunów i pochodni, nie może także nie dostrzec symbolu czegoś większego i powszechniejszego, co miało przyjść w całej swej potędze i grozie. Para arcyksiążęca spoczęła gdzieś nad Dunajem, gdzie stare Meledike, Mutaren. I Nibelungi idąc tędy wzdłuż Dunaju do kraju Attyli, gdzie miała ich dosięgnąć ostateczna zagłada, przeżywali w starej Vindobonie ostatnie dni bez troski, ostatnie chwile radości, choć wszystko wieściło im zgubę. Szli jednak naprzód.

Tak samo ku jakiejś nieznannej przyszłości kroczyła wielka monarchja naddunajska. I nie wstrzymał jej wypróbowany w tysiącu sytuacyj samozachowawczy zmysł rzeczywistości Habsburgów.

Oklamany przez swych ministrów lub otumaniony przez doradców wojskowych ponętnem przymierzem z Niem-

cami albo może tylko zanadto dufny w swe siły, niedo-
łężny i z natury dość tępy cesarz Franciszek Józef rzucił
rękawicę Serbom a tem samem ogromnej potędze koalicji
światowej, która zmiotła i państwo i tron Habsburgów¹⁾.

Dla ludzi, znających język dyplomacji, rzecz ta i jej
pełne grozy skutki zarysowały się jednak już kilka dni
wcześniej, bo w momencie, kiedy pojawiło się niebywałe
co do treści austro-węgierskie ultimatum, wystosowane
pod adresem serbskim²⁾). Wszak trudno było przypuszczać,
że zostanie w Belgradzie przyjęte a jeszcze mniej, że wy-
syłając je Austro-Węgry zreflektują się i cofną się z za-
jętego stanowiska. Było widoczne, iż zaszedł jakiś nieby-
wały przełom, coś, co będzie stanowić erę w dziejach
ludzkości. Mimo wszystko niewielu jednak przypuszczało,
że owe ultimatum to zapowiedź końca monarchji naddu-
najskiej. Narazie przeciętnemu śmiertelnikowi psuło ono
tylko wywczas i na całym życiu wyciskało jakiś stygmat
niepewności czy lęku. Grunt abbacyjski zaczął ludzi piec
w stopy.

I ja na wielką sprawę zareagowałem jak setki i ty-
siące innych letników, mianowicie generalnem układaniem
rzeczy w walizkach i przygotowywaniem się do wyjazdu.
Pierwsi opuścili brzegi Adrii moi przyjaciele serbscy, któ-
rych wezwały urzędowe depesze, nakazujące zakończenie
wywczasów i powrót. Tylko Węgrzy, którzy wśród abba-
cyjskich bywalców stanowili zawsze najtłumniejszy i naj-
krzykliwszy element, okazywali jak najmniej chęci do
przerwania sobie miłego pobytu nad morzem.

Wreszcie zjawił się moment, poza który przeciąga-
jąc pozostawanie tu można było doczekać się odcięcia
od kraju.

Mobilizacja!

¹⁾ 25 lipca zerwanie stosunków z Serbją, 28 lipca początek kro-
ków wojennych i mobilizacja 5 korpusów.

²⁾ 23 lipca.

Wielkie słowo! Ruszenie tak olbrzymich tłumów, że nie przeczuwało się nawet ich istnienia. Płyną zewsząd. Nabierają cech żywiołu, który cię otacza, może rozgnieść, unicestwić! Jakby jakiś groźny olbrzym wielodzielny, poruszany i kierowany niewidocznym impulsem. W swej drodze do kraju nie zapomnę nigdy nocy w St. Peter w Krainie, gdzie trzeba było przesiadać się, dążąc właśnie wpoprzek tych tłumów zmobilizowanych, które wszystkie podniecone i zasłuchane w otrzymanym rozkaz chciały go jak najszybciej i jak najściślej wykonać. Tylko z najwyższym wysiłkiem chroniłem od rozdeptania mego nieco na nogi niedomagającego towarzysza podróży i pewną znajomą panią ze Lwowa. Po istnej walce, uderzani, popychani i spychani wśród zupełnych ciemności dobiliśmy się wreszcie właściwych wagonów, aby niemi już względnie spokojnie przez Grac dostać się do Wiednia. Skoro świt, zauważyliśmy na wszystkich stacjach zmierzające na południe pociągi, pełne weselących się i śpiewających żołnierzy. Dostrzeżyliśmy jednak także co innego. Oto wielkimi literami, kredą na zewnętrznych ścianach wagonów pokreślone były napisy: „nieder mit den Slawen“, „verfluchte slawische Schweine“¹⁾ i t. d. wskazujące, że to Niemcy jadą na jakąś wojnę słowiańską. Już wówczas pomyśleliśmy sobie, iż w Austro-Węgrzech, liczących bezmała 50% Słowian, tego rodzaju nastroje, w razie przeciągania się wojny, przecież łatwo stać się mogą wielce kłopotliwe.

Wiedeń zewnętrznie nie wykazywał narazie najmniejszych śladów zaczynającej się wojny. Ogromne miasto, w którym łatwo rozpływały się krocie przybyszów, dotąd znajdowało się zresztą poza sferą jakichkolwiek zbrojnych ruchów. W pierwszym momencie mobilizowano tylko południowo-zachodni kąt monarchji.

¹⁾ „Precz z Słowianami“. „Przeklęte słowiańskie świnie“.

Jeszcze spokojniejszą wydawała się cała przestrzeń między Wiedniem i Krakowem. Tam jakby o częściowej mobilizacji sił zbrojnych monarchji wcale nie słyszano. W wagonie kilku dobrodusznych austriackich oficerów, nasepionych więcej niż zwykle, i to wszystko. Poza wagonem, gdzie okiem sięgnąć, zwykle żniwa. Pozornie nie inaczej też było i w zachodniej Galicji aż po Zakopane, dokąd wpadłem, aby pomóc znajomym w wyjeździe do Lwowa. Wszędzie cisza i normalny tok zajęć. Na szlaku kolejowym Kraków—Lwów w wagonach nawet przestronniej niż zwykle.

W wagonie restauracyjnym spotkałem zdawna znanego mi profesora Stanisława Grabskiego. Choć dzieliły nas nieco nieporozumienia politycznej natury z ostatnich czasów, zbliżyliśmy się jednak szybko ponownie i wymienialiśmy opinie na temat tego, co się dzieje. Grabski będąc naogół zadowolony z sytuacji, jaka się stworzyła, oświadczył mi, że prawdopodobnie doczekamy się momentu rozpadnięcia się Austro-Węgier, klęski Niemiec i zwycięstwa Rosji. Obaj życzyliśmy sobie zwycięstwa Rosji, które mogło być w najgorszym razie przynieść bodaj złączenie ziem polskich. Jednostronny triumf Niemiec uważaliśmy za najstraszniejszy cios, jaki spotkałby naród polski, a o klęsce zarówno Niemiec jak i Rosji nie mogliśmy marzyć. Rozmowę prowadziliśmy półgłosem, bo należało przypuszczać, iż nie wszyscy z jadących podzielają nasze opinie,

Po przybyciu do Lwowa dostrzegłem bardzo szybko wpływ wprost huraganowego toku wypadków politycznych. Potwierdziło się, że wojna z Serbją to zgoła nie coś lokalnego, ale przedewszystkiem starcie się Austro-Węgier z mobilizującą się Rosją. Na zbyt zaś długiej przestrzeni granicyła Galicja z państwem carów, aby mogła się łudzić, że potrafi stać na uboczu zawieruchy wojennej. Wszystkie te optymistyczne kombinacje przekreślała zresztą

zupełnie ogłoszona w dniu 31 lipca o godzinie 1^{1/2} w południe powszechna mobilizacja. W pierwszym momencie dostrzegać się tylko dawała wyraźna tendencja budzenia w ludzie austriackich nastrojów patriotycznych, w czym prym dzierżyła część urzędników, garść księży, Jezuici z ich przeróżnymi organizacjami, przedewszystkiem zaś wojskowi. Wreszcie przyszedł dzień 6 sierpnia. Obszerna lwowska kawiarnia „Renesans“ przy ulicy 3 Maja zaroiała się tłumem oficerów, zapewniających znajomych z tajemniczą miną, iż dziś zajdzie coś nadzwyczajnego. I rzeczywiście gruchnęła niebawem wieść o wydaniu wojny Rosji. Przywitano ją jak na rycerzy przystało mnóstwem wypitych likierów i win oraz całym szeregiem z austriacka patriotycznych wynurzeń i pogróżek. Mimo wszystko jednak na niektórych twarzach wyczytać było można zadumę. Ci, co się zastanawiali, czym jest Austrija i jej armja, mieli złe przecucia. Tego typu ludzi było atoli niewiele. Przeważał duch ofensywy, przekonanie, że wojna będzie łatwa i krótka i że Austro-Węgry nie są same, lecz że wchodzą w zapasy złączone przymierzem z przepotężnym sprzymierzeńcem niemieckim. Wszak już dnia 1 sierpnia wypowiedziały Niemcy wojnę Rosji a 2 sierpnia Francji. Dobry humor zapatrujących się różowo na bieg wypadków psuła tylko nieco okoliczność, że 4 sierpnia wydała Niemcom wojnę Anglja. Ale i tu plastrem kojącym były informacje o najściu Belgji przez Niemców i o szybkim a zwyciężskim posuwaniu się ich ofensywy ku północnej granicy francuskiej.

Padające w kawiarni słowa, Równe, Dubno, Zdołbunów, Płoskirów a tu i ówdzie nawet Kijów, świadczyły, że przypuszczano wielką akcję zaczepną, głęboką penetrację w terytorjum nieprzyjacielskie. Powiem prawdę, że chwilami i ja w to wierzyłem. Wszak kto wydaje wojnę, to przedewszystkiem po to, aby nieprzyjaciela poszukać w jego własnym kraju a nie czekać wtargnięcia.

Gdy nazajutrz nocnym pociągiem przez Krasne podą-
żalem do Tarnopola, w drodze odczułem jeszcze wyraź-
niejszą atmosferę wojny. Żandarmi i strażnicy skarbowi
obnosili po stacjach wzdłuż peronów przed wagonami
portret cesarza Franciszka Józefa i z zebranymi naprędce
tłumami kolejarzy i innych osób śpiewali państwowy hymn
austriacki. Biada temu, kto nie zdjął pospiesznie kapelu-
sza. Był niemiłosiernie bity i katowany. Taką właśnie scenę
widziałem w Krasnem¹⁾.

W Tarnopolu, choć to tuż pod bokiem granicy ro-
syjskiej, było może spokojniej niż gdzie indziej! Wszyscy
wierzili święcie, że wojna będzie zaczęta, że niema
najmniejszej obawy wtargnięcia Rosjan, że wojsko austriac-
kie jest i liczne i doborowe. Zwyczajny tok zajęć ogółu
ludności, toż samo i urzędów, naogół w pierwszej deka-
dzie sierpnia nie uległ żadnemu wypaczeniu. Poza tem
ogólny brak orientacji politycznej wśród społeczeństwa
polskiego był tak kompletny, że przeważnie nikt nie my-
ślał ruszać w czemkolwiek własnym konceptem. Z nieprak-
tykowanych dotąd osobliwości zjawiała się tylko cenzura
listów na poczcie, przyczem funkcje cenzorskie objął na
ochotnika dyrektor polskiego gimnazjum Włodzimierz Len-
kiewicz.

Mobilizacja szła krokiem równym i pewnym, a coraz
to nowe oddziały wojskowe opuszczały miasto, niektóre
wspaniale przyodziane w nowiutkie mundury, a wszystkie

¹⁾ Gorsze rzeczy działy się gdzie indziej. Osoby, uznane za „ru-
sofilów“ i aresztowane, w oczach wielu wręcz traciły prawo do wszel-
kich ludzkich względów. W Przemyślu według relacji podanej Drowi
Celestynowi Podleskiemu przez świadka naocznego zarąbany został
przez austriackich oficerów i feldfebli na ulicy cały oddział takich po-
litycznych aresztantów, złożony z księży, chłopów i kilku kobiet, z któ-
rych jedną w sposób bardzo ordynarny zaczął oficer austriacki. Gdy
obrażona dziewczyna uderzyła napastnika w twarz, na ulicy po chwili
zamiast żywych ludzi leżał tylko stos ociekających krwią trupów.

z muzyką i wśród radosnych okrzyków gromadzącej się po ulicach publiczności, zwłaszcza zaś żydostwa. Część pospolitego ruszenia posłano natychmiast w stronę Podwołoczysk i do powiatu zbarskiego, dokąd skierowano też sporo żandarmerji, która razem ze strażą skarbową miała bronić Podwołoczysk i całego północno-wschodniego kąta Podola. Zrazu nawet niezłe to zadanie spełniała. Nie zdaję sobie przecież sprawy dlaczego owe bądź co bądź ciężkie boje osłonowe złożono na barki tak mało do walki przysposobionych sił, czy, że wierzano święcie, iż Rosjanie nie pójdą naprzód, czy też z góry już zamierzano ewakuować całą przestrzeń aż gdzieś poza Zborów i Brzeżany. Jeżeli tak, to znowu niezrozumiałem jest dla mnie podejmowanie przez Austrjaków stosunkowo dużych wypraw w głąb terytorjum rosyjskiego, o czem niebawem będę mówił.

Kilka razy w tym czasie widziałem posła Zamorskiego, który za „poradą“ policji, ścigany przez powstającą partję aktywistów, opuścił Kraków i schronił się był na Podole. Tu w Tarnopolu zastanawialiśmy się razem nad niejednym objawem życia publicznego, i choć niemało różniliśmy się w poglądach, w jednym byliśmy zgodni, a mianowicie, że całkowite zwycięstwo Austrii byłoby zwycięstwem Niemców a tem samem gruntowną klęską Polski. Chyba, że Austrija zdobyłaby się na własną politykę polską. Główna różnica naszych poglądów leżała w tem, że gdy poseł Zamorski chciał z miejsca rozpocząć agitację antyaustrjacką, względnie antyaktywistyczną, ja, znając grunt podolski może jeszcze lepiej od niego, przestrzegałem przed tem postępowaniem jako na razie bezcelowem a nawet szkodliwem i doradzałem osiągnąć przedewszystkiem skupienie się opinji polskiej około osób i haseł mniej skrajnych i mniej rzucających się w oczy, aby potem pokierować wszystkiemi tak jak będzie potrzeba i w danych warunkach możliwe. Nie widziałem też celu w przeciwstawianiu się odrazu ta-

kim formacjom jak drużyny strzeleckie, które w Tarnopolu skupiały bardzo ząną młodzież, lecz wychodziłem z założenia, że lepiej jest mieć na nie wpływ niż nie. Czy się te drużyny będą kiedyś bić u boku Austrii, to już inna kwestja. Wiadomości, jakie nadchodziły z Krakowa, skąd w tym czasie ruszył oddział Józefa Piłsudskiego¹⁾ w granice Królestwa Polskiego, też pobudzały mnie do zachowywania dużej ostrożności w postępowaniu. Słyszało się i czytało o jakiejś bitwie z Moskalami pod Miechowem, o marszu Piłsudskiego w głąb Królestwa, o entuzjastycznym przyjmowaniu tam oddziałów polskich. Rozumowałem, że jeżeli tak jest istotnie, to cóż za cel mogłoby mieć beznadziejne frondowanie na krańcach podolskich, czy aby robić męczenników austriackiego kryminału, czy też aby oddawać się złudzeniu, że Polska nie robi tak, jak to uczyniło Królestwo i Kraków, ale tak, jak zaleci Tarnopol.

Wreszcie chcąc wyjść z błędnego koła ciągle zdających się nieporozumień i gorszących swarów, które w spokojnem zrazu mieście zataczały coraz to szersze kręgi, jako przewodniczący największej i najpowszechniejszej miejscowej organizacji społecznej, bo Towarzystwa „Szkoły Ludowej“, uprosiłem był sędziwego zastępcę marszałka powiatu Dra Stanisława Glogiera, aby na dzień 11 sierpnia zwołał Powiatowy Komitet Narodowy, którego był prezesem. Ów Komitet stanowił jakby emanację miejscowych najwplywowszych czynników politycznych²⁾. Uprze-

¹⁾ Do oddziałów Piłsudskiego podążyło z Tarnopolszczyzny już w pierwszych dniach sierpnia kilkunastu młodzieńców, którym dopomogłem do wyruszenia. Po przybyciu do Krakowa podtrzymywali ze mną przez jakiś czas kontakt listowy i informowali mnie o niektórych szczegółach.

²⁾ Zawiązał się w Radzie Powiatowej dnia 8 sierpnia 1914 r. na zebraniu 18 osób. W skład Komitetu weszli prawie sami tylko narodowi demokraci.

dziłem Dra Glogiera, że chcę zreferować sprawę stosunku Centralnego Komitetu Narodowego we Lwowie do Komisji Skonfederowanych Stronnictw Niepodległościowych w Krakowie, w tym celu, aby prosić Centralny Komitet, iżby za każdą cenę, choćby w drodze jak najdalej posuniętych ustępstw, zgodził się na fuzję z komisją. Wiedziałem, że gdy to się nie stanie i gdy ogół polski wejdzie w tok narastających do coraz to gigantyczniejszych rozmiarów wypadków europejskich w rozbiciu się na dwie zasadnicze i nienawidzące się partje, przeminą lata zanim zniknie raz dokonany rozdział. Liczyłem też, że jeżeli kiedy, to teraz, po pierwszych krokach Piłsudskiego, wystąpi rząd austriacki z jakąś wiążącą go poważnie obietnicą podniesienia wobec Europy sprawy polskiej i że im więcej będzie zgody w obozie polskim, tem większy będziemy budzić respekt.

Niestety zabiegi moje spełzły na niczem. Powiatowy Komitet Narodowy, będący filją Komitetu Centralnego, oświadczył się jednomyślnie przeciw jakimkolwiek krokom na drodze do porozumienia się wzajemnego z ugrupowaniami lewicowemi. Komisja Tymczasowa Skonfederowanych Stronnictw Narodowych wydała mi się instytucją niedość polską a o strzelcach polskich, czyto tych ze Związku czy też z Drużyn, wypowiadał się jak najgorzej. Twierdził, że nie mają oni poczucia narodowego, bo są wytworem rewolucji rosyjskiej. Związki strzeleckie przedstawiały zdaniem radzących austriacką organizację dla austriackich celów, toż samo i Drużyny. Walka ich przeciwko Rosji równała się popieraniu nowego podziału Królestwa Polskiego. Padały słowa (dyr. gimn. Lenkiewicza), że ludzie, którzy zasiadają w Komisji Tymczasowej, jako bez nazwisk, nie dorosli do tego, aby się z nimi liczone w polityce, bo Polskę mogą reprezentować tylko Roman hr. Potocki, ks. Czartoryski i im podobni.

Zachęcony temi przemówieniami zabrał głos posiada-

jący naówczas w owym zespole najwięcej autorytetu mówca, Dr. Celestyn Podleski i stwierdziwszy na wstępie, że nazwisko formującego ruch strzelecki Piłsudskiego uważa za zhańbione, raz jeszcze zaatakował całą akcję Komisji Tymczasowej. Biorąc zaś asumpt z tego, że doradzam z nią zgodę, mój występ zidentyfikował poniekąd z jej działalnością i rzekł pamiętne dla mnie słowa: „wy idźcie swoją drogą a my pójdziemy swoją“. Gdym mu zwrócił uwagę, że wskutek takiego ujmowania podstawowej kwestji posiadania lub nieposiadania jakiegoś wpływu na młodzież, która w zaborze austriackim w $\frac{3}{4}$ jest narazie za czynnem wystąpieniem przeciwko Rosji, powtarza się raz jeszcze r. 1863, kiedy to spierali się ze sobą biali z czerwonymi, oświadczył bez zająknienia: „niech się powtórzy“. Toż samo nie wzruszyły go uwagi, że w miarę rozwoju wypadków będziemy mieli ewentualnie dwie polskie armje i dwa rządy. Godził się raczej na taki stan niż na wejście na drogę kompromisu a sekundujący mu inny mówca (dyr. Lenkiewicz) dodawał już wręcz, że raczej Polski niech nie będzie, niż gdyby nie miała być katolicką, jakby kontakt z Komisją Tymczasową był zarazem cyrografem na katolicki lub antykatolicki charakter przyszłego polskiego państwa.

Tak tedy w momencie najbardziej przełomowym od chwili rozbiorów radzono na użyźnionym długą pracą narodową gruncie tarnopolskim w gronie najinteligentniejszych miejscowych działaczy. A przecież byli to ludzie najlepszej woli. Ani takiemu Podleskiemu, ani Glogierowi, ani Zamorskiemu nikt i nic zarzucić nie był w stanie, gdy idzie o czystość ich intencji i patryjotyzmu.

Rozeszliśmy się zatem!

Z miejsca wziąłem się do organizowania na własną rękę opinji publicznej za porozumieniem z Komisją Tymczasową. Wyznaczone zostało zgromadzenie ogólniejsze, którego zadaniem było ten kontakt ustalić, toż samo ze-

brać jakiś grosz na przyodzież dla tych członków miejscowych drużyn strzeleckich, którzy opieki najbardziej potrzebowali. Przewodniczącym miejscowego komitetu, powiedzmy już teraz wyraźnie, aktywistycznego czy strzeleckiego, oficjalnie Polskiego Skarbu Wojskowego, wybrano dyrektora szkoły realnej Józefa Trojnar, skarbnikiem żonę prezydenta sądu okręgowego Kozicką, sekretarzem zaś nauczyciela Józefa Czabanowskiego. Wydano odezwę do społeczeństwa. Od urzędzenia jednak nabożeństwa za strzelców poległych w rzekomej bitwie pod Miechowem odstąpiono na skutek odradzań miejscowego starosty Romualda Noëla, który widać musiał już wiedzieć, że taka bitwa nie miała miejsca, choć wiadomość o niej roztrąbiły szeroko po świecie przeliczne austriackie telegramy. Narazie mówił o deprymującym wrażeniu nabożeństwa. Zamiast nabożeństwa żałobnego zdecydowano przeto na dzień 14 sierpnia inne, na intencję powodzenia sprawy polskiej, licząc, że bodaj w tym wypadku nastąpi zespolenie się całego społeczeństwa. Czerwone afisze zapowiadały owe nabożeństwo, głosząc, że celem jego uproszenie błogosławieństwa Bożego dla sprawy polskiej i oręża polskiego. W kościele był obecny komenderujący w Tarnopolu generał, marszałek polny — porucznik Lehmann, podpułkownik dragonów hr. Koziobrodzki i starosta Noël. Celebrował mszę św. ksiądz Infulat Twąrdowski przy asyście dwóch księży, a Kozicka, żona prezydenta sądu, zebrała w czasie nabożeństwa zwyż 300 Koron, które oddano drużynie strzelców do dyspozycji. Miejscowy Sokół wziął wprawdzie udział w nabożeństwie, posyłając umundurowany pluton ze sztandarem, ale gdy dyrektor Trojnar zwrócił się w kościele do prezesa Dra Podleskiego z prośbą o obecność również na przemówieniu, które po mszy św. miało być wygłoszone u stóp pomnika Adama Mickiewicza, Podleski odpowiedział, że „Sokoli czasu na to nie mają“ i swój oddział szybko odprowadził do

sokolni. Przemówienie wobec tego odpadło a delegat komenderującego generała podpułkownik hr. Koziebrodzki, wyznaczony do inwigilacji mów, miał bardzo ułatwione zadanie. Młodzież strzelecka niesłychanie przykro odczuła przecież ten krok Sokoła, który miał tylko to następstwo, iż szeregi strzeleckie kilkakrotnie się pomnożyły. Postanowiono też tam jak najenergiczniej działać, gdyż rozgrywające się naokół wypadki teraz nakazywały wręcz wyteżoną pracę. Do stracenia nie było ani chwili czasu.

Przedewszystkiem, mimo trzymania w zupełnej tajemnicy ze trony austriackiej wszystkiego, co się działo na placu boju, nie ulegało żadnej już wątpliwości, że dnia 9 sierpnia w niedzielę Rosjanie zajęli leżące kilka mil na północ od Tarnopola miasteczko Założce i że pozostali tam trzy dni do środy 12 sierpnia. Odeszli wprawdzie w bezładzie pod naciskiem austriackim, ale niedaleko, bo raz wraz zjawiające się nad Tarnopolem aeroplany wskazywały, że nieprzyjaciel musi być tuż, tuż. Na powagę sytuacji wskazywało i to, że dziennie zaczęło przychodzić po trzydzieści kilka pociągów wojskowych a przywiezieni żołnierze znikali gdzieś w okolicy, tak, że nikt nie wiedział, gdzie się znajdują, że naokół Tarnopola w niektórych punktach zaczęto wznosić polowe oszańcowania, że patrole wojskowe na drogach coraz to bardziej utrudniały komunikację, że od 14 sierpnia telegraf przestał służyć ruchowi prywatnemu. Tegoż dnia wyszła z Tarnopola reszta 15 pułku piechoty, toż samo ogłoszono powołanie pod broń wszystkich tych pospolitaków, którzy uznani zostali niegdyś za zdolnych do noszenia broni, potem zaś zakwalifikowani inaczej, również i tych, którzy mieli książeczki meldunkowe z zaznaczeniem niezdolności do noszenia broni. Te ostatnie zarządzenia wytworzyły szczególnie paniczny nastrój wśród żydów. Właśnie takich pospolitaków między nimi było najwięcej, co znowu stało w jak najściślejszym związku z cyfrą żydów, którzy wyszli na

plac boju z wojskami linjowemi. Dość powiedzieć, że w dwóch bataljonach 15 pułku piechoty, liczących na stopie wojennej około 2000 ludzi, znalazło się tylko 22 żydów, dźwigających karabin. W stosunku do ilości ludności żydowskiej miejskiej i wiejskiej, która zamieszkuje obszar, skąd rekrutował się 15 pułk piechoty, w tych dwóch jednostkach powinno ich było być około 400. Wezwani do stawienia się napływali do szeregów bardzo nielicznie, tak, że nawet w samym Tarnopolu, pełnym żydów, pospolitakami ich nie można było obsadzić wart. Funkcje wartownicze spełniało zatem pospolite ruszenie z okolicznych wsi, głównie zaś z Płotyczy, a wzięci z za lady żydzi, często z ogromnemi czarnemi lub rudemi brodami, całości obrazu wojennego dodawali tylko charakterystycznego wyglądu i wnosili ogrom nerwowości.

Do jej umniejszania się nie przyczyniały się zresztą zgola i te szczegóły, które uzupełniały fakty już dotąd wiadome. Niebawem szczególnie dużo wieści napłynęło z Załoziec. Gdy wojska austriackie, zachowując całkowite milczenie, przywiozły stamtąd dnia 13 sierpnia wóz zdobywczy wojennej pod postacią przeważnie lanc i karabinów, składając go na tak zwanej pułkownikówce przy placu Sobieskiego, gdzie mieściła się także rezydencja komenderującego generała Lehmana, to żydzi umieli relacjonować o tem, jak to było w Załozcach, nieporównanie więcej. Przybyły stamtąd adwokat Pudles opowiadał, że zniszczono mu całe urządzenie domu i kancelarji, tak iż ani jeden sprzęt nie ocalał, że pobito mu marmury, szkło i porcelanę, skradziono pościel, bieliznę i ubranie, powyrywano wszystkie drzwi szaf, poniszczono wszystkie akta, rozbito kasę żelazną i ograbiono. Podobnie postąpiono z apteką i innemi domami. Wprawdzie relacje dodawały, że głównymi sprawcami rabunków byli, bratający się z Rosjanami, okoliczni chłopcy ruscy, niemniej jednak całość pogromu zapisywało się na rachunek wojsk rosyj-

skich, przyczem bezspornie już rosyjskie konto obciążano wszystkimi gwałtami nad kobietami. Wiele ich w miasteczku nie zostało, ale te, które były, ucierpiały za resztę, a zatem służące pilnujące domów nieobecnych chlebobawców i kilka starych żydówek. Jedna z nich sześćdziesięcioletnia nawet zmarła wskutek niebываłych gwałtów czerni kozackiej. Prawników i bankowców szczególnie niepokoiła okoliczność, że akta sądowe kozacy wyrzucili na dziedzińiec, gdzie one uległy zupełnemu zniszczeniu. Żle to wróżyło wszystkim wierzytelom.

Pewną ilość pogłosek rozpuszczali także klerycy łacińscy, pełniący służbę w tarnopolskim szpitalu wojskowym. Opowiadali zatem jakto kozacy budzą nieopisany lęk między pospolitakami i dragonami Czechami, zwłaszcza z racji swych lanc, jakto kaleczą lub zabijają jeńców wziętych w boju, skoro zbliża się odsiecz i t. p. Że i te opowieści uspakajająco nie działały, nie potrzeba dodawać, zwłaszcza że cytowano nazwiska i okoliczności.

Wśród ogólnego podniecenia odbywała się w tym czasie intensywna praca nad ekwipunkiem drużyn strzeleckich, które, gdyby im było można dać, co potrzeba na grzbiet i w rękę, potrafiłyby być narosnąć liczebnie do bardzo poważnych zastępów. Uboga młodzież, szczególnie rzemieślnicza, wprost rwała się do walki. Składki naogół nie dopisywały, a zwłaszcza żydzi nie chcieli dać wręcz ani grosza, zadawalniając się w swem politycznem działaniu tylko rozlepianiem bombastycznych afiszów, głoszących przywiązanie do dynastji habsburskiej. Mimo to sprawę ekwipunku pchało się według możności naprzód. W urzędzonej przezemnie szwalni bielizny w lokalu Tow. im. Kościuszki do bezinteresownej pracy stanęły ubogie szwaczki, toż samo wiele panien z różnych sfer społeczeństwa. Z trudem też zdobywano stopniowo wierzchnie ubranie, czapki, obuwie i inne takie przedmioty. Dzielni druzyniacy, częściowo bardzo już dobrze wyćwiczeni, wygła-

dali przecież w porównaniu z Sokołami mizernie. Co do wyglądu nie mogli się mierzyć szczególnie z sokolim oddziałem, który jako „stała drużyna“ opuścił Tarnopol w nocy z 14 na 15 sierpnia, udając się do Lwowa pod przewodnictwem urzędnika Krakowskiego Towarz. Wzajemnych Ubezpieczeń Mieczysława Kulikowskiego. Razem tworzyło tę drużynę 30 osób, w czym 14 z Tarnopola a 16 z innych gniazd Podola. Wystąpiła ona w maciejówkach, zarzucając noszone dotąd kapelusze filcowe z podgiętą krezą jak Burowie.

Austrjacki Tarnopol a wraz z nim i wschodnia część małopolskiego Podola dożywała tymczasem już swoich ostatnich dni.

Jak to się wszystko odbyło opowiedzieć dziś szczegółowo nie potrafię, przypuszczam jednak, że i tu miało miejsce niejedno z tych kapitalnych austrjackich bałamuctw, w które tak bardzo obfitowała pierwsza faza wojny, że armja austrjacka nie była zgoła poinformowana ani o zamiarach ani o siłach przeciwnika, oraz że działała bez planu lub nowe plany improwizowała w ostatniej chwili.

Dość że wczesnym rankiem dnia 15 sierpnia gościńcem na Zbaraż ruszyły z Tarnopola na oczach tysięcy widzów spore zastępy wojsk austrjackich, wiodących ze sobą dymiące się kuchnie, połowe poczty, ambulansy, moc wozów i różnego rynsztunku bojowego. Owe wojska były przeznaczone do wkroczenia na teren rosyjski. Wyjechał z nimi także komisarz wojenny Zbyszewski. Równocześnie w niedzielę dnia 16 sierpnia z rana zaczęły działać i Rosjanie, rzucając z północy od Krzemieńca w środek wydłużonego z zachodu na wschód powiatu zbarskiego od strony Sieniachówki szeroką ławą silny oddział kawaleryjski, liczący do 2000 ludzi. Austrjacy dragoni, którzy w liczbie 150 nocowali w Łubiankach pod Zbarażem, uszli na południe na Maksymówkę, gdzie wnet za nimi zjawili się Rosjanie, niszcząc tam most i tor kolejowy na głównej

magistrali Tarnopol — Podwołoczyska. Potem od wschodu otarli się o przepełniony wojskiem austriackim Zbaraż¹⁾, ostrzelali go i prawie tą samą drogą, paląc po drodze folwark w Łubiankach oraz pędząc przed sobą około 150 sztuk zrabowanego bydła wrócili do swej bazy w powiecie krzemienieckim. Poprzednio już spalili dużą wieś Szyły, zapalając chatę po chacie. O specjalnym niedołęstwie austriackiej komendy świadczy fakt, iż od głównej masy kawalerji rosyjskiej oderwał się pod Maksymówką oddział liczący około półtora sotni, ruszył na zachód na Czernichowce, wypoczął tam kilka godzin²⁾, przeszedł koło dworca kolejowego w Iwaszkowcach, zepsuł tam tor kolejowy, prowadzący do Tarnopola, na dziewiętnastym kilometrze, poczem przez Zarubińce i Opryłowce dostał się do Czumał, skąd, zmusiwszy niejakiego Szymańskiego do pokazania sobie drogi na Nowiki, osiągnął pod Kołodnem z powrotem terytorjum rosyjskie³⁾. Nie potrzeba chyba dodawać jak bardzo deprymująco działało to buszowanie Rosjan na flankach a nawet na tyłach oddziałów austriackich.

Wiadomości, że Rosjanie już gdzie indziej, jak pod Brodami, Sokalem i powtórnie pod Założcami przeszli na

1) Według innej wersji w tej chwili miały się znajdować w Zbarażu tylko 2 kompanje piechoty a reszta wojsk austriackich rozmieściła się była w sąsiednich wsiach wołyńskich i galicyjskich na północ od Tarnopola. W Zbarażu z osób cywilnych zabiły tego dnia zabłąkane kule rosyjskie ucznia gimnazjalnego Rybaka i raniły szewca Barańskiego. Również ostrzeliwujące się wojsko austriackie miało kilkudziesięciu rannych i kilku zabitych.

2) Choć Rosjanie w Czernichowcach poniszczyli zasiewy hreczki a owies w kopach spaśli, nie przeszkadzało to przecież bratanju się z nimi miejscowej ludności ruskiej. Zresztą ze względu na to, że tamtejszy paroch ks. Kurdydyk był wybitnym moskalofilem, zachowywali się oni w Czernichowcach znacznie lepiej niż gdzie indziej. Nie gwałcili też tutaj kobiet i dziewcząt, co natomiast czynili w Łubiankach i Sieniachówce, przyczem ofiarą padały najczęściej dzieci od lat 12 lub 13.

3) Wiadomości tych udzielił mi marszałek powiatu zbarskiego p. Sochanik, który dzierżawił Nowiki, oraz żona oficjalisty z Łubianek.



terytorjum galicyjskie, dotarły poraz pierwszy do Tarnopola 17 sierpnia. Tegoż dnia przybyły do miasta, otaczającego się w dalszym ciągu lekkimi szańcami połowemi, dwa bataljony 55 p. p. nieco Węgrów i artylerji. Ruch automobilowy, zwłaszcza nocną porą stał się w związku z tem bardzo żywy, szczególnie na gościńcu mikulinieckim, wiodącym na południe. Tylko stacja kolejowa w nocy tonęła w całkowitym mroku.

W powiecie zbaraskim, wypełniającym się coraz to bardziej wojskami rosyjskimi, głównie kozakami, w dniach 17, 18 i 19 sierpnia rozgorzała zawzięta dalsza walka podjazdowa oddziałów austriackich i rosyjskich z tym jednakże rezultatem, że wojska austro-węgierskie traciły coraz to bardziej na terenie, przyczem jeden szwadron węgierski, został tak wycięty, iż wróciło z niego zaledwie 40 żołnierzy, dowódca zaś ranny wpadł w ręce kozackie. Został także wycięty prawie w pień jeden szwadron ułanów, podobno 8 pułku. Ze strony austriackiej odznaczył się szczególnie podpułkownik dragonów hr. Koziembrodzki.

Rosjanie w liczbie 1000 już dnia 17 sierpnia stanęli w lasku czernelowieckim koło Borek Wielkich, dwie mile na wschód od Tarnopola. Jeszcze mocniej podeszli pod miasto dnia następnego t. j. 18 sierpnia, niepokojąc doń dostępy nawet od zachodu ¹⁾).

To nie przeszkadzało zgoła, że owego 18 sierpnia Powiatowy Komitet Narodowy, wówczas już czysto endecki, na uczczenie urodzin cesarskich wydał czarno-żółte nalepki, które nazajutrz upstrzone było całe miasto. Takiej lojalnej manifestacji z racji urodzin cesarskich Tarnopol jeszcze nigdy nie widział, bo i zwieszające się flagi były przeważnie czarno-żółte a cały dzień upłynął pod znakiem hołdu dla starego cesarza i Austrii.

Dzień 18 sierpnia stał się atoli pamiętnym jeszcze

¹⁾ 4 kozaków opadło automobil, jadący do Lwowa z inżynierem Richtmanem i rannym oficerem. Gdy automobil stanął, uciekli.

z innego względu. Oto wówczas wyjaśniło się ostatecznie, dlaczego tak słabo stawiano czoło podjazdom rosyjskim w okolicach Tarnopola. W związku z pierwszymi wiadomościami o nieszczęśliwej dla wojsk austro-węgierskich bitwie pod Satanowem pokazało się, że przeważna część konnicy była zajęta gdzie indziej. Piąta dywizja kawalerji i piętnasta brygada kawaleryjska przeszły Zbrucz pod Koziną i ruszyły na Podole rosyjskie w kierunku na Gródek, miejscowość leżącą około 20 km od granicy. Tutaj szarża wojsk austro-węgierskich jednak się nie udała. Musiały się one wycofać. I wtedy to w odwrocie pod Satanowem, w nocy z dnia 16 na 17 sierpnia, poniesiono straty najznaczniejsze. Razem zmarnowano kilka tysięcy kawalerji, głównie węgierskiej, przypadło nieco piechoty i artylerji, a dowódca pobitego oddziału generał Frohreich popełnił w Trembowli samobójstwo. Z wojsk stacjonowanych w Tarnopolu zniszczeni zostali żółci dragoni i artylerja.

Dnia 19 sierpnia klęska satanowska znalazła jeszcze wyraźniejsze potwierdzenie w prowadzonych, przeważnie pokaleczonych koniach, oddziałach spieszonych dragonów, wreszcie w mnóstwie rannych, którzy wypełnili nietylko obszerny szpital wojskowy, ale także gmachy „Towarzystwa Szkoły Ludowej“, odebrane przez lekarza wojskowego Dr. Kasprzyckiego na użytek lazaretu wojskowego. Opowiadano sobie, że klęska wynikła już pod Gródkiem za Satanowem, gdzie kozacy zajęli byli honwedom tyły. W tym momencie nastąpił rosyjski atak także z frontu, głównie karabinów maszynowych, i ucieczka wojsk austro-węgierskich ku Zbruczowi. Armaty, o ile nie zostały zdobyte odrazu, pogrzeżły w błocie i wodzie, bo jeden mostek na Zbruczcu nie wystarczał do szybkiej przeprawy. Według relacji starosty trembowelskiego przypadło tam 7 pułków konnicy, bataljon piechoty i baterja artylerji. Z 270 oficerów przeszło z powrotem i cało Zbrucz 21, z żołnierzy coś około 700. Reszta poległa, odniosła rany

lub dostała się do niewoli. Między innymi zginął pułkownik artylerji Reiter. Pokonani zbierać się zaczęli ponownie i organizować w Grzymałowie.

W nocy z 18 na 19 sierpnia wróciły od strony Zbaraża, nic nie zdziaławszy, owe wojska, które tam wyszły dnia 15 sierpnia, między nimi 15 p. p., pod miastem zaś przy Szlachcińcach zajął pozycje 55 p. p., wysuwając oddział pod Czernichowcami, gdzie urządzono barykadę na gościńcu. Razem z wojskiem opuścił pospiesznie Zbaraż w nocy z 18 na 19 sierpnia także miejscowy starosta z różnymi urzędnikami, część konwentu O. O. Bernardynów oraz mnóstwo ludzi. Niektórzy wyjeżdżając zabijali okna deskami, żydzi zaś zrywali szyldy sklepowe, myśląc, że w ten sposób uchronią się od rosyjskich rabunków.

Dnia 20 sierpnia przerwało się połączenie telefoniczne i telegraficzne pod Zborowem. Uszkodzono tam równocześnie i szyny kolejowe, tak, iż podróż do Lwowa tędy stała się niemożliwością. Potwierdzili ten fakt swojem przybyciem do miasta urzędnicy kolejowi z odległych o 40 km Jarczowiec, piątej stacji na zachód od Tarnopola na szlaku Lwów — Podwołoczyska.

Walka podchodziła przeto z kilku stron naraz pod mury samego miasta, składając całym rozkładem pozycj świadectwo wielkiego niedołęstwa austriackich dowódców, tak iż nawet prości żołnierze poznawali się na tem i żalili się na oficerów, że są źle prowadzeni. W mieście już zaczęto mówić o ewakuacji, szczególnie zaś, gdy przyszły wieści, iż Rosjanie ze swej bazy wołyńskiej ruszyli na południe także przez Bogdanówkę, aby unicestwić wszelką obronę linii Zbrucza.

Wreszcie ewakuacja nastąpiła sposobem austriackim.

W piątek dnia 21 sierpnia o 6 rano doniósł mi mój sługa, że w nocy o godzinie 2 uciekł automobilem z miasta w kierunku Podhajec starosta Noël a wraz z nim miejscowy

adwokat Dr. Kazimierz Promiński oraz dyrektor gimnazjum Włodzimierz Lenkiewicz. Również znikł i urząd podatkowy, uwożąc nagromadzoną w kasach gotówkę. Poza tem wszystko zostało, niewylączając nawet części urzędników starostwa, z których zato niektórzy, jak niejaki Moszic, zapłacili potem długiem więzieniem rosyjskiem. Nie zatroszczono się też i o pocztę w Tarnopolu, gdzie zostało 92.000 K.

Wiadomość o ucieczce starosty szybko obiegła całe miasto, budząc wszędzie łatwo zrozumiały popłoch i zamieszanie. Zrozumiano, że już nieodwołalnie nadszedł dla Tarnopola moment decydujący. Zmienił się też odrazu nie do opisanego wygląd ulic. Napelniły się one biegającym i gestykującym tłumem, wśród którego prezes sądu okręgowego Kozicki w mundurze usiłował doprowadzić do równowagi i spokoju. Pani Kozicka, żona prezesa, mocno skompromitowana w organizacji strzeleckiej, chciała opuścić miasto furmanką, jednak pospolitacy, pilnujący rogatki miejskich, na to nie pozwalali. Takich jak ona było wielu. Część ludności zaległa kościoły, masy wreszcie zaczęły się gromadzić przed dworcem kolejowym, skąd dzielny naczelnik stacji Juljusz Wojtowicz usiłował wyprowadzić jak najwięcej pociągów, jednakże nie przerwaną już pod Zborowem drogą na Krasne, ale okrężną na Berzowicę, Ostrów, Potutory, Podwysokie i Chodorów, staczając istne utarczki z oficerami austriackimi, z których każdy w zdenerwowaniu występował wobec kolei z najdziwniejszemi postulatami. Naczelnik Wojtowicz nie dał się jednak przekonać i jego to głównie zasługą, że zagrożone miasto zdołały opuścić takie instytucje jak miejska Kasa Oszczędności lub Bank Hipoteczny, wywożąc księgi i skarbcę.

Ja wśród tej zawieruchy wydałem polecenie drużynie strzeleckiej, która do ostatniej chwili pobytu w Tarnopolu pilnie się ćwiczyła, aby zabierając broń, a z warsztatów sukno, niepokończone mundury, tornistry, chlebowniki

i bieliznę, stawiała się w komplecie na dworcu kolejowym, skąd o godzinie 11.50 w południe miał odejść pociąg do Lwowa. I sam, oddawszy klucze od Towarzystwa „Szkół Ludowej“ sędziwemu kustoszowi gmachów Michałowi Knapikowi i woźnemu Wojciechowi Gumulce, od mieszkania zaś stróżowi, razem z drużyną strzelecką też tam przybyłem i zająłem miejsce w pociągu. W osobnych wagonach opuszczała równocześnie Tarnopol reszta drużyny sokolej, którą odprowadził na dworzec prezes Dr. Podleski. Wesołość drużyniaków, śpiewających i zadowolonych wzrastała z trwaniem podróży. A przecież wielu z nich nie zdołało pożegnać się z rodzicami. Psychiczenie wchodziliśmy coraz to bardziej w atmosferę wojny.

Przejeżdżając, widziało się wszędzie przy mostach i przepustach kolejowych warty pospolitaków, uzbrojonych w stare karabiny systemu Werndla. Poza tem głuchy spokój ciążył na całym krajobrazie podolskim, otulonym w całość pyłu i przepojonym promieniami słonecznymi.

Nagle koło godziny 3 popołudniu słońce okryło się czarną tarczą. Nad wszystkim rozsiadł się jakiś krwawy zmierzch. Zaćmienie słońca! Widziałem je kilkakrotnie, nigdy atoli nie budziło ono we mnie więcej refleksyj jak obecnie. Spowaźnieli też wszyscy drużyniaci, niewylączając dzielnego komendanta drużyny Pawła Barysa, który był duszą całego zastępu.

ROZDZIAŁ II.

Lwów przed upadkiem. Drużyny strzeleckie. Wymarsz Legjonu Wschodniego. Odwrót wojsk austro-węgierskich. Ucieczka ludności cywilnej. Straż obywatelska. Anarchja i rabunki.

Zmęczeni, a przedewszystkiem spragnieni i głodni, nazajutrz rano, t. j. w sobotę 22 sierpnia, stanęliśmy we Lwowie, gdzie dowiedzieliśmy się, że nie tylko okolice

Tarnopola nawiedzone zostały wojną, ale że Rosjanie, choć chwilowo, byli już podobno w Kulikowie, Janowie, Jaworowie, Złoczowie i gdzie indziej, że Lwów pełen jest rannych, których szczególnie wielu leży na politechnice, że szkoły zajmuje wojsko, wreszcie, że wojska austriackie gotują się do jakichś nowych rozpraw orężnych na północy i wschodzie kraju w okolicy Krasnego i Buska oraz na południu nad podolskimi dopływami Dniestru. Dowiedzieliśmy się jednak i o czym innym. Pokazało się mianowicie, że Austria nie tylko, iż dotąd nie potrafiła ustosunkować się do spraw polskich, ale że wprost lekceważyła je sobie, jakby nie chciała ich widzieć. Na sporą część przybyłej ze mną drużyny wywarło to wpływ zupełnie demoralizujący. Nie inaczej też było i w głównej komendzie strzeleckiej, którą zaraz odwiedziłem. I tam sprawa stosunku do Austrii górowała ponad wszystkim.

Tymczasem każdego dnia przybywały do Lwowa nowe wojska, wśród których uderzały zwłaszcza wspaniałe postacie strzelców tyrolskich. Szybko przechodziły one miasto, udając się dalej na wschód i wiodły ogromną liczbę pontonów. Wiara jednak w możliwość zwycięstwa wojsk austriackich słabła niemal z godziny na godzinę, co stało w rażącej sprzeczności z dobrem mniemaniem o sytuacji na froncie oficjalnych komunikatów prasowych. Doszło wreszcie do tego, że absolutnie nikt im nie wierzył a ludzie polegali przeważnie na krążących z ust do ust plotkach. Dobrej myśli może była tylko część oficerów.

Dnia 23 sierpnia mówiono powszechnie o zajęciu Złoczowa, o wielkiej a nieszczęśliwej dla Austriaków bitwie kawaleryjskiej, stoczonej w dniu 21 sierpnia między Złoczowem a Tarnopolem¹⁾, o starciach na wschód od Win-

¹⁾ Owa bitwa między Złoczowem a Tarnopolem to klęska pod Jarosławicami na północ od Zborowa dywizji generała Zaremby, złożonej z 4 pułków kawalerji i 2 bataljonów 35 pułku obrony krajowej.

nik, o ustawianej artylerji w Lesienicach pod Lwowem, o rzekomem przybyciu do Lwowa generała Brudermanna oraz o urządzaniu Kwatery Głównej w Przemyślu. Ogólne wprost wzburzenie wywarła dopiero teraz rozpowszechniająca się wieść o barbarzyńskim zniszczeniu dnia 4 sierpnia Kalisza przez Niemców, przyczyniając się u wielu osób do odwrócenia ich sympatyj, żywionych dotąd dla państw centralnych.

Przybyszów z różnych stron kraju, którzy coraz gęściej gromadzili się we Lwowie, niepokoiło najwięcej postępujące pustoszenie kraju i nastroj ludności rusińskiej. Całkiem wyraźnie stawał się on wrogim polskości a przede wszystkim rusofilskim i to nawet w okolicach, gdzie do niedawna t. zw. moskalofili jak najzawzięciej zwalczano. Ludność rusińska brała czynny udział w rabunkach a wszędzie prawie informowała posuwające się wojska rosyjskie o ruchach i sile oddziałów austriackich. W związku z temi niepokojącymi zjawiskami podnoszono również liczne pretensje pod adresem metropolity Szeptyckiego. Zarzucano mu bierność i niedostateczne oddziaływanie na swoich diecezjan.

Wojska austriackie, a zwłaszcza już węgierskie, zareagowały wreszcie na ten brak poparcia ludności w sposób jak najbardziej niewłaściwy, rozpoczynając z ogromną brutalnością traktować wszystkich, z wyjątkiem chyba żydów. Starostę rohatyńskiego, Potockiego, który w mundurze jechał służbowo, do nieprzytomności pobili Węgrzy kolbami, niezadowoleni, że nie znając ich języka nie umiał im dać odpowiedzi. A dodać należy, że wypadków podobnych było więcej. Kraj cały nocną porą rozgorzał, szczególnie na wschodzie, od łun pożarów, przyczem nie wszystkie były wywołane ręką rosyjską. Niejednego „czernego koguta“ puścili także Tyrolczycy i Węgrzy.

Dnia 23 sierpnia widziałem po raz pierwszy prowadzonych przez miasto jeńców rosyjskich. Tęgie postaci

w dużych krągłych czapkach, wywoływały przedewszystkiem zbiegowisko żydów, którzy chętnieby się byli wzięli do ich szturkania, gdyby nie konwój. Ostatecznie animusz żydowski wyładował się w obijaniu laskami i parasolami wozów z lancami i inną bronią, odebraną pojmanym. Jeden tylko żyd, jakiś najzapalczywszy, wybiegł z tłumu ulicznego i na oczach moich i Albina Rayskiego, obywatela ziemskiego, byłego wiceprezesa Rady Narodowej, zadał oficerowi rosyjskiemu trzy rany szczyrzykiem w głowę¹⁾.

Taka sama kawalkada jeńców przeciągała przez Lwów także dnia następnego. Sprowadzono również rannego 5 kulami w brzuch dzielnego rosyjskiego generała Wannowskiego, który zmarł w którymś z lwowskich szpitali, zdaje się na politechnice.

Zaniepokojenie o Lwów dnia 24 sierpnia było już powszechne, tembardziej, że w kierunku na Gródek Jagielloński, a zatem ku zachodowi, zaczęły odpływać ogromne masy taborów, uwożąc inwentarz różnych wojskowych instytucyj i oddziałów. Tego samego dnia dotarły do Lwowa zarazem dokładniejsze wiadomości dotyczące się wzięcia Tarnopola po bitwie, która tam miała miejsce 22 i 23 sierpnia. Opowiadano zatem jak to ogromne masy najcenniejszych rzeczy podróży ostatniego pociągu, który 22 sierpnia opuszczał Tarnopol, porzucili na dworcu i jak to sam pociąg uległ obstrzałowi. Było w nim kilka osób rannych. Zdobyte miasto zostało dopiero w niedzielę dnia 23 sierpnia po zaciętej walce z 7 bataljonami austriackimi i 2 baterjami, tworzącemi 21 brygadę piechoty pod generał-majorem Grubicem, przyczem zginęło także kilka osób cywilnych, zwłaszcza w momencie, kiedy ogień artylerji

¹⁾ Późniejsze relacje stwierdzały, że pastwienie się żydów nad jeńcami rosyjskimi miało miejsce i w innych punktach kraju. Naoczny świadek, osoba poważna, opowiadał mi np., że widział jak w Jarosławiu żyd uderzył w twarz jeńca, pułkownika.

rosyjskiej skierował się ponad miastem na groblę, prowadzącą do Zagrobeli ¹⁾). Z wsi okolicznych spalone zostały Nastasów i Berezowica Wielka, prócz tego miasteczko Kozowa na drodze do Brzeżan.

Dnia 25-go sierpnia zaczęli przybywać do Lwowa uchodźcy z Brzeżan a za nimi 27 sierpnia przyszła wieść o poniesionej tam przez Austriaków klęsce. Od tego dnia słychać też było w mieście, zwłaszcza zaś na Wysokim Zamku, wyraźny, niemilkący, choć odległy huk armat.

Dnia 27 sierpnia zjawili się we Lwowie oficerowie pruscy i stanęli w hotelu George'a, co dało powód do wielkiego zbiegowiska, którego nastrój naogół był dla Niemców niezyczliwy. Uderzającą bowiem była okoliczność, że o ile zajęcia Lwowa przez Rosjan nikt prawie sobie nie życzył, o tyle z niechęcią odnoszono się do sojuszników Austrii Niemców.

Wychodzenie taborów austriackich ulicami Karola Ludwika i Leona Sapiehy w kierunku na zachód trwało tymczasem w dalszym ciągu dniem i nocą, zyskiwało na intensywności a wraz z tem wzmagало nastrój paniczny ludności, co najwyraźniej objawiło się wieczorem, dnia 27 sierpnia.

Od strony przedmieścia Łyczakowskiego, po zawaleniu tam taborami gościńca, zaczęły tłumy uciekać ku rynkowi i ulicy Karola Ludwika, podając sobie z ust do ust, że Komenda Korpusu opuściła już miasto, że wyjechał namiestnik kraju, a przedewszystkiem, że idą kozacy. Żydzi pospiesznie zamykali sklepy. Najstraszniejszy był atoli widok pędzących na przełaj wozów z żydami i rannymi, tudzież pojedynczych rannych, idących piechotą, bezradnych i niewiedzących, co ze sobą mają począć. Wśród tej

¹⁾ Dokładniejszy i widać, że przez zawodowego oficera nakreślony opis bitwy pod Tarnopolem, znajduje się w kijowskim „Kiewlaninie“ z daty 26 sierpnia starego stylu.

masy groźnie dudniły ogromne wozy z żelaznemi pontonami, które kilka dni temu ciągnęły ku wschodowi, pojedyncze armaty i inny sprzęt wojskowy. Jakiś żołnierz zwrócił się do mnie, pytając, gdzie ma umieścić 7 rannych. Rzecz prosta, że nie umiałem mu dać odpowiedzi. Wskazałem mu tylko kierunek na politechnikę. Panika, która pociągnęła za sobą także haniebną, bo połączoną z rzucaniem broni, pieszą ucieczką kawalerzystów z kasarń na Łyczakowie, ustała dopiero, gdy namiestnik Korytowski w otwartym powozie pokazał się na mieście. Nazajutrz rozlepiono również odezwę Komendy miasta, a także przy odgłosie bębna zaczęto podawać uspakajające wiadomości. Zjawiły się one i w prasie.

Pokazało się, że sprawcą paniki był pewien kapitan strzelców tyrolskich, najprawdopodobniej pod wpływem prawdziwej zresztą wieści, że Austriacy zostali pobici pod Buskiem, o czem pewniejsze informacje doszły do Lwowa nazajutrz dnia 28 sierpnia z ust ludzi, którzy brali udział w tym boju, zarówno oficerów jak i żołnierzy. Opowiadano powszechnie o skuteczności ognia artylerji rosyjskiej, o mizerji austriackiej służby sanitarnej, rażąco gorszej od rosyjskiej, a wreszcie o fatalnem zaprowiantowaniu wojsk walczących, tak, że nawet oficerowie, mający pełne kieszenie koron, po kilka dni nic prawie nie jedli. Przepadła tam jedna dywizja. We Lwowie pocieszano się atoli okolicznością, że jeszcze silne są pozycje pod Krasnem, jak również, że Lwów posiada już szzańce, które pozwolą na krótką bodaj obronę, zanim nie nadejdzie odsiecz. Liczono na nią od północy, gdzie Austriacy w Lubelskiem rzeczywiście odnosili pewne sukcesy.

Najlepiej wtajemniczeni w sprawy nie łudzili się jednak zgoła. W każdym razie dwa najważniejsze banki, bo filja Austro-węgierskiego i Krajowy gotowały się do wyjazdu. Dnia 29 sierpnia Bank Krajowy z aktami i księgami był już nawet na dworcu, ale zawrócił na wieść o du-

zych sukcesach oręża niemieckiego w Prusiech Wschodnich, po których spodziewano się pewnego polepszenia sytuacji wojennej i w Galicji.

Przełomowe chwile nakazywały także ostatecznie załatwić sprawę drużyn strzeleckich.

Dziwną była pozycja tej ochotniczej organizacji. Odnosiło się wrażenie, iż nie dbał o nią Naczelny Komitet Narodowy, Austriacy zaś wprost ją bojkotowali. Ciągłe o uszy obijały mi się skargi, że Naczelny Komitet Narodowy, mimo płynących składek, zwłaszcza od kupiectwa chrześcijańskiego, nie daje butów i ubrań, Austriacy nie dostarczają broni a ogół społeczeństwa skąpi z poparciem moralnem. Wprawdzie Dr. Głabiński donosił Tadeuszowi Cieńskiemu z Wiednia pod datą 26 sierpnia, iż broń napewne nadejdzie za 2 tygodnie, ale wśród błyskawicznie rozgrywających się wypadków tego rodzaju obietnica wyglądała wprost dziwnie, tem bardziej, że strzelcy ruscy już broń otrzymali. Dopiero, gdy dnia 28 sierpnia zaszło jakieś nieporozumienie między nimi a Austriakami, i gdy ich rozbrojono, dostało się wówczas coś niecoś także i strzelcom polskim¹⁾. Ja osobiście stałem całkowicie już przy poglądzie, który w Naczelnym Komitecie Narodowym reprezentował wówczas przede wszystkim Stanisław Grabski, że wszelkim zapędem pomagania Austrii należy dać narazie zupełnie spokój i chłopców czy to z drużyn strzeleckich czy też ze sokolich ukryć a potem odesłać do domu. Trudno było przecież narzucać się Austrii z po-

¹⁾ Pewna ilość broni, wystarczająca do uzbrojenia kilku plutonów, wpadła również w ręce oddziałów polskich w czasie pamiętnej paniki w dniu 27 sierpnia. Oto ćwiczącym się w tym momencie na boisku sokolem na Łyczakowie legionistom oddawali uciekający żołnierze austriaccy karabiny i amunicję. Legjoniści, zamiast uciekać jak wszyscy ku miastu, z otrzymaną bronią poszli w kierunku domniemanego nieprzyjaciela, rozumie się nie zetknąwszy się z nim, bo go w pobliżu nie było.

mocą, której ona nie pragnęła i przy której udzielaniu do niczego nie chciała się zobowiązać. Wystarczy powiedzieć, że np. wiceprezydent Rady Szkolnej Krajowej Dr. Ignacy Dembowski zapowiedział był profesorom i nauczycielom, którzy wyruszyli z drużynami, iż tem samem tracą oni zajmowane posady.

Tarnopolanie przeważnie usłuchali i wystąpili z organizacji. Tylko 27 nie dało się przekonać i ci nawet pierwsi odjechali do Krakowa. Naogół w kierunku zachodnim z zamiarem udania się do Sanoka wyszło dnia 29 i 30 sierpnia, gdy Rosjanie podstąpili już pod Winniki, kilka tysięcy tej młodzieży strzeleckiej, sokolej i z drużyn Bartoszowych, także ludzi starszych i dzieci, fatalnie jednak uzbrojonych albo całkiem bezbronych. Był też i oddział konny. Jak atoli nie zdawano sobie w komendzie t. z. Wschodniego Legjonu sprawy nawet z liczebności zastępu, świadczy fakt, że wysłany do Sanoka w dniu 27 sierpnia jako kwatermistrz oficer intendatury Kazimierz Skulski, otrzymał polecenie przygotowania pomieszczenia tylko dla 2.000 ludzi, gdy tymczasem z różnych stron kraju zjechało tam przy końcu sierpnia około 6.000.

Dzień 30 sierpnia upłynął pod znakiem zupełnej paniki. Poprzedziła go noc pełna huku armatniego, który nie ustał i w dzień. Wyszędłszy na Wysoki Zamek widziałem na prawo od Zniesienia wielki słup dymu, nad miastem zaś unoszące się austriackie aeroplany, które zataczając koła zdaje się śledziły postępy procesu okrążania miasta przez Rosjan. Tymczasem tysiące ludzi biegly i jechały z kuferkami i łomokami na dworzec kolejowy, toż samo ewakuowały się i banki. Odwrót wojsk austriackich stawał się coraz to powszechniejszy i bezładniejszy. Piechota, kawalerja, artylerja, furgony, wszystko to zmieszane jak „groch z kapustą“. Namiestnik był jeszcze we Lwowie, lecz opuścić go miał lada chwilę, najprawdopodobniej około godziny piątej popołudniu. Został jednak.

Wyjazd jego wraz z wyższymi urzędnikami nastąpił dopiero w nocy z 30 na 31 sierpnia. Opuścił Lwów tylko z kilku kuferkami, zostawiając na pastwę losu w pałacu namiestnikowskim swoje własne urządzenie i wspaniałe rządowne, w tem 12 srebrnych zastaw, moc obrazów, dywanów, cennej porcelany, ubrań, obrusów i t. p. I inaczej być niemogło, gdyż i jego ciągle generał Kolosvary, komendant Korpusu we Lwowie łudził i okłamywał co do właściwej sytuacji wojennej. Tak samo też postępował i rząd centralny. Wszak w przeddzień ucieczki władz przyszło do Lwowa pismo z Wiednia, noszące datę 26 sierpnia, wzywające namiestnika, aby znalazł 16 oddanych państwu Ukraińców, którzyby towarzyszyli pochodowi wojsk austro-węgierskich na Ukrainę.

Opuścił miasto wraz z namiestnikiem także i komendant Korpusu, oraz dyrektor policji Rheinländer a z nim i policja, poprzednio spaliwszy na swem podwórzu akta, pozdejmowawszy szyldy i przeciąwszy telefony. Koło południa 31 sierpnia jeszcze kilku bezradnych policjantów kręciło się po ulicy Karola Ludwika, zresztą miasto zostało bez opieki. Cały dzień ulicą Leona Sapiehy i Gródecką, w kierunku na zachód, posuwały się natomiast ogromne masy ludzkie, jeszcze większe niż dnia poprzedniego i jeszcze więcej z sobą zmieszane. O jakimkolwiek choćby najmniejszym porządku niebyło tam już i mowy. Konie, wozy i automobile, a wśród tego luźne masy żołnierskie, idące z bronią lub bez broni, przedstawiały jedną wielką mieszaninę, spiesznym krokiem posuwającą się całą szerokością ulicy. Niekiedy porzucano pojedyncze wozy a nawet automobile, z których jeden wywrócono przed gmachem sejmowym. Wszystkich ogarnęło uczucie jakiejś paniki, wśród której ludzie byli w stanie Bóg wie co uczynić. Między tłumami przedzierały się również resztki Sokółów i drużyn strzeleckich. Nie brakło też i oddziału jeńców rosyjskich, po których głowach w owych okolicz-

nościach musiały chyba chodzić jak najdziwaczniejsze myśli.

Szczególnie zawalona pojazdami była szeroka ulica Kolejowa, stanowiąca dojazd do dworca. Sam dworzec, szturmowany przez dziesiątki tysięcy ludzi, ochraniali żołnierze z najeżonymi bagnętami. Jeszcze straszniejszy widok przedstawiała główna hala wchodowa dworca, gdzie panował niedający się opisać zgiełk, ścisk i zaduch. Wszystko walczyło o dostęp do kas biletowych. Kilkuset ludzi zemdlało, kilka osób uduszono i stratowano. Pakunki na dworzec przepuszczano tylko całkiem małe, stąd większe publiczność rzucała, z czego formowały się ogromne stopy, stające się łupem szumowin miejskich. Przeważną część wyjeżdżających stanowili żydzi i urzędnicy.

Wreszcie część zbiegów zaczęła opuszczać beznadziejną pozycję przed dworcem i wracać, widząc, że trudności wyjazdu są większe niż siły. Wieczorem zwrócono z drogi także jeden z wyekspedjowanych już pociągów pod pozorem, że zostało zawarte zawieszenie broni, a więc i wyjazd jest niepotrzebny. W istocie chodziło o wagony dla wojska. Wróciło też wielu księży, którzy zrazu tłumnie rzucili się do wyjazdu.

Tramwaj elektryczny, po dwudniowym zniknięciu z ulic, 31 sierpnia pokazał się znowu, ale tylko dla przewozu rannych. Jak tych nieszczęśliwych sortowano trudno dociec, tyle tylko można było skonstatować, że wobec ogromnej ich masy, część rozpuszczono, część zaś porzucono wprost na ulicy. Ci jęcząc siedzieli na trotuarach, szczególnie przy wiodącej na dworzec ulicy Kopernika, zwłaszcza w okolicy gmachu poczty¹⁾.

Sklepy pozamykane były przez cały dzień, toż samo

¹⁾ Późniejsze opowiadania wielu osób stwierdziły ponad wszelką wątpliwość, że w wojsku austriackim ten brak dbałości o rannych był powszechny. Dr. Sethaler pozostawiony został w podobny sposób później bez wszelkich opatrunków i medykamentów z 400 rannymi Austrija-

bramy domów, stragany zaś przekupniów targowych opróżniały się już o godzinie 10 rano. Tak przez kilka dni.

Lud, tu i ówdzie, wszystko, na co patrzył, a zwłaszcza zarządzenia co do skracania czasu trwania targu, tłumaczył sobie obawą przed jakimiś dzikimi wojskami, które w ostatniej chwili miały cesarzowi Franciszkowi przyjść z pomocą. Nie miały one wcale strzelać, lecz tylko kłuć nożami. W istocie nakaz wydała w porozumieniu z magistratem pozostała jeszcze ostatnia władza austriacka, Komenda Placu, z obawy przed ewentualnymi rabunkami, o co przy ogólnem rozprzężeniu było nie trudno. Na szczęście przecież jako tako dopisująca aprowizacja miasta nie dawała bezpośrednio powodu do ekscesów. Artykuły codziennej potrzeby utrzymywały się przy zwykłych cenach i tylko chleb poszedł nieco w górę, a przytem był trudny do kupienia. Brakło także dostatecznych ilości nabiału, gdzie niegdzie zaś nie dostawało mąki, soli i tłuszczów. Bardzo tanie natomiast były różne jarzyny, owoce i jaja. Mięso średnio 2 korony za kilogram.

Uspakajająco działało i to, że poczta mimo wszystko nie zaniechała swych czynności. Wypłacała nawet przekazy i czek. Przystała działać dopiero 1 września, rozdawszy wszystkie nadeszłe listy. Wydano również o dzień wcześniej zwykle pensje urzędnicze za miesiąc wrzesień, w tem także tym funkcjonariuszom, którzy przybyli do Lwowa z okolic ogarniętych przez nieprzyjaciela, i emerytom. Poczytne „Słowo Polskie“, chcąc przeciwdziałać panice, ogłosiło powtórną odezwę, nawołującą do spokoju i równowagi, teraz więcej potrzebnej niż kiedy indziej, zważywszy, że gdzie niegdzie już o godzinie 2 popołudniu spodziewano się przybycia Rosjan i kapitulacji miasta, którą zwiastować miała biała chorągiew wywieszona na wieży magistrackiej.

kami nad Dniestrem, gdy oni wysadzili mosty i, o nic się nie troszcząc, przeszli sobie na prawy brzeg rzeki. Dopiero Rosjanie musieli spełniać funkcje samarytańskie.

Rzecz prosta, że owe kalkulacje były jeszcze przedwczesne. Rosjanie zjawili się dopiero po 3 dniach.

Z inicjatywy magistratu i dzielnego prezydenta miasta Dra Tadeusza Rutowskiego zaczęła się wiązać straż obywatelska, przyczem już 31 sierpnia wpisało się do niej 580 osób, przewijając prawe ramię granatowo-czerwoną opaską. Instytucja straży odegrała niepoślednią rolę, szczególnie w bezpańskich dniach od 1 do 3 września. Od Rosjan obawiano się więcej własnych szumowin ulicznych i nie bez powodu. Aby pod pozorem ruchu antyżydowskiego nie zaczęły hulać, na mnóstwie domów i w wielu oknach zjawily się obrazy świętych. Żydzi, podpatrzywszy to i uznawszy ten sposób zabezpieczenia się za praktyczny, czynili to samo.

Pierwszy września zastał miasto jakby odświeżone, bo nawalny deszcz spłókał w nocy te masy śmiecia i gnoju, jakie zaległy ulice po kilkudniowym pochodzie kroci ludzi i koni. Uczyniło się też naogół nieporównanie spokojniej. Przedewszystkiem znikli z miasta najbardziej lękliwi, w tem kilkadziesiąt tysięcy żydów miejscowych i przyjezdnych, a następnie całe tężno ewakuacji sfolgowało. W dalszym ciągu ciągnęły wprawdzie jeszcze gromady zgłodniałego i zmizerowanego żołnierstwa, ale już mniej liczne, toż samo ewakuacja rannych nie była ani w części tak gwałtowną i chaotyczną jak poprzód. Ludność z głodnym żołnierzem dzieliła się czem mogła, a specjalnie pod tym względem zasłużyła się ogólnie ceniona właścicielka pensjonatu i zakładów naukowych Strzałkowska.

Na dworzec kolejowy mało kto już dążył, bo nie było po co, gdyż pociągi pasażerskie nie kursowały. Ciągnęły tam tylko w dalszym ciągu furmanki, wywożąc materiał wojskowy z opróżnianych magazynów i inny. Tramwaje, niezajęte ewakuacją rannych, uruchomiono dla użytku publiczności.

Huk armat wzrastał. Wiązano go po części z rzekomą obecnością wojsk pruskich, które miały zjawić się z pomocą, o czym usposobieni mniej krytycznie opowiadali już sobie dnia poprzedniego i o czym zresztą bajano w dalszym ciągu aż do samego przybycia Rosjan. W wielu głowach ludzkich poprostu nie mogła się być pomieścić myśl, że Lwów jest w stanie wyjść z rąk austriackich. Bo zanikało zaufanie do wojsk, ale nie do polityki austriackiej. Tę ciągle jeszcze uważano za przewidującą i roztropną.

I temu pogładowi trudno było poniekąd odmówić racji. Wartość bojowa wojsk austriackich, a ściślej biorąc austriackiego korpusu oficerskiego była nawet mniejsza niż przypuszczano. Niejaki Stefan Cwojdzński, jeden z wyższych urzędników lwowskiego namiestnictwa, który nie poszedł za wzorem swoich kolegów, lecz pozostał we Lwowie, opowiedział mi, że trzy dni przed kapitulacją miasta, t. j. w poniedziałek wieczorem 31 sierpnia, zjawił się przed jego domem o godzinie 9^{1/2} wieczorem automobil wojskowy, w którym siedzieli kapitan sztabu generalnego Helf, pewien porucznik dragonów, oficer rezerwowo, Niemiec z Czech, kierujący maszyną i „Kriegskommissär“ Leszczyński. Mieli oni zawieźć rozkaz sztabu do twierdzy Mikołajowskiej i dotrzeć tam najpóźniej do godziny 10 wieczorem. Zamiast tego wyciągnęli Cwojdzńskiego z domu i poszli na libacje szampanowe, ażeby zaś upozorować przymus zostania we Lwowie, kierowca maszyny w droguerji, mającej dostarczyć karbidu do latarni automobilowej, wziął sobie świadectwo, że go skład nie posiada. W gruncie rzeczy zdaje się bali się ci panowie kozaków i chcieli odwlec wyjazd do dnia. Inne takie zdarzenia z owych czasów opowiadał także przeczny i powszechnie szanowany lekarz Dr. Kucharski. Znał on oficerów austriackich, Niemców, którzy przestrzelili sobie nieszkodliwie ręce lub nogi, aby udawać rannych.

Dnia 2 września opuściła Lwów Komenda Placu i reszta zebrzących maruderów austriackich, z których najsmutniej wyglądali głodni Tyrolczycy, zajmujący budynek szkolny przy ulicy Zielonej. Żółkiewską ulicą jeszcze raz wlały się w miasto ogromne masy furgonów a środkiem ulicy Karola Ludwika przepędzono potężne stada bydła, mieszczące się dotąd na placu zabawowym koło Wysokiego Zamku.

Wszystko dążyło na Zachód.

Nad miastem popołudniu pokazał się lotnik rosyjski, jak dowiedziałem się później, kapitan Nesterow. Śmiało oglądnał teren, poczem wśród licznych strażów, sypiących się na niego od strony Domu Inwalidów wzbił się w górę, i poszybował do swoich. Oglądałem go z Wysokiego Zamku.

W mieście sprawowała porządek straż obywatelska, a także z resztek policji sformowana prowizoryczna straż bezpieczeństwa. Poza tem kręciły się jeszcze dwa nieduże oddziały wojsk austriackich, z których jeden pod wieczór ruszył w kierunku rogatki gródeckiej, drugi zaś Łyczakowskiej. Zastanawialiśmy się głęboko, jaki cel mógł mieć ten drugi marsz. Od strony Łyczakowa wyczekiwaliśmy przecież z godziny na godzinę całej potęgi rosyjskiej. Rzecz wyjaśniła się dopiero później. Oto kierujący się na Łyczaków oddział tworzył t. zw. ostre pogotowie (strengere Bereitschaft), które nieodwołane żadnym rozkazem trwało nadal. W rezultacie była chwila, że oddział i pojedyncze zapomniane straże ustawione na różnych posterunkach, niewiedząc o wyjściu swych wojsk, walczyły z całą armją rosyjską. Najlepszy dowód, że przeciętny żołnierz austriacki nie był zły, tylko że fatalnie był prowadzony przez swych oficerów, z których wykształceni sztabowcy nie mieli charakteru i uczciwości a niżsi bardzo często zwykłej odwagi.

Wielką fabrykę rządową tytoniu i cygar w Winnikach za rogatką łyczakowską podpalono w nocy z dnia

1 na 2 września. Uczynili to jacyś nieznani ludzie — prawdopodobnie z polecenia austriackiego — po poprzednim gruntownym rabunku ogromnych tamtejszych zapasów tytoniowych w momencie, kiedy wojsko z Winnik ustąpiło a nieprzyjacielskie jeszcze nie nadeszło. Rosjanom zostały już tylko resztki. Ponieważ nikt ognia nie gasił, fabryka paliła się kilka dni. Bezpośrednio przedtem polecono ludności winnickiej opuścić swe domy, zapewne aby stworzyć przedpole na wypadek obrony Lwowa z połowych obwarowań, opasujących z tej strony miasto. Zresztą w najbliższym sąsiedztwie Winnik kilka dni trwał bardzo silny ogień artylerji. Charakterystycznym było wyrażenie się komenderującego na tym odcinku majora. Oświadczył on, że otrzymał polecenie w oczekiwaniu na posiłki niemieckie trzymać swe pozycje do godziny 12 w nocy z dnia 1 na 2 września. Gdy oczekiwana pomoc nie nadejdzie, miał rozkaz ewakuować Winniki i ustąpić, co oznaczało ostateczny upadek Lwowa. Na zapytanie zaś jak wielkie miałyby być owe posiłkowe wojska, odparł: „mniej więcej 150.000 ludzi, bo tylko takie mogą wstrzymać pochód Rosjan“.

Kilka dni ewakuacji zrobili we Lwowie wreszcie swoje. Szpitale opustoszały, toż samo szkoły, przemienione na chwilowe kasarnie. Ustał również wszelki ruch na głównym dworcu kolejowym. Rozeszła się tam służba, przestały dymić lokomotywy a martwota ogólna zaległa dziesiątki kilometrów różnych torów. Ów moment uznały za najodpowiedniejszy do akcji szumowiny miejskie. Rzucono się na rabunek ogromnych magazynów kolejowych, czemu kres położyli dopiero Rosjanie, gdyż straż obywatelska wobec potężnych mas motłochu okazała się niewystarczającą.

Wiadomości, jakie dochodziły do Lwowa o okropnym wyglądzie pobojuwisk, budziły ogólne przerażenie, powszechne zaś oburzenie wywoływały wieści o ciąglem

uprawianiu zdrady wojskowej na rzecz Rosjan przez część ludności rusińskiej. Refleks tych stosunków tak głęboko wnikał w rozbijaną armję austriacką, że i tam z tego powodu wrzało jak w garnku. W Lesienicach sami żołnierze zastrzelili żołnierza moskalofila i na miejscu zakopali go w ziemi, na oczach moich znajomych. Pozatem już poprzednio 80 pułk, złożony w przewadze z Rusinów, który oświadczył, że walczyć nie chce, został podobno zdzięsiątkowany i wysłany gdzieś z galicyjskiego teatru wojny. Najostrzej i w sposób barbarzyński reagowali na wspomniane objawy zdrady Węgrzy, którzy, jak o tem mówiłem już wyżej, z ludnością rusińską obchodzili się źle. Z wielu stron dochodziły mnie wieści, że nawet konie wprowadzali do cerkwi.

Powszechny niesmak i szydercze uwagi wzbudził list prezydenta miasta Neumana, który uciekł z miasta i tłumaczył się ze swojego kroku. Tem większą sympatją otoczono natomiast sprawującego rządu miejskie Dra Rutowskiego.

ROZDZIAŁ III.

Wejście Rosjan do Lwowa. Powitanie ich na rogatce łyżakowskiej. Pierwsze zetknięcie się moje z Rosjanami. Język polski w ustach rosyjskich oficerów. Rabunki w nocy z 3 na 4 września. Przemarsz armji rosyjskiej. Nastroje ludności. Echa walk toczonych na zachód od Lwowa. Drożyzna. Gubernator hr. Szeremetiew. Gradonaczalnik v. Eiche. Strzelcy polscy w niewoli rosyjskiej.

Czwartek 3 września, jako dzień wejścia Rosjan, stał się dla Lwowa datą historyczną.

Już rano od dyrektora miejskich wodociągów inżyniera Aleksandrowicza dowiedziałem się, że Rosjanie stoją na Zielonem. Około dwunastej w południe byli pod ratuszem i na placu Bernardyńskim. Pierwszego Rosjanina

na koniu dostrzegłem atoli dopiero o godzinie 1^{1/2}. Znalazszy się przed składem Lasockiego w pobliżu katedry, zażądał on od pomocnika sklepowego naregulowania mu zegarka. Potem wpadły mi w oczy grupy oficerów, chodzących po magazynach i czyniących zakupy, wreszcie małe oddziały jezdne. Wojsk w ścisłym tego słowa znaczeniu jednak jeszcze nie było. Nadciągały one dopiero od strony rogatki łyczakowskiej i Zielonego. Spotkawszy kilku radnych miejskich, usłuchałem ich propozycji i z opaską straży obywatelskiej na ramieniu udałem się na rogatkę łyczakowską, aby być świadkiem chwili wejścia wojsk rosyjskich do Lwowa.

Około godziny 3 pokazała się na gościńcu piechota i choć była już bardzo blisko, nie łatwo wpadała w oczy. Następstwo zielono-żółtawego munduru, doskonale zlewającego się z płowem tłem krajobrazu. Za piechotą ciągnęła artylerja i oddziały konne. Licho tylko wyglądała i grała muzyka. Wjechali też generałowie von Rode i Parczewski, przywitani przez reprezentację miejską, na co bardzo uprzejmie odpowiedzieli po polsku. Pewien kapitan, który otwierał pochód, zwróciwszy się do nas, wypowiedział prócz tego kilka słów specjalnie serdecznych i podniósł, iż boje, które poprzedziły wzięcie Lwowa, są godne chyba pióra Sienkiewicza, tak były krwawe i ciężkie.

Pierwsi jednak jako witający, spory kawałek przed Radą miejską, wysunęli się byli żydzi, w tem także żydówki biało ubrane, z których jedna podała kubek wódki siedzącemu na koniu oficerowi. On kopnął go nogą, przyczem dostało się także żydówce. Nie wiedziała, że w wojsku rosyjskiem obowiązywała bezwzględna abstynencja. Wtedy inni żydzi zaczęli pod nogi koni sypać kwiaty.

Po załatwieniu się z tą formalnością powitania zwróciło się do mnie i do stojącego obok mnie Dr. Zdzisława Próchnickiego oraz niejakiego Baudischa kilku radnych

miejskich i powiedziało nam w sekrecie, że na t. zw. Kaiserwaldzie Austriacy porzucili nieco bydła, które należałoby wobec prawdopodobnych braków w aprowizacji miejskiej, a zwłaszcza po szpitalach i przytułkach, stamtąd sprowadzić do rzeźni miejskiej. Po krótkiej naradzie postanowiliśmy podjąć się we trzech tego niełatwego zadania, gdyż rzeźnia leżała daleko aż na Żółkiewskim i trzeba było kręgiem obchodzić spory kawał drogi. Zresztą wyprawa i z tego względu zbyt przyjemną nie była, że przedstawiała wyraźne działanie na niekorzyść Rosjan, pozabawiając ich łupu wojennego. Jako taka mogła być dać łatwo powód do bardzo przykrych następstw.

Wyszedszy na szczyt płaskowyzu Kaiserwaldu znaleźliśmy tam 48 sztuk bydła rogatego, z czego 2 niezdolne już do chodu, które też porzuciliśmy. Resztę 46, pędząc laskami i parasolami przed sobą, sprowadziliśmy z góry a potem wśród różnych przeszkód i wyjaśnień, dawanych rozstawionym gdzie niedzie wartom rosyjskim, doprowadziliśmy pod wieczór do rzeźni. Zauważyliśmy, że stacja kolejowa Podzamcze była w tym czasie już zajęta przez Rosjan, którzy tam nawet dokonywali jakiejś egzekucji na złodziejach kradnących węgiel. Było słycać wyraźne strzały karabinowe i świszczące kule. Po drodze uderzyło nas wszystkich, zbierających wrażenia z pierwszego dnia pobytu Rosjan we Lwowie, niesłychanie łatwe i wpadające w oczy bratanie się z nimi miejscowej ludności nawet polskiej. Szczególnie podmiejska płeć piękna darzyła ich z miejsca całkiem wyraźnymi względami, które nie były też zapewne lekceważone.

Przybywszy późno do miasta zastaliśmy na ulicach plakaty w języku polskim, domagające się natychmiastowego oddania broni ¹⁾, pod groźbą kar stanu wojennego.

¹⁾ Podpisane one były przez komendanta 42 dywizji piechoty, generał-porucznika v. Rode i przez prezydenta miasta Dr. Rutowskiego.

Rozstałem się przeto w magistracie z moim starym rewolwerem. Szkoda tylko, że i inni to rozbrajanie się zbyt dokładnie spełniali, gdyż podobno ogromna masa wartościowej starożytej broni dostała się Rosjanom, którzy zdeponowane rzeczy między siebie rozbiali. Najcenniejsze okazy ocalono przez złożenie ich w muzeum Sobieskiego w rynku, w czem niemała zasługa kustosza Dra Aleksandra Czołowskiego.

Wszedłszy wieczorem do restauracji Musiałowicza na rogu ulicy 3 Maja, zastałem ją pełną oficerów, pochłaniających z godnym podziwu apetytem ogromne masy jedzenia, zwłaszcza zaś przekąsek. Byli mocno zdziwieni z powodu panicznej ucieczki Austriaków i z racji ich postępowania z rannymi nawet swoimi. Pokazało się bowiem, że na głównym dworcu, gdzie Rosjanie znaleźli sporo środków transportowych, bo przeszło 1.000 wagonów i kilkadziesiąt nieuszkodzonych lokomotyw, leżała od 3 dni duża ilość porzuconych rannych, wijących się w najstraszniejszych cierpieniach. Część ich, potratowana poprzednio przez uciekające tłumy, zmarła.

Już późno wieczorem z balkonu kawiarni Avenue na placu Marjackim przemawiał po polsku do zgromadzonej publiczności jakiś rosyjski oficer, powołując się na nieznanego jeszcze we Lwowie manifest do Polaków głównodowodzącego Wielkiego Księcia Mikołaja Mikołajewicza. Zachęcał do życzliwości dla Rosjan i zapewniał, że znajdzie ona odwzajemnienie w zachowaniu się wojsk rosyjskich. Niektóre ich oddziały przechodząc ulicą Karola Ludwika, dzisiejszą Legjonów, wołały „niech żyje nasza Polska“, za co tłum żywo dziękował.

Tak się skończył oczekiwany z niepokojem przez wielu dzień wejścia Rosjan do stolicy Galicji.

Niejeden obywatel, układając się tego dnia do snu, pomyślał zapewne, że „nie taki djabeł czarny jak go malują“. Poczęści może miał i rację, gdyż ostatnie dni pa-

nowania Austrii do przyjemnych nie należały. Wnet przecież ten nowy „djabeł“ zmienił się bardzo, przynajmniej we Lwowie. W każdym razie wielkiej inteligencji nie wykazał.

Noc z 3 na 4 września była bardzo niespokojna i pełna strzelaniny. Dawały w ten sposób znać o sobie patrole rosyjskie przy magazynach kolejowych, gdzie nieposkromiony dotąd motłoch ciągle jeszcze rabował wiktuały, tytoń, pozostawione przez uciekających podróżnych kufry, pościel i t. p. Później pokazało się, że i część straży obywatelskiej, do której napchały się niepożądane szumowiny, też brała udział w rabunku, a nawet, mające to wszystko rozpędzić, patrole rosyjskie. W miarę jak częścią łupu, przedewszystkiem zaś tytoniem i cygarami, opychano im plecaki, spełniały swą służbę tylko formalnie i patrzyły przez palce na to wszystko, co się naokół nich działo. Choć rozpędzały dwukrotnie tłum, choć gęsto strzelały, przecież jednak skutku nie było. Rabujący motłoch gromadził się ciągle na nowo. Także i wojskowe magazyny, niektóre pełne mebli oficerów, ucierpiały srodze od rabunku. Sam widziałem jak hołota wiozła na ręcznych wózkach albo niosła najpiękniejsze rzeczy, często przy tej okazji tłukąc je i niszcząc bez miłosierdzia. Podobnie działo się też w komisarjacie dzielnicy gródeckiej. I tam nad ranem tłum przypuścił atak do magazynu, w którym znajdowały się paki tytoniu i innych towarów, poodbieranych poprzedniego dnia rabującym. W mgnieniu oka wszystko to znikło. Podziwiałem tylko jak potężne, opasane taśmą blaszaną, skrzynie niezdołały stawić żadnego zgoła oporu. Prostu w rękach je rozdzierano czy rozbijano.

Przy wszystkich tych rabunkach ujawniały się niejednokrotnie rysy wielce charakterystyczne. Wspomnę o jednym. Oto pokazało się, że przy okradaniu magazynów pospólstwo czarnej mąki zupełnie nie brało. Niektnięta pozostała ona aż do objęcia składów przez Rosjan,

co nastąpiło 4 września, po powieszeniu czy rozstrzelaniu 7 najniepoprawniejszych rabusiów. Nic w tem zresztą dziwnego, gdyż bezpośrednio przed wojną właśnie wśród tych warstw, które wzięły obecnie najintensywniejszy udział w rabunku, podniosła się była niesłychanie skala wymagań życiowych. Np. lwowskie praczki, godząc się do prania z wiktem, wymawiały sobie, żeby im nie dawać siekanych zrazów z kaszą ani rosółu z mięsem gotowanym, toż samo ciężkich potraw mącznych w rodzaju pierogów. Żądały lekkich, słodkich.

Ciekawszy od tych smutnych scen rabunku obraz roztaczał się tymczasem w centrum miasta, gdzie na szczycie wieży ratusza powiewała już czerwono-niebiesko-biała chorągiew rosyjska. Tamtędy, ulicą Karola Ludwika, od samego ranka 4 września przechodziła wielka armja, sprawnie, wesoło, szybko i karnie. Maszerowała piechota, jechały armaty, jaszczyki, tabory, automobile, przewijały się sztaby, muzyki, dymiące kuchnie i t. p. Nadewszystko zaś uderzała masa jazdy, lekko odzianej i lekko wyekwi-powanej, przyczem z szczególniejszem zainteresowaniem oglądano kozaków i różne ludy kaukaskie. „Widzisz, tak powinna wyglądać jazda“, powiedział mi mój stary wuj, dawny oficer węgierskich huzarów, który tak samo jak ja przypatrywał się przemarszowi. Optycznie i jako całość pochód robił jednak wrażenie jakiegoś wielkiego najścia zorganizowanych chłopów, bo może w tych poruszających się masach było dużo siły, ale wszystkiemu brakło elegancji. A wręcz już odrazę budzili przeliczni z wojskiem na wózkach ciągnący popi, z ich długimi włosami, niechluj-nemi brodami i dzikim wyglądem całej postaci.

Publiczność lwowska, zaległszy chodniki, gapiała się całemi godzinami, zachowując spokój i całkowitą równowagę ducha. Obrzydliwie w tem wszystkim zachowywali się tylko żydzi. Te same indywidua, które na tej samej ulicy Karola Ludwika równo tydzień temu do nieprzytom-

ności były laskami i parasolami prowadzonych przez Węgrów, a potem odwożonych na powolną śmierć do Styrii, do Talerhofu, księży rusińskich, podejrzanych o sprzyjanie Rosjanom, krzycząc im w niebogłosey w uszy „zdrajcy, łotry“ i t. p. epitety, teraz wesoło witały przesuujące się wojska rosyjskie i częstowały je papierosami. Szczególnie zaś miło przyjmowali żydzi oficerów, wstępujących raz wraz do magazynów i sypiących tam srebrnymi i złotymi rublami, tak iż wnet pełno było tej monety w całym Lwowie. Tylko na przedmieściach wchodzący do sklepu Rosjanin mniej budził zachwyty. Rabunki były tam na porządku dziennym, zwłaszcza na Łyczakowie i Zielonem.

Zapadająca noc z 4 na 5 września nie przerwała zgoła pochodu, który bezustannie i w szybkim nadwyraz tempie marszu trwał 36 godzin. I jeżeli 4 września w ciągu dnia, ci, co pilnie obserwowali wszystko, naliczyli do zmroku 800 dział i około 100.000 ludzi, to razem musiało przejść znacznie więcej. Może nawet 300.000 albo coś koło tego, bo i całą noc z 4 na 5 września słychać było turkot, toczących się po bruku armat, stąpanie koni i marsz piechoty. Pędzono też duże stada bydła. Przez Lwów przechodziło centrum potężnej armii południowo-rosyjskiej, które zdaje się wyprzedzało silnie oba swe skrzydła. Na ustach wszystkich oficerów rosyjskich i żołnierzy było słowo Przemyśl, albo co jeszcze ciekawsze Wiedeń. Sam na ulicy Kopernika jakimś małemu oddziałowi piechoty, który niemożąc otrzymać poprzednio należytej informacji od innego przechodnia, pytał mnie o ten kierunek wiedeński, wskazałem drogę na Gródek Jagielloński.

Intensywny przemarsz wojsk, a w tem ogromnych mas koni, pokrył ulice żółtą powłoką kału.

Dnia 5 września w mieście, mimo trwającego ciągle jeszcze pochodu wojsk, spokojniej. Ludzie oswoili się już do tego stopnia z Rosjanami, że powoli przestali zwracać na nich uwagę. Na placu Unji Brzeskiej, toż samo pod

ratuszem odbywał się targ jak zwykle. Poza tem ulice zaroily się od przekupniów, sprzedających pojedyncze przedmioty, zrabowane w magazynach kolejowych i wojskowych. Ten interes zbywania zdobyczy nie szedł jednak równie dobrze przy większych partjach towarów, bo widziało się całe wozy niegdyś zrabowanych a następnie odebranych przez Rosjan rzeczy, które odstawiano właścicielom. Dawał się odczuwać brak tytoniu, stąd też żydzi gotowali się już do sprowadzania rosyjskiego. Odprawiane po wszystkich kościołach wieczorne nabożeństwa gromadziły tłumy, głośno śpiewające załzawionym głosem. Groza wojny zaczynała bowiem coraz bardziej budzić niepokój i podwijać normalne źródła egzystencji. Cały zresztą czas słyhać było huk strzałów armatnich, co także wywoływało refleksje na temat tych okropności, jakie się dzieją na niedalekich pobojowiskach. Wszak nawet bębni-no po mieście, aby kto chce szedł do Janowa i Gródka i tam między stosami zabitych i rannych szukał swoich krewnych i znajomych.

Do tych wszystkich kwestyj, interesujących najszerszy ogół, u ludzi inteligentniejszych przyłączyła się jeszcze inna specjalna. Oto władzę rządową wojennego gubernatora objął w mieście hr. Szeremetiew, który w tak polskim środowisku jak Lwów z miejsca zaczął urzędować po rosyjsku i rosyjskość jak najbardziej podkreślać. Najpierw ogłosił po rosyjsku jakąś odezwę do Czechów¹⁾, w tym języku dość niezręcznie i prowokująco przemówił w Radzie miejskiej, wreszcie tak samo tylko po rosyjsku ogłosił „prikaz nr. 2“ i następne. Oburzało też i gniewało wielu, że radni miejscy, siedząc na kozłach pojazdów rosyjskich, obwozili nowo przybyłych dygnitarzy rządowych po mieście, że inteligenci nawet na rozkaz prostego żołnierza nieraz całemi godzinami trzymali za cugle kozackie

¹⁾ Została ona podana po polsku przez redakcję „Wiekii Nowego“.

konie, że wystawy księgarskie, niewylączając tak polskiej firmy jak Gubrynowicza, jakby za dotknięciem różdżki czarodziejskiej zaroily się rosyjskimi nutami i książkami, że fraternizowanie się z wojskiem dziewczek wszędzie, na ulicy, w kawiarniach, ogrodach, zwłaszcza zaś żydówek, przyjmowało obrzydliwe, wprost kompromitujące dla lwowskiego ogółu formy, że w czasach, kiedy zaczynało być ciężko o kawałek chleba, Rosjanie nawet niższe posterunki szpitalne jęli obsadzać natychmiast swoimi ludźmi i t. d. Podobnie działo się i na kolei.

To wszystko nawet tych, którzy byli bardzo niezyczliwi Austrii a zwłaszcza sprzymierzonym z nią Niemcom, napawało jakąś specjalną goryczą i rozpaczą. I tam źle i tu niedobrze, biadano powszechnie. Bardzo też przybici byli okoliczni polscy chłopci.

Co zatem robić? — zadawano sobie pytanie. Jednak „robić“ nie można było nic. Chyba wierzyć, że tak jest, nie zostanie i patrzeć w spokoju na maskaradę polskiego Lwowa, który, napełniony tysiącami obcych przybyszów, różnych sestryc, czynowników, kozaków, z obca wystrojonych, choć zgrabnych czerkiesów i niezliczonych żołdatów, rozbrzmiewał od końca do końca obcym mu najzupełniej językiem rosyjskim. Wielu szukało otuchy w modlitwie. Gdy w niedzielę dnia 6 września szlachetny i wysoko ceniony arcybiskup lwowski ks. Bilczewski o godzinie 9 rano zjawił się w kościele św. Elżbiety, a w godzinę potem u św. Magdaleny i gdy wszedł na kazalnicę, z piersi tysięcy ludzi wszystkich stanów wyrwał się jeden wielki jęk i płacz ludzki. Mądry arcybiskup zrozumiał jednak w lot, jakieby mogły wyniknąć konsekwencje, gdyby i on razem ze zgromadzonymi uległ depresji. Oświadczył krótko: „nie płaczcie, bo pójdę“. I przestali. Po kilku słowach kazania, zalecających otuchę, śpiewano: „Serdeczna Matko“.

Metropolita ruski Szeptycki urządził szpital dla ran-

nych u Bazyljanek. Było ich tylu i ciągle tylu nowych przybywało, że wydawało się, iż wszystkie budynki szkolne, szpitalne i klasztorne nie będą w stanie tej masy pomieścić ani też wszystkie tramwaje jej przewieźć. Najbliższe zwłaszcza krwawe dni rozstrzygnięć nad Wereszycą dały ich dziesiątki tysięcy. Poza tem w szeregach walczących armji miały panować wszystkie choroby zaraźliwe, zwłaszcza tyfus brzuszny, a nawet cholera. Rannych austriackich również przewieziono z pobojowiska nad Wereszycą i umieszczono częściowo na politechnice a częściowo w zakładzie św. Teresy. Ciężko rannych odstawiano do gmachu Inwalidów.

Tymczasem 6 września szły i szły dalej na zachód karabiny maszynowe, treny, śpiewająca i gwizdząca piechota ku krwawej koście, jaka o mil kilka je czekała. Z zachodu w miasto wlewały się natomiast partje jeńców, z których dwie zauważyliśmy wcale znaczne. Wśród tego na słupach latarni, drzewach i zewnętrznych murach zakładano druty telefoniczne, przestrzegając ogłoszeniami pod karą śmierci przed ich uszkodzaniem. Wisząc nisko, szybko stały się one istną plagą ludności.

Następnego dnia działo się w mieście to samo z tą różnicą, że rano ujrzeliśmy także liczne ciężkie moździerze, zaprzęgnięte w 8 koni.

Lud stał i patrzył na to, tłumacząc sobie, że pewnie przyszli Prusacy, kiedy Rosjanie mają tak trudną walkę i dosyłają coraz to nowe posiłki. Bowiem dziwną wprost była wiara w potęgę i bitność armji pruskiej. Nie ustawały też bajki o czarnem wojsku, pomagającym cesarzowi austriackiemu, przyczem zaznaczyć należy, że tak było ciągle przy każdym niepowodzeniu Rosjan. Ciężko zwłaszcza musiało być im w okolicy Dobrostan, skąd prowadzą lwowskie wodociągi. Tego dnia o godzinie 8 wieczorem przestały dawać wodę, a nad miastem pokazał się ostrze-
liwany zewsząd aeroplan austriacki i drugi rosyjski, stara-

jący się go strącić. Treny rosyjskie od zachodu, od rogatki gródeckiej, zaczęły cofać się z powrotem do miasta; również zdjęli Rosjanie założone poprzedniego dnia druty telefoniczne.

Rozeszła się była wieść, że Warszawa została wzięta przez Prusaków. Między żydami zapanowała wskutek tego ogromna radość. Nie mniejsza atoli i między urzędnikami, wreszcie wśród wszystkich, którzy życzyli powodzenia państwu centralnym. Z miejsca do tych wieści zaczęto się też ustosunkowywać. Deputacji austriackich urzędników, która zjawiła się była u hr. Leona Pinińskiego, prosząc o wstawiennictwo u Szeremetiewa w sprawie pensyj i innych tego rodzaju spraw, odpowiedział hrabia krótko: „teraz nie czas“. Tak wszyscy czekali niecierpliwie rezultatu bitwy nad Wereszycą, torującej lub zamykającej drogę do Przemyśla.

Dnia 8 września w południe zbębiono na mieście 400 ludzi do naprawy położonych na zachód od Lwowa szańców w Brzechowicach a 200 do Biłohorszczy. Huk armat było słycać nieprzerwanie aż do godziny 3 popołudniu. W sytuacji na polu bitwy nastąpił jednak prawdopodobnie jakiś przełom, skoro Rosjanie pozakładali na nowo zdjęte dnia poprzedniego druty telefoniczne. Zresztą ten fakt nie mógł wykorzenić mniemania, że w ostatnich dniach ponieśli oni wprost straszliwe straty we frontowym ataku nad rzeką Wereszycą. Jakby potwierdzeniem tego było dla wielu opuszczenie się na Janowskie błonia mocno podziurawionego kulami aeroplanu rosyjskiego, przywiezienie do Lwowa z frontu w czarnej, srebrzonej trumnie zwłok jakiegoś dowódcy albo w każdym razie jakiejś znakomitości, szybkie wywożenie w kierunku wschodnim setkami furgonów łupu wojennego a mianowicie zawartości zajętych magazynów austriackich i t. p. Niektórzy nawet w przybyciu i zainstalowaniu się dnia tego ochrony dopatrywali się związku z tem, co się działo w polu.

Dwa następujące po sobie dni, 9 i 10 września, na froncie austro-rosyjskim musiały być równie ciężkie, zwłaszcza zaś pierwszy z nich.

Rankiem dnia 9 września zbębiono ponownie ludzi do robót ziemnych. Gwałtowny huk armat świadczył o wających się decyzjach na polu walki, i to niedalekiem, bo naokół Lwowa widać było 6 pożarów. Ustał jednak o godzinie pół do jedenastej rano.

Na twarzach Rosjan malowało się wyraźne przygnębienie. Oficerowie rosyjscy w rozmowach, prowadzonych tu i ówdzie po sklepach, zapowiadali nawet wręcz cofnięcie się na wschód od Lwowa i nieuniknione z tem bombardowanie miasta. Sztab rosyjski i Szeremetiew gotowali się do wyjazdu. Opowiadano nawet, że już miasto opuścił, przyczem łączono tę ewentualność z faktem, iż do gmachu dawnego galicyjskiego namiestnictwa, a naówczas siedziby władz rosyjskich, wstęp od 8 września został bezwzględnie wzbroniony. Dnia 9 września nie pozwalano nawet zbliżyć się do t. z. Wałów Hetmańskich, skweru spacerowego ciągnącego się przed gmachem. Toż samo nie wolno było chodzić po jednym z chodników ulicy Mickiewicza.

Rannych ogromne masy. W ostatnich 24 godzinach 8.500. Wobec tego wywożono lekko rannych z politechniki i innych szpitali na Podzamcze i dalej na tyły, a w ich miejsce lokowano ciężko rannych. To działanie ułatwiała okoliczność, że tory kolejowe w kierunku na Brody przekuto już na szerokość rosyjską, wskutek czego bez przeszkody od 9 września mogły kursować wojskowe pociągi rosyjskie i ambulansy sanitarne. Wśród rannych dostawiono także na wyścielonym materacami automobilu jakiegoś wysokiego oficera rosyjskiego. Podobno był to generał v. Rode. — Prowadzono sporo jeńców.

Bramy domów nakazano zamykać już o godzinie 9 wieczorem z poleceniem bezwzględnego niepokazywania

się publiczności na ulicach. Równocześnie po raz trzeci wezwano ludzi bębniem do robót ziemnych i do chowania zabitych, których według opowiadań żołnierzy rosyjskich do 50.000 miało leżeć na polach na zachód od Lwowa.

Noc z 9 na 10 września, nie mówiąc już o żywym ruchu tramwajów, zwożących rannych, była pełną gwaru i zgiełku jak dzień. Huk armat nie ustał ani na chwilę, ale stał się znacznie słabszym, co wskazywało, że bój toczył się gdzieś dalej od Lwowa. Wreszcie doszły wiadomości, że armja rosyjska wśród ciężkich strat zwyciężyła nad Wereszycą. W związku z tem zmieniły się przede wszystkim z miejsca nastroje wśród żydów. Gdy jeszcze 9 września chcieli odbijać jeńców austriackich, a w każdym razie gotowali się na rogatce gródeckiej do przyjmowania powracających Austriaków, oraz modląc się na tę intencję, wypełniali bóżnice, już dnia następnego zrezygnowani wywiesili na żydowskim Grand Hotelu, wielkim gmachu w okolicy teatru miejskiego, pierwszy duży rosyjski szyl i wogóle pierwszy we Lwowie, zalecający ten zakład. Musieli jednak swem szpiegostwem dobrze dokuczyć armji rosyjskiej, skoro koło południa spore ich grupy pędzono pieszo i wieziono na wozach.

Transportowano na zachód ogromne masy amunicji karabinowej. Źle tylko musiało być chwilowo z opatrunkami, skoro pozabierano wszystko, co znajdowało się w droguerjach, a te składy, których właściciele byli nieobecni, jak Skłodowskiego przy placu Kapitulnym, potwierzano i znalezione tam zapasy zarekwirowano. Możliwe, że owe zarządzenia wydano w związku z nową bitwą, manifestującą się potężnym basem armat, zwłaszcza pod wieczór. Ludzie, zdający sobie sprawę z niszczących skutków dzisiejszych wojen, takim przewlekaniem się bitwy u bram stolicy kraju niepokoili się mocno, a jeszcze więcej niespodziewanemi wieściami na temat rabunków, któ-

rych dopuszczała się, wypuszczona z opieki władz, ludność wiejska, zwłaszcza ukraińska. Mniej już się dziwiono relacjom o gwałtach Rosjan, popełnianych na kobietach i nieletnich dziewczętach, nawet na przedmieściach Lwowa, o uprawianych przez nich kradzieżach i rozbojach oraz o spaleniu całego szeregu wsi między Tarnopolem a Lwowem. Takimi ich sobie wyobrażano. Zresztą w owych wieściach było dużo przesady i nieścisłości.

Dnia 11 września od godziny 3^{1/2} zrana przez cały dzień bez przerwy huk dział gwałtowniejszy niż kiedy indziej. Osłabł dopiero pod wieczór a robił wrażenie jakby szedł z północy. Równocześnie wzniosły się słupy pożarów w stronie Skniłowa i Basiówki. W nocy transportowano pontony w kierunku roгатki stryjskiej, pozatem przywożono i wywożono rannych jak zwykle. Ci, którzy kręcili się między Rosjanami, mieli wiadomości, iż czekali oni na posiłki.

12 września huk armat nie było słyhać, toż samo nie widać było transportów rannych. Szły natomiast znaczne tabory w stronę Gródka. Polepszyły się też widocznie miny oficerów. Oszańcowywania miasta przecież nie zaniechano.

Drożyzna w mieście stawała się tymczasem coraz to nieznośniejszą. Litr mleka kosztował 30 halerzy, śmietanki 72, kilogram masła 5,60 kor., ryżu 64 hal., kilogram mąki w młynie 53 hal., centnar drzewa rąbanego 1,80 K., w niektórych stronach miasta jednak nawet 2,60 do 2,80 K. Chleba trudno było dostać, bo Rosjanie wykupywali wszystkie jego ilości. Cena małego bochenka doszła wskutek tego do 80 hal., przyczem cisnący się do piekarni zamiast chleba otrzymywali niejednokrotnie parę nahajek kozackich. Wiele rzeczy kupowano atoli tanio od żołnierzy, n. p. cukier i tytoń.

Zaczęły się też duże kłopoty z płaceniem na targu, bo ludność rubli nie chciała przyjmować, a koron, specjal-

nie zaś monety zdawkowej, dawał się odczuwać coraz to większy brak. Najważniejszym powodem niechęci do rubla był jego wysoki kurs urzędowy, określony rozporządzeniem gubernatora wojskowego Szeremetiewa. Według niego korona równała się zaledwie 30 kopiejkom.

Wzgląd na warunki lokalne wielkiego środowiska miejskiego sprawił, że w tym czasie ustanowiony został urząd lwowskiego gradonaczalnika. Objął go generał-major v. Eiche, przy którym funkcje adjutanta pełnił niejaki Bakunin. Z pewnych zarządzeń generała można było wywnioskować, że nie był on zbyt życzliwy żywiolowi polskiemu. Natomiast z biegiem czasu zmieniło się nieco pierwotne stanowisko gubernatora wojennego pułkownika hr. Sergjusza Szeremetiewa, którego adjutantem był inteligentny oficer Fatimow. Stało się ono więcej pojednawcze, co pozwalało na zbliżanie się do gubernatora tych i owych polskich działaczy. Niektóre z wydawanych przez niego zarządzeń śmieszyły jednak swoją niecelowością. Np. sądy lwowskie otrzymały podobno polecenie, aby wyroki ferowały nie jak dotąd w imieniu „Jego Ces. i Król. Mości“, ale tylko „Jego Ces. Mości“.

Trzynasty września przyniósł słaby huk armat z kierunku północno-zachodniego, zwykłą zwózkę rannych, silny ruch trenów, wiozących pontony i amunicję ku Gródkowi Jagiellońskiemu, stada pędzonego na zachód bydła, wreszcie pierwszy od wybuchu wojny dzień deszczowy. Jako nowość pokazał się na ulicach miasta żołnierz roznoszący i sprzedający „Kiewlanina“.

Ogólne współczucie wzbudziła wieść o zaszłej śmierci generała von Rode z ran odniesionych w bojach nad Wereszycą. Jako jednemu ze zdobywców Lwowa było mu miasto wdzięczne, że nie obszedł się z niem tak jak Niemcy z Kaliszem. Dużo mówiono dnia tego o kilku schwytanych strzelcach polskich, czyli, jak Rosjanie się wyrażali, „sokołach“, którzy mieli pokazać się w bojach

nad Wereszycą. Ponieważ nie było zupełnie ustalonym, jak mają być przez Rosjan traktowani, przeto prezydent Rutowski wstawiał się za nimi u gubernatora, zresztą z nienajgorszym skutkiem. Takie same starania o względy dla owych strzelców za pośrednictwem posła do Dumy Stachowicza czynił także i profesor Stanisław Grabski.

W ciągu dnia 14 września zauważyć się dał większy niż zazwyczaj ruch taborów w kierunku Gródka, a z drugiej strony zwózka rannych, dostawianych podwodami, wracającymi od strony zachodniej. Dnia tego transportowano przedewszystkiem rannych Austrjaków, pomiędzy którymi niebrakło takich, co, jak się przekonałem z rozmowy, leżeli w polu po 4 i więcej dni. W południe przeszedł przez miasto ulicą Karola Ludwika cały konny pułk kozacki.

Sklep Musiałowicza na rogu ulicy 3 Maja za nieprzestrzeżenie zakazu Szeremetiewa co do bezwzględnego zaniechania wyszynku napojów alkoholowych, nawet piwa, został zamknięty za sprzedaż wódki w butelkach. Wśród żydów zapanowało z tego powodu duże zadowolenie. Ciągłe jednak nie czuli się oni jeszcze panami sytuacji, czego dowodem, że dalej w oknach mieszkań żydowskich spotykało się obrazy świętych.

Pospólstwo roiło o różnych sukcesach materialnych po skończonej wojnie i wskutek wojny, np. o tem, że kamienice zostaną odebrane ich dotychczasowym właścicielom a oddane stróżom. Stało to w jak najściślejszym związku z światopoglądem, jaki wyrobiła wojna, z okolicznymi rabunkami włościan po wsiach i temi, jakich dopuszczały się wojska. W pogrom istotny Austrii mimo tylu klęsk nie wierzono i nie ustawały koncepcje, że wszystko po stronie austriackiej odbywało się dotąd planowo i że tak właśnie miało wyglądać cofanie się Austrii na linję Sanu pod Przemyśl. Zwłaszcza już prości ludzie byli w tym względzie nieustępliwi. Mówiłem z takimi po-

litykami w halach targowych, gdzie nasłuchać się można było najrozmaitszych rzeczy, ale nigdy prawie jednego słowa przeciw Austrii. Ci, którzy wrócili 15 września z pobojowisk nad Wereszycą, opowiadali okropności. Oto ciągle jeszcze słyhać tam było jęki ranionych a gdzie nigdzie piętrzyły się stosy trupów. Tu i ówdzie porobiono rzekomo z nich nawet zasłony do karabinów maszynowych. Były też miejsca całkiem grząskie od krwi. Wśród tego włóczyły się pokaleczone konie.

Dnia następnego znowu ruszyły spore tabory w kierunku Gródka. Przywóz rannych osłabł, choć dochodziły wieści, iż pod Komarnem mieli Rosjanie bardzo ciężkie boje. Duże ilości ranionych, wobec uruchomienia linii kolejowej do Tarnopola, zaczęto odsyłać do tego miasta.

Rosjanie spisywali tych funkcjonariuszów i emerytów, którzy od rządu austriackiego nie dostali pensji. Odbyła się również w prezydjum Dyrekcji Skarbu narada urzędników, której celem było wybrnięcie z sytuacji, jaka stworzyła się wskutek zupełnego porzucenia ich przez rząd austriacki. Byli tacy, co doradzali, aby w jakiś sposób dostać się do rządu i namiestnika, rezydującego w Nowym Sączu, i prosić o pomoc. Wniosek ten atoli okazał się niewykonalnym, gdyż Szeremetiew odmówił delegatowi przepustki, oświadczając, że dając ją odpowiada do pewnego stopnia za bezpieczeństwo jadącego, ten zaś w pasie bitew może łatwo zginać od kul rosyjskich albo, jak powiedział, „od waszych dzikich huzarów czy honwedów“. Drugi wniosek radcy namiestnictwa Zolla zmierzał do tego, aby zwrócić się do Banku Krajowego, wybierającego się właśnie do Kijowa w celu nawiązania stosunków z Państwowym Bankiem Rosyjskim, i prosić go, aby pensje wypłacał na rachunek rządu. Trzeci wniosek był prof. Chlamtacza. Proponował on w sprawie wypłat pensyj skłonienie za pośrednictwem Szeremetiewa rządu rosyjskiego, aby ten objąwszy wypłatę należytości urzędników, wliczył

wyłożoną kwotę do sumy kosztów wojennych, które zapłaci Austrija. Dodał, że tak jak się ułożyła sytuacja wojenna, Austrija prócz straty Galicji, bodaj wschodniej, zapłaci jeszcze około 4.000 milionów koron kosztów, a wtedy będzie rzeczą zupełnie obojętną czy przyjdzie jej jeszcze uiścić kilkanaście milionów tytułem zwrotu wypłaconych pensyj. W rezultacie narady nie dały żadnego dodatniego wyniku.

Krażyły wieści o zdobyciu jakichś fortów pod Medyką a nawet o zajęciu Tarnowa od strony północnej.

Każdy dzień przynosił otwarcie kilku sklepów z mlekiem, cukrem i innymi artykułami spożywczymi. Przez miasto zaczęły przeciągać wozy z ludźmi, wracającymi do swych siedzib.

Dnia 17 września słyhać było bardzo odległy huk armat. Podjęto znowu przewóz rannych, tym razem do internatu seminarjum nauczycielskiego przy ulicy 29 listopada. Przyszły też wiadomości, że gazety wiedeńskie rozpisywały się szeroko, iż Rosjanie we Lwowie wyprawili rzeź. Inni opowiadali, że nowa armja rosyjska w sile 750.000 ludzi zmierzać będzie niebawem przez Lwów na zachód, żydzi zaś, jakby w odpowiedzi na to, rozpuścili informacje, że Austriacy przystąpili już do odbijania Lwowa. W rzeczywistości dnia 18 września, w dzień deszczowy i brzydki, przeszło przez miasto 10.000 piechoty. Owych wielkich wojsk posiłkowych jednak nie było wcale.

Spotkałem kapitana rosyjskiego Gabrielewskiego, który raniony został kulą „dum - dum“. Przypisywał to polskim strzelcom, czyli, jak mówił, „sokołom“ i był bardzo na nich zawzięty. Twierdził, że gdy wróci do linii bojowej nie będzie ich uważać za zwykłych kombatantów, jak chciał, lecz za bandytów i wskutek tego bez pardonu wieszać. Wogóle te pociski „dum - dum“ miały jego zdaniem całe wojsko rosyjskie dla strzelców jak najgorzej usposobić. Wszelkie moje tłumaczenia, iż to tylko domysł,

że kule „dum-dum“ są prowenjencji „sokolej“, nie pomagały, czemu zresztą dziwić się nie można było, skoro dnia 15 września pokazał się nawet komunikat urzędowy następującej treści.

„Od głównego dowódcy wojsk rosyjskich.

Ze względu na to, że Galicyjskie Organizacje Sokolskie strzelają do Wojsk rosyjskich kulami „dum-dum“, niniejszem zawiadamia się, że wszyscy oskarżeni o to przestępstwo bezwzględnie będą oddani po sąd wojenno-polowy“.

W mieście ósmy wypadek cholery.

Byłem w pałacu gubernatora. Uderzyła mnie moc kręcących się tam żydów. Urzędnicy grzeczni, toż samo oficerowie.

W nocy słyhać padające gęsto luźne strzały karabinowe i przeciąganie ulicą Gródecką i Sadownicką licznych ciężkich wozów amunicyjnych.

Dnia 19 września uparte wieści o zajęciu Tarnowa i Rzeszowa.

Rosjanie zarekwirowali za roгатką lyczakowską grunta na Cetnerówce, aby urządzić tam cmentarz dla prawosławnych. Po mieście wozili całe stopy białych prymitywnych trumien dla umierających rannych.

Rozmawiałem z dyrektorem Banku Krajowego Dr. Milewskim na temat potrzeby interwencji, aby Rosjanie ze schwytanymi strzelcami nie postępowali specjalnie surowo. Pochwalił myśl wysłania w tej sprawie kogoś odpowiedniego do Petersburga, oświadczając, że na ten temat napisał już list do znajomego mu rosyjskiego ministra rolnictwa. W tejże samej sprawie tegoż dnia wraz z przedstawicielem lwowskiego kupiectwa Leonem Oberskim odwiedziłem w domu profesora Stanisława Grabskiego. Oświadczył, iż czyni wszelkie możliwe zabiegi, aby Rosjan, zwłaszcza zaś generała Brusilowa, przekonać, że kule „dum-dum“ nie mają nic wspólnego ze strzelcami, bo znaleziono

je także u żołnierzy austriackich. Podniósł, że będzie czynił starania w Warszawie, aby sprawę kul „dum-dum“ poruszono w tamtejszej prasie i zdjęto odjum ze strzelców a tem samem uchylono groźbę bezwzględnego ich wieszania.

Dziś o godzinie 5^{1/2} wieczorem wywieziono w głąb Rosji metropolitę kościoła grecko-katolickiego ks. Szepetyckiego. Towarzyszył mu jego kapelan, oficer i 3 żołnierzy.

Dzięki poufnyim zabiegom prezydenta Rutowskiego cenzura dziennikarska odebrana została dokuczającemu prasie polskiej Swistunowi a oddana młodym galicyjskim „rusским“. Jednym z pierwszych ich kroków było zwrócenie się, nawiasem mówiąc, bezskuteczne, do „Słowa Polskiego“, aby drukowało ich artykuły.

20 września w niedzielę wybuchł w mieście nagle popłoch z niewyszędzonych przyczyn. Członkowie straży obywatelskiej, biegnąc po mieście, polecali o godzinie 6 zamykać bramy domów. Opowiadano także, że nastąpi strzelanina, że na Wysokim Zamku ustawiono armaty, że nadciąga austriacki generał Dankl i t. p. Równocześnie z tem doszła wieść, że pod Medyką Rosjanie wzięli znowu jakieś dwie ważne pozycje.

Odwiedziłem hr. Henryka Badeniego. Opowiadał mi że unja cerkwi grecko-katolickiej z Rzymem ma być ogłoszona za zniesioną.

ROZDZIAŁ IV.

Podróż do Tarnopola. Broń porzucona przez Austrjaków w piwnicach gmachu Towarzystwa „Szkoły Ludowej“. Rządy rosyjskie na Podolu. Wiadomości o sierpniowej bitwie pod Tarnopolem. Austrofilizm i jego podłoże.

Pod noc wyjechałem do Tarnopola, otrzymawszy trzy dni poprzód przepustkę i pokonawszy wszystkie formal-

ności, związane z podróżą. Przepustka, choć wystawiona i podpisana przez prezydenta Lwowa, choć potwierdzona w tłumaczeniu rosyjskiem przez komendanta miasta, na dworcu raz jeszcze musiała być wizowana przez funkcjonarjusza kolejowego, względnie oficera komendatury dworca, do którego jednak z powodu straży dostęp był wielce utrudniony. Taki dopiero dokument zadowolnił żandarma i koło północy znalazłem się w pociągu. Niezmiernie długi, złożony był z samych prawie wagonów ciężarowych, między którymi pomieszczono kilka wozów 2 i 3 klasy. W krytych wagonach transportowano rannych do Rosji, na otwartych zaś platformach austriackich jeńców zdrowych i chorych. Przejmujący zgrozą był widok wlokących się i sadowiących się w wozach rannych jeńców, opierających się na drągach lub podtrzymywanych przez towarzyszy. Wagon, w którym jechałem, wiozł także kilku rannych żołnierzy rosyjskich, wszystko ludzi względnie bardzo inteligentnych i kilku żołnierzy austriackich a także kilkanaście osób cywilnych. Po drodze widziałem dwie stacje kolejowe zniszczone, Kniaże zupełnie i Jezierną prawie zupełnie, toż samo spalonych kilka domków budynków kolejowych. Za Barszczowicami uderzyło mnie mnóstwo okopów wzdłuż plantu kolejowego, służących do krycia się żołnierzy atakujących i broniących się. Widać, że walka była bardzo gorącą. W pewnej odległości od plantu raz wraz majaczyły nieraz dość wyniosłe mogiły z drewnianymi krzyżami, kryjące w sobie poległych obóch armij. Wszystko świeże, jakby wczoraj skończone. Były też miejsca, gdzie masami na wydeptanej ziemi leżały podarte części odzieży, puszki z konserw, kawałki drzewa i t. p. To miejsca biwaku lub walki. Wsie, o ile mogłem zauważyć, w pobliżu plantu kolei Lwów—Tarnopol nigdzie niemal nie ucierpiały. Po drodze spotykałem pociągi nalożowane całemi stosami skrzyń z pociskami armatnimi a także 3 pociągi pełne żołnierzy rosyjskich. Jedni jechali

z Kijowa (korpus kijowski), drudzy z Orenburga. Tych ostatnich twarze i całe postaci silnie się różniły od pierwszych. Ludzie przysadkowaci, głowy duże, często typy czysto mongolskie.

W wagonie w czasie podróży toczyła się żywa pogawędka między żołnierzami rosyjskimi a jeńcami austriackimi, przyczem wzajemnie nie szczędzono sobie uwag na temat ilości wziętych do niewoli. Rosjanie opierali się na swoich relacjach oficjalnych i twierdzili, że ilość jeńców austriackich jest ogromna. Innego zdania byli Austriacy. Zapewniali, że jeszcze więcej jeńców rosyjskich jest po stronie austriackiej. Szczególnie zawzięcie tego poglądu bronił jakiś Czech, profesor akademii handlowej z Pragi, który wogóle miał wiele do zarzucenia wojskom rosyjskim. Rzecz prosta, że najwięcej dostawało się kozakom. My cywile do rozmowy mieszaliśmy się mało, natomiast zarówno z Rosjanami jak i Austriakami dzieliliśmy się tem, co mieliśmy, a zatem chlebem, wódką i papierosami.

Po 12 godzinach jazdy o godzinie 1 popołudniu stanął wreszcie pociąg w Tarnopolu.

Z bijącym sercem wyskoczyłem z wagonu, chcąc zobaczyć jak wygląda miasto, z którem związały mnie były od tylu lat losy. Przedewszystkiem jednak stacja i jej wnętrze! Wszędzie żołnierze i warty! Jakże wszystko zmienne! Inna fala ludzka wchodziła i wychodziła, inni urzędnicy, inny restaurator, Rosjanin, inna obsługa, inne nawet potrawy w bufecie. Podawali głównie barszcz rosyjski, t. z. szczy. Goście wyłącznie prawie Rosjanie.

Wyszedłszy na miasto, gdzie bez przepustek wolno było chodzić po ulicach do godziny 10 wieczorem, dowiedziałem się rychło smutnej nowiny, a mianowicie, że po bitwie pod Tarnopolem uciekające wojska austriackie wpadły do gmachu Towarzystwa „Szkoły Ludowej“ i tam, korzystając z dobroduszości woźnych i opieki różnych

ludzi z austriacka nastrojonych, przebierały się po cywilnemu, broń porzuciwszy w obszernych podziemiach. Tej broni było dosyć. Wiedziano o jednym ciemnym kącie, w którym pod deskami leżało kilkadziesiąt karabinów i sporo amunicji. Sprawę tę znali niektórzy członkowie Zarządu Towarzystwa „Szkoły Ludowej“ a także i inne osoby, które nierzadko uważały za obowiązek broń przechowywać do momentu powtórnego zjawienia się wojsk austriackich, w co naogół święcie wierzone. Fakt ten atoli w związku ze zrozumiałą podejrzliwością Rosjan i ich surowemi odezwami, zapowiadającemi ogromne kary aż do kary śmierci włącznie na tych, którzy broń przechowywali, zaniepokoił mnie wielce, tem bardziej, że wszystkie terminy oddawania broni dawno już upłynęły. Obecnie w razie odkrycia takiej sporej ilości broni przez same władze, co ostatecznie prędzej lub później musiało być nastąpić, groził szereg represyj osobistych, a co gorsze pewna prawie konfiskata gmachu, będącego własnością ogółu polskiego i teraz, kiedy kraj przechodził pod rządy rosyjskie, więcej jeszcze potrzebnego niż kiedy indziej poprzód.

Jako prezes Towarzystwa załatwienie sprawy musiałem wziąć na siebie. Pomyślałem, że trzeba działać szybko a przy tem w taki sposób, aby broń odkryć i przywołać władze, aby ją sobie wzięły.

Nazajutrz udałem się do naczelnika powiatu Dobrohorskiego i zameldowawszy mój przyjazd ze Lwowa, oddałem mu przechowywany dotąd w Tarnopolu własny browning wraz z ładunkami. Ładna broń jak niemniej okazana lojalność zadowolniła pana naczelnika. Oświadczyłem mu wtedy, że w Muzeum Podolskiem Towarzystwa „Szkoły Ludowej“, którego jestem prezesem, znajduje się sporo broni, ale posiadającej tylko wartość muzealną, a nadto, że chodzą pogłoski, iż uciekający z miasta Austriacy mieli sporo karabinów i naboju powrzucać do piwnic Towarzystwa. Część broni mogła tam znaleźć się także i dlatego, iż

gmachy Towarzystwa przed przyjściem Rosjan były używane jako szpital wojskowy. Gdzie się ta broń znajduje jako świeżo przybyły nie umiem jednak wskazać, proszę przeto o oględziny na miejscu. Naczelnik polecił natychmiast swemu zastępcy Kozakiewiczowi zająć się tą sprawą i zdać sobie raport. Po chwili Kozakiewicz, ja i przybyła policja szliśmy razem do gmachów Towarzystwa, narazie pustych, gdyż umieszczony zaraz po zajęciu miasta szpital rosyjski nr. 135 już był wyjechał. Choć starałem się wszystkimi sposobami skierować Kozakiewicza do miejsca, gdzie według opisu miały być karabiny, nie udało mi się to zrobić. Kozakiewicz wolał oglądać muzeum i kazać z niecierpliwością wyłamywać żelazne drzwi do biblioteki publicznej, do której przy sobie kluczy nie miałem, niż chodzić po odległych zaułkach podziemi. Całkiem zresztą pochłonięty był odkryciem przez siebie w frontowej piwnicy 2 wagonów węgla, który na miejscu zarekwirował i natychmiast nakazał jego zwózkę do gmachu starostwa.

Ciągle jeszcze przeto broni pozbyć się nie mogłem. Okazałem jednak dobrą wolę i wobec wywołanej rewizji nikt nie mógł ani Towarzystwu ani mnie czynić już więcej zarzutu, że chcę bawić się w przechowywanie przedmiotów uzbrojenia.

Następnego dnia powtórzyłem zatem moją wizytę u Kozakiewicza i zameldowałem mu, iż już po jego wyjściu z gmachów Towarzystwa „Szkoly Ludowej“ udało się broń odkryć. Oto karabiny mieli znaleźć członkowie Zarządu Towarzystwa p. p. Herman i Knapik, którzy na moje zlecenie zajęli się przeszukaniem piwnic.

Tym razem sprawa została oddana przez naczelnika oficerowi żandarmerji, Polakowi, który wraz z policją broń uprzątnął, spisawszy krótki protokół.

Po załatwieniu się z porzuconymi karabinami zacząłem rozglądać się po wspaniałych do niedawna gmachach Towarzystwa, gdzie każda prawie cegła była mi drogą,

przypominając tyle przeżytych tu chwil. Z wyjątkiem biblioteki i muzeum wszędzie szczyrzyła swe zęby ruina i pustka. Najwięcej, rzecz prosta, ucierpiała bursa i gmach frontowy od ulicy Mickiewicza, świeżo wzniesiony na pomieszczenie seminarjum nauczycielskiego. Działy się tam straszne rzeczy. Setki ludzi operowano podobno bez narkozy a nieludzkie krzyki biednych rannych, słyszane naokół, robiły niezmiernie przygnębiające wrażenie. Zmarłych lokowano stosami w podziemiach i wywożono na cmentarz w odstępach co dwa lub trzy dni.

Bombardowanie wyrządziło miastu stosunkowo szkód niewiele. Najwięcej pocisków armatnich, bo aż 3 otrzymało Towarzystwo „Szkół Ludowej“, jeden szrapnel eksplodował na placu przed kościołem O. O. Dominikanów, a inny uszkodził komin na dachu domu Kierskich, przy ulicy Mickiewicza. Ucierpiał od ognia artylerji także nieco kościół parafjalny, niedawno wzniesiony według planów architektki Talowskiego. Więcej bez porównania śladów pozostawił po sobie ogień karabinowy. Pełno ich było na wszystkich prawie domach. Nic dziwnego, gdy zważymy, że Rosjanie już po wejściu do miasta, podejrzewając obecność ukrytych po domach Austrjaków, strzelali na prawo i lewo zarówno z karabinów maszynowych jak i zwykłych. Dawali też ognia do sieni domów jak w Krakowskiem Towarzystwie Wzajemnych Ubezpieczeń, Banku Hipotecznym, u inżyniera Kesslera przy ulicy Świętojańskiej, w gimnazjum ruskiem i t. d. Miejscowy wikary ks. Klementowski opowiadał mi jak to on, naczelnik stacji kolejowej Wojtowicz, sędzia Łukawiecki i prokurator Lewandowski postawieni zostali pod murem do rozstrzału za to, że w gmachu prokuratorji, gdzie się schronili podczas wejścia do miasta Rosjan i padających strzałów, naczelnik Wojtowicz otworzył okno. Rosjanie podejrzewali w tem złe zamiary i chcieli z miejsca przedsięwziąć tak daleko idące represje. Na chwałę ich jednak trzeba zaznaczyć, że tak w tym

wypadku jak w wielu innych następowała u nich szybka refleksja i zazwyczaj „z wielkiej chmury bywał mały deszcz“. Wszyscy czterej „buntownicy“ tarnopolscy wyszli zupełnie cało. Stało się zatem inaczej zupełnie jakby to było z pewnością w kontakcie z okrutnymi Węgrami, mordującymi na prawo i lewo bez potrzeby i celu za każdym podejrzeniem i donosem. Wogóle Rosjanie z wyjątkiem może dzikich hord kaukaskich i kozackich przedstawiali w ciągu całej wojny pomiędzy stronami wojującymi czynnik najbardziej humanitarny. Bez porównania gorzej wyglądały już ich władze niewojskowe. Naczelnik powiatu tarnopolskiego umiał np. z miejsca zrazić sobie nieraz wysoko uświadomionych i wykształconych włościan, w tem także polskich w Draganówce i Poczapińcach, gubernator zaś rosyjski Czartoryński, którego także poznałem, była to oschła i niedowierzająca osobistość, wężąca we wszystkim i we wszystkich wrogów Rosji, poza tem zaś niewidząca ani ludzi ani właściwego życia. Ze wszystkich najmiej był też wspomniany pierwszy rosyjski władca Tarnopolszczyzny Engelhardt. Nie był to atoli właściwie urzędnik cywilny lecz wojskowy (audytor).

Rządy rosyjskie w Tarnopolu i w Tarnopolszczyźnie naogół trudno jednak nazwać zrazu ciężkimi. W samym mieście zostawiono przy władzy dotychczasowego prezydenta Dr. Stanisława Mandla, dodając mu tylko radę przyboczną, złożoną z miejscowych starorusinów, a mianowicie z profesora gimnazjalnego Rzepnijskiego, radców sądowych Zarzyckiego i Mironowicza oraz woźnego miejskiej Kasy Oszczędności Szewczuka, który zdaje się w tym składzie osób miał reprezentować czynnik ludowy. Przy naczelniku powiatu doradcą, fungującym na prawach urzędnika, był znowu tarnopolski sędzia, moskalofil Łukawiecki. Znając dobrze kraj i miasto, oddawał on nieraz bardzo cenne usługi wszystkim, którzy się do niego zwrócili. Tego rodzaju kontakt z okupantem w oczach Austrjaków uchodził

przecież za wielką zbrodnię. To też wszyscy zdaje się wyż wymienieni musieli prędzej lub później uciekać w głąb Rosji, aby nie narazić się na represje.

Gwałtów zarówno w mieście jak i w okolicy po zaśłej okupacji było już stosunkowo mało. Nazajutrz po wejściu Rosjan do Tarnopola zaczęto wprawdzie rozbijać sklepy niektórych kupców, którzy z miasta wyjechali, ale władza wojskowa bardzo szybko uporała się z złoczyńcami, karząc ich bez pardonu śmiercią. Także i o gwałtach popełnianych na kobietach dość było głucho, może i dlatego, że podobnie jak we Lwowie tak i w Tarnopolu miejscowe piękności z niesłychaną łatwością i szybkością zapalały afektem do nowych przybyszów. W mig niemal zniknęła obserwowana w czasie pokoju nieprzystępność, ustępując odrazu miejsce niewieściej psychologii wojennej w ujmowaniu zdarzeń erotycznych. Tylko z Płotyczy, Iwaczowa Górnego i Ihrowicy a przedewszystkiem z Dubowiec doszły mnie wieści o złem zachowaniu się Rosjan wobec kobiet, nieraz nawet nieletnich dziewcząt. W Płotyczy według opowiadań tamtejszej kierowniczkii czytelni Towarzystwa „Szkoły Ludowej“, dzielnej włościanki Katarzyny Kubajowej, tylko jedna dziewczyna została zgwałcona przez 3 żołnierzy (kozaków), na szczęście bez jakichś tragicznych skutków, tak, iż zupełnie wróciła do zdrowia. Gorzej było w Dubowcach. Według opowiadań Jędrzeja Sasiadka, kierownika czytelni polskiej z niedaleko leżących Dobrywód, kozacy „wypili gorzelnię“ a potem wyprawili we wsi awanturę, trwającą całą noc. Zgwałcili mnóstwo kobiet i dziewcząt. Jedna dziewczyna umarła z nadmiernego gwałcenia. Może nie doszłoby było do takich ekscesów, gdyby nie to, że starsze kobiety ze wsi pouciekały i skryły się w oczeretach pobliskiego stawu, siedząc w wodzie po szyję.

Rabunków w okolicy w czasie przemarszu było jednak dużo. Pałac hr. Juljusza Korytowskiego w Płotyczy, zbu-

szowano doszczętnie, szukając złota i srebra, mebli atoli nie niszczone, obrabowano ks. Jana Engla, miejscowego proboszcza, który potem pełnił tam funkcje sędziego pokoju, na dwór zaś zwalono cały ciężar zaprowiantowania przechodzących oddziałów, zmieniając pierwotne rozporządzenie dostarczenia z każdej chaty po $\frac{1}{2}$ korca zboża. Prócz tego zarekwirowano we dworze konie i bydło oraz zabrano wszelką broń. Tak mniej więcej było wszędzie, gorzej lub lepiej.

W Zbarażu miejscowa inteligencja straciła wiele mebli, gdyż przeniosła je do klasztoru O. O. Bernardynów, a Rosjanie te rzeczy pozabierali. Klasztor jednak nic nie ucierpiał.

Z poważniejszych konfiskat pieniężnych znane mi są tylko fakty zabrania na tarnopolskiej poczcie 92.000 K., w Miejskiej Kasie Oszczędności 16.000 K. i w Powiatowym Banku około 3.000 K. Również nie gnębiono miasta rekwizycjami mieszkań, gdyż wojska były pomieszczone w kasarniach i gmachach publicznych a stosunkowo nieliczni oficerowie kwaterowali przeważnie w mieszkaniach dawnych oficerów austriackich. Rozgromienie któregoś mieszkania, choćby opuszczonego, w tym okresie pobytu Rosjan w Małopolsce należało jeszcze do względnych rzadkości. Prohibicja alkoholowa oddziaływała jak najzabawniej. Lubiący trwonienie grosza na hulanki oficerowie rosyjscy zrobili się uderzająco oszczędnymi, może nawet oszczędniejszymi niż była tego potrzeba.

Po wejściu wojsk rosyjskich powstało w mieście kilka pożarów, które stłumiono, w tem jeden koło probostwa rzymsko-katolickiego. Ponieważ Rosjanie twierdzili, że w czasie pożaru strzelano z probostwa, przeto u proboszcza księdza Twardowskiego, zresztą zdecydowanego austrofila, odbyła się rewizja.

Ceny wiktuałów, wobec wyjazdu ogromnej masy ludzi zamożniejszych, po wejściu okupantów spadły znacznie,

do czego przyczyniała się może także i ta okoliczność, iż Rosjanie kurs korony ustanowili równy 30 kopiejkom. Rubel stał się już wielkim pieniądzem. Szczególnie tanim był chleb i mąka. Ciężko było tylko ze solą. Jaje kosztowało 3 halerze.

Bieda, zaglądnąca w oczy ludności miejskiej, zmuszała ją do szukania zajęć dotąd nie praktykowanych. Wiem o fakcie, że ośmiu profesorów gimnazjalnych, Polaków i Rusinów, pracowało w Czernichowcach na łanie kartofli, zarabiając po 2 K. dziennie, co przy tygodniowej wypłacie czyniło mniej niż potrzeba było na najskromniejsze życie. W dodatku, gdy furmanki po nich nie przybyły, chodzili ci ludzie z Tarnopola piechotą nieraz po kilkanaście kilometrów w jednym i drugim kierunku. A i towarów w sklepach było coraz to mniej, gdyż przerwano stare związki z dostawcami na Zachodzie, a nie nawiązano jeszcze relacyj z fabrykami rosyjskimi. Miasto nieraz wyglądało też jak wymarłe, a oficerowie rosyjscy nie mogli się dość nadziwić posępnemu trybowi życia jego mieszkańców. Nawet w ludnych dawniej kawiarniach tarnopolskich „Boulevard'zie“ i „Wiedeńskiej“ było pusto, smutno i głucho. Któż miał zresztą chodzić? Rosjanie nie mieli tego zwyczaju, Polacy zaś nie mieli za co.

Z gazet dochodziły do Tarnopola, i to dość regularnie, bo zaledwie z opóźnieniem jednodziennem: Dziennik Kijowski, Słowo Polskie, Kiewlanin i Kiewskaja Myśl. Gazety kijowskie kosztowały po 10 kopiejek, zaś Słowo Polskie (2 wydania razem) 20 halerzy.

Powoli ucierała się też komunikacja pocztowa i telegraficzna. Otrzymywałem listy i depesze. Te ostatnie roznosił po mieście żołnierz z karabinem na ramieniu. Tylko z wyjazdem koleją były ciągle jeszcze tak wielkie kłopoty, że nie brakło osób, które uciekały się do podróży końmi. Za podwodę do Lwowa żądano 70 koron. Dorożkarze chcieli nieco więcej.

Z licznych relacyj naocznych świadków ustaliłem także niektóre dane dotyczące się bitwy pod Tarnopolem. Oto samego miasta w chwili natarcia rosyjskiego broniły dwie kompanje austriackie, które umieściły się między Tarnopolem a leżącymi od niego na północny wschód Szlachcińcami. Na północ od grupy tarnopolskiej wzdłuż linii Seretu stały oddziały pod Iwaczowem Górnym, na południe pod Berezowicą Wielką, a 1800 ludzi z 5 karabinami maszynowemi pod dowództwem pułkownika o 30 kilometrów pod Trembowłą. Pułkownik Rudel w momencie bitwy z częścią 15 pułku piechoty maszerował z Jezierny do Tarnopola, mając do przebycia blisko 25 km. W Jezierniej prawdopodobnie bawił on dlatego, iż bronił tam austriackich tyłów przeciwko wielkiemu ruchowi oskrzydłającemu, idącemu od północnego wschodu po linii Założce, Zborów na Brzeżany. Tak szybko bitwy pod Tarnopolem nie spodziewał się. Pozycja austriacka wobec olbrzymiej potęgi Rosjan i doskonałego rozmieszczenia ich sił, ścinających dwustronnie w kolejnych walkach północno-wschodni narożnik Galicji Wschodniej, była zatem niezmiernie trudną, zupełnie beznadziejną stała się atoli wskutek tego, iż obronę punktu węzłowego, jakim był Tarnopol, oddano na końcu całkiem słabym tyłom. Był to wielki błąd. Gdyby załoga Trembowli nie tkwiła tam bezczynnie, wtedy i obrona węzła tarnopolskiego mogła być trwać nieporównanie dłużej. Może przypuszczano, że 3 bataljonami i rezerwą trembowelską da się utrzymać linję Toutr, na którą Rosjanie rzucili kilkanaście tysięcy. Rosjanie, przekonawszy się o słabości sił przeciwnika pod Tarnopolem, uderzyli tu naprzód, a uzyskawszy łatwo przeprawę przez Seret, rzucili tędy swe wielkie masy na zachód. Natychmiast, nie tracąc chwili czasu, szły one przez Tarnopol niemal biegiem całe dwa dni. Kawalerja wogóle miasto przebiegała galopem. Rozumie się, że następstwem owego forsownego marszu było otoczenie teraz już i od

południa całej ogromnej połaci Galicji, położonej między Wołyniem a linią gościńca idącego z Tarnopola do Brzeżan. Przełom linii frontu austriackiego pod Tarnopolem, bo taki charakter posiadały ostatecznie tamtejsze wypadki, miał jednak i ten skutek, że i reszta wschodniego Podola aż po Dniestr musiała być spieszenie ewakuowaną. Tam znowu groziło każdej pozycji austriackiej oskrzydlenie od północy. Pułkownik Rudel, zmiarkowawszy w marszu w Cebrowie, że do Tarnopola na czas nie nadąży i że przez oskrzydlenie z południa całkowicie zostanie zgubiony, zakomenderował jak najspiesniejszy odwrót na południowy zachód, w kierunku na Brzeżany, oddziały stojące na północ od Tarnopola na linii Seretu zostały wybite lub dostały się do niewoli¹⁾, oddział pod Berezowicą Wielką po bohaterskiej walce, toczącej się po zdobyciu Tarnopola w samej wsi, która dlatego uległa spaleni, wyginał lub wycofał się na południowy zachód, zaś względnie silna załoga Trembowli, jak stwierdził tamtejszy starosta Rudnicki, po zajęciu Tarnopola odeszła momentalnie bez boju na zachód do Darachowa. W dwudniowych bojach pod Tarnopolem Rosjanie posługiwali się przeważnie silną artylerją, ustawioną zrazu pod Szlachcińcami a potem po zdobyciu miasta nawet w samym mieście nad t. zw. Rudką, gdzie mały lasek świerkowy, i gdzie indziej. Dwie kompanje tarnopolskie walczyły atoli bez zarzutu, usiłując utrzymać się przy swych pozycjach jak najdłużej, aby po grobli opasującej od południa staw tarnopolski mogły przejść treny i inne ewakuujące się części wojska. Rosjanie, spostrzegłszy to, swój ogień artylerji skoncentrowali też niebawem na przeprawie i znaczną część wozów zatrzymali. Przy tej

¹⁾ Rosjanie obstrzelowali tu ogniem artyleryjskim przeprawę przez Seret (np. strzelając z Ihrowicy ponad Płotyczą w kierunku Czystyłowa), aby uniemożliwić wycofanie się Austriaków na Tarnopol — Zagrobelę — Brzeżany, uszkodzić linię kolejową i z flanki uderzyć na niektóre pozycje na prawym brzegu Seretu.

sposobności zginęło tam także z uciekających kilka osób cywilnych a między innymi został zabity odłamkiem szrapnela radny miasta Mojżesz Rapaport.

Zabici w czasie walk o Tarnopol, w tem spory procent oficerów, przez kilka dni leżeli niepochowani na polach szlacheńskich i w tym czasie zostali obrabowani przez okolicznych mieszkańców. Potem pochowano ich na rozkaz władz rosyjskich, ale płytko i niedbale.

Od czwartku 24 września codziennie urządzałem wieczorem u siebie w domu małe przyjęcia, na których zbierało się wielu działaczy z Towarzystwa „Szkoły Ludowej“ i innych polskich organizacji. Rzecz prosta, że przedewszystkiem wymienialiśmy wtedy wieści, które obficie krążyły wśród tłumu, zwłaszcza zaś żydowskiego, bo żydzi specjalnie byli wprost niewyczerpani w coraz to nowych koncepcjach. Niektóre z nich wręcz znakomicie oddawały panujące nastroje i pragnienia mas ludowych.

I tak opowiadano sobie o ostatecznem pobiciu Francuzów, o stracie jednej z prowincji francuskich i o projektowanej zapłacie Niemcom kosztów wojennych w kwocie 27 miliardów marek, o spieszącej Francuzom pomocy japońskiej, o niepowodzeniach Rosjan pod Przemyślem, a także o ich marszu na Czerniowce, o wojnie Rosji z Rumunją i Turcją i t. p. To z działu ścisłych nowin wojennych. Były jednak i inne. Miały one oddawać ojcowską troskę cesarza i Austrii o ludność pozostawioną za kordonem zwalczających się armji. Wiedzano zatem np. o jakimś ambasadorze austriackim, który incognito objeżdża Galicję i urzędnikom wypłaca pensje. Pierwszego października przyszła wreszcie wieść o pogromach żydowskich we Lwowie, wyprawionych tam przez wojsko rosyjskie. Szybko liczba zabitych żydów wyrosła na poważną cyfrę 200, przy równoczesnem, rzecz jasna, zburzeniu całych kwartałów miasta. Nie było granic oburzenia wśród kół austrofilsko nastrojonych.

Ogromnie też powiększono koło bohaterów z pomiędzy oficerów austriackich, którzy „padli za cesarza“. Tyłu ich było i tyłu pokazało się potem żywych i zdrowych, iż cały ich mój ówczesny wykaz nie przedstawia dziś żadnej wartości.

Ci, którzy patrzyli na rzeczy jaśniej, nie mogli absolutnie zaprzeczyć, że kadrowe formacje rosyjskie, zarówno gdy idzie o oficerów jak i o żołnierza, nie przedstawiały się bynajmniej gorzej od austriackich. Brak im było tylko tego bliźniaczego tupetu, który tak często uderzał w wyższych kołach oficerskich austriackich, a któremu nie odpowiadała zgola myśl do poświęcania się i cierpienia. Nawet ^{spółca} ~~pospolite~~ ruszenie rosyjskie, zajmujące w moim najbliższym sąsiedztwie nowo wzniesiony gmach Okręgowej Dyrekcji Skarbu przy ulicy Mickiewicza i dlatego ciągle przezemnie obserwowane, przedstawiało się niezłe. Ślicznie brzmiała codzienna wieczorna chóralna modlitwa tych żołnierzy czarno ubranych z krzyżami na czapkach, gdy stanawszy rotami powtarzali, z podziałem na głosy, słowa pacierza. Poprzedzało ten akt hołdu Panu Zastępów potężne uderzenie w trąby. Szła wtedy od tego zbrojnego tłumu jakaś moc wielka, jakieś wrażenie niespożytej siły. Tak modlili się chyba żołnierze polscy przed bitwą w okresie, gdyśmy walczyli z Krzyżactwem lub półksiężcem.

Wreszcie oddziały pospolitego ruszenia odjechały na zachód 29 września, co austrofile nie omieszkali z miejsca wytłumaczyć wyprawą na Rumunów. W dzień po nich przyszli całym pułkiem kubańscy kozacy. Chodząc po mieście, budzili już nieporównanie więcej strachu, tem więcej, że zachowaniu się ich wobec kobiet i dziewcząt niejedno było do zarzucenia. Wtedy też automatycznie występowało silniejsze uczucie ucisku i krzywdy, a co zatem idzie automatycznie rosły nastroje austrofilskie. Ciężko zwłaszcza było nieraz po wsiach, szczególnie tam, gdzie zabrakło księży, a świątynie zostały zamknięte. Z polskich

parafij miało to miejsce w Nastasowie, Rosochowaczu i Horodyszczu. I to nie było bez znaczenia, że szkoły były nieczynne, nauczyciele wezwani do wojska w znacznej części opuścili swoje stanowiska, zaś z rosyjskich sfer urzędowych raz po raz wychodziły koncepty przyszłej redukcji liczby zakładów naukowych od najwyższych do najniższych, których miało być za wiele. Z tym faktem, że panowanie rosyjskie jest tu tylko przejściowem, sfery te absolutnie się nie liczyły.

ROZDZIAŁ V.

Powtórnie we Lwowie. Zmiany w stolicy kraju. Generał-gubernator hr. J. A. Bobrinskij i poglądy w jego otoczeniu na sprawę Wschodniej Galicji. Panika wśród Rosjan. Ciężkie warunki egzystencji materialnej ludności. Lwów miastem szpitali. Dalsze przemarsze sił rosyjskich. Wieści z Podkarpacia, zachodniej Austrii i Przemyśla. Nadużycia władz rosyjskich.

Uporządkowawszy jako tako sprawy Towarzystwa „Szkoly Ludowej“ postanowiłem wrócić do Lwowa. Możliwem to było znowu tylko przez zdobycie odpowiedniej przepustki, którą ostatecznie posiadałem jako rzekomy lekarz (wracz) i pociągiem wojskowym wyjechałem we wtorek dnia 6 października. Tym razem towarzystwo podróżnych składało się z kilku żołnierzy, jadących ze szpitali w głębi Rosji, gdzie wyleczyli już swe rany odniesione na froncie i wracali do szeregów, sanitariusza austriackiego z Berezowicy Wielkiej i żandarma rosyjskiego z pochodzenia Rumuna. Ów sanitariusz z Berezowicy jako jeńiec otrzymał był urlop na kilka dni z pozwoleniem udania się do Lwowa. Wogóle zastanawiającą wprost była dobroduszna tolerancja, z jaką Rosjanie w wielu razach traktowali jeńców, pochodzących z Wschodniej Galicji. Bardzo znacznej ich części pozwalali poprostu na czas jakiś wra-

cać do domu i zajmować się gospodarstwem rolnem. Tylko dla żołnierzy z miast byli więcej rygorystyczni.

Przybywszy w nocy na lwowską stację Podzamcze, gdzie łatwiejsza była przeprawa z oglądającymi przepustki żandarmami niż na głównym dworcu, szybko wydobyłem się z obrębu ich działalności, poczem, spotkawszy już na ulicy milicjanta nr. 215, zaproponowałem mu zanieśenie do domu mojej walizki. Zgodził się bez trudu i idąc opowiedział mi o swoich kłopotach, które polegały na tem, iż dzięki Austriakom przepadły jego i jego brata 800 koron, rozpozyczonych w drobnych kwotach między niektórych mieszkańców wsi Mszany, Rokitna i Uszyc. Oto wojska austriackie, wycinając tam w pień mnóstwo ludzi podejrzanych o szpiegostwo, zabiły nietylko jego dłużników ale i ręcycieli. Dziś niema do kogo się zwrócić o zwrot pożyczek.

We Lwowie mimo mojej zaledwie kilkunastodniowej nieobecności zastałem stosunki już mocno zmienione. Przedewszystkiem wraz z brakiem wielu towarów, zniszczeniem kraju i przerwą w dowozie zjawiła się drożyzna, a zatwierdzona taryfa maksymalna artykułów spożywczych uderzała swoją wysokością cen. Powszechnie były narzekania na radnego miejskiego, żyda Schleichera, który kierował aprowizacją miasta. Zarzucano mu, że tak postępował, aby zawsze był potrzebny jakiś pośrednik żydowski. Szczególnie trudnym do znalezienia był opał, co miało ten skutek, iż ludność miejska rzuciła się zrazu do rozbierania płotów a potem do wycinania z mozołem i przez tyle lat pielęgnowanych prześlicznych parków lwowskich a nawet ogrodów owocowych. Poczyniła tam szkody ogromne. Codzień można było widzieć, zwłaszcza wieczorem, całe karawany wózków, taczek i ludzi, objuczonych pniami ściętych drzew i drzewek. Wśród owych rzesz nie brakło też i urzędników państwowych, nauczycieli i wogóle inteligentów. Rosjanie tej robocie niszczycielskiej zgoła nie przeciwdziałali.

Dla ubogich, których najwięcej było między inteligencją, niemogącą rabować i kraść, pozakładano tanie kuchnie. Za obiad w kuchni, umieszczonej w gmachu Sochoła, złożony z chleba, dwóch kawałków mięsa i kaszy, płacono 20 halerzy. Było wielu urzędników, dla których ten posiłek był jedyną strawą codzienną.

Zaczęły pokazywać się pierwsze towary rosyjskie, które sprowadzali żydzi, robiąc przytem doskonałe interesy. Za paczkę tytoniu, zresztą po sklepach dość rzadko spotykanego, kosztującą w Rosji 9 kopiejek, żądali 42 halerzy. Podobnie było z naftą, za której litr płacono 1 koronę, świecami, mydłem i t. p.

Sklepy żydowskie prawie wyłącznie posługiwały się już sztyldami rosyjskimi, zwłaszcza gdy właścicielem był przybysz z głębi Rosji, który bez ceremonji lokował się w ubiorkach nieobecnego kupca lwowskiego. Szczególnie cała dzielnica gródecka pełna była takich nowych handli.

Ożyła również powoli czynność banków. Te zrazu nie dawały żadnego śladu życia, bojąc się konfiskaty kapitałów. Teraz pocichu zaczęły one eskontować książeczki wkładkowe Galicyjskiej Kasy Oszczędności i Banku Krajowego, wypłacając równowartość w rublach najczęściej po kursie 1 rubel = 2,70 K., skupując złoto i t. d. Płacono też tu i ówdzie zapadłe weksle (2,70 K. = 1 rubel), składano ruble na rachunek bieżący i t. p. O normalnym ruchu bankowym nie było jednak mowy, wszyscy bowiem lękali się tego lub owego zarządzenia władz, które każdej chwili mogło przyprawić instytucję o ogromne straty. Szczególniejszym zwłaszcza strachem przejmowała wszystkich osoba generała-majora von Eiche, który, po powszechnie teraz żalowanym Szeremetiewie, objął gradonaczalstwo. Wogóle o gradonaczalstwie i panującym tam przekupstwie zaczęły kursować całkiem niepochlebne wieści.

Oburzało też wszystkich traktowanie przez v. Eichego prezydenta Rutowskiego. Było ono w najwyższym stopniu

brutalnym i sprawiało wrażenie, że Rosjanie coraz mniej dbają o ludność polską. Coprawda poglądy von Eichego nie mogły być uważane za powszechny wyraz opinii rosyjskiej, bo urzędujący generał-gubernator Jerzy hr. Bobrinskij a za nim wybitni Rosjanie niejednokrotnie zaznaczali, że na żydach, ukraińcach i nielicznych, zdeprawowanych przeważnie, moskalofilach oprzeć się nie mogą, lecz tylko na Polakach. Zresztą cały szereg osób, np. młody hrabia Roman Potocki, pracował nad tem, aby hr. Bobrinskij przyszedł do takiego właśnie wniosku, aby nie obrażał Polaków i polskości, oraz aby poinformował swój rząd o tem, czego wymaga nowo zajęty kraj. Dyrektor Banku Krajowego Milewski, który ocierał się często o te wyższe sfery rosyjskie, opowiadał mi, że pracowity Bobrinskij siedział najczęściej po 16 godzin na dobę przy biurku, studując akta i próbując zapoznać się z sprawami kraju. Od czasu do czasu dawał przyjęcie dla szerszych sfer jak np. 21. X. W związku też z coraz to głębszem zaznajamianiem się z Galicją wypadali z łask dotychczasowi doradcy, również i Dr. Dudykiewicz, znany działacz moskalofilski. Z drugiej strony nie przyjął hr. Bobrinskij od lwowskiego szlacheckiego kasyna, t. z. Narodowego, popolicie przez Lwowian zwanego jednak „końskim“, dyplomu członka honorowego, motywując swoją odmowę tem, że formalnie Towarzystwo nie istnieje. Pozwolił natomiast na skutek wniesionej prośby na działanie „Kasyna Mieszkańskiego“. Obok Bobrinskiego nie brakowało też i innych Rosjan, którzy zastanawiali się nad sprawą ewentualnego współżycia z ludnością zajętego kraju, gdyby on miał trwale pozostać przy Rosji. Liczni też byli tacy, w których dotychczasowe rządy budziły niechęć. Sam poznałem inteligenta, przybyłego z centralnych gubernij państwa, wielkiego przyjaciela Słowiańszczyzny, który oświadczył mi, że gdy posłyszał, iż 30.000 unitów przeszło już na prawosławie, tak się tej roboty przestraszył, że na-

tychmiast chciał wracać. Głośny działacz ziemski Stachowicz i szereg podobnie jak on myślących generałów, zwłaszcza Połowcew, wychodzili jeszcze z układu stosunków ogólnoeuropejskich i z tych racji nakłaniali decydujące sfery rosyjskie do roztropnego postępowania. Powoływali się oni na to, że w Anglii, gdzie liczone się już poniekąd z ewentualnością pozostawienia Galicji przy Rosji, zaczęto sobie równocześnie w sferach zajmujących się polityką międzynarodową ustalać pogląd, że nowa prowincja musi otrzymać specjalną formę administracji, odrębną od rosyjskiej. Rzecz prosta, że im więcej popełnianoby w administracji tymczasowej głupstw tem ta odrębność musiałaby być radykalniejszą. Właśnie Stachowicz i jego otoczenie najchętniej wysłuchiwało opinii wybitnych Polaków i tych, których za takich uważano, dopytując się, co budzi szczególniejszą niechęć polskiego ogółu.

To ustalanie się poglądów na Polaków i ich rolę nie przeszkadzało atoli wcale temu, aby wydawać nakazy konfiskaty domów, jak to np. miało miejsce z gmachem Banku Lwowskiego i dwiema innymi kamienicami przy ulicy Wałowej, wywożenia urządzenia całych mieszkań i t. d. Także ton „Lwowskiego Wojennego Słowa“ wobec Polaków nie brzmiał zbyt zachęcająco. I gdy tak było już w początkach października, to stopniowo owa złośliwość pewnej części Rosjan rosła, zdaje się w prostym stosunku do ich sukcesów orężnych. Dość, że dnia 13 listopada ukazał się nawet artykuł wymierzony przeciw Stanisławowi Grabskiemu, którego zasług, jakie w tych czasach położył dla polskości, nie schodząc ani chwili z dobrze granej roli zdecydowanego zwolennika Rosji, nie można dość wysoko ocenić! Choć nie narodowy demokratą stałem wówczas blisko jego osoby i patrząc na wiele spraw mogłem widzieć jego patriotyczne poświęcenie. Z szlachty podolskiej w najbliższym z nim kontakcie bywał hrabia Leon Piniński, były

namiestnik. Dnia 8 listopada podpisali razem jedną z nielicznych odezw, jakie się w tym czasie ukazały.

Poza tą, nie dla każdego widoczną polityczną robotą, cały Lwów niemal codziennie mógł oglądać potężne przemarsze wojsk i nasłuchać się najosobliwszych plotek i kłamstw, które wszystkie prawie miały na celu podtrzymywanie nadziei na pomyslny dla Austrjaków obrót wypadków wojennych. Nieporównanie już rzadsze były plotki obozu przeciwnego. Żydzi i austrofile, skupiający się głównie w kawiarni „Roma“, skomponowali plotkę, że poseł Głabiński i kilka innych osób zostało w Austrii powieszonych, że Kijów zdobyli Turcy, a Warszawę Prusacy. Rozumie się, że powrót Austrjaków do Lwowa miał być już tylko kwestją kilku dni. Na odmianę, z kół rusofilskich, przesiadujących przeważnie w kawiarni Szkockiej, a zdaje się, że i z otoczenia generał-gubernatora, puszczono wieść, że desantowi rosyjskiemu udało się zdobyć Antwerpię, że padł obleżony Przemyśl i t. p. Dla plotkujących wystarczało, gdy armaty rosyjskie, jak to było np. 9 października, po przedmieściu Gródeckiem nie jechały w kierunku zachodnim lecz wschodnim, aby rozpętać całą nawałnicę nowych koncepcyj. Znowu ruch wojsk w przeciwnym kierunku t. j. ku Gródkowi Jagiellońskiemu (14 i 15 października) był silnym argumentem wrogów państw centralnych. Szczególnie do fantazji ulicznych strategów przemawiały karabiny maszynowe, których duża ilość przeszła rankiem 15 października, albo jakaś osobliwość artyleryjska jak np. ciągnięcia przez miasto 19 października olbrzymich rozmiarów armata, przypuszczalnie typu najcięższych okrętowych. Natomiast zarządzenia w tym rodzaju jak z 8 października, nakazujące w całym mieście zamurowanie wszystkich okienek strychowych i piwnicznych, było komentowane równie niechętnie przez obie strony. Zresztą Bóg raczy wiedzieć co to zamurowywanie miało za cel.

Wszak w mieście do żadnej rewolty przyjść nie mogło i wywiad rosyjski powinien był o tem wiedzieć.

Tymczasem na froncie musiało być chwilowo niedość wyraźnie. Wśród kilkudniowej niepogody, przejmującego chłodu oraz popadającego mokrego śniegu, gdzieś w pobliżu Karpat toczono uparte boje. Świadczyły o tem masy zwożonych rannych, dla których bezustannie trzeba było ewakuować lwowskie szpitale, usuwając łżej chorych w głąb Rosji. Najkrytyczniejszą chwilą w tym okresie była noc z 15 na 16 października, kiedy zwijano prawie wszystkie założone przez wojsko rosyjskie po mieście linje telefoniczne, kiedy ruch automobili, najniezawodniejszy zawsze dowód walniejszej rozprawy orężnej, doszedł do zenitu, kiedy bezustannie huczały i dzwoniły tramwaje elektryczne, jeszcze więcej niż automobile zajęte obsługą sanitarną, kiedy wieziono mnóstwo rzeczy na dworzec kolejowy i ładowano je do wagonów. Dopiero, gdy przyszła wieść o rozbiciu sił austriackich pod Starym Samborem, zapanowało wyraźne uspokojenie się nastrojów. W piątek 16 października na giełdzie plotek było już całkiem cicho. Rozbłysła też znowu piękna słoneczna pogoda polskiej jesieni.

Na owem radosnem tle wprawdzie zamierającej, ale jeszcze rozkosznej natury, tem smutniej rysował się bezmiar ciągłych pogrzebów, odbywanych teraz bez wszelkiej wystawy. Z wystawnym ceremoniałem wojskowym chowano tylko starszyznę. Lecz i tych pogrzebów było dosyć. Jakiś najparadniejszy 14 października z politechniki.

Lwów, do którego i z którego coraz to trudniej było się dostać i wydostać, robił chwilami, zwłaszcza pod wieczór, wrażenie bardzo przykre. Lamy gazowe po ulicach albo się wcale nie paliły albo migwały jakimś bładem światełkiem. Wśród błota, gnoju i wzajemnego popychania się snuło się zato mnóstwo rozbestwionych dziewczek publicznych, które zjechały tu z wszystkich możliwych stron i szczególnie wśród Rosjan namnożyły mnóstwo cho-

rób wenerycznych. Poza niemi nierządowi oddawało się wiele kobiet z ludu i ze sfery małomieszczańskiej, wyjątkowo i z wyższej, a z reguły prawie wszystkie służki, których chlebodawcy wyjechali ze Lwowa. Zgoła jakaś osobliwa na tem tle psychologja ogarnęła płęć żeńską. Powoli owym żywiolom miejscowym zaczęły robić konkurencję także rosyjskie sanitarjuszki (sestrice), między którymi można było spotkać zarówno osoby całkiem proste jak i damy z towarzystwa. Dla flirtu z oficerami służyła im najczęściej obszerna kawiarnia Avenue. Kobiety chore na słabości weneryczne częściowo lokowano w szpitalach. Te jednak, niedość obszerne, bardzo szybko wypełniły się po brzegi. W dniu 19 listopada leżało tam w okrągłych cyfrach 200 dziewcząt i 400 mężatek. Aby zrobić miejsce nowym pacjentkom, niedoleczone z zakładów często usuwano a częściowo wysyłano podobno na leczenie do Rosji.

Tramwaj przestawał funkcjonować wcześniej, bo już o godzinie 7 według obowiązującego zegara pietrogradzkiego nie brał pasażerów. Sklepy kończyły wyprzedaż towarów, sprowadzonych przed okupacją Lwowa, i kłopotowały się skąd wziąć nowe. Rozumie się, że ceny z każdym dniem rosły a nabywcami towarów, zwłaszcza lepszych, byli przeważnie tylko posiadający pieniądze Rosjanie. Brak opału stawał się z każdym dniem coraz to bardziej katastrofalny. Po domach z nastaniem zmroku panowały ciemności i tylko z rzadka widziało się okna lepiej oświetlone. Z reguły prawie były to mieszkania zajęte przez Rosjan. Nafta droga, litr 1 K., była trudną do dostania, gdyż nie nadchodziły zapasy nowej. Rosjanie po zajęciu Borysławia transportowali samochodami stamtąd zrazu tylko benzynę.

Widziało się mnóstwo ludzi z sfer urzędniczych zbiedzonych i smutnych. Pensji za październik nikt nie dostał. Poczczano się przeto nadzieją, że wypłaci ją Państwowy Bank Rosyjski po strąceniu 25%, ale dużo było scepty-

ków, niewierzących w podobną operację. Szczególnie zgryzieni byli ojcowie rodzin. Szła zima, trzeba było myśleć o różnych zapasach a tu brakowało grosza na bochenek chleba.

Na ulicach, gdzie już i poprzednio sprzedawano gdzie niedzie gazety rosyjskie, począwszy od pierwszych dni października, pokazały się ich całe masy jak: „Kiewlanin“, „Kiewskaja Myśl“, „Lwowskie Wojenne Słowo“, i „Prikarpackaja Ruś“, którą wywołujący chłopcy nazywali „Pripartskaja“. Dawały wiadomości szybsze i obszerniejsze niż polskie, stąd znajdowały łatwy odbyt.

Dnia 17 października odbyłem przechadzkę na Wysoki Zamek, który jak zawsze jesienią wyglądał przesłiznie, choć smutno. Rosnące tam grube drzewa broniły się swojemi masywnymi pniami przed wandalizmem przygodnych drwali, szukających opału, tak, że poczynione tam spustoszenia były minimalne. W każdym razie nie dały się one porównać z tem, co uczyniono z przesłiznym parkiem Kilińskiego. Na szczycie piętrzącego się na górze zamkowej kopca Unji Lubelskiej spotkałam kilku rosyjskich ochotników. Dopiero dnia poprzedniego przybyli do Lwowa. Byli to całkiem młodzi ludzie, którzy świeżo rzucili szkołę. W ich szeregach znalazł się także młody parobek, Polak z Wołynia (z dóbr hr. Grocholskiego). Inteligentny, ledwie doczekać się mógł ukończenia wymaganego 17 roku życia, tak mu było pilno na wojnę. Uświadomiony narodowo wyznawał głośno, że idzie bić się z Niemcami i że żałuje tylko, iż będzie walczył także z austriackimi Słowianami.

Tego samego dnia w mieście dało się zauważyć duże zdenerwowanie ludności. Były osoby, które twierdziły, że słyszały wyraźny huk armat. Ja osobiście podzielić ich wrażenia nie mogłem, natomiast całkiem dobrze słyszałem huk armatni dnia następnego (18. X.) od strony zachodniej, wyszedłszy na koniec ulicy 29 Listopada, gdzie ze-

szło się także wielu innych ciekawych. Równocześnie dały się zauważyć liczne partje jeńców austriackich, razem do 1000 chłopa, oraz wzmózone transporty rannych, dla których otwierano coraz to nowe szpitale, jak np. w seminarjum duchownem ruskiem przy ulicy Leona Sapiehy, utrzymywany przez Kirgizów a prowadzony przez sestrice z Orenburga. Jeńców, wziętych przeważnie w okolicach Sanoka, zamknięto w szkole św. Marcina. Ludność próbowała dawać im chleb, ale Rosjanie ofiarodawców odpełdzali a chleb wyrywali. Nowe partje, mniej więcej 5.200 głów, stanęły we Lwowie 23 października. Pochodziły one z rozbitych wojsk pod Stryjem i Mikołajowem, podobno przy pomocy części armji oblegającej Przemyśl. Owych jeńców umieszczono częściowo w szkole św. Kingi, a że Rosjanie dla nich byli życzliwi, stąd otrzymywali oni sporo żywności. Najhojniejsi byli wówczas żydzi.

Dnia 18 października pokazali się w mieście po raz pierwszy rosyjscy żandarmi. Narazie na koniach. Chłopy duże, przywoicie ubrane z żółtym sznurem od rewolweru na szyi. W trzy dni później widziałem i pieszych pełniących służbę na ulicy w towarzystwie milicjantów. Ponieważ w kołach austrofiłskich w tym czasie opowiadano sobie wiele, że Stryj powtórnie zajęty przez Austrjaków, stąd zjawienie się w mieście nowego symbolu władzy rosyjskiej działało do pewnego stopnia otrzeźwiająco. Politycy kawiarniani z miejsca kalkulowali wtedy w następujący sposób: „gdyby Rosjanie nie byli pewni sytuacji, nie przekształciliby służby bezpieczeństwa i zadowoliliby się dotychczasową“. Że jednak naprawdę w kierunku Stryj—Karpaty nie wszystko oddychało zwycięstwem, świadczyły oddziały powracającej stamtąd konnicy kozackiej. Dnia 25 października widziałem taki oddział człapiący ulicą Akademicką. Mnóstwo koni poranionych, inne luźne bez jeźdźców z samemi tylko siodłami, ludzie poobwiązywani białemi bandażami. O kawalerję Rosję jednak „głowa nie

bolała“. Już 26 października w pochodzie na zachód zjawiły się jej w mieście nowe potężne masy. Szybko wynioskowaliśmy, że tym razem dowództwu rosyjskiemu chodzi przecież o co innego niż o wywiad i o zwykłe łatanie dziur w linjach bojowych i że planuje się stworzenie zasłony, za którąby nastąpiło przegrupowanie się sił głównych, zajętych na teatrze galicyjskim, a mianowicie w związku z tem, co się działo w Królestwie Polskiem. I tak było rzeczywiście. Obie strony przed zapadnięciem zimy dążyły do wyjaśnienia sytuacji i boje, jakie toczono za Sanem i Wisłą, były bardzo poważne. We Lwowie zapowiedziano przybycie świeżych 20.000 jeńców austriackich a ciągle zwożono tramwajami nocą z dworca kolejowego ogromne masy rannych, szczególnie Austriaków.

My, którzyśmy nie życzyli zwycięstwa państwu centralnym, byliśmy w tym momencie jeszcze całkiem przekonani, że jest ono nie do wywalczenia, gdyż i dowództwo austriackie nie stało na wysokości zadania, i żołnierz, i co najdziwniejsza, nawet strona techniczna. Zgodne opowiadania austriackich oficerów, którzy albo rzuciwszy szeregi dostali się na stronę rosyjską albo znaleźli się tu jako jeńcy, stwierdzały, że Austriacy często wysyłali do boju oddziały uzbrojone w stare karabiny Werndla, w dodatku bez dostatecznej ilości ładunków. Klasyczne w tym względzie opowiadanie było profesora Dr. Pazdro, który walczył pod Stryjem w takim właśnie bataljonie i tam dostał się do niewoli. Ów bataljon posiadał 4 stare armaty, kieszko strzelające a niepotrzebnie robiące wiele huku, co miało ten skutek, że Rosjanie z miejsca skierowali na Austriaków 8 szybkostrzelnych dział i bataljon odrazu rozpędzili. Na miejscu został tylko Dr. Pazdro z 25 ludźmi i jakiś oficer wiedeńczyk. Rosjanie tych, którzy próbowali uciec zastrzelili, Pazdrę zaś, posiadającego już tylko szablę, gdyż rewolwer wyrwała mu z ręki nieprzyjacielska kula, z kilkoma żołnierzami wzięli do niewoli.

Część wojsk austriackich, prócz karabinów systemu Manlichera i starych Werndli, posiadała jeszcze jakieś bliżej mi nieznane karabiny meksykańskie. Temu atoli wyraźnemu nieprzygotowaniu do wojny i niedołęstwu odpowiadał olbrzymi tupet, z jakim występowali Austriacy wobec swej ludności, żądając od niej wszędzie olbrzymich ofiar, patriotyzmu i poświęcenia. W Stryju, który podobno 3 razy przechodził z rąk do rąk, urządzili dokładny pobór wszystkich zdolnych do noszenia broni od 18 do 42 roku życia a mnóstwo osób zaarrestowali. Szczególnie fatalne było jednak zachowanie się Węgrów. Postępowali oni w austriackiej dotąd Małopolsce jak w kraju nieprzyjacielskim. Rayski, działacz dawnej Rady Narodowej, opowiadał mi jakto Węgrzy pocięli mu portrety rodzinne we wsi Michalewicz pod Samborem a bibliotekę spalili. Urzędnik Maciszewski z Janowa przyniósł mi wieść o zastrzeleniu przez oficera węgierskiego znajomej mu pani za to, że do jej piwnicy, zresztą bez jej woli, schroniło się w czasie bitwy kilku Rosjan. Podobne a niedobre rzeczy o Węgrach i Tyrolczykach opowiadał mi także znajomy i poważny konduktor tramwajowy, który wiele widział własnymi oczyma. Strasznie według niego wyglądały zwłaszcza okolice Krakowca, gdzie mnóstwo drzew obwieszonych było wisielcami. Żona poległego prefekta bursy Towarzystwa „Szkoły Ludowej“ w Tarnopolu pani Matusowa, która później od strony Krakowa przedarła się była do Tarnopola, relacjonowała znowu, że w Bochni widziała afisze przestrzegające ludność, aby nie wychodziła na ulice, gdy wkroczyły wojska węgierskie.

Strona rosyjska, o ile szczególnie był brak nad nią dostatecznego dozoru wyższych szarż, również nie szczędziła ludności. W Krzywczycach Czerkiesi rabowali w biały dzień i grozili w razie oporu zastrzeleniem, odbierając zwłaszcza pieniądze. Za rogatką łyczakowską pod samem Lwowem dońscy kozacy napadli na żydów, wiozących to-

wary, 2 zabili a towary zrabowali. W Drohobyczu i Borysławiu urządzili Rosjanie istne pogromy, dopuszczając się przytem haniebnych gwałtów na kobietach. Dochodziły wieści, że w Borysławiu, ratując się przed zgwałceniem, pewna kobieta zażyła truciznę i zmarła, a inna uciekająca dziewczyna została przez kozaków zastrzelona. Poza tem wszystkim uprawiali Rosjanie także sporo bezmyślnego wandalizmu. U Lanckorońskiego w Rozdole cennym portretom powykluwali oczy, a kobiecym pofałatali brzuchy. Z ludnością nawet prostą, obchodzili się gdzie niegdzie zbyt szorstko. Najmniej udawało im się to z starymi babami, które rezolutnie kłócąc się zęb za zęb, wywoływały zbiegowiska i hałasy.

Dnia 1 listopada zapoznali się Lwowianie z nowemi typami koni i jeźdźców. Pierwsze pochodziły z stepów kirgiskich, małe, kudłate, grube, z ogromnemi grzywami, zasłaniającemi oczy. Jeźdźcy najczęściej o rysach mongolskich w dużych futrzanych czapkach, zwanych papachami. Wszystko to, prowadząc ogromne treny, maszerowało ulicą Sykstuską i Leona Sapiehy na Gródeckie. Wnet (5. XI.) wzmógł się też ruch transportów artyleryjskich, luźnych koni i bydła, co ułatwiał znowu pierwszy silniejszy mróz, który się zjawił 7 listopada. Dnia 8 listopada pokazały się masy piechoty.

Wzmocnienia potrzebne były w Karpatach i na Podkarpaciu, które powoli zaczynało się stawać grobem potęgi wojskowej rosyjskiej, o czem my przecież jeszcze nie wiedzieli. Dochodziły tylko wieści, że Rosjanie ponieśli byli ogromne straty w okolicach Körösmezö, oceniane później przez Dr. Sethalera, uczestnika tych walk po stronie rosyjskiej, na 38.000 ludzi, nie mówiąc już o bardzo dużych ubytkach w materiale wojennym. Po górach leżały tam całe zwały trupów. Z powodu kamienistego gruntu trudno było je pochować, tak iż w wielu razach zadawalniano się tylko przykrywaniem mchem, z pod którego

sterczały ręce i nogi. Szczególniejsze spustoszenia czyniły zwłaszcza austriackie karabiny maszynowe. Poza tem opowiadano sobie, że rozpoczęła się wojna rosyjsko-turecka z nieszczęśliwym narazie dla Rosjan wynikiem i że bliżej, bo w Karpatach, głośny polityk radykalny ukraiński Trylowski pozostał ze swoimi hucułami i „siczownikami“, rozwinięszy sztandar walki z potęgą rosyjską. Co prawda nie bardzo narazie w to wszystko wierzono jak i temu, co opowiadali żydzi na temat wypowiedzenia Rosji wojny także przez Szwecję, Holandję i Norwegję. Wszak był to moment, kiedy Austrjacy ponieśli klęskę pod Jarosławiem i stracili tam 17.000 jeńców a także pojawiło się gromadne przechodzenie wojsk austriackich do nieprzyjaciela. Właśnie z takich żołnierzy w tym mniej więcej czasie sformowano po stronie rosyjskiej pierwszy pułk czeski, a przy wręczaniu mu sztandaru padła obietnica restauracji czeskiego królestwa. Czesi nie wierząc w możność rozwoju swej narodowości pod rządami Austrji, zrywali z nią coraz to wyraźniej, okoliczność, która i niektórym patriotom polskim dawała wiele do myślenia.

Bardzo znacznie do zachwiania się u niektórych osób wiary w życzliwość Austrji dla sprawy polskiej przyczyniły się te relacje, jakie złożyli przygodni przybysze z zachodu, którzy przedarli się z Wiednia i z centralnych prowincyj państwa. To, co opowiadali o położeniu polskich zbiegów i polskiej ludności pod łaskawem berłem Habsburgów, nie brzmiało zbyt zachęcająco.

Poznałem takiego śmiałka, urzędnika państwowego. W Sanoku dał się zająć Rosjanom i dnia 5 listopada przybył do Lwowa. Relacje jego wskazywały, że zbiegowie zarówno w Wiedniu jak i gdzie indziej, o ile skupiły się ich większe zastępy, znajdowali się w pozycji ciężkiej, często nawet wręcz tragicznej, bo w biedzie i otoczeni niechęcią ludności miejscowej, podnoszącej najdziwaczniejsze nieraz zarzuty jak np., że Polacy są winni, że wojna się

jeszcze nie skończyła wskutek tego, iż nie podnieśli w Królestwie Polskiem powstania i nie pomogli do pokonania Rosjan.

Jeszcze więcej dały relacje niejakiego Browińskiego, który przybył do Lwowa 20 listopada, odczekawszy znowu w Jaśle w ukryciu przed żandarmami austriackimi, zabierającymi wszystkich do wojska, momentu zajęcia miasta przez Rosjan, co się stało 13 listopada. Furą dostał się do Przeworska, a stamtąd już rosyjskim pociągiem przez Jarosław i Rawę Ruską do Lwowa. Browiński opowiadał jak to dawny rząd galicyjski uciekając etapami za zachód znalazł się ostatecznie w Wiedniu, poprzednio jakiś czas popasając w Nowym Sączu, potem w Krynicy a wreszcie w Białej. Podobnie daleko odsadził się także Bank Krajowy. Tylko Wydział Krajowy poprzestał na Białej. Przekomiczną miała być ucieczka dygnitarzy rządowych z Krynicy w wagonach ciężarowych wśród nawoływań, „panu hofratowi słomy“, „panu prezesowi siana“ i t. d. W Krakowie bawił Browiński 26 października, właśnie w czasie, kiedy pokazały się tam wojska niemieckie. Dla Polaka były to szczególnie przykre chwile. Po kawiarniach śpiewano „Wacht am Rhein“, „Heil dir im Siegeskranz“, a ludność w znacznej części entuzjasmowała się tymi najcięższymi z naszych wrogów. Narzekał również na starostę limanowskiego niejakiego Trzeciaka, który miał podobno srodze gnębić legionistów z wschodniego legjonu, o ile nie chcieli wstępować do zachodniego.

Trzecim interlokutorem, mogącym niejedno opowiedzieć z osobistych spostrzeżeń i przeżyć, był pewien inżynier ze Złoczowa, który stanął we Lwowie 21 listopada. Ten napatrzył się przedewszystkiem Węgrom i ich znęcaniu się nad ludnością. Duże wrażenie zrobiła także jego relacja, że prof. Głębiński i ks. Czartoryski nie uzyskali posłuchania u cesarza Franciszka Józefa. Ów inżynier widział bitwę legionistów z Rosjanami pod Pasieczną. Legjo-

niści nadeszli tam z Węgier, gdzie już pod Marmarosz-Sziget pomogli Austriakom. Pod Pasieczną mimo trapiącego ich niedostatku żywności walczyli bardzo dzielnie i długi czas się trzymali. Była tam piechota legjonowa, nieco jazdy a także 4 armaty. Legjoniści zdobyli 5 armat rosyjskich. Wśród legjonistów, których męstwo Rosjanie chwalili, był także spory procent królewiaków. Jeden z nich wzięty do niewoli zastrzelił się.

Z pod oblężonego Przemyśla, choć tak niedaleko od Lwowa leżącego, dochodziły wieści jeszcze może skąpsze niż z głębi Austrii. Ważny szczegół, przy sposobności widzenia się z nim, podał mi prezydent Rutowski. Oto że Austriacy z obawy generalnego szturmego spalili i roznieśli ogniem armat wszystkie wsi okoliczne i miasteczka, pozabawiając 20.000 ludzi dachu nad głową. Ze strony rosyjskiej uwiadomiono prezydenta, że ci biedacy reflektują na ewentualne schronienie się we Lwowie.

Najwięcej na temat Przemyśla umiał opowiedzieć Dr. Turnau, którego dla wyjęcia zęba wezwał pod Przemyśl do siebie Radko Dmitriew, jeden z wybitniejszych rosyjskich generałów. Wódz rosyjski na uwagę Dr. Turnaua, że oblegana twierdza prawdopodobnie padnie do dwóch tygodni, odpowiedział, że jest to wykluczone, bo Rosjanie nie myślą więcej tracić ludzi, a czasu mają dosyć. Broniący się Przemyśl nie ułatwia wprawdzie posuwania się na zachód i południe, bo zatrzymuje przy sobie sporo wojska rosyjskiego a następnie tamuje swobodne używanie centralnej magistrali kolejowej, przecinającej Galicję od wschodu na zachód, niemniej jednak nie wytwarza stanu nie do zniesienia. Ruch z środkową Galicją utrzymać się daje zapomocą omijającej Przemyśl linii kolejowej Lwów, Rawa Ruska, Jarosław.

Że Rosjanie byli pewni wzięcia Przemyśla świadczyło solidne naprawianie uszkodzonego przez działanie wojenne dużego mostu żelaznego na rzece Sanie pod Radymnem,

którą to robotę powierzyli inżynierowi Piotrowskiemu ze Lwowa. Inaczej gruntowna naprawa pozbawionaby była celu. Miała być dokonana w ciągu dwóch miesięcy a dla dodania prawdopodobnie nacisku nadzór nad rekonstruowanym mostem dowództwo rosyjskie oddało generałowi brygady, który rozporządzał sporym oddziałem wojsk technicznych. Rosjanie pracujących płacili bardzo dobrze.

Czy tak samo chwalił sobie operację handlową z Rosjanami również Bank Krajowy, który im sprzedał imieniem fabryki w Rakszawie 26.000 metrów sukna, prawdopodobnie pod przymusem, ocenić nie potrafię. Sukno to miało przeważnie służyć na wełniane onucki dla wojska. Owe transporty cennej manufaktury wywoływały mnóstwo niezyczliwych komentarzy tak pod adresem dostawców jak i odbiorców, tem bardziej, że Rosjanie zwozili je niepotrzebnie w biały dzień obładowanymi aż do wysokości pierwszego piętra ciężarówkami samochodami. Ludzie widząc to biadali na tem, co będzie z ich garderobą, skoro wszystko zabiorą okupanci.

I nietylko tę jedną rzecz robili Rosjanie tak niezgrabnie, nie licząc się z psychologią mas. Innym klasycznym tego przykładem było objęcie przez nich zarządu sądownictwa.

Opowiadał mi radca sądowy Lenczowski, że w pierwszej połowie listopada zjawił się w sądzie przy ulicy Batorego niespodziewanie pułkownik, który oświadczył, że obejmuje administrację i zwołał przedewszystkiem woźnych, zapowiadając im, że „jest wszystkim“. Wezwał ich, aby nikogo nie słuchali prócz niego. Sprowadził się następnie do gmachu sądowego i tam zamieszkał, zabrawszy również kasę sądu z 16.000 koron. Szczególną animozją pałał do kręcących się po korytarzach żydów, zdzierając im w sądzie jarmułki i t. p. Jeszcze dalej zaszedł jednak kurs antyżydowski na gruncie sądownictwa w Tarnopolu.

Nie trzeba dodawać, że te symptomatyczne zarządzenia, będące wyraźnem wdzieraniem się okupantów w instytucje pozostawiane z reguły na uboczu przy wszelkiej akcji wojennej, nie wszędzie w kołach polskich budziły zachwyty. Rosjanie zdawali się jednak tego nie widzieć, aczkolwiek nie przestawali interesować się dalej, skąd pochodzić mogły żale społeczeństwa do uprawianego kursu rządzenia. Wyrazem tej troski było choćby zaproszenie w połowie listopada przez generała Bołotowa i wspomnianego już wyżej działacza Stachowicza, dyrektora Banku Kupieckiego Żmudzkiego. Poza tem przypuszczać należy, że takich porozumiewawczych narad odbyło się więcej. Dyrektor Żmudzki mógł wskazać na niecelowość niejednego, co przedsiębrali Rosjanie, a zwłaszcza na wywoływanie różnych niepotrzebnych konfliktów, zamykanie do aresztu poważnych obywateli, ciągłe nietakty rosyjskiej miejscowej prasy (Lwowskiego Wojennego Słowa i Prikarpackiej Rusi), której nie wystarczały raz wraz wygłaszane zapewnienia polskiej lojalności i t. p. Żmudzki podniósł wreszcie niepraktykowaną, bo zbyt brutalną i obcesową akcję oficjalnych żywiółów szpiegowskich, które nękały zahukane i zbiedzone społeczeństwo. Wszak zdarzało się, że niektóre z tych postaci wskazywano wprost palcami, jak sztabkapitana Tchórzewskiego, kapitana Józefowicza i innych. Ci panowie, kręcąc się wśród szerokich sfer, wyciągali najrozmaitsze szczegóły i opinie, rejestrowali nastroje i żale, aby natychmiast podzielić się zdobytymi naprędce i nieskontrolowanymi wiadomościami z oficjalnemi czynnikami rosyjskiemi, co w rezultacie przedewszystkiem nie wychodziło na zdrowie stronie słabszej, w tym razie polskiemu społeczeństwu. Między innemi szpiedzy wywiedzieli się, że np. ułożoną przez część społeczeństwa a ogłoszoną w „Słowie Polskiem“ polską odezwą do ludności nie chcieli ze względów polityczno-partyjnych podpisać hrabia Badeni, prezydent Rutowski i poseł Stesłowicz. Rzecz czysto we-

wnętrzna polska była szeroko komentowana przez różne sfery rosyjskie.

Tem trudniej przy tego rodzaju wszędobylskim wywiadzie było np. ukryć się przelicznym oficerom rezerwowym, którzy pozostali w kraju, niemogąc lub niechcąc podążyć za uciekającymi Austrjakami. Ogromną ich ilość Rosjanie wywieźli w głąb Rosji już do końca października, zabierając wielu rodzinom żywicieli i ogałając społeczęństwo z żywiołów młodszych i ruchliwszych.

W związku z zrozumiałą ze względów praktycznych tendencją utrzymania kontaktu z władzami rosyjskimi stałem się i ja, zresztą wezwany urzędowo, w środę dnia 11 listopada w dawnym pałacu namiestnikowskim. Razem ze mną poszli Dr. Zdzisław Stobiecki i młody Dr. Rüdiger. Po zameldowaniu się radcy stanu Feliksowi Huzarskiemu, Polakowi pełniącemu służbę szefa przyzdjum, i po przejściu szeregu pokoi, pełnych żołnierstwa, wart i oficerów, a zwłaszcza pułkowników i generałów, znaleźliśmy się w obszernej sali, w której urzędował generał Połowcew. Przyjął nas uprzejmie, poczem w języku francuskim wypowiedziałem mu szereg żalów na postępowanie pojedynczych osobników z armji rosyjskiej, traktujących społeczeństwo polskie nie zawsze tak jakby to należało się spodziewać i dopuszczających się różnych nadużyć. Tak samo jak Żmudzki wspomniałem mu o bezpodstawnem zamykaniu do aresztu poważnych polskich obywateli, konfiskatach mienia, wycinaniu lasów jak np. kapitulnych pod Lwowem, utrudnianiu komunikacji, unieruchomieniu szkół i t. p. Obiecał, że te sprawy zbada i postara się o to, aby zapanowały znośniejsze stosunki. Rozumie się, że niebardzo wierzyliśmy w skuteczność tych obietnic.

Na ulicach w ciągu kilku dni w połowie listopada widać było znowu znaczny ruch wojsk, wywołany zdaje się przegrupowywaniem się w kierunku Stanisławów — granica rumuńska, skąd podówczas dochodził niekiedy

słaby huk armat, słyszalny w okolicach położonych na południe i wschód od Lwowa. Nadciągały także nowe posiłki, najliczniej w poniedziałek 16 listopada. Szły maszy piechoty z muzyką i śpiewami, a przed jednym z takich maszerujących oddziałów dwaj żołnierze tańczyli bez wytchnienia „kozaka“ na przestrzeni od Głównego Rynku do wylotu ulicy Sykstuskiej. Był to widok wielce zabawny a taniec miał zdaje się symbolizować radość, z jaką wojsko szło na boje „za cara i Rosję“.

ROZDZIAŁ VI.

Między Lwowem i Tarnopolem. Stosunki na kolejach. Rosyjskie szyldy sklepowe w Tarnopolu. Tamtejsza policja i straż ognio-wa. Działalność pozostałych w mieście austriackich urzędów. Rosyjska gospodarka. Tarnopolski gubernator i ujezdni naczelnicy. Ranni legioniści w Tarnopolu. Wieści z zachodu Austrii. Grabież na pobojowiskach. Jeńcy austriaccy. Przemarsz przez Lwów „dzikich“ pułków jazdy. Rosyjskie gwałty i nadużycia. Audjencja u gubernatora tarnopolskiego. Postępy drożyzny. Imieniny Mikoła II w Tarnopolu. Święta Bożego Narodzenia. Nowy Rok 1915. Postępy prawosławia. Profesor Stanisław Grab-ski w Tarnopolu. Szkoła rosyjska i kursy języka rosyjskiego. Postępy austrofilstwa. Gen.-gubernator hr. Bobrinskij w Tarno-polu. Pogłoski o klęsce rosyjskiej.

Dnia 23 listopada przedsięwzięłem nową podróż do Tarnopola, tym razem w towarzystwie kilku pań i już za płatnemi biletami kolejowemi, przyczem cena za przejazd ze Lwowa w III klasie wynosiła 2 rb. 50 kop., a w II kla-sie 4 ruble. Uruchomiono już także pociągi pospieszne, które w Podwołoczyskach i Brodach miały bezpośredni związek z siecią kolei rosyjskich.

Razem z nami jechał jakiś pułkownik kozacki, wio-zący zrabowane jelenie rogi, oficer rosyjski, mówiący po polsku i kilku innych. Naogół zachowywali się oni bardzo

uprzejmie. Pociąg lichy ogrzany, na przebycie drogi do Tarnopola (141 km.) potrzebował $7\frac{1}{2}$ godzin, bo podróż trwała od $9\frac{1}{2}$ wieczorem do 5 rano. Kontroli biletów w drodze nie było żadnej tak samo zresztą jak i na dworcu w Tarnopolu. Bardzo też słabą w tym okresie stała się kontrola przepustek. Oglądał je żandarm tylko na dworcu we Lwowie. Robiło to wrażenie, jakby okupanci czuli się już „jak u siebie w domu“ i jakby nie wiele dbali o otoczenie. I rzeczywiście wszędzie na budynkach kolejowych umieszczone napisy wyłącznie rosyjskie przypominały, że w zajęтым kraju urządzają się oni po swojemu i nie liczą się zgoła ani z potrzebami, ani z tradycjami miejscowej ludności. Doniedawna nawet prostych robotników koleje sprowadzały ze wschodu, chcąc jak najszybciej stworzyć pozory kraju rosyjskiego, zwłaszcza zaś działało się to w sekcji naczelnika trasy w Podwołoczyskach, administrującego odcinkiem aż po Skwarzawę. Dopiero stopniowo zaszła pod tym względem zmiana na lepsze. Z czasem tylko obsługa pociągów i parowozów była rosyjską reszta zaś personelu rekrutowała się już z żywiółw miejscowych, co znowu mocno nie podobało się wszystkim austrofilom, żądającym bezwzględного bojkotu rosyjskiej administracji zarówno wojskowej jak i cywilnej. Robotnik miejscowy płacony był zresztą lichy w przeciwieństwie do personelu rosyjskiego, otrzymującego podwójne pensje z dodatkiem. Maszyniści pobierali w ten sposób miesięcznie 400 rb. z dodatkami.

Postępujący nacisk rosyjskości odbił się potężnie na Tarnopolu. Żydzi, wykonując tu zbyt pochopnie rozkazy gubernatora, albo poumieszczali nad sklepami bez wahania w miejsce polskich napisy rosyjskie, co było niemal regułą, albo też w kilku wypadkach zrezygnowali wogóle z wszelkich ogłoszeń. W każdym razie miasto nabrało charakteru jakiegoś Krzemieńca czy Winnicy. Policja na rozkaz władz zarzuciła z miejsca dawne rogatywki i pa-

radowała w czapkach kroju rosyjskiego z czerwonymi galonami, święcono „galówki“, jak np. 3 listopada w dzień wstąpienia na tron cesarza Mikołaja i t. p. Na program owej „galówki“ składało się zamknięcie sklepów na pół dnia, uroczyste nabożeństwo urządzone w sali wykładowej gmachu Towarzystwa „Szkoły Ludowej“, przerobionej na prawosławną kaplicę, na które zaproszono wybitniejszych obywateli miejskich, przymusowa dekoracja miasta chorągwiami o barwach państwowych rosyjskich, a wieczorem iluminacja, zwłaszcza starostwa zarazem siedziby gubernatora, gdzie umieszczono wspianą koronę cesarską z lampek elektrycznych, dzieło dyrektora miejskiej elektrowni Mojżesza Salza. Drugą taką „galówkę“ i iluminację z racji urodzin matki cesarza Mikołaja urządzono 27 listopada.

Opieki policyjnej nad bezpieczeństwem ludności nie było natomiast niemal żadnej, bo policjantów używano do wszelkich możliwych czynności tylko nie do tropienia złodziei. Podobnie działo się też ze strażą ogniową, tą chlubą Tarnopola, której szeregi wobec wyjścia 6 strażaków na wojnę i tak przerzedziły się bardzo. Ci, którzy pozostali, czyścili codziennie u gubernatora posadzki, myli automobile i służyli do posyłek pani gubernatorowej. Obchodzono się z nimi źle, bito ich i poniewierano. Nie mieli oni nawet czasu okryć przed zimą deskami pomnika Mickiewicza, który wskutek tego niszczał na słotach i mrozie, dochodzącym już w listopadzie do 18 stopni.

Tam, gdzie polityczne zainteresowanie władz rosyjskich nie sięgało, tkwiły jakby w ukryciu i względnym spokoju dawne magistratury austriackie np. inspektorat podatkowy, pozostawiony nawet w swojej dotychczasowej siedzibie. Pilnował on aktów, niewymierzając nowych podatków. Urząd podatkowy ściągał jednak, co się dało, według wykazów za rok poprzedni, zebrawszy w ten sposób 20.000 K., które oddał ujezdnemu. Podobnie nie ru-

szano inspektora szkolnego, któremu tylko kazano zrobić wykaz nauczycieli i ich płac z podaniem źródeł, skąd pochodziło pokrycie wydatków (udział kraju, wsi, miast, dworów i t. p.). Gorzej było z sądem. Gubernator wmie-szawszy się do administracji sądowej usunął z urzędu radców żydów i wychrtów (Freunda, Rubińskiego), wszystkich auskultantów i Ukraińca radcę Raka. Sąd czynności swoich jednak nie przerwał. Dwa razy w tygodniu odby-wały się w sądzie obwodowym w sprawach karnych roz-prawy, przy których funkcjonował prokurator Lewan-dowski.

Jeżeli tak postępowano z urzędami tego rodzaju jak sąd, to tem bezwzględniej występowano wobec instytucyj i osób prywatnych. Najłaskawiej jeszcze załatwiono się z Ban-kiem Powiatowym, któremu pozwolono działać w ograni-czonym zakresie. Towarzystwo „Szkoły Ludowej“ ogra-biono prawie ze wszystkiego, co się dało unieść, pozosta-wiając narazie w spokoju tylko Muzeum Podolskie i bi-bliotekę. Stało się to mimo pozakładanych zrazu wszędzie pieczęci, mających zapewniać nietykalność zawartości szaf i niektórych pokoi. W prezydjum Towarzystwa umieszczono popa, w sali referentów jakichś urzędników a budynek cały mocno zanieczyszczono, urządzając sobie w jednej z sal drugiego piętra wychodek. Lokal Banku Kupieckiego opieczętowano i uniedostępiono mimo sprzeciwów dy-rektora radcy Michałowskiego. Sporo ludzi obito nahaj-kami a bardzo wielu osobom dokuczono inaczej. Biada było kupcowi, który w czemkolwiek dotknął kupującego Rosjanina, albo nie poszedł po myśli jego żądań co do wysokości ceny. Gdy prowadzący sklep galanteryjny Langa, niejaki Gajda zwrócił się do naczelnika Dobrogorskiego o wyrównanie rachunku w kwocie 104 rubli za wzięte naczynie, z miejsca został ukarany grzywną w wysokości 300 rubli za niedozwoloną jakoby sprzedaż nafty. Pełno-mocnik Cieńskiego z Horodyszcz musiał naczelnikowi do-

starzczać drobiu, jeden z mieszkańców Tarnopola ryby. O płaceniu za to nie było jednak mowy. Gdy pan naczelnik płacił, to chyba tak jak pewnej lamentującej przedemną żydówce z ulicy Mikulinieckiej, której za centnar węgla dawał 20 kopiejek, choć cena jego rynkowa wynosiła wtedy więcej niż rubla.

Zaczęła się też plaga „pieczętowania“ mieszkań, których właściciele wyjechali, które jednakże najczęściej znajdowały się pod życzliwą opieką znajomych i ubezpieczenia urzędową pieczęcią zgoła nie potrzebowały. „Pieczętowane“, przy tym procederze urzędowym traciły przeważnie część swego umeblowania i to zazwyczaj najcenniejszego. Najgorzej wyszła, wzięta w opiekę władz, nowo założona apteka przy ulicy 3 Maja, której zawartość z powodu nieobecności właściciela w całości wywieziono do Rosji czy też zabrano na cele wojskowe.

Specjalistą w wymyślaniu tych różnych form rządzenia, mających na celu chyba uświadomienie ludności, że okupacja rosyjska umie być dokuczliwą, był znowu naczelnik powiatu Dobrogorski. Zrozumienie miał on chyba tylko dla instytucyj kuchni ubogich, z których jedna mieściła się w lokalu stowarzyszenia św. Zyty a druga na probostwie grecko - katolickiem, prowadzona przez ks. Gromnickiego i jego żonę, co odbijało od postępowania prałata ks. Bolesława Twardowskiego, temi rzeczami się nie zajmującego. Wspomnianym kuchniom oddawał podobno Dobrogorski wszystkie ściągnięte grzywny, ja jednakże mam mocne podejrzenie, że czasem o którejs z tych sum zapominał. Dość, że przy końcu grudnia kuchnia w Stowarzyszeniu św. Zyty, właśnie z powodu nieotrzymywania zasiłków, była bliska upadku. Że nie przerwała swej działalności zawdzięczać należy w znacznej części O. O. Jezuitom, którzy wiktowali pewną ilość inteligencji bezpłatnie i wogóle dzielili się posiadaniem zapasami żywności. O. O. Dominikanie odcięci od swych źródeł dochodu, płynących ze

wsi, w pracy humanitarnej udziału brać nie mogli. Zupełnie zdala od akcji dobroczynnej stał także burmistrz dr. Mandel.

Wracając do charakterystyki urzędników, zaznaczę, że, gdy idzie o odnoszenie się do polskiego środowiska, nie lepiej od Dobrogorskiego czy Dobrohorskiego przedstawiał się gubernator Czaratoryżski. Typ wyższego czynownika rosyjskiego, który nie lubiał kontaktu z ludnością, a specjalnie polską, który całymi tygodniami nie wychodził z domu, który ani myślał o tem, że sztuka rządzenia to przede wszystkim zdolność skarbienia dla rządu, którego się jest reprezentantem, zaufania i życzliwości. Wezwawszy kogoś do siebie żądał przede wszystkim rozmowy w języku rosyjskim, a że takich ludzi, którzyby się po rosyjsku rozmówić mogli, było w Tarnopolu bardzo niewiele, stąd każda prawie audjencja zaczynała się od stereotypowych pogrózek pod adresem społeczeństwa, nie chcącego wlot zabrać się do poznawania języka Puszkina i Tołstoja. Tego rodzaju traktowania nie oszczędził nawet sędziwemu marszałkowi powiatu Drowi Stanisławowi Glogierowi. Szczególniejszą niechęcią pałał do ks. prałata Bolesława Twardowskiego, jakby duchowego przewodcy austrofilów. Poprawniejsze stosunki łączyły go z przedstawicielem kościoła grecko-katolickiego ks. Włodzimierzem Gromnickim. Że ów kurs lokalnej polityki nie był całkowicie pomysłem gubernatora Czaratoryżskiego lecz symptomem chwilowo zaostrego ustosunkowywania się okupantów do Polaków prawdopodobnie w całej Galicji, świadczył fakt, iż w tym samym mniej więcej czasie miało miejsce obraźliwe dla Polaków przemówienie hr. Bobrinskiego do prezydenta Rutowskiego, gdzie powoływał się on na sądy wojenne. Afiszowano je i w Tarnopolu w dwóch językach.

Stosunki w Tarnopolu i w Tarnopolszczyźnie były jednak zdaje się najnieznośniejsze. Już w sąsiedniej Zbarażczyźnie postępowanie władz przedstawiało się nieco ina-

czej. Tamtejszy naczelnik (ujezdny) Konaszewicz Sahajdaczny, według tego, co mi mówił marszałek powiatu zbaraskiego Ignacy Sochanik, szedł mu we wszystkim na rękę, zezwolił na dalsze urzędowanie autonomicznych władz powiatowych, konserwację dróg, wypłatę bodaj częściową pensyj funkcjonariuszom samorządu powiatowego i t. d. Sam zabiegał, aby powiat otrzymał na drogi subwencję w kwocie 16.000 rubli. Podległej żandarmerji polecił respektować polecenia marszałka jak swoje. Kierownik czytelnicy Towarzystwa „Szkoły Ludowej“ z Dobrywóde, włościanin Jędrzej Sasiadek, opowiadał mi, że Konaszewicz w rozmowie z nim zapewniał go, że Polacy robić sobie tam mogą, co chcą, odprawiać nabożeństwa, schodzić się w czytelnicy a nawet „wyłazić na dachy i wołać, że są Polakami“. Gdyby im kto dokuczał, on szybko zrobi porządek. Podobnie pełne tolerancji było postępowanie tego naczelnika z czysto polską wsią Netrebą, w której w niedzielę na tydzień przed Bożem Narodzeniem poświęcony został kościółek, choć z początku specjalnie ta wieś była w mocnem podejrzeniu, że pełna jest „sokołów“, tak, iż nawet swojego czasu groziło jej ostrzelanie z armat, w czym przeszkodzili Polacy z drugiej strony kordonu granicznego, wytłumaczywszy komu należy, iż niema podstaw do przypuszczeń co do buntowniczego usposobienia mieszkańców. Jeżeli mimo to w takich Dobrowodach odprawiała się msza św. tylko raz na miesiąc, to dlatego tylko, że nie było dość księży. W Zbarażu burmistrzem zrobił Polaka, sekretarza magistratu Topercera, a nawet dla żydów był względny. Patrzył przez palce, gdy po wsiach sprzedawali wódkę. Gorzej pod Konaszewiczem działo się tylko Rusinom. Kazał niszczyć obrazy i pomniki Szewczenki, gdy przy portretach cesarza austriackiego zadawał się tylko odwróceniem rysunku do ściany. Nierobił też wielkiej awantury z tego, gdy odkrył, że akta podatkowe zostały zamurowane w zamku.

Przyzwoitymi ludźmi byli także naczelnicy powiatów trembowelskiego i skałackiego, szczególnie zaś tego ostatniego, gdzie w charakterze tłumacza pracował znajomy mi, niejaki Kołomyjec, od którego miałem niejedną relację.

W Brodach naczelnikował, zresztą także dość znośnie, były śpiewak operowy Procenko. Ludność na niego nie narzekała i tylko O. O. Dominikanie z Podkamina okazywali duże niezadowolenie. W myśl zarządzeń ujezdnego wolno im było bowiem odprawiać codziennie zaledwie 2 msze a jednego z Ojców za kazanie zamknięto na 3 dni, poczem zakazano mu wogóle publicznie mówić i mieć nabożeństwa.

W Stanisławowie ujezdny był Gawański. Pozostawił on po sobie jak najlepsze wspomnienia, zarówno ze względu na swoje uprzejme traktowanie ludności jak i wskutek serdecznego odnoszenia się do Polaków. Porobił wizyty u tamtejszych mieszkańców i urządził gwiazdkę dla ubogich. Niedobrze natomiast w pamięci ludzkiej zapisali się naczelnicy w Czortkowie, i gdzie indziej. Nie tak jednak źle jak w wielu punktach środkowej i zachodniej Galicji, skąd o ich postępowaniu dochodziły wieści aż nad Seret. Najgorsze stosunki miały panować w Przeworsku.

W gmachu Towarzystwa „Szkoły Ludowej“, gdzie po szpitalu wojskowym nr. 135 w dniach 11 i 12 października zakwaterował się szpital nr. 356, leżało razem z żołnierzami rosyjskimi w 3 salach 16 polskich legionistów, przeważnie ciężko rannych. Korzystając z tego, że trzy razy tygodniowo, we wtorki, czwartki i soboty od 2—4 popołudniu był wolny wstęp do szpitala, odwiedziłem dnia 26 listopada nieszczęśliwych, wśród których szczególnie jeden ranny w obie nogi jęczał ogromnie. Lżej rannym był żyd-legjonista imieniem Srułko i jakiś oficer z przestrzelonem ramieniem. Traktowani oni byli na równi z Rosjanami, mieli łóżka czyste i porządne, które niegdyś

służyły bursie Towarzystwa „Szkoly Ludowej“. Rozdałem im wszystkim papierosy i pocieszyłem jak mogłem. Najbardziej dolegało im to, że w momencie, kiedy ważyły się losy świata i Polski, oni byli zmuszeni leżeć beczynnie. Zresztą bez wyjątku należeli do zdecydowanych zwolenników państw centralnych, a szczególnie Austrii, z czem, nawet nie pytani, wcale się nie taili. W tym nastroju podtrzymywali ich także prawie wszyscy miejscowi opiekuni, jak ks. Infulat Twardowski, którego spotkałem w szpitalu wśród rannych, i ze względu na swą samarytańską pracę nieporównanie więcej zasłużone rodziny Michałowskich, Gottliebów, Pohoreckich, Leiblingerów a szczególnie Aulichów. Każdy legjonista, opuszczający szpital i udający się z transportem jeńców w głąb Rosji, otrzymywał od znacznych tarnopolan węzełek z ciepłym ubraniem, świeżą bielizną i pewną sumą rubli. Powstawały te dary prawie wyłącznie ze składek ubogich urzędników, bo do dworów, zresztą zawsze niezbyt hojnych, ciężki był dostęp. Wiele z nich poza tem uległo ruinie lub grabieży, jak w Bajkowcach, gdzie zabrano 47 sztuk bydła, 12 koni i urządzenie mieszkalne, w Myszkowicach, gdzie okoliczna ludność ruska ograbiła dzierżawcę Noëla i ks. Więckowskiego, w Bohatkowcach, w Turczynowie, w Bucniowie, w Kutkowcach i gdzie indziej. W Łoszniowie, według opowiadań niejakiego Deskura z Trembowelszczyzny, rabowali dwór nawet najmajętniejsi chłopci, przyczem, co najciekawsze, nie darowali również swojemu własnemu Kółku Rolniczemu. Glinną, majątek Rozwadowskich spustoszyli gruntownie Rosjanie. Tadeuszowi Cieńskiemu z Pieniak pól prawie nie obsiano, nie mówiąc już o ogromnych szkodach w inwentarzu i rozdrapaniu pysznej pieniackiej kolekcji broni. Taka Kozówka w powiecie tarnopolskim, która wcale nie ucierpiała, należała do wyjątków, podobnie Roznoszyńce, gdzie sami chłopci bez poleceń obrobili dworskie grunta, lub Hołotki, odwieczna własność rodziny

Kańskich, gdzie znowu włościanie, rozebrawszy po chatach, oborach i stodołach cały inwentarz i urządzenie dworu, po przybyciu właściciela Kazimierza Kańskiego, wszystko do ostatniego przedmiotu zwrócili.

Nieźle wyszedł także hr. Rej z Mikuliniec, zdaje się dlatego, że przyjął Rosjan bardzo gościnnie. Nawet mikuliniecka gorzelnia ocalała! Inna została hrabiemu zniszczona dlatego tylko, iż żołdaci pytając czyja, zamiast Reja zrozumieli „jeweja“. Mimo to dochodów z majątku, pominawszy młyn, hrabia nie miał, tem więcej, że przygarnął wielu ludzi potrzebujących pomocy.

Potężna fundacja hr. Baworowskich administrowana przez Rosjan była różnie. W powiecie trembowelskim naczelnik powiatu Monasterski pilnował dochodów z dóbr fundacyjnych (Łoszniów, Krowinka i t. d.) i kraść nie pozwalał. Za rabunek dwóch ludzi zostało tam nawet straconych. Inaczej było w Tarnopolszczyźnie. Tu naczelnik powiatu Dobrogorski nic nie robił i szkodnicy, szczególnie leśni, rozgospodarowali się w najlepsze. Tylko młyn w Czartorji, który pracował dla potrzeb wojska, przynosił fundacji około 400 rubli tygodniowo, z czego 1000 Koron wysyłano do Lwowa na ręce mecenasa Dra Godlewskiego na utrzymanie biblioteki. Humanitarnie działała fundacja w ten sposób, że dawała na kredyt urzędnikom i nauczycielom drzewo z lasów Myszkowickich, gdzie za sążen dobrego (grabiny) płacono na miejscu po 36 K. a lichego (lipy, olchy) po 20 K. Cena dębiny dochodziła do 28 K. Przy kosztach dostawy do Tarnopola, wynoszących 9 K. od sążnia, mało który urzędnik i na taki wydatek mógł się zdobyć.

Już 28 listopada, a zatem zaledwie po pięciu dniach pobytu w Tarnopolu, opuściłem znowu to miasto i udałem się do Lwowa, w którym oddychało się nieporównanie swobodniej i nie czuło się nad sobą tak bezpośrednio pięści kapryśnych okupantów. Przy jakiej takiej obrotności

i ruchliwości, nieporównanie też więcej można się tam było dowiedzieć, co się działo na froncie i w świecie politycznym, co znowu dla momentów, jakie się przeżywało, było czemś niezmiernie pociągającym. Raz wraz ktoś się przedzierał przez linię bojową z Zachodu i informował jak się ustosunkowywano do sprawy polskiej w Wiedniu i w Berlinie. Dużo wiadomości przywiózł niejaki Karol Wierczak, który w Nowym Sączu oglądał przemarsz wojsk austriackich a w tydzień potem wkroczenie, owacyjnie witanych, Rosjan. Również Dr. Ignacy Weinfeld. Jeszcze 1 listopada był on w Krakowie i obserwował wzajemne zachowanie się wobec siebie wojsk austriackich, pruskich i formacyj strzeleckich, stwierdzając, że gdy między pruskimi i austriackimi oficerami nie było niemal żadnych stosunków towarzyskich, to jak najlepiej układały się one między Prusakami a strzelcami, a w każdym razie lepiej niż między strzelcami a Austriakami. Przywiózł on także i skądinąd zresztą potwierdzoną wiadomość o antypolskim kursie rządu wiedeńskiego, o trudnem stanowisku Piłsudskiego, o krwawej bitwie pod Jarosławiem, o sukcesach oręża austriackiego pod Dęblinem i o pobiciu Prusaków pod Warszawą. Od ludzi, którzy przyjechali ze stron bliższych, a zwłaszcza z okolic między Sanem a Wereszycą, nasłuchać się znowu można było, co się działo na licznych tamtejszych pobojuwiskach, co szczególnie dla mnie, który od lat wielu zajmowałem się pracą społeczną, stanowiło ważny przyczynek do poznania duszy ludu. Oto opowiadano jak to szczególnie nocą wypelzały na pobojuwiska chmary chłopstwa i obdzierały do naga rannych i zabitych, a tak w tej niecnej robocie stały się cyniczne, iż zgoła nie odczuwały najmniejszego wstydu i wyrzutów sumienia. Bały się tylko kul sanitariuszów. Bywało, że i motłoch lwowski wychodził na takie wyprawy. Pokazywano mi pewnego woźnego bankowego, który na ograbianiu zabitych i rannych bardzo się wzbogaciwszy, wręcz się

tem chełpił. Młody Gubrynowicz, lwowianin, miał zupełnie pewne dane, że rabujący chłopci w którejś podlowskiej gminie zbuszowali nawet i grobowce.

Fatalnie działo się też i jeńcom. Mrozy, jakie zbyt wczesnie wystąpiły, sprawiały, że Rosjanie wziętych do niewoli często obdzierali z ciepłej odzieży, tak, iż wielu z nich podmrażało sobie szczególnie nogi i tak wyglądało, iż ludzie na ich widok płakali. Niewątpliwie przecież i złe wyekwipowanie żołnierza austriackiego było temu winne. Sam widziałem 4 grudnia całe szeregi jeńców, gromadzonych w tym czasie szczególnie w kasarni obok Domu Inwalidów i w pobliskiej szkole, w obuwiu szmacianem (Komodschuhe), nietrwałem, w którym dziury wypchane były słomą i szmatami.

Zresztą Lwów przedstawiał ten sam widok, co w miesiącach poprzednich.

Przedewszystkiem ciągle przemarsze posiłków na zachód, zdaje się głównie w nieszczęsne Karpaty. Dnia 1 grudnia przeszły wielkie partje starych żołnierzy „opólczenia“, przeważnie ciemno ubranych w czapkach, z krzyżami, pod dowództwem równie starych oficerów. W cztery dni później przesunęły się masy konnicy a 6 grudnia w samo południe przy dźwiękach kobzy i bębna, niosąc niebieską, srebrem wyszywaną chorągiew, na małych konikach, oddziały Tatarów czy Czeceńców. Te, nawet na najczelniejszej ulicy Karola Ludwika głośno wyjąc, niemałym strachem napełniały lwowian a zwłaszcza żydów. Za nimi toczyły się znowu armaty, karabiny maszynowe i treny. Podobne widowisko powtórzyło się 9 grudnia, kiedy przez miasto przechodziły, defilując przed hotelem George'a, pułki jazdy w turbanach. Było tych jeźdźców dwa tysiące. Przypuszczać należy, że defiladę wywołała okoliczność, iż w hotelu George'a stanął 4 grudnia i tam zamieszkał brat głównodowodzącego Wielkiego Księcia Mikołaja Mikołajewicza.

Rosjanie w dalszym ciągu wobec ludności cywilnej dopuszczali się różnych nadużyć. I jeżeli tak było we Lwowie, to jeszcze gorzej działo się w okolicy. Włościanie ze Skniłowa opowiadali, że tam i w sąsiedztwie zakwaterowali się jacyś „Tatarzy“, którzy wchodzili do chat i gwałcili kobiety nawet brzemienne. Również mordowali je, a bezsilni mężowie krzyczeli rozpaczliwie po wsiach. Użalić się jednak nie było przed kim. We Lwowie znowu głośną stała się sprawa bardzo poważnego kupca, niejakiego Czuzaka. Oto Rosjanie, którzy w jego piekarni „Merkury“ wypiekali chleb, posądzili go, że uprawia jakieś nadużycia z mąką. Został zamknięty w gradonaczalstwie. A ponieważ stać było mu trudno, zwrócił się do żandarma z prośbą o krzesło. Ten krzesła nie dał, a natomiast obraził go bardzo. Wtedy Czuzak zauważył krótko: „jak pan śmiesz tak postępować ze mną“. Słowa te rozpetęły istną furję gniewu żandarma. Na oczach wielu osób, chwyciwszy za gardło, tak pobił Czuzaka, iż mimo nocy trzeba było przywołać do niego lekarzy, poczem, po złożeniu 50.000 rubli kaucji, pozwolono przenieść nieszczęśliwego do domu.

U mnóstwa ludzi zrobiono rewizje i mnóstwo siedziało w więzieniach za rzekome przewinienia polityczne. Często byli to nawet tacy, którzy jako wrogowie państw centralnych w zasadzie Rosjanom sprzyjali. Albowiem do osobliwości rządów rosyjskich należało i to, że począwszy od generał-gubernatora a skończywszy na prostym „stupajce“, zarówno we Lwowie jak i na prowincji do austrofilów i germanofilów ustosunkowywano się w praktyce więcej poprawnie niż do innych.

Rosjanie znali się jednak i na innym, sprytniejszym działaniu. Oto ustanowiwszy niski kurs korony, która oficjalnie miała się równać tylko 30 kopiejkom, składali w bankach ruble i żądali ich wymiany. Dnia 11 grudnia w Banku Przemysłowym wymienili oficerowie w ten spo-

sób 50.000 rubli, narażając Bank na dużą stratę, wobec tego, iż faktyczny kurs korony był znacznie wyższy. Podobne postępowanie oficerów miało miejsce i gdzie indziej.

brak A urzędy wykonawcze rosyjskie, te ich „uczastki“, „kaszniczejstwa“ i t. p. To nowy kapitel martyrologji ludności. Przekonałem się osobiście, że aby kupić znaczek stemplowy na dokument podróży, wydawany przez gradonaczalstwo, trzeba było w dawnym gmachu Galicyjskiej Dyrekcji Skarbu przejść całą niezmiernie nużącą historję wojskowo-bankową, z ustawianiem się w szeregi, wpuszczaniem w kolejce i t. p. Podobnie było i z płacaniem podatków, które w początkach grudnia zaczęto ściągać na rachunek Skarbu rosyjskiego. Tylko magistrat „dusił“ swoje należytości bez wielkiej ostentacji.

Mistrzami byli natomiast Rosjanie w prowadzeniu sklepów kooperatywnych. Powstawało ich dosyć. Taki np. otwarty w drugiej połowie października sklep „Moskowsko ekonomičeskoho obszczestwa oficerow“, urządzone przy ulicy Kopernika w gmachu Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego, można było nazwać wzorowym.

Różne sprawy przeważnie natury publicznej skłoniły mnie, iż 12 grudnia znowu wyruszyłem do Tarnopola. Podróż odbyłem w towarzystwie żydów z Odesy, rosyjskich lekarzy i grecko-katolickich kleryków, którzy opowiadali straszliwe rzeczy, przebyte we wsi Wisłoku na pograniczu Węgier. Niesłychane akty dzikości wojsk węgierskich, stosowane w odniesieniu do tamtejszej ludności ukraińskiej, ucieczka tych bohaterów na Węgry po pogromie zgotowanym im przez Rosjan, a potem obdzieranie do naga trupów wywarło na młodych ludziach niezatarte wrażenie.

Po obejściu w Tarnopolu znajomych i po pozbieraniu różnych miejscowych nowin na temat kto uwięziony a kto z więzienia wypuszczony, jak się mają ranni strzelcy w szpi-

talu rosyjskim, jaki jest nastrój mas ludowych i t. p., dnia 15 grudnia wraz z byłym posłem sejmowym, radcą rządu Emilem Michałowskim, udałem się do naczelnika powiatu Dobrogorskiego, aby rozpocząć starania o otwarcie Banku Kupieckiego. Po zameldowaniu się i po przedłużeniu wy-czekiwaniu się w sieniach dostaliśmy się wreszcie przed oblicze tego potentata, który przyjął nas jak najgorzej, bo przy drzwiach pokoju, nie podając ręki i szorstko tylko zaznaczając, że sprawa, z którą przyszliśmy, należy do gubernatora. Trzasnąwszy drzwiami wyszedł. Cała audjencja nie trwała chyba minuty.

Nazajutrz zacząłem przygotowywać się do posłuchania u gubernatora. Napisałem podanie, dałem je do przetłuczenia na język rosyjski i odwiedziłem niejakiego Dra Siokałę, który u gubernatora spełniał funkcje sekretarza. Starorusin, stąd mający u Rosjan duży mir, człowiek przyzwoity, chętnie rozmawiał po polsku i nie odmawiał nigdy pomocy, gdy się do niego zwrócono. Do gubernatora dostałem się jednak dopiero 21 grudnia, znowu razem z radcą Michałowskim. Po oddaniu Dr. Siokale biletów zostaliśmy zaraz wpuszczeni. Oświadczyłem gubernatorowi, że mogę mówić po polsku, francusku lub niemiecku, bo językiem rosyjskim niestety nie władam. Zgodził się ostatecznie na francuski, choć nie bez grymasu w twarzy i wyrażenia swego nieukontentowania, iż dotąd nie wziętem się do studjum tego języka, którym w przyszłości bezwzględnie będę się musiał posługiwać, bo Galicja to „ruski kraj“. Gdym mu w zwięzłej formie wyjaśnił z czem przyszedłem, odpowiedział, że sprawę odeśle generał-gubernatorowi do decyzji, atoli wyprasza sobie w swojej obecności nazywać raz na zawsze „ruski Lwów“ z francuska Leopold. Statut kazał oddać ujezdnemu, wpytując się tylko starannie, czy w dyrekcji lub radzie nadzorczej banku nie zasiadają żydzi. Pożegnał nas przez podanie ręki.

Audjencja przyjemną nie była, ale ostatecznie o całe

niebo przywoitszą niż u ujezdnego. Może być, że trafiłem na dobry humor kacyka, bo sądownikom, dopominającym się pensyj z zebranych pieniędzy podatkowych, zdarzyło się gorzej. Gdy weszli i chcieli mówić po polsku, ryknął podniesionym głosem „gawarit pa russki“ czyli po rosyjsku, a potem, wykrzykując: „małczat', słuśzat', rabotat', razchaditief“, wyrzucił wszystkich za drzwi. Otrzymali pensję dopiero kilka tygodni potem 24 grudnia i tylko za jeden miesiąc a w dodatku w rublach. Wyszli jednak w każdym razie nieco lepiej niż nauczyciele ludowi, którym Bank Przemysłowy we Lwowie, licząc na późniejszy zwrot, wypłacił wszystkiego po 12 rubli zasiłku, lub jak urzędnicy państwowi w Zbarażu, którym znowu Rosjanie dali po 2 korce kartofli, coś opału i po 10 koron, zdaje się z pieniędzy pochodzących z świeżo zebranych na miejscu sum podatkowych.

Najlepiej robili ci, co się na takie chude zaopatrzenie nie oglądali i wyszukali sobie inne zajęcie jak profesor języka polskiego Andrzej Stopka, który był dróżnikiem i obchodził sekcje Tarnopol — Żałożce i Tarnopol — Złoczów, lub prof. matematyki Bodnar, który prowadził fabrykę tutek cygaretowych. Miał trzy maszyny i ogromny odbyt, sprzedając tysiąc po 1,60 K. Także bardzo praktycznie urządził się prof. Aleksander Solecki, prowadząc księgarnię Pola. Obok dwóch już istniejących agencji gazet (Łeszczunki i Kołomyjca) otrzymał on pozwolenie na urządzenie trzeciej i rozpoczął głównie sprzedawanie tych gazet, których tamte agencje nie miały, jak „Wieku Nowego“ i innych. Zbywał też wojskowym dużo map, a urzędom gminnym portretów Mikołaja II. Niektórzy nauczyciele ludowi zdołali umieścić się w fundacji hr. Baworowskich, jak kierownik szkoły Żołyński z Myszkowic, kierownik szkoły w Baworowie Bryczkowski i inni. Płacono im od 100 do 150 koron miesięcznie.

Wogóle wobec wzrastania drożyzny wszelki nieela-

styczny dochód zawodził. Drzewa centnar kosztował zrazu 1,80 K., aby niebawem pójść bardzo w cenie, bo do 1,20 rubla za 100 kg. Tak samo wzrosła cena ważnego w ziemie prądu elektrycznego o 30⁰/₀, a zwykła, słaba, 25 świecowa lampa Vertex kosztowała 1 rubla. Tylko w niektórych stronach kraju, trudniej dostępnych, nie uwidaczniał się postęp drożyzny. Np. w południowej części powiatu brodzkiego względnie tania była pszenica, bo za 100 kg. żądano tylko 20 K. Również niedrogie były tam i kartofle.

Dnia 19 grudnia uczczono imieniny cesarza Mikołaja II uroczystem nabożeństwem, odprawionem o godz. 10 rano na placu Sobieskiego dla wojska, a w sali wykładowej Towarzystwa „Szkoly Ludowej“ dla czynowników. Na tem byli obecni zaproszeni: burmistrz miasta Dr. Mandel, prezydent Sądu Okręgowego Kozicki, prokurator Lewandowski i naczelnik policji miejskiej Kohut. Po nabożeństwie przyjęcie u gubernatora z wódką, winem i szampanem, w czasie którego wznosił on toast na cześć austriackich „czynowników“ w ręce Dr. Mandla a osobno zdrowie Kohuta. Mandel podziękował po polsku i wznosił zdrowie gubernatora. Wieczór odbyła się iluminacja miasta i domów a na starostwie wyświetlono, ułożone z lampek elektrycznych, ogromne monogramy N II i A Θ (cesarza i cesarzowej).

Święta Bożego Narodzenia według obrządku rzymskokatolickiego przeszły spokojnie. Tradycyjna „pasterka“ nie odbyła się jednak w nocy lecz dopiero rankiem a kazanie w kościele parafjalnym, gdy ksiądz odezwał się: „darujesz nam Jezu, że dnia tego nie będziemy tak weseli jak zwykle“, wywołało głośne szlochanie licznie zebranych wiernych.

Jeszcze tłumniejsze były nabożeństwa na zakończenie roku, atoli w dniu Nowego Roku zaniechano składania sobie zwykłych życzeń.

Święta według obrządku wschodniego, słoneczne

i ciepłe, obeszły się bez wszelkich ekscesów i nadzwyczajności. Znamionowało je szczelne zamknięcie sklepów w czasie dwóch dni, lepszy niż zazwyczaj wygląd zewnętrzny snujących się żołnierzy rosyjskich i pełna obsada wszystkich miejsc w jedynym grającym, nawiasem mówiąc bardzo skromnym a wcale drogim, bo po 50 kopiejek liczącym sobie za krzesło, kinematografie „Podole“. Gubernator z przyjęciem oficjalnem wystąpił dopiero 14 stycznia jako w dniu rosyjskiego Nowego Roku. Odbyło się ono w magistracie. Na zaproszenie Czartoryżskiego jawili się wszyscy urzędnicy oddziału podatkowego i magistratu, prezes sądu Kozicki, prokurator Lewandowski, czynownicy i oficerowie. Gubernator wniósł toast na pomyślność cesarza, cesarzowej i następcy tronu, a nadto na pomyślność urzędników austriackich. Odpowiedział mu Dr. Mandel toastem po rosyjsku, co w odpowiedzi wywołało zadowolenie gubernatora, że słyszy po raz pierwszy jak burmistrz tarnopolski w tym języku przemawia. Życzył mu zatem, aby wiele jeszcze lat burmistrzował pod berłem „miłościwie panującego“ Mikołaja II. Wszyscy napili się po szklance szampana, bez wszelkiego dalszego fetowania. Potem do puszki, postawionej przez jednego z czynowników, zbierano składki na biednych.

Ciekawsze ze względu na wzajemne ustosunkowanie się prawosławnych i grecko-katolików było święto Jordanu, w dniu Trzech Króli, połączone, jak wiadomo, z publicznem święceniem wody. Prawosławni zajęli miejsce grecko-katolikom na placu Sobieskiego, gdzie oni oddawna urządzali uroczystość i już dzień popród wzniesli 3 krzyże z lodu, otoczone zieloną choinką. Środkowy był większy a wszystkie zwrócone frontem ku ulicy 3 Maja. Cały dzień i całą noc pilnowali tych przygotowań policjanci. Grecko-katolicy ustawili natomiast ołtarz przy ulicy Mickiewicza, koło figury św. Tekli, zwrócony frontem do kościoła parafjalnego. Dnia 19 stycznia około godziny 11¹/₂ ruszył

pochód prawosławny z gmachu Towarzystwa „Szkoły Ludowej“. Za popem postępowali oficerowie i kilka pań, potem piechota z karabinami, tłumy ludu, oddział kozaków i znowu lud, zdążając ku placowi Sobieskiego ulicą 3 Maja. O godzinę później, bo około 12^{1/2}, ruszyła procesja grekokatolików ulicą Mickiewicza, koło prokuratorji ku t. z. Średniej cerkwi. Niesiono kilkanaście chorągwi, feretronów a wszyscy niosący mieli na sobie wstęgi (lenty) o barwach ukraińskich, żółto-niebieskich, tak, że ten kolor dominował wśród idących. I z chorągwi zwieszały się takie same szarfy. Procesja śpiewała, a parocha ks. Włodzimierza Gromnickiego otaczało kilku księży w żółtych kapach. Pochodowi towarzyszyły ogromne tłumy, z pewnością mniejsze niż prawosławnemu. Na propozycję gubernatora, uczynioną ks. Gromnickiemu, aby Jordan święcić wspólnie z prawosławnymi, ten dał odpowiedź odmowną.

Nie wszędzie jednak prawosławie czyniło tak bezskuteczne zabiegi. Według relacyj przyjezdnych z powiatu brodzkiego, a zwłaszcza dobrze znającego tamtejsze stosunki nauczyciela Zygmunta Hermana, na prawosławie przeszły tam były wsi Palikrowy, Kutyszcze, Popowce i jakaś czwarta. Ciekawa rzecz, iż to zrobiły (z wyjątkiem 3 gospodarzy, jednego Rusina i dwóch Polaków, w tem starego wójta Jana Krąpca), posiadające duży procent ludności polskiej, Palikrowy. Ową zmianę przekonań religijnych przypisywano powszechnie sprytowi agitacyjnemu księdza prawosławnego niejakiego Bareckiego czy Baryckiego, który pochodził z tych stron i wychował się w Rosji.

W Tarnopolszczyźnie chłopci ukraińscy kupowali tylko rosyjskie kalendarze i z nich dopiero dowiadywali się bliżej, co to jest prawosławie. Poza tem przyjmowaniu nowej religji stał na przeszkodzie cały kierunek politycznego myślenia ruskiego włościaństwa. Tutaj było ono jako ukraińskie długi czas przeważnie strojone na nutę antyrosyj-

ską, gdy w Brodyczyźnie oddawna panowały bardzo silne wpływy moskalofilskie. Tak ukształtowane stosunki mogły rzecz prosta i w Tarnopolszczyźnie ulec zmianie, ale na to potrzeba było czasu. Narazie włościństwo tak polskie jak i ruskie, o ile mu Rosjanie nie dokuczali, przyjmowało ich z obojętnością, czasem z pewną życzliwością, przelotną ciekawością i wyrabiało sobie swój własny sąd o świeżych przybyszach.

Obserwowało ono pilnie, jak wiem z prowadzonych rozmów, takie rzeczy jak, że prawosławni w Zbarażu chodzili do cerkwi grecko-katolickiej na nabożeństwa, które tam odprawiał miejscowy paroch ks. Zajączkowski, ale jeszcze więcej, jak zachowywali się rosyjscy żandarmi, czynownicy i to wszystko, co stanowiło nowy rząd. Te zaś obserwacje musiały w nich wyrabiać dużą rezerwę. Żandarmi, przychodzący do wsi, grozili nahajkami, ujezdni bili wójtów po twarzy, jak np. w Romanowem Siole i gdzie indziej, zdzierano z chłopów pod pozorem dobrowolnej zbiórki kozuchy dla wojska, jak w Zbarażczyźnie, brano łapówki a prócz tego tamowano niepotrzebnie normalny bieg życia gospodarczego. Wielu chłopów niepokoiło się nadto zapomnianą w gwarze wojennym sprawą ciężących na ich gruntach długów i z lękiem myślano o przyszłej spłacie kapitału i procentów, jeszcze inni brali Rosjanom za złe niszczenie przez nich tego, czem się wieś szczyliła, a zatem kooperatyw, bibliotek, kółek rolniczych i innego tego rodzaju dorobku. Nawet buszowanie kozaków po dworach, palenie fortepianami lub obrazami, nie mówiąc już o podpalaniu samych folwarków, chłopu raziło. Wyrósł on już był bowiem dzięki pewnej kulturze z instynktów niszczycielskich. Chłop czekał, przyjmował mniej lub więcej chętnie rubla zamiast korony, rozumie się, że nie po kursie oficjalnym ale przedwojennym, wolał jednak koronę. Nieżyczliwym Rosjanom zasadniczo nie był, atoli w gruncie rzeczy, jako konserwatysta, nastrojony był

austrofilsko, i to nawet niedawny moskalofil. Rosjanie i na gruncie wiejskim egzaminu ze sztuki administrowania nie złożyli. Dla nich, przeważnie już uświadomiony politycznie i narodowo chłop galicyjski, był ich „krestjaninem“ i „muzykiem“. Różnic nie dostrzegali, a te, które były, przypisywali tylko powierzchownej ich zdaniem agitacji trzech przedewszystkiem czynników, ukraińskiej „Proświty“, polskiego Towarzystwa „Szkoły Ludowej“ i „Sokoła“. Nienawidzili też te organizację z całego serca. Zarówno o mnie jako o przewodniczącym Towarzystwa „Szkoły Ludowej“ jak i o Dr. Celestynie Podleskim, prezesie Sokoła, gubernator wyrażał się z najwyższem niedowierzaniem, np. w rozmowie z prof. Stanisławem Grabskim i z niektórymi moskalofilami, którzy mi potem na ten temat dawali informacje. Gdzie można, ze strony władz rosyjskich dawano też owemu niechętnemu nastrojowi wyraz w sposób wyjątkowo szorstki i bezwzględny. Ostateczne odebranie budynku Sokoła z rąk polskich, które nastąpiło nieco później niż zagarnięcie gmachów Towarzystwa „Szkoły Ludowej“, odbyło się w ten sposób, że dnia 15 stycznia wszedł tam naczelnik powiatu Dobrogorski z 2 księżmi prawosławnymi, policjantem oraz żandarmem i zapytał spotkanego w gmachu sokoła Feliksa Żerebeckiego, co tu robi. Gdy ten odrzekł, że jest zawiadowcą sokolni, Dobrogorski oświadczył szorstko: „ja tu jestem zawiadowcą, oddać mi klucze“. Żerebecki, rzecz prosta, uczynił to natychmiast i wyszedł. Rosjanie budynek zamienili na cerkiew.

Jedyną formą, umożliwiającą swobodne obcowanie dwóch społeczeństw, polskiego i rosyjskiego, mogły być jakieś koncerty, rauty i zabawy. Ale nic takiego nie urządzano z polskiej strony dlatego, iż nieśmiano wprost zbliżać się do Rosjan, których urzędowi przedstawiciele zdradzali wyraźną animozję do polskośći, z strony zaś rosyjskich „zwycięzców“ dlatego, iż wierzono, że i bez tego wszystkiego Polacy mogą być mocno trzymani. Wyjątek

stanowił koncert, urządony przez Rosjan na cele humanitarne przy końcu stycznia w sali magistratu z udziałem miejscowej nauczycielki śpiewu Olgi Rybakównej, wiolonczelisty Wolfsthala oraz 10 letniej córeczki dyrektora miejskiej elektrowni, inżyniera Mojżesza Salza. Audycję zapowiadały rosyjsko-polskie afisze, wymieniając ceny miejsc od 22 kop. do 3 rub. 10 kop. Co do Polaków to mało kto przyszedł, z wyjątkiem kilku pań, zaproszonych do bufetu. Nie mieli poprostu przeważnie za co kupić biletów. Moc natomiast było żydów, którym z urzędu sprzedawano karty wstępu, roznoszone przez żandarmów. Gubernator zjawił się z całym otoczeniem, a zachwycony grą małej Salzównej zaprosił ją na obiad. W środku audycji śpiewano: „Boże caria chrani“.

We Lwowie tymczasem w polskich organizacjach politycznych przypomniano sobie Tarnopol. Dnia 21 stycznia zjechał tu jeden z działaczy narodowo-demokratycznych Karol Wierczak, mający możliwość swobodnego poruszania się w całym kraju na podstawie biletu wolnej jazdy i legitymacji, wystawionej przez generał-gubernatora, a dnia 24 stycznia prof. Stanisław Grabski, który niedawno wrócił z Warszawy.

Już Wierczak zaznajomił nas nieco z dokonywującą się zmianą nastrojów politycznych w sferach generał-gubernatorstwa, gdzie z łask zaczęli coraz to bardziej wypadać moskalofile za bezustanne wyciąganie rąk do Rosjan, więcej jednak nieporównanie powiedział nam Grabski. Rzecz dla stosunków rosyjskich atoli charakterystyczna, że ujezdny Dobrogorski, choć znać musiał kierunek polityczny, reprezentowany przez Grabskiego, nie zezwolił mu przecież na odbycie zgromadzenia w niedzielę o godz. 12 w południe, jak było planowane, ale polecił z tą sprawą poczekać do przyjazdu gubernatora. Ten po przybyciu dał odpowiedź przyzwalającą i zgromadzenie odbyło się

w poniedziałek 25 stycznia o godz. 4 popołudniu w sali Rady Powiatowej.

Grabski mówił 2 godziny i 3 kwadranse. Opowiadał o nastrojach w Rosji, o swojej wizycie w sztabie, o potrzebie działania i zbliżania się do Rosjan. Radził przez moskalofili trafiać do Moskali, którzy przychodzili coraz to bardziej do przekonania, że w Galicji należy im się oprzeć na żywiole polskim. Podobno imponowało im nasze szkolnictwo, nasze drogi, nasze instytucje, samopomoc rozwinięta przez administrację miasta Lwowa i inne takie rzeczy. Z drugiej strony, źle na ich nastrój wobec polskości wpływała wielka ilość austrofilów, którzy nie siedzieli cicho lecz dość żywo się krzątali. O wielu polskich sprawach i osobach nabrali Rosjanie zupełnie mylnego przekonania właśnie wskutek relacyj owych obcujących z nimi austrofilów. Tak działo się we Lwowie, tak samo i w Tarnopolu, gdzie naczelnik powiatu, o ile gdzie bywał, to wyłącznie tylko w domach wyrażnych austrofilów i nimi lub żydami stale się otaczał (Adler, Jawetz i t. d.). Ci chyba nie mogli powiedzieć wiele Rosjaninowi o nastrojach sfer polskich, gubernator zaś, jako człowiek a priori zupełnie „zapięty“ wobec polskości, o korekturę swoich poglądów się nie starał.

Bliżej i szerzej raz jeszcze wyjaśnił te kwestje Grabski nazajutrz, gdym go do siebie poprosił na obiad i spędził z nim oraz z doktorem Celestynem Podleskim kilka godzin aż do odjazdu profesora w kierunku Lwowa. Omawialiśmy także sprawę założenia pisma w Tarnopolu, komitetu obywatelskiego we Lwowie i polskiego szkolnictwa, które leżało zupełnie odłogiem, zarówno powszechne jak i średnie. Właśnie 21 stycznia kazał ujezdny ostatecznie zapieczętować gabinety w szkole realnej, po poprzednim już unieprzystępnieniu bibliotek, świeżo zaś zamianowany inspektorem czy wizytatorem szkolnego okręgu lwowskiego jakiś Januskiewicz na podstawie swej krótkiej i niezmierną

ordynarnością nacechowanej bytności u dyrektora jednej z średnich szkół tarnopolskich, Trojnara, zapowiadał się jak najmniej zachęcająco do snucia optymistycznych nadziei na przyszłość. Zaczął on od zorganizowania rosyjskiej szkółki na 50 dzieci, dziewcząt i chłopców, przy działających kursach języka rosyjskiego dla dorosłych, mieszczących się w budynku szkoły realnej. W momencie, gdy Grabski był w Tarnopolu, wisiały na murach miejskich, z podpisem burmistrza Dr. Mandla, afisze w dwóch językach, donoszące, że z dniem 27 stycznia otwarta zostanie rzeczona szkoła i zachęcające rodziców do jak najpilniejszego zapisywania do tego zakładu swych dzieci. Prócz tego mnóstwo ludzi zaczęło uczyć się po rosyjsku prywatnie.

Bytność prof. Grabskiego nie miała najmniejszego wpływu na sposób myślenia szerszych kół miejscowego społeczeństwa. Austrofilizm kwitł dalej wśród ludzi w najlepsze i nawet widocznie wzrastał się z każdym dniem. Coraz częściej zdarzali się ludzie, których dotąd uważałem za Polaków, a którzy teraz wykrzykiwali głośno „jestem Austrjakiem“. Tak radykalnie w tym kierunku nastrojone osoby spotykało się zaś nawet wśród inteligencji z akademickimi studjami, wśród wykształconych pań, słowem wśród osób, które przedtem obraziłyby się srodze, gdyby je ktokolwiek o „austrijackość“ posądził. Niektórzy wzdychali, iżby bodaj Kraków pozostał przy Austrii, „aby był zakątek Polski, gdzie zachowa się wolność“.

Ów filoaustrjacki nastrój dawał się sprowadzić przeważnie do motywów materialnej natury. Przeciwno Rosji byli wszyscy karczmarze, którym zakazano szynkować wódkę, wszyscy urzędnicy, którym nie wypłacano pensji, wszystkie prawie zawody wolne, a nadewszystko kler, zadowolony o swoją przyszłość w granicach zwiększonej Rosji. Wyraz temu pogładowi dawał kilkakrotnie tarnopolski infulat ks. Bolesław Twardowski, który podobno jedną tylko

dobrą stronę widział w przejściu Galicji pod berło „białego cara“, t. j. w zniesieniu zakonów, jak to miał zaznaczyć w rozmowie ze swoim pomocnikiem ks. Leopoldem Klementowskim, o czym po mieście kursowały różne wersje. Zakonów serdecznie bowiem nienawdził, zwłaszcza zaś O. O. Dominikanów, z którymi oddawna wiódł spór o wpływy i znaczenie. Nawet wzniesienie w Tarnopolu, liczącym wszystkiego z przyległościami 10.000 dusz rzym. katolickich, trzeciego kościoła, t. zw. parafjalnego, nawiasem mówiąc zupełnie niepotrzebnego, w znacznej części odbyło się na tle owych nieporozumień z zakonami.

Różne brutalne lub niecelowe zarządzenia Rosjan, jak np. rozciągnięcie na nowo kordonu na granicy przeciwko wchodzeniu towarów z Galicji do Rosji a zezwalanie na przywóz rosyjskich, w urabianiu nastrojów austrofilskich szły dopiero w drugą parę, a trzecim i najsłabszym już chyba motywem były kalkulacje polityczne, związane z przyszłością Polski. Takich, którzy dlatego tylko stali przy Austrii, iż myśleli, że tędy wiedzie droga do wolności Ojczyzny, było coraz to mniej. Pod wpływem szorstkiej i twardej rzeczywistości zaczął się już bowiem rozkład moralny inteligentnych warstw społeczeństwa.

Ze względów czysto politycznych, powiedzmy idealnych, najwięcej adherentów posiadała Austrija jeszcze między żydami. Ale myliłby się ktoś, przypuszczając, że tam wyjątków nie było. Owszem trafiali się nieraz fanatyczni wprost zwolennicy orientacji antyaustriackiej, którzy później musieli nawet uciekać do Rosji, jak np. inteligentny, choć chałatowy kopyczyński żyd Aszkenazy, czasu wojny handlujący drożdżami z fabryki w Kolendzianach i dostarczający tego towaru Tarnopolowi w cenie 240 koron za 100 kg, a przedtem właściciel agencji kart okrętowych. Aszkenazy, znający doskonale administrację austriacką i łapownictwo wielu urzędników, okazując różne dowody, pouczył mnie niemało w jak marnych często rękach spo-

czywała przed wojną władza po pojedynczych powiatach. Miał tych rządów dosyć i uważał, że nigdy one nie doprowadzą do renesansu polskiego społeczeństwa, ale że droga do tego celu prowadzi przede wszystkim przez porozumienie się Galicji z innymi zaborami.

Zdarzenia i widoki, jakie przesuwają się przez Tarnopol, były zresztą ciągle jedne i te same. Dnia 3 stycznia a potem 20 pędzono przez miasto pod eskortą kozacką większe, ponad pół tysiąca głów liczące partje jeńców austriackich, w drugim eszelonie także 3 strzelców z formacyj polskich. W nocy z 17 na 18 stycznia przybyły 3 pociągi z rannymi od strony Stryja, plon walki o Karpaty, dnia 14 stycznia przywieziono ze Lwowa prezesa Sądu Krajowego Przyłuskiego, deportowanego do Tarnopola, jak wyjaśniali Rosjanie, ze „względów osobistych“. Poza tem od czasu do czasu przemarsze wojsk jak np. 12 stycznia dużych mas gośćmi na południe ku Mikulińcom a dziesiątego linią kolejową, o czem znowu jak zawsze świadczyło nieoświetlenie dworca i mocny ruch parowozów. W mieście i w kraju było coraz to smutniej i coraz to beznadziejniej, zwłaszcza, że do wszystkich kłopotów dołączyły się jeszcze choroby zaraźliwe, które grasowały nie tylko w Tarnopolu, ale i po wsiach sąsiednich. W Zarudziu pod Obarzańcami, na północ od Tarnopola, według opowiadań tamtejszego proboszcza księdza Przystaszewskiego, w ciągu 3 tygodni było aż 47 wypadków krwawej dyzenterji a może i cholery, zakończonych śmiercią. W wielu stronach ludzie wprost wymierali ¹⁾. Potwierdziła się również

¹⁾ Nie było tu jednak tak źle pod tym względem jak w pasie przyfrontowym, gdzie według bardzo uzasadnionych podejrzeń, Austriacy, względnie Niemcy, wprost pielegnowali choroby zaraźliwe wśród ludności, licząc na to, że w ten sposób rozszerzać się będą one mogły wśród wojsk rosyjskich. Dr. Sethaler, który był lekarzem w służbie rosyjskiej, niejednokrotnie spotykał się z tego rodzaju uwagami a nawet przestrzeżeniami ze strony skrajnych austrofilów.

wieść, że z wybitniejszych tarnopolan, jeszcze w sierpniu, zginął na polu bitwy w Lubelskiem, walcząc w armji generała Dankła, prefekt bursy Towarzystwa „Szkoły Ludowej“ prof. Wojciech Matus, zastrzelony przez Czerkiesza podczas rekonesansu. Inny tarnopolanin prof. Stanisław Widacki ranny w nogę.

W poniedziałek 25 stycznia w budynku szkoły realnej rozpoczęły się egzaminy na kurs języka rosyjskiego. Ze zgłoszonych coś około 300 osób przyjęto 70, a między nimi tylko 18 Polaków, kobiet i mężczyzn. Egzaminami kierował generał Czichaczew. Kursy oglądał również generał-gubernator hr. Bobrinski, przybywszy w tym czasie do Tarnopola. Uroczystość otwarcia Zakładu zainaugurowały dwa nabożeństwa, najpierw prawosławne a potem greckokatolickie, odprawione przez ks. Gromnickiego. Kursy zorganizowano bardzo starannie, dostarczając im doskonałych sił nauczycielskich. Z uczniami pedagogzy rosyjscy starali się obcować cały dzień, a ułatwiało im to zadanie urządzenie internatu. Kursanci mieszkali w zakładzie, oddzielnie mężczyźni a oddzielnie kobiety, i z funduszków państwowych rosyjskich otrzymywali tam wikt, z wyjątkiem obiadu, który podawano im w kuchni Bractwa Mieszkańskiego. Posługiwali się podręcznikami wyłącznie rosyjskimi a celem nauki było stworzenie pierwszej kadry nauczycielstwa, mogącego uczyć po rosyjsku. Nauczyciele tarnopolscy, z wyjątkiem niejkiej Muszyńskiej, porzucili jednak przecież bardzo szybko naukę pod wpływem presji opinii publicznej, która im udział w kursach brała bardzo za złe.

Odwiedziny generał-gubernatora postawiły na nogi całe czynownictwo i władze wojskowe, zwłaszcza że wysoki gość wszędzie zaglądał i wszystkim się interesował. Zwiedził szpital powszechny, szpital wojskowy w gmachu Towarzystwa „Szkoły Ludowej“, kasarnie zamkowe, poza tem zdaje się wszystkie cerkwie i kościoły. W parafjalnym

wchodzącego wielkorządcę na polecenie ks. Twardowskiego powitano grą na organach.

Z obywatelstwa przyjętą została hrabina Rejowa z Mikuliniec, która wręczyła generał-gubernatorowi prośbę męża o otwarcie gorzelnii. Podanie załatwił rzecz prosta odmownie, zresztą przyjął hrabinę z wyszukaną uprzejmością, tak, iż po audjencji określała go zwrotem „zupełny Francuz“. Pytał o urzędników rosyjskich, o ich stosunek do ludności i informował się o mikulinieckich sprawach lokalnych. Było to tem bardziej wskazane, iż z ramienia władz państwowych w Mikulińcach rządził prawie że oddzielnie zastępca naczelnika powiatu z 4 żandarmami i 2 policjantami. Człowiek porządny nie wywoływał żalów i tarć z ludnością. Hrabia Bobrinski przyjął także prezydenta Okręgowego Sądu Kozickiego, proszącego o asygnowanie pensyj urzędniczych. Polecił wypłacić je za listopad.

Szkoda jednak, że wizytacja generał-gubernatora trwała zbyt krótko i ograniczała się do samego miasta Tarnopola. Zaraz w pobliskich Kurowcach, gdzie znajdowała się stacja dla chorych koni, jak mawiano „słabosilnych“, działy się wszelakie nadużycia, a różni oficerowie wprost marzyli tylko o tem, aby zająć tego rodzaju posterunek w etapach, gdzie spokojnie mogli oddawać się pijaństwu a prócz tego doskonale zarabiać. Zastanawiającą była także ogromna liczba żołnierzy, których przy tej sposobności lokowano na tyłach armji. W Kurowcach np. przy setce zwierząt kręciło się ich 50, a przecież w samej tylko Tarnopolszczyźnie takich „słabosilnych“ koni rozlokowano do 8.000. Nadużycia działy się głównie przez zwiększanie w rachunkach wziętej paszy i różnych innych rzeczy a także przez niepłacenie obywatelstwu należnych sum, o czem poinformował mnie dokładnie właściciel Kurowiec Jurystowski, który zarazem, reprodukując rozmowę, jaką prowadził z naczelnikiem powiatu, opowiadał, iż ten

zachęcał go wprost, aby żądał zapłaty i to zaraz, „bo inaczej wojskowi wszystko rozkradną“.

Po odjeździe hrabiego Bobrinskiego „życie“ tarnopolskie wróciło bardzo szybko do zwyczajnych norm. Zaczęło się od dzikiej wprost rewizji u powszechnie lubianego profesora Andrzeja Stopki, którego 30 stycznia nawet przyaresztowano i odprowadzono do urzędu żandarmerji, mieszczącego się przy ulicy Świętojańskiej w domu Rathausa. Po indagacji pułkownika Orłowa na temat, jakie czytywał gazety, z kim żył i obcował, jaki brał udział w życiu partyjnym i t. p., oraz po powołaniu się zaaresztowanego na wybitnych moskalofili a mianowicie na radcę sądowego Mironowicza i profesora Rzepnijskiego, ludzi zresztą bardzo porządných i poważnych, profesor Stopka po kilku godzinach ku powszechnej radości całego miasta został wypuszczony na wolność.

Nazajutrz po tej emocji nastąpiła druga. Rosjanie wojskowemi wozami wywieźli ostatecznie z sokolni do baraków przyrządy gimnastyczne, poczem cały gmach zamienili na cerkiew prawosławną, zamierzając urządzić się w nim na czas dłuższy, gdyż wielką salę gimnastyczną odpowiednio przemalowali kosztem 900 rubli.

Najmocniej intrygował jednak fakt inny. Oto z polecenia Rosjan zaczęto spisywać mężczyzn w wieku od 18 do 42 lat. Na miasto rzuciło to ogromny popłoch, bo obawiano się masowej deportacji, jakoby w związku z rzekomemi a decydującemi klęskami oręża rosyjskiego, przyczem wszystko wiedzący żydzi, korzystając z okoliczności, że pociągi przychodzące zarówno z Kijowa jak i ze Lwowa spaźniały się po parę godzin, gazety zaś albo wcale nie dochodziły albo też nieregularnie, rozpowiadali o austriackich zwycięstwach w Karpatach a nawet w okolicach Rawy Ruskiej. W ten sposób na niekorzyść Rosjan wytłumaczono sobie także fakt wywiezienia w początkach lutego armat zdobytych na Austrjakach, których spora ilość

stała w Tarnopolu tam, gdzie dawniejszy dworzec kolei zbaraskiej. Nic zatem dziwnego, że Rosjanie, wiedząc przez konfidentów o nastrojach szerzonych przez żydów, płacili im znowu szczególnie szorstkiem i wyniosłem postępowaniem. Gdy adwokat Dr. Landau zgłosił się na audjencję do ujezdnego i wymienił mu tylko swoje nazwisko, ten, niesłuchając nawet petenta, słowem „marsz“ wyrzucił go za drzwi. To był zwykły sposób postępowania z żydami inteligentami. Lepiej nieporównanie traktowano już żydów należących do sfer niższych. W młynie w Czartorji, pracującym dla potrzeb wojska, podradczykami (dostawcami) z wyjątkiem jedyne go chrześcijanina byli sami żydzi.

ROZDZIAŁ VII.

We Lwowie i w Tarnopolu. Wzrost powszechnej nienawiści do Rosjan. Projekty formowania na Podolu oddziałów polskich po stronie rosyjskiej. Odgłosy podkarpackich walk rosyjsko-austrjackich. Listy proskrypcyjne z nazwiskami t. zw. rusofilów. Lwowski Komitet Ratunkowy. Pomoc Warszawy. Wyjazd Stanisława Grabskiego, prof. Kasznicy i hrabiego Pawła Dzieduszyckiego do Piotrogradu. Wysłka nowych sił rosyjskich na front. Tarnopol siedzibą sztabu armji walczącej we wschodnich Karpatach. Działalność żandarmerji. Wiadomość o upadku Przemyśla.

Ciężka atmosfera tarnopolska a przedewszystkiem prawie całkowite odcięcie od ogniska myśli politycznej i ściślejszych informacyj o tem, co się działo gdzie indziej w Polsce, zmuszały mnie do perjodycznych wycieczek do Lwowa. Dnia 7 lutego w niedzielę ruszyłem zatem znowu koleją do stolicy kraju i po ogromnie męczącej podróży stanąłem tam nazajutrz.

Wieści, jakie mnie doszły zaraz po zetknięciu się z ludźmi, nie były jednak najlepsze. Oto stało się jasnem, że Rosjanie i w dalszym ciągu ani myślą stosować roz-

tropnego systemu rządzenia, a wszystko natomiast czynią, aby ludność sobie zrazić. Przedewszystkiem zawiesili działalność lwowskiej policji miejskiej a jej komisarzy jak Burzyńskiego, Murczyńskiego, Rudka i innych zaaresztowali, przyczem Rudka ciężko pobito, wszystkich zaś umieszczono razem ze złodziejami i innymi mętami społecznymi. Postawili swoich ludzi! Ale jakich?! Taki Mierzewcew, dowódzca żandarmerji we Lwowie, według opowiadań Józefa Jurystowskiego, właściciela Kurowiec pod Tarnopolem, który z nim mówił, robił wrażenie jakby cały świat chciał wywieszać. Sztydził z dotychczasowej administracji galicyjskiej, która budowała szosy, szkoły, dworce i sokolnie a cierpiała więzienia gorsze niż w Rosji. One zaś jego zdaniem to grunt dobrych rządów.

Kurs „mocnej ręki“ zaznaczył się również i na prowincji. Z osób wybitnych i szanowanych w Tarnopolu nastąpiło w tym mniej więcej czasie aresztowanie w Stanisławowie przez żandarmerję Leona Podleskiego, właściciela Czernielowa Mazowieckiego, który na obiedzie u mitera grecko-katolickiego w Stanisławowie miał użyć słów „wspólny wróg nas połączył“ i kilkakrotnie w ten sam nieostrożny sposób coś powiedzieć. Zrazu traktowany jako austriacki szpieg, później jako jeńiec, przewieziony został do Rosji i zamknięty w więzieniu w Berdyczowie. Zdaje się, że przesiedział tam blisko 3 lata.

Wogóle deportacje nie ustawały. Nie brano za złe tylko jednej, to jest wywiezienia niejakiego Ernesta Breitera, znanego na bruku lwowskim krzykacza i awanturnika politycznego, którego wytransportowano do Kijowa. Zresztą jedna niedorzeczność w postępowaniu Rosjan goniła za drugą, tak, iż zszedłszy się w naszym gronie osób zajmujących się polityką w t. zw. „pokoiku moskalofilów“ kawiarni „Sztuka“, udekorowanym zdobytą gdzieś pruską pikielhaubą, mieliśmy miny wcale rzadkie. Rozumieliśmy, że na tle fatalnych rządów rosyjskich dokonuje się ogromny

a niepożądany rozłam w polskim społeczeństwie. Dotychczasowi kierownicy polskiej myśli politycznej w kraju, którzy przeważnie z obawy przed triumfem Niemiec, a zwłaszcza Prus, stanęli po stronie zachodnio-europejskich państw sprzymierzonych i Rosji, tworzyli coraz to mniej liczną grupkę, tłumy zaś stawały się coraz to wyraźniej i powszechniej austrofilskie. W zacierzewieniu opowiadały sobie rzeczy wprost nieprawdopodobne jak o wzięciu przez Austrjaków Tarnopola i mającym nastąpić już tuż tuż wkroczeniu ich do Lwowa, przyczem nie reflektowała owych rezonerów umożliwiona wszystkim kontrola sytuacji. Każdy mieszkaniec Lwowa kolejami żelaznymi, znajdującymi się w rosyjskiej administracji wojskowej, mógł łatwo dotrzeć aż do Tarnowa i Karpat i przekonać się o właściwym stanie rzeczy. Ale nawet to, co widział we Lwowie, powinno było działać reflektująco. Rosjanie sprowadzali do miasta coraz to więcej swego kupiectwa i coraz to silniej tu się zagospodarowywali, tak, iż w handlu np. artykułami kolonialnymi towar rosyjski już stanowczo przeważał. Wszak nie byłiby tak postępowali, gdyby wszystko znajdowało się w tej niepewności, jaką widzieli austrofile. Jak silną jednak była wiara w Austcję i jej powrót, świadczyła choćby okoliczność, że gdy wypłacono wreszcie urzędnikom zasiłki, nawiasem mówiąc, w ślicznie wykonanych asygnatach miejskich, z miejsca dano im w obiegu pierwszeństwo przed rublami, oceniając nie, jak chciały przepisy, 100 K = 30 rublom lecz po 37 do 37^{1/2}, a nawet 40.

Przewódca partji antyniemieckiej czy antyaustrjackiej byli przeto sztabem bez wojska, o czym dobrze wiedzieli Rosjanie i odpowiednio do tego wszystkiego się ustosunkowywali. Pismo „Zjednoczenie“, które miało podtrzymywać antagonizm do państw centralnych i zespałać ogół polski, rozchodziło się słabo. Stanowiło raczej sztandar pewnej szczupłej grupy inteligentów niż organ mający

ogółowi coś do powiedzenia. Profesor Grabski wśród tych okoliczności tracił na znaczeniu. Był przemęczony i zmaltretowany, co zauważyłem podczas odbytej z nim konferencji na temat sytuacji politycznej. Zakończył ją wręczeniem mi listu do tarnopolskiego gubernatora, napisanego po porozumieniu się z generał-gubernatorem Bobrinskim. W myśl tego, cośmy mówili i o czym list traktował, miałem odezwać się w Tarnopolszczyźnie i na galicyjskiem Podolu do szerokich warstw miejscowych włościan i polskiego społeczeństwa, zachęcając do tworzenia zbrojnych zastępów polskich, któreby stanęły po stronie Rosjan. Choć list wziąłem, nic stanowczego nie obiecywałem. Rozumiałem aż nadto dobrze doniosłość podobnego kroku politycznego.

Na ulicach miasta ogromny ruch coraz to nowych mas wojsk, zmierzających w kierunku roгатki stryjskiej, wskazywał, że w Karpatach musi być znowu goręcej niż zwykle, a eskortowanie małych grup wziętych do niewoli Niemców dowodziło, iż zjawili się na pobliskim placu boju, aby podeprzeć swych austriackich sojuszników.

12 lutego ruszyłem znowu do Tarnopola, gdzie stanąłem dnia następnego w południe. Tym razem miałem sposobność bliższego poznania w drodze po raz pierwszy rosyjskich pań, o których tyle złego poprzednio nasłuchałem się i naczytałem. Rozmowa, jaką z nimi prowadziłem, żonami oficerów i czynowników, potwierdziła owe ujemne sądy, gdyż w wielkim momencie historycznym, jaki obecnie przeżywała Rosja, damy ani słowem nie okazywały zainteresowania dla innych spraw jak tylko mód, rozrywek i t. p. rzeczy. Były to typy w głębi swej duszy prostackie i złe, których potem tak wiele spotkałem w Rosji, a które, wywierając przeważnie duży wpływ na mężów i braci, w niemałej mierze, przyczyniły się do nieszczęść, jakie spadły na naród i państwo. Smutne wrażenie zrobił na mnie także lekarz, Polak z Piotrogradu, który na cały

przedział piał peany na cześć Rosjan, odsądzając równocześnie Polskę od praw do bytu niezależnego, głównie dlatego, iż rzekomo nie posiada ona literatury z zakresu nauk ścisłych. Wszelkie moje wyjaśnienia, iż najprawdopodobniej doktor niema przeglądu tych spraw oraz że dwa polskie uniwersytety, krakowski i lwowski, oraz jedna politechnika lwowska nie są w stanie zaimponować bezwzględny bogactwem dorobku w zakresie nauk ścisłych, nie pomagały. Doktor był nieugiętym przeciwnikiem niezawisłości Polski także i dlatego, że zdaniem jego jako naród nie potrafimy wydobyć z siebie zmysłu dla aktualności i postępu a natomiast po staremu tkwić będziemy w dawnych smutnych tradycjach szlacheckich, bigoterji i t. p.

W Tarnopolu pod względem wojskowym znalazłem nie byle jakie ożywienie. Przez miasto przeciągały znaczne masy żołnierzy ze śpiewami, które następnie wsiadały do wagonów, ruszając w kierunku Podwysokiego. Stamtąd przywożono też i jeńców, jak np. 20 lutego około 300. Gnano też całe zastępy żydów, konwojowanych przez kozaków, którzy wywijając nahajkami spędzali publiczność z ulic. Owych żydów, lokowanych w Tarnopolu w młynie Galla, brano podobno jako zakładników, aby miejscową ludność chrześcijańską w okolicach, zajmowanych przez wojska austriackie, ustrzedz od prześladowań, gdyż tym razem już nie ulegało żadnej wątpliwości, iż między Dniestrem a Karpatami zawrzała walka silniejsza niż zwykle. Świadczył o tem huk armatni, słyszany od strony południowej, a jeszcze więcej pewien nastrój paniczny, który się dawał wyczuwać wśród Rosjan. Przez miasto przebiegali często pędem jacyś jeźdźcy a i ruch automobili był żywszy niż zazwyczaj. Dnia 20 lutego jako pierwsza „bieżenka“ przybyła z dziećmi żona naczelnika stacji kolejowej w Podwysokiem, Rosjanka, i zamieszkała w hotelu Adlera. Po niej zjeżdżały coraz to inne osoby, uciekające z okolic

Stanisławowa, aż wreszcie 22 lutego zjawiły się w Tarnopolu, ewakuowane z okolic położonych na południe od Dniestru, obładowane tobołami wojskowych wozy, których zawartość tymczasowo złożono w budynku dyrekcji skarbu. Niewątpliwym dowodem utraty przez Rosjan jakiegoś terytorjum na Podkarpaciu, jeżeli nie wprost kłęski, były także tłumy Hucułów, snujących się w malowniczych ubraniach po Tarnopolu. Uszli oni przed okrucieństwem Austrjaków, a zwłaszcza Węgrów, posądzeni stale o sympatje rosyjskie. Nie myśleli już więcej o powrocie na swe poloniny, ale pragnęli osiąść w Rosji.

W mieście wobec tego wszystkiego zapanował nastrój jak niegdyś w dniu austriackiej mobilizacji, czyli powszechna niepewność jutra, co przedewszystkiem odbiło się na kursie rubla. O urzędowym nie było mowy. Co najwyżej dawano 2 K. 30 halerzy. Zaostrzono też nadzór nad przejeżdżającymi a przepustki wydawała tylko kancelarja gubernatora. Wszyscy mówili o wzięciu przez Austrjaków Stanisławowa, Kołomyi, Czerniowiec i Zaleszczyk, obliczając zarazem moment, kiedy zjawią się oni w Tarnopolu. Nastroju ogólnej niepewności sytuacji nie była też w stanie przysłonić urządzona w tym czasie uroczystość otwarcia i poświęcenia cerkwi prawosławnej w gmachu Sokoła, choć Rosjanie dodali jej, jak na czas wojenny, dużo pompy. Na całej linii od starostwa do gmachu Sokoła stało wojsko, żołnierz przy żołnierzu, a poświęcenia dokonał sam archirej, znany Eulogjusz. Pierwszym powozem jechał ujezdny Dobrogorski, drugim gubernator Czartoryński a trzecim obok Eulogjusza, ubranego w wysoką aksamitną czapkę, jakiś specjalnie przybyły dostojnik z odkrytą głową. Wszyscy żołnierze na powitanie przejeżdżających odkryli głowę, toż samo i gęsto zebrana publiczność, rozumie się, że nie tyle z chęci okazania uszanowania, ile ze strachu. Na obiedzie, wydanym przy tej okazji przez gubernatora, w sali magistratu zjawili się przecież tylko ks.

Twardowski i marszałek powiatu Dr. Glogier, nie przyszli zaś prezydent sądu Kozicki, prokurator Lewandowski, ks. Gromnicki i burmistrz Dr. Mandel.

Żydzi zacierali ręce z radości i gotowali się do wielkiej roboty denuncjatorskiej, przyczem liczyli na zlikwidowanie zapomocą austriackiego stryczka i kuli niejednego starego porachunku politycznego i innego. Zaczęli nawet byli rozdzielać względy między tych, do których nie czuli nienawiści lub żalu. Marszałka powiatu Glogiera, na wieść, że stara się o przepustkę na wyjazd do Rosji, solennie zapewnili, iż może pozostać, gdyż oni wobec Austrjaków przyjmują wszelką gwarancję za jego bezpieczeństwo.

W tych okolicznościach przystępowanie do pracy organizacyjnej nad uruchomieniem zbrojnych oddziałów polskich na Podolu, któreby chciały walczyć u boku Rosjan, nie miało celu, a przedewszystkiem nie mogło być liczyć na żadne powodzenie. Po gruntownym namyśle, a zresztą zawsze niechętny awanturniczemu pomysłowi, wybrałem się przeto do Lwowa, aby zakomunikować tę opinię Grabskiemu a zarazem zwrócić mu list, wystosowany do gubernatora w Tarnopolu.

We Lwowie panowały podobne stosunki jak w Tarnopolu. Wśród politycznych kół polskich popłoch był tak powszechny w związku z ofensywą, iż zaczęto nawet sporządzać listy osób, które na wypadek wkroczenia Austrjaków powinny były wyjechać do Rosji. Poza tem zwykłe opowiadania na temat zajęcia Czortkowa i Tarnopola, spadek rubla do 1 K. 96 halerzy, przy dalszej tendencji do zniżki, gęste egzekucje na cytadeli austriackich szpiegów, rzecz jasna, przedewszystkiem żydów, zwożenie masami rannych, wreszcie ogromne przemarsze wojsk, spieszących na południe, aby zlikwidować ofensywę austriacką, sięgającą już samego Dniestru, tym razem posiłkowaną wydatnie przez bawarski landsturm, posiłki heskie i pruskie, oraz strzelców polskich w liczbie kilku tysięcy.

Jednego tylko dnia, 3 marca, przeszło było przez Lwów, wśród strasznej śnieżycy i mrozu, do 12.000 świeżego żołnierza.

Żydzi z miejsca stali się niezmiernie butni, wśród nich zaś na czoło wysunął się niejaki Leon Appel. Założył on wprost spisy osób, mających być wskazanymi Austryjkom jako rusofile. Ufni w bezsilność Rosjan, zaczęli też żydzi zwykłe praktyki oszukańcze z pieniędzmi. Jeńcom austriackim, pędzonym do Rosji, przy wymianie dawali za koronę 10 kopiejek. W Rawie Ruskiej z tego powodu zostali nawet surowo ukarani.

Wreszcie około 6 marca nastąpiło uspokojenie. Przyszły zupełnie pewne wieści o zlikwidowaniu ofensywy, potwierdzone przez korespondencje w gazetach, a między nimi także i w „Słowie Polskiem“, gdzie redaktor Opiola opisał swe wrażenia z podróży do odzyskanego Stanisławowa. To, co dotarło do wiadomości ogółu, nie po austriacku myślącego, mogło jednak było budzić słuszny lęk. W Stanisławowie powieszono 90 robotników kolejowych, wśród nich jednego Rosjanina, także nieco urzędników, w Nadwórnej 3 Rusinów i kobietę, której całem przewinieniem było, że stołowała rosyjskich oficerów. Mnóstwo ludzi wieszano czy rozstrzeliwano wręcz za samo tylko znalezienie przy nich rubli jak np. pewnego pacjenta Dra Sethalera. Obok dyrektora gimnazjum stanisławowskiego Lachowskiego, Dr. Sethaler, przybywszy świeżo z terenu walk, dostarczył najwięcej i najciekawszych wiadomości. Dał też szczegółową relację o okrutnie nikczemnych sposobach walki, praktykowanej przez Austriaków i ich sprzymierzeńców. Oto gdzie mogli, posługiwali się oni kulami „dum-dum“, oddziały zaś, które miały jeszcze starą broń systemu Werndla, przepiłowały kule na krzyż. Rany zadawane takimi pociskami były straszne. Niezbyt pocieszające rzeczy tak Dr. Sethaler jak i dyrektor Lachowski opowiadali też i o ówczesnych strzelcach. Jeżeli

zaś idzie o nastroje polityczne starszyny wojsk austriackich, które przez dni kilka okupowały Stanisławów, może dać wyobrażenie opowiadanie dyrektora Lachowskiego o rozmowie, jaką mieli wyżsi oficerowie z profesorem Aleksandrowiczem, interpelującym ich o stan kwestji polskiej. Określili ją krótko i jędrnie: „die polnische Frage ist eine Dreckfrage“¹⁾.

Na te gorące czasy przypada najpoważniejszy czyn profesora Grabskiego i jego najbliższych pomocników. Oto z inicjatywy profesora zorganizował się lwowski Komitet Ratunkowy, który zaczął przy sobie skupiać wszystkich, chcących oddać swoją energję i pracę dobru powszechnemu, przedewszystkiem zaś pragnących spieszyć rodakom cierpiącym wskutek działań wojennych. Żałować należy, że myśl powołania podobnego komitetu, będącego w warunkach chwili czemś bardzo realnem i niezmiernie potrzebnem, nie powstała wcześniej. W tym razie najprawdopodobniej niejedna sprawa potoczyłaby się była innym szlakiem i niejedyn pogląd uległby był rewizji. Komitet oparty zrazu tylko o skromne fundusze dostarczone przez rząd rosyjski, względnie przez „Błagotwórczy” komitet przy generał-gubernatorze, wziął się jednak zato energicznie do pracy i przedewszystkiem rozślał delegatów po zachodniej Galicji w liczbie kilkunastu, w celu zebrania wiadomości o położeniu tamtejszej ludności i stworzenia wszędzie, gdzie to możliwe, komitetów lokalnych. Około 6 marca zaczęli oni wracać, opowiadając o ogromnej nędzy, jaka tam wszędzie panowała, gdzie dotarli, zarówno po miastach jak i po wsiach. Byłaby ona jeszcze większa, gdyby nie pomoc udzielana przez wojska rosyjskie, które w wielu stronach ludność wręcz żywiły. Wszyscy też mówili z jak największym zachwytem o generale Radce Dmitryjewie, komendancie galicyjskiego

¹⁾ „Sprawa polska, to sprawa zasrana“.

frontu zachodniego (III armji) i o jego humanitarnem postępowaniu z ludnością, co może było w jakimś związku z bardzo przychylnem znowu wobec Rosjan stanowiskiem biskupa tarnowskiego ks. Wałęgi. Dla jedynych żydów generał był bezwzględny, winiąc ich o uprawianie szpiegostwa na rzecz państw centralnych.

Ale i sprawa tej materialnej pomocy, dawanej społeczeństwu, miała także swoją stronę odwrotną. Wojska rosyjskie, miłosierne dla głodnych, w wielu razach postępowały wprost fatalnie. Niszczyły budynki i rozbierały ich materiał na szutrowanie gościńców, rabowały, a w okolicach Dynowa i Brzozowa, według relacji inżyniera Baca, między kozakami a żydami zawiązała się była istna spółka na tle dostawy i handlu zdobytymi przedmiotami. Hordy kozaków dagestańskich i Czeczeńców mordowały i raniły spokojnych mieszkańców oraz dopuszczały się haniebnych gwałtów na kobietach i małoletnich dziewczynkach. W samym tylko Mielcu zgwałcili Rosjanie 16 gimnazjalistek. Strzelali też do kobiet, które nie chciały im się oddać, nawet do dzieci, gdy robiły krzyk. Sokolnie w Przeworsku i Rzeszowie zamieniono na cerkwie prawosławne. Gdzie indziej znowu jak w Mielcu, Kolbuszowej lub Rzeszowie obchodzono się źle z miejscowymi magistratami. Najgorzej miało być pod tym względem w Rzeszowie, gdzie pułkownik Aleksandrowicz niebawem dokuczał tamtejszemu burmistrzowi Jabłońskiemu, posłowi do Rady Państwa. W rezultacie ludzie w wielu stronach nie chcieli ani zasiłków ani pomocy, lecz błagali Boga o jak najszybsze wyniesienie się hordy najeźdźców. Kryli się przed nimi gdzie mogli. W powiecie ropczyckim tu i ówdzie porobili chłopci nawet obszerne jamy w ziemi, w których chowali ziarno, konie i bydło, wychodząc z nich na jakiś czas, aby uprawić rolę. Smutne też były późniejsze nieco relacje ks. Szawana o zniszczeniu powiatu strzyżowskiego. Nad tamtejszą ludnością pastwili się zarówno Węgrzy jak i ko-

zacy. Wychodzili dobrze tylko żydzi. Zrazu osłaniali ich Austriacy, a skoro ich zabrakło, znaleźli sobie opiekunów w Rosjanach. Doszło do tego, że gdy sklepy żydowskie stały nietknięte, żołnierze rosyjscy w oczach oficerów rabowali chrześcijańskie. Chrześcijanie robili składkowe bufety i bezpłatnie ugaszczali żołnierzy, tak Węgrów jak i Rosjan, żydzi natomiast eksploatowali tak jednych jak i drugich, sprzedając np. jaje po 20 halerzy. Ale wszystko to uchodziło im bezkarnie. We Frysztaku zato, jakby na ironję, komendant rosyjski zgromadził okolicznych chłopów pod pozorem rozdawnictwa zapomogi, zdarł im buty z nóg i dał stare żołnierskie. Pałac w Dobrzechowie z wspaniałemi zbiorami Moskale spalili a włościan, chcących pożar gasić, odpędzali. Zabrali nadto mnóstwo bydła i koni. Podobnie smutnie brzmiały wiadomości, przywiezione Komitetowi Ratunkowemu przez pewnego nauczyciela z zajętej przez Rosjan w dniu 8 września Doliny. Ludność żyła tu wprawdzie z łaski wojska, lecz zato wszystkie prawie budynki mieszkalne zostały niemożliwie zanieczyszczone lub wprost obrócone na stajnie dla koni kozackich. Szerzył się też powszechnie syfilis, wskutek czego 180 żołnierzy odstawiono do Rosji, a wreszcie dla zapobieżenia stosunkom z kobietami ustalono taki sposób postępowania, iż o każdym zarażonym żołnierzu donoszono jego ojcu, żonie i księdzu, który ogłaszał to w gminie. Nie wiele to przecież pomagało i stosunki z kobietami nie ustawały, czego wyrazem był także fakt, iż kilku rosyjskich żandarmów i urzędników zaręczyło się z niemi.

Na ożywienie pracy Komitetu Ratunkowego wpłynął bardzo dodatnio powrót redaktora „Słowa Polskiego“ Wasilewskiego z Warszawy, który przywiózł 67.000 rubli, w czem 50 tysięcy od komitetu warszawskiego, 10 tysięcy z Wilna a 7 tysięcy z Kijowa. Również to, co opowiadał Wasilewski na podstawie kontaktu z ludźmi, wiedzącymi, co się działo w odniesieniu do Polski w świecie polityki

międzynarodowej, nie były wieści złe. Pokazało się, że sprawa polska zaczynała stawać się, zdaje się po raz pierwszy od wielu lat, przedmiotem dyskusji między władcami Rosji i Anglii, oraz że wiązano ją z ważnemi posunięciami na szachownicy europejskich wypadków. W połowie marca w tych ogólnych sprawach polskich, licząc na przyjęcie przez ministra spraw zagranicznych Sazanowa, wyjechali do Piotrogradu prof. Grabski, prof. Kasznica i hr. Paweł Dzieduszycki, przyczem Grabski miał nadto zaglądnąć do Warszawy a Kasznica do Lublina i Kijowa.

W Komitecie Ratunkowym, podzielonym na kilka sekcji, z chwilą wyjazdu Grabskiego, ster spraw bieżących objął redaktor Biega. I mnie również wprowadzono w tok akcji.

Główną naszą troską, nie schodzącą ze stołu obrad, była nie tyle sama kwestja pomocy, gdyż przedstawiała się ona prosto i nie wymagała wielu wyjaśnień, ale przedewszystkiem problem komunikacji. Posiadane i ofiarowane zapasy zboża i nasion trzeba było przerzucić do zachodniej Galicji, a nie było czem, gdyż koleje żelazne ledwie wystarczały na obsługę frontu i wojska. Przystąpiono zatem do organizacji kłopotliwych i archaicznych zaprzęgów konnych. Ale i tutaj władze nie zawsze szły na rękę. Hrabia Włodzimierz Bobrinski z „Błagotworitelnego“ komitetu odmówił właścicielowi Kurowiec w Tarnopolszczyźnie Józefowi Jurystowskiemu przepustek na transport zboża wozami na zachód kraju, twierdząc, że w Tarnopolszczyźnie istnieje komitet „ruski“, któremu on tę sprawę przekazał, a który będzie rozporządzał wagonami kolejowemi.

Ledwie wszedłem nieco w pracę Komitetu Ratunkowego a już 16 marca musiałem znowu opuścić Lwów i zaglądnąć na kilka dni do Tarnopola. Tym razem odbyłem podróż wagonem niemieckim ze znakami dyrekcji kolejowej w Królewcu, jak widać pamiątce niefortunnych wypraw rosyjskich do Prus Wschodnich.

Tarnopol oficjalny przedstawiał obecnie obraz mniejszego zakłopotania i bezradności, niż dwa tygodnie temu w związku z postęпами ofensywy austriackiej. Zato wyglądał cały jak jedno wielkie żołnierskie obozowisko. Naróżny plac przy kolei zapchany trenem sanitarnym, tak samo inny przy ulicy Mickiewicza. Automobile sanitarne stały również na placu przed kościołem O. O. Dominikanów, pancerne przy dworcu, skąd od czasu do czasu taki pojedynczy potwór z wystającymi armatkami przetaczał się ciężko po ulicach, aby ruszyć w drogę szlakiem na Trembowłę, Buczacz i Niżniów. Naróżniki ulic obstawiono strażami a publiczności po godzinie 8 wieczorem wzbroniono pokazywać się na mieście. Wtedy jednak dopiero ożywił się potężnie innego rodzaju ruch uliczny. Szły pontony, konnica kozacka a dworzec kolejowy tętnił daleko słyszalnym rozgwarem. Ekspedjowano pociąg za pociągiem, przy czem zdarzały się czasem katastrofy jak 17 marca przy t. z. Białej Górze nad Seretem, kiedy pociąg wojskowy, idący w stronę Halicza, wpadł na inny, zdążający od Bereszowicy Wielkiej. Lokomotywy zostały pogruchotane, 2 wagony znalazły się w rzece, kilka zaś połamanych na torze. Jechać miał wtedy dowódca Czechenców, jeden z Wielkich Książąt, który w katastrofie został lekko rannym. Ucierpiało też sporo innych osób, zwłaszcza sióstr miłosierdzia, a 9 trumien dnia 19 marca odstawiono na cmentarz. Rannych umieszczano w szpitalu znajdującym się w gmachu Towarzystwa „Szkoły Ludowej“, noszącym już teraz nr. 382, gdyż poprzedni 16 marca odjechał na front, w szpitalu garnizonowym i w szkole imienia Mickiewicza. Nie obeszło się przytem i bez innych wypadków. Gdy pewien chłop ruski po katastrofie kolejowej na żądanie żołnierza odmówił koni do wożenia rannych, na miejscu został zabity.

Przeciągające ulicami coraz to inne oddziały ściągnięto przeważnie z frontu w Królestwie Polskiem, zwłaszcza

z okolic Kielc (artylerja). Zapamiętali austrofile to, co widzieli, tłumaczyli sobie w taki sposób, że Niemcy rozbili już front rosyjski pod Warszawą, wojska zaś transportowane to tylko uciekające niedobitki. Okoliczność, że „uciekały“ one w kierunku zachodnim i południowo-zachodnim, a zatem tam, gdzie mógł się znajdować nieprzyjaciel, nie przeszkadzała im wcale w tej osobliwej interpretacji zjawisk wojennych. Wśród szeregowych i oficerów język polski nieraz niemal przeważał, tak wiele słyszało się go po ulicach, a co najważniejsza, ludzie nim mówiący zgoła się nie kryli, całkiem przeto inaczej, niż to często bywało wśród oddziałów austriackich, nie wspominając już o pruskich. Żołnierz wyglądał ciągle jeszcze dobrze i młodo. Przepęłniał wszystkie lokale i jadalnie. Obco tylko i niecodziennie odbijali od tego tłumu swemi śniademi twarzami i butnemi postaciami straszni Czecczeńcy, opasani kunsztownemi, srebrzystemi pasami. Jak wszędzie dopuszczali się oni i tu często gwałtów nad kobietami a zwłaszcza małoletniemi dziewczętami. Szczególnie pohlali sobie w Szlachcińcach, gdzie ich 200 stanęło chwilowo na kwaterach.

Z jedzeniem było krucho. W połowie marca w jatkach nie można było znaleźć kawałka mięsa, a ciągle zamieci śnieżne uniemożliwiały dowóz żywności. Zepsuły nawet jarmark w śródpokoju. Najfatalniej dały się one przecież we znaki ludziom, którzy za często pokazywali się na ulicach. Kozacy zagarnęli pewnego dnia kilkuset mężczyzn, zarówno z ludu jak i z inteligencji, i popędzili ich na szyny kolejowe do odgarniania śniegu, trzymając kilkanaście godzin bez jedła i napoju. Zabrali także wszystkich żydów spotkanych w bóżnicach, tak, iż potem przez 2 dni nikt, kto koniecznie nie musiał, nie pokazywał się na ulicy.

Jeszcze gorzej niż z jedzeniem zaczynało być z kwaterami. Przedewszystkiem zajęto dla wojska do reszty wszystkie gmachy publiczne, jak np. gimnazjum polskie

przy ulicy 3 Maja, salę wykładową Towarzystwa „Szkoly Ludowej“, już niepotrzebną cerkwi po przeniesieniu jej do Sokoła, jak niemniej niektóre urzędy, a następnie rzucono się na uciążliwą rekwizycję kwater po domach prywatnych, polecając lokatorom odstępować część mieszkania wojsku. Do parterowych pokoi pięknego i nowego gmachu Dyrekcji Skarbu wprowadzono konie, zdaje się jakieś więcej cenne, gdyż zwykle, zaprzężone do wózków sanitarnych lub przywiązane do płotów, stały literalnie dniami i nocami na największej zamieci, obsypane zwałami śniegu i pokryte zwisającymi sopłami lodu a mimo to jakoś żywe i całe. Raz tylko widziałem jak odcierano jakiegoś padłego nieboraka.

Cały ten wojenny rozgwar, który od początków marca przepełniać zaczął leżące na głębokich tyłach działań wojennych miasto, był ściśle związany z przeniesieniem się tu sztabu armji, walczącej we wschodnich Karpatach. Tego rodzaju instalacja miała przecież jedną stronę bardzo przykrą. Oto równocześnie wzmogła się także wydatnie działalność żandarmerji, która chciała pokazać swą sprężystość i zaczęła ludziom niezmiernie dokuczać. Już na dworcu żandarm zawieszał pozwolenie, dane przez gubernatora na wyjazd i dał okazywaną mu przepustkę. Gorzej jednak było w mieście. Tu aresztowano na prawo i lewo nieraz Bogu ducha winnych ludzi, często nawet zdecydowanych wrogów państw centralnych. Z Rusinów osadzono w kaźniach więziennych Sądu Okręgowego: dyrektora tarnopolskiej filji „Torhowli“ Turyna, prof. Bodnara, urzędnika pocztowego Pantaleona Czubatego, sędziego Raka; z Polaków: Dra Celestyna Podleskiego, nauczyciela Józefa Szwajkowskiego, praktykanta namiestnictwa Moszica, naczelnika „Sokoła“ Stanisława Romańskiego, znanego także pod przezwiskiem „Smoka“, urzędnika miejskiej Kasy Oszczędności Stanisława Samolewicza; z żydów: kawiarza Adolfa Kannerera i jego szwagra, dzierżawcę dóbr Jawetza

z synem, agenta asekuracyjnego Bindera, restauratora z hotelu Adlera Zygmunta Egermana, kupca Dubowego i wielu innych. Inżyniera Leona Pleskacza uwięziono już w poławie stycznia.

Za co aresztowano te osoby trudno określić. U Dr. Celestyna Podleskiego, w czasie jego wyjazdu do Lwowa, zrobiono poprzód rewizję, zabierając mu worek prywatnych listów i mundur sokoli, poza tem traktując w sposób uprzejmy, tembardziej, że po powrocie do Tarnopola sam się zgłosił w biurze ujezdnego, względnie u jego zastępcy Zagalskiego, gdzie nastąpiło aresztowanie przez przybyłego podpułkownika żandarmerji. Nauczyciel Szwajkowski według jednych wersji był aresztowany za czytanie gazety niemieckiej, według innych wskutek tego, iż z ramienia „Sokoła“ przez jakiś czas, ale tylko do początków 1914 r., przydawał wiążącej się w Tarnopolu Drużynie Strzeleckiej, aby, jak mi mówił prezes Dr. Celestyn Podleski, opanować ten ruch i skierować go na tory „Sokoła“. W ten sposób było tu zatem wyraźne przeciwdziałanie idei strzeleckiej a nie jej popieranie. W r. 1914 Szwajkowski z Drużyną Strzelecką nie miał nic wspólnego. Więcej już sensu miało aresztowanie Stanisława Romańskiego, uczestnika Wschodniego Legjonu, który wrócił z zachodniej Galicji, a już chyba najwięcej żydów, naprawdę bezustannie konspiracyjnych i agitujących za państwami centralnemi, choć niektórzy z nich jak Jawetz z synem ciągle przebywali w towarzystwie Rosjan.

Żandarmerja nacisnęła także dobrze przepisy o niesprzedawaniu wódki a jednego z kupców B., który je przekroczył, skazano na 1.800 rubli kary i zabrano mu ze sklepu wszystkie alkohole. Innego K. skazano znowu na grzywnę 100 rubli za obniżanie urzędowego kursu rubla.

Nagle wśród tych różnych dokuczliwości czasu wojennego przysła wieść o zdobyciu przez Rosjan Przemyśla. Tak jednak w związku z przewlekającą się wojną w oczach

ogółu już upadł był respekt dla oręża rosyjskiego, że tej wiadomości nie brał nikt, ale literalnie nikt, na serjo, mimo iż wiadano, że 22 marca o godz. 4 popołudniu z tego powodu odbyło się nawet w Sokole uroczyste nabożeństwo. Chcąc z jednej strony zasięgnąć języka jak się rzecz naprawdę miała, z drugiej zaś wrócić do pracy w Komitecie Ratunkowym, gdzie mnie wzywano, a także prosić profesora Grabskiego o interwencję w związku z aresztowaniem Podleskiego, ruszyłem w nocy z 22 na 23 marca do Lwowa.

ROZDZIAŁ VIII.

Uroczystości rosyjskie we Lwowie w związku z kapitulacją Przemyśla. Założenie przez żydów we Lwowie nowego rosyjskiego pisma codziennego „Nasz Kraj“. Święto Wielkiej Nocy 1915 r. Przyjazd cesarza Mikołaja II do Lwowa (22 kwietnia). Dni cesarskie. Działalność Lwowskiego Komitetu Ratunkowego. Obchód rocznicy konstytucji 3 Maja we Lwowie. Mój dwutygodniowy pobyt w Kijowie. Nastrój Lwowa przed spodziewaną ewakuacją rosyjską. Próby Rosjan fortyfikowania Lwowa.

Jazda była tym razem cięższa niż zwykle a pociąg pod Barszczowicami stał w polu ze 3 godziny z powodu wykolejenia się innego. Dekorowane choiną wagony, lokomotywy i dworce, przedewszystkiem zaś w Podzamczu, nie pozwalały wątpić, że jednak Przemyśl przecież padł. Potwierdzenie tego faktu dawała również nakazana przez policję dekoracja chorągwiami Lwowa oraz osobliwe a niegodne wielkiego narodu zachowanie się Moskali. Oto chcąc widać przeciwstawić się ogólnej bierności Lwowian, którzy ani rusz nie myśleli się cieszyć z sukcesów oręża rosyjskiego pod Przemyślem, zorganizowano naprędce pochody demonstracyjne, złożone z jakichś drabów przybyłych, a może i miejscowych, wynajętych. Widziałem

taki pochód na ulicy Leona Sapiehy. Otwierało go 3 konnych żandarmów i drab z kijem, za którymi na koniu jechał oficer, a także wśród obdartusów niesiono chorągiew i portret cara Mikołaja. Śpiewano jakąś pieśń rosyjską a drab z kijem biegał po ulicy i nawet w dużej odległości od pochodu, wykrzykując najohydniejsze wyzwiska przeciw Polsce i Polakom, cały zasapany i zapezrony, bił niemiłosiernie stojących spokojnie ludzi, czekających na tramwaj. Chodziło o pospieszne zdjęcie kapelusza przed portretem cara. W ten sposób pobito dotkliwie kilku bardzo poważnych ludzi. Niektórzy, zwłaszcza panie, puciekały do bram lub na schody kościoła św. Magdaleny. I gdy z przyzwyczajonej odległości oglądałem te barbarzyńskie wybryki, zbliżył się do mnie pewien inteligentny żołnierz, Polak z Podola, który, jak się okazało, przeżył już wojnę japońską i oblężenie Portu Artura i żałac się, że za taką Rosję musiał i musi przelewać swoją krew, dodał: „a w dodatku jako katolik nie mogę nawet nabywać ziemi“.

Mimo, że Przemyśl padł i mimo, że w sferach wojskowych wskutek tego zaczęła nawet zjawiać się nadzieja ukończenia rychlejszego wojny, masy wojsk szły na zachód jak dawniej. Szczególnie wiele przeszło ich było 22 marca. A i sam Lwów napełniał się jeszcze więcej żołnierstwem, zwłaszcza zaś oficerami, dla których bezustannie rekwirowano mieszkania. Rozpróżniaczeni włóczyli się oni całymi dniami po ulicach, najczęściej w towarzystwie młodych dziewcząt między 15 a 18 rokiem życia, najwięcej zdaje się sprostytuowanych, nawet ze sfer inteligentnych. Ohydne zwłaszcza były niedziele, a najgorzej działo się w parku Stryjskim i na Wysokim Zamku. Prowadzono też przez miasto nieprzejrzane masy jeńców austriackich, głównie z Przemyśla, między nimi również dawnych lwowskich policjantów, aklamowanych przez ludność. Poza tem wzięty w Przemyślu łup wojenny nie musiał być wielki. Austrjacy

wysadzili w powietrze nietylko forty, ale pozabijali nawet zdadne do użytku konie. Dużo ludzi w dalszym ciągu pochłaniać też musiały Karpaty, gdzie w tym czasie wśląwiły się pozycje pod Koziówką. Niektórzy opowiadali, że wiejące z zachodu i południowego zachodu wiatry wprost śmierdziały trupami, zwłaszcza, że bardzo szybko zrobiło się ciepło. Dnia 7 kwietnia było jak w lecie.

Wydarzeniem dnia w tym czasie stało się założenie we Lwowie nowego pisma codziennego, noszącego nazwę „Nasz Kraj“, jako filii „Kijowskiej Myśli“. Założycielowi, kijowskiemu żydowi Kapellerowi, pomogła podobno w tym względzie spora łapówka, która i to sprawiła, że pismo zaczęło umieszczać wcześniejsze depesze niż inne, a zatem zagroziło poważnie i tak już bardzo wątlej prasie miejscowej. Zresztą Kapeller „robił“ Rosjanina pierwszej klasy. Gdy Kornet Suchotin, Zawadowski i inni Rosjanie na konferencji dziennikarzy, stosując się do większości, mówili w swej uprzejmości po polsku, on jeden odzywał się tylko po rosyjsku, udając, że po polsku nie umie.

Dnia 1 kwietnia wrócił z Warszawy prof. Kasznica i przywiózł wiadomości o nastrojach tamtejszej ludności. W porównaniu z temi, jakie panowały we wrześniu, zwłaszcza wśród młodzieży, uległy one już były ogromnej zmianie. Naogół szerokie masy ustosunkowywały się do Rosjan niezyczliwie. Duże wrażenie robiły też relacje o rozmowie prof. Grabskiego z Sazanowem i z księciem Engałycezem, generał-gubernatorem warszawskim, na temat trudności zbliżenia polsko-rosyjskiego. Engałycezem, rewizytując Grabskiego, miał mu podziękować za udzielone wyjaśnienia i obiecać, że zreferuje je w Piotrogradzie.

Święta Wielkanocne rzymsko-katolickie i prawosławne w r. 1915 wypadły razem w dniu 4 kwietnia. Rezurekcje jak zwykle odbyły się we wszystkich kościołach. Było pogodnie i ciepło, a miasto z rozkazu władz udekorowano chorągwiami. W Wielką Sobotę w katedrze między go-

dziną 4 a 5 zjawił się generał-gubernator Bobrinski z żoną i świtą, zajęchawszy dwoma automobilami. Podszedł do grobu Chrystusa i ucałował nogi postaci Zbawiciela, pobyl 5—8 minut w kościele i wyszedł. Ludność przyjęła to bardzo dobrze jak i zachowanie się taktowne władz podczas procesji. Pochód przy katedrze otwierał policjant, za nim 3 żandarmów konnych i 4 urzędników, a mimo to panował ład i porządek jak nigdy. Wojska nie było a lud nie śpiewał jak zwykle „Wesoły nam dziś dzień nastał“, lecz tylko klerycy. Uderzała też mała liczba kobiet, gdyż między publicznością rozpuszczono wieść, iż według zwyczajów rosyjskich wszystkie spotkane w dzień Paschy wolno całować. Ekscesów na tle pijaństwa ani śladu, choć po raz pierwszy od wkroczenia do Lwowa Rosjan widziałem kilku pijanych pomiędzy żołnierzami. Do lekkiej bijatyki przyszło tylko pod cerkwią Św. Jura, gdzie miejscowi chłopcy tradycyjnym zwyczajem chcieli oblewać zgromadzone tam dziewczęta, żołnierze zaś urządzić inną również tradycyjną zabawę „chachołki“. Zauważyć się atoli dawało, mimo wszystko, pewne już rozprężenie karności we wojsku. Na porządku dziennym były np. awantury wojskowych z konduktorami tramwajowymi o płacenie za jazdę. Wojskowi, domagając się bezpłatnego przejazdu, lekceważyli wyraźne rozporządzenie w tym względzie zarówno komendanta miasta jak i gradonaczalnika. Nie nadzwyczajnie też przedstawiała się sprzęzystość i energja policji. Przykładem mogła być cegielnia na Filipówce, gdzie motłoch miejski swobodnie rozbierał sobie nocami budynki, mimo ustawiania tam od czasu do czasu policjanta i wizyty kierownika cyrkulu z ulicy Jabłonowskich. Gradonaczalnik oświadczył zarządzającemu cegielnią, że wtedy tylko może dać skuteczną opiekę, gdy otrzyma 275 rubli za pół roku dla żołnierza, 100 rubli na mundur, mieszkanie i coś tam jeszcze.

W drugi dzień Świąt Wielkanocnych słychać było

potężny, choć odległy huk od strony Karpat, szczególnie w górnej części ulicy 29 Listopada i na cmentarzu, gdzie z tego powodu zgromadziło się wiele osób, również i Rosjan. Słabszy dochodził już od 4 dni. W niedzielę Wielkanocną ukazał się też nad miastem nieprzyjacielski aeroplan, lecz ostrzelany zawrócił. Austriacy osiągnęli jednak swoje. Znowu zaczęły się rozmowy na temat bliskiej zmiany sytuacji na froncie. W tem wszystkim dochodzili austrofile do absurdu. Spotkałem inteligenta, radcę sądowego, który mi udowadniał, iż w Karpatach dowodzi syn cesarski arcyksiążę Rudolf, o którym wśród społeczeństwa ciągle jeszcze utrzymywała się wiara, że żyje i że od czasu do czasu pokazuje się między ludem.

Dnia 21 kwietnia z rozmowy z inteligentnym i Polakom dość życzliwym dziennikarzem z „Lwowskiego Wiestnika“ dowiedziałem się, że w dniach 22, 23 i 24 tegoż miesiąca ma bawić we Lwowie Zwierzchni Wódz Naczelny i zamieszkać w pałacu namiestnikowskim, który na ten czas opuści hrabia Bobrinski, przenosząc się gdzie indziej. Wnet jednak okazało się, że Lwów w swych murach będzie gościł jeszcze większego dostojnika, bo samego cara Mikołaja, którego przybycie jednak do ostatniej chwili tajono. Dość powiedzieć, że gdy wieczorem, a nawet w nocy w czwartek 22 kwietnia automobile z cesarzem i jego świtą zbliżały się już do Lwowa brodzkim gościńcem, dopiero wówczas policjanci, biegając od bramy do bramy, wzywali do wystawiania chorągwi i dekorowania domów. Ale i w tej chwili nie umieli czy nie chcieli jeszcze powiedzieć na czyją cześć! Wszyscy tylko domyślali się, że to dla Zwierzchniego Wodza Naczelnego. Tymczasem afisze, które pojawiły się rano w piątek na murach, wyjaśniły, że to dla cesarza.

W ciągu „dni cesarskich“ od piątku do niedzieli, ludzi na czysto pozamiatanych ulicach wogóle było mało, gdyż obawiano się możliwości jakichś niespodzianek. Tu

i ówdzie tylko stały uparcie grupy ciekawych a także snuło się wielu wojskowych, przyodzianych w lepsze mundury niż zazwyczaj. Na placu Marjackim, pod pomnikiem Mickiewicza, przyjmowały cesarza okoliczne delegacje ludności ruskiej ze sztandarami. Poza tem kontaktu ze społeczeństwem nie było zdaje się żadnego, co wywołało znowu niejednen komentarz w sferach politycznych polskich. Poseł do Dumy rosyjskiej Żukowski, z którym zetknąłem się był po odjeździe cesarza, cierpko narzekał, że Rosjanie nie zajmują się sprawą polską i ją wprost lekceważą.

Pobyt cesarza stał się dla austrofilów doskonałą sposobnością do rozpuszczania najrozmaitszych i najdziwniejszych plotek. Jedni mówili, że po Lwowie jeździ nie cesarz, lecz manekin przebrany za cara, inni, że ktoś podstawiony. Już do najmądrzejszych należeli ci, którzy utrzymywali, że cesarz zaglądnął do Lwowa, bo chce wy badać sytuację i układać się o pokój. Owa gadanina zyskała zwłaszcza na intensywności, gdy w dwa dni po odjeździe cara stanęła we Lwowie jakaś delegacja angielska, której celu bliżej nie poznałem. Nie musiała się ona jednak składać ze zbyt mądrych i wybitnych ludzi, skoro pewien wchodzący w jej skład Anglik, z którym zetknął się był namiestnik kraju hr. Leon Piniński, pytał go czy w Galicji mówi się po austrjacku.

Komitet Ratunkowy wśród tych wszystkich mniejszych i większych zdarzeń pracował tymczasem dalej i rozwijał swą pożyteczną działalność, udzielając przedewszystkiem pomocy doraźnej z otrzymanych od rządu funduszków i zapomóg w naturze. Pczęści bezpośrednio, pczęści zaś zapomocą swoich delegatów powołał Komitet w 19 powiatach zachodniej i środkowej Galicji cały szereg organizacyj, które na miejscu spełniały akcję ratunkową. Komitety powiatowe ukonstytuowały się w Brzozowie, Dąbrowej, Goricach, Jarosławiu, Jaśle, Krośnie, Łańcucie, Pilźnie, Przemyślu (pow. sądowy Dubiecko), Przeworsku, Ropczycach,

Rzeszowie, Sanoku, Strzyżowie, Tarnobrzegu i Tarnowie. W wielu okolicach istniały nadto z ramienia Komitetu Ratunkowego osobne komitety miejskie, parafjalne i gminne. Tylko w powiatach kolbuszowskim, mieleckim i niskim nie udało się oprzeć prowadzonej tam akcji ratunkowej o komitety powiatowe i lokalne. Spełniali ją tam wskutek tego specjaliści delegaci. Przeorganizował się również Komitet na wewnątrz w swej lwowskiej centrali. Po ustąpieniu z sekretarjatu redaktora Biegi, jego funkcje w pierwszej połowie kwietnia objąłem ja, zaczynając od uporządkowania ogromnych już a zbiegających się z całego kraju materiałów informacyjnych, tudzież kasy i rachunkowości, przyczem z niezmierną gotowością i najzupełniejszą bezinteresownością stanął do pracy fachowiec w tym zakresie Dr. Tomanek.

Akcja na polu udzielania pomocy do dnia 1 maja 1915 r. przedstawiała się następująco:

pow. Brzozów otrzymał		2.350 rb.
„ Dąbrowa	8 wag. mąki i	10.000 „
„ Gorlice	3 „ „	2.500 „
„ Jasło	2 „ „	2.500 „
„ Kolbuszowa (Sokołów)	7 „ „	3.000 „
„ Krosno	4 „ „	3.000 „
„ Łańcut (Leżajsk)	5 „ „	650 „
„ Mielec	2 „ „	5.500 „
„ Pilzno (Brzostek)	4 „ „	1.500 „
„ Przeworsk (Jawornik)	6 „ „	600 „
„ Ropczyce (Dębica, Sędziszów)	8 „ „	4.500 „
„ Rzeszów	2 „ „	1.500 „
„ Sanok	4 „ „	3.000 „
„ Strzyżów (Czudec, Frysztak)	4 „ „	2.500 „
„ Tarnów	9 „ „	15.000 „
„ Tarnobrzeg, Nisko	14 „ „	11.400 „

pow. Łańcut — Leżajsk — Przeworsk (wspólnie)	4.000 rb.
„ Nisko (na założenie sklepu aprow.) . . .	3.000 „
miasto Tarnów	3.000 „

Razem rozdano 82 wagonów mąki i 79.500 rb. w gotówce. Poza tem gotówkowy fundusz subwencyjny obciążony został kwotą 10.000 rb. na zapłacenie kosztów przewozu mąki i kwotą 600 rb., w połowie na zasiłek dla zakładu w Miejscu Piastowem i na opłacenie lekarza powiatowego w Ropczycach, tak, iż ogółem z funduszków otrzymanych od rządu wydatkowano 90.100 rb.

Na pierwsze potrzeby ludności, tytułem doraźnej pomocy, wypłacono nadto cały szereg kwot z własnych funduszków Komitetu, zebranych w Galicji i w innych częściach Polski.

Mianowicie wypłacono na zasiłki dla:

Tarnopola (powiatu)	1.000 rb.
Tarnopola (miasta)	1.000 „
Brzozowa	500 „
Rzeszowa (miasta)	3.000 „
Kamionki Strum. (powiatu)	500 „
Rudek (powiatu)	500 „
Jarosławia (powiatu)	500 „
Czortkowa (powiatu)	500 „
Buczacza (powiatu)	200 „
Husiatyna (powiatu)	200 „
Borszczowa (powiatu)	200 „
Sambora (powiatu)	1.000 „
Tarnobrzega i Niska (nauczycielom) .	500 „
ochronek w Stanisławowie i Stryju .	400 „
ochronki w Rozwadowie	500 „
wsi Skwarzawy (powiat Złoczów) . .	600 „
Gródka (miasta)	30 „
kilku wsi w okolicach Przemyśla . .	600 „
wsi Dobrotwór (w formie pożyczki) .	600 „

Z własnych przeto funduszków udzielono ludności dotkniętej wojną tytułem doraźnej pomocy kwotę 12.330 rb. a także pokryto z tego źródła wszelkie wydatki administracyjne, związane z ogólnym tokiem akcji Komitetu. Cały szereg osób zasílono prócz tego z daru w naturze, otrzymanego z Płoskirowa na Podolu rosyjskiem od hrabiny Dunin-Borkowskiej.

Inny rodzaj działalności rozwinął Komitet, niosąc pomoc rolnictwu, zarówno średniej własności jak i małej. Tu chodziło głównie o to, aby jak najszybciej uruchomić warsztaty pracy rolniczej, aby zasiać odłogiem leżące pola i uporządkować gospodarstwa. Na nasienie, które dostarczał rząd, zorganizowano magazyny zbożowe w Przeworsku, Rzeszowie, Dębicy, Rozwadowie, Jaśle i Krośnie (Sanoku), ustanawiając magazynierów i ich zastępców oraz, po porozumieniu się z władzami, wprowadzając odpowiednią ewidencję sprzedawanego zboża. Magazyny te zajęły się także rozdziałem ziemniaków, zakupionych w kraju na zasiew z osobnego funduszu subwencyjnego w kwocie 30.000 rb. Na urządzenie magazynów wyasygnował Komitet z ogólnego funduszu subwencyjnego kwotę 3.000 rb. (po 500 rb. na magazyn) i osobno 300 rb. dla Sanoka. Z własnych funduszków Komitetu obrócono natomiast kwotę 30.000 rb. na drobne pożyczki dla tych średnich rolników, którzy z innych źródeł nie mogli uzyskać potrzebnej im gotówki do prowadzenia gospodarstwa. Była to bardzo drobna pomoc wobec ogromu tego, co należało w kraju na tem polu zrobić. Wydatniejszej jednak spodziewano się od oficjalnych czynników rosyjskich, dla których też sekcja rolnicza Komitetu Ratunkowego opracowała stosowny memoriał i wręczyła go generał-gubernatorowi. Chodziło o 5 milionów rubli, a posiedzenie, na którym w Komitecie Ratunkowym pod przewodnictwem hr. Leona Pinińskiego debatowano nad tą sprawą, było wyjątkowo ożywione, nabrawszy charakteru wysoce politycznego, gdyż nie brakło

poważnych zastrzeżeń, czy z taką prośbą należy wobec rządu występować czy nie. W porozumieniu ze Związkiem Ziemiaków Komitet Ratunkowy zabiegał równocześnie skutecznie o wprowadzenie kuratorów i administratorów dla tych majątków, które zostały w wirze zaczynającej się wojny rzucone na pastwę losu przez właścicieli lub dzierżawców. Część opuszczonych włości odpowiednio zabezpieczono.

Niemalą kłopotów sprawiało uzyskanie od rządu pozwoleń na przeprowadzenie koni i bydła. Jeszcze trudniejsze były tylko przepustki na przewóz spirytusu denaturowanego.

Akcja Komitetu Ratunkowego na polu handlowo-przemysławem doprowadziła do zawiązania się „Centrali Handlu Hurtownego we Lwowie“, spółki z ograniczoną poręką, opartej narazie o kapitał 100.000 K., zebrany drogą udziałów. Celem tej spółki, subwencjonowanej przez Komitet Ratunkowy wpłaconą tytułem udziału kwotą 5.000 rb., było:

- 1) organizowanie i prowadzenie zastępstw komisowo-handlowych;
- 2) prowadzenie zastępstw na rachunek swych członków;
- 3) zakładanie i prowadzenie hurtownych składowni we Lwowie i na prowincji;
- 4) udzielanie kupcom krótkoterminowych pożyczek na zastaw zakupionych towarów lub za innem realnem lub osobistem ubezpieczeniem.

W stosunku do Komitetu Ratunkowego spełniać miała hurtownia zadanie podwójne i tak oddawać mu towar po cenie własnych kosztów a powtóre działać organicznie jako przedsiębiorstwo dostarczające towaru prywatnym interesentom.

W celu zebrania informacji co do źródeł zakupu towarów, warunków ich nabywania i przewozu do Galicji

z ramienia sekcji handlowo-przemysłowej Komitetu Ratunkowego oraz „Centrali Handlu Hurtownego“ w pierwszej połowie kwietnia wysłano do Rosji delegację, składającą się z kupców Leona Oberskiego i Wiewiórskiego, adwokata Dr. Roińskiego i inżyniera Zacharjewicza. Delegacja objechała wszystkie ważniejsze centra handlowe imperjum, jak Kijów, Moskwę, Piotrogród, Warszawę i t. d. Wyjazd delegacji wywołany został także wyczerpaniem się do reszty na rynkach galicyjskich wszelkich zapasów dawnych towarów, wśród których były i takie, co podniosły się w cenie o 200 a nawet o 300 procent. Dość przytoczyć np. blachę cynkową. Przed wojną nr. 10 tego materiału budowlanego, jako przednia sorta cieszyńska, kalkulował się po 25 koron za 100 kg, a w kwietniu 1915 towaru lichego po 35 do 36 rubli i nawet wyżej. Wogóle wprost z konieczności musiał się ożywić jakiś handel między Galicją a Rosją, zwłaszcza zaś potrzebowała tego Galicja. Niejako zapowiedzią owej nowej ery było sadowienie się we Lwowie filij rosyjskich banków. Dnia 14 kwietnia w dawniejszym lokalu Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego zaczął działać Bank Rosyjsko - Azjatycki. Mniejsze robiły operacje już wcześniej.

Również sprawę handlu detalicznego artykułami spożywczymi, zwłaszcza zaś w zachodniej części kraju, Komitet Ratunkowy miał ciągle na uwadze i, uznając jej doniosłość, chciał przystąpić do akcji organizacyjnej na tem polu. W związku z tem zebrano niemało materiałów, ilustrujących wyzysk biedującej ludności, uprawiany przez niesumiennych spekulantów, a także zbadano w wielu stronach warunki rozwoju sklepikarstwa, zarówno na wsi jak i w miasteczkach.

Ważną troskę Komitetu stanowiła sprawa zabezpieczenia ludności kraju przed grożącymi jej epidemjami. Chodziło głównie o dostarczenie powiatom pozbawionym lekarskiej opieki lekarzy, środków dezynfekcyjnych i le-

karstw oraz o objaśnienie ludności jak się ma zachowywać, aby nie rozszerzać chorób, lecz tłumić je ile możności już w zarodku. Uznając nagłość tych spraw, zaakceptowano w zasadzie wszystkie postulaty sekcji sanitarnej Komitetu Ratunkowego, między innymi zaś myśl nominacji własnych lekarzy wszędzie tam, gdzie tego okoliczności wymagały. Niestety w wykonaniu tego najważniejszego warunku ochrony życia i zdrowia mieszkańców natrafiono na bardzo wielkie przeszkody z powodu braku lekarzy, którzyby mogli i chcieli opuścić Lwów i oddać się pracy na prowincji. Wskutek tego tylko powiat ropczycki otrzymał narazie lekarza z ramienia Komitetu (Dra Kalickiego).

Bardzo ożywioną działalność rozwinął Komitet Ratunkowy, względnie jego sekcja sanitarna, na polu wydawnictw popularnych i pouczeń z zakresu higieny i chorób zakaźnych. Stopniowo te publikacje rozszerzone zostały po całym kraju w ilości kilkudziesięciu tysięcy egzemplarzy, a informując w formie przystępnej o racjonalnem zachowywaniu się ludności wobec problemów sanitarnych, chroniły ją poniekąd od niejednego na tem polu błędu, który w czasie wojennym mógł mieć nieporównanie gorsze skutki niż w okresie pokoju.

Dla uzupełnienia obrazu akcji, zmierzającej do ochrony zdrowia i życia mieszkańców kraju, zagrożonego przez możliwość rozszerzania się chorób zakaźnych, podnieść należy i tę okoliczność, że Komitet przyjął z radością gotowość pospieszenia Galicji z pomocą warszawskiego oddziału polskiego „Piotrogradzkiego Towarzystwa Pomocy Ofiarom Wojny“, a to przez wysłanie na własny koszt oddziałów sanitarnych, które spełniały swoje zadania w Rozwadowie i Mielcu.

Podkreślić wreszcie wypada usiłowania Komitetu, zmierzające do tego, aby zebrać jak najszczegółowsze informacje dotyczące się rozmiarów zniszczenia kraju. Dane te

gromadziło biuro Komitetu, natrafiając przy tej akcji regestracyjnej nieraz na bardzo wielkie trudności.

Oto niektóre z cyfr, ilustrujących stan kraju i rozmiary nędzy, przyczem oświadczamy, że wysnute one zostały na podstawie informacji nieścisłych i bardzo nierównomiernych, jakimi Komitet rozporządzał. A mianowicie w dniu 1 maja 1915 r. ludzi bez dachu nad głową w 17 zachodnich powiatach kraju żyło 40.585, bez środków zaś utrzymania, zdanych zupełnie na pomoc społeczeństwa, 192.730. Na zaspokojenie potrzeb tej ludności jak również i tej, która mogła jeszcze kupować, ale nie miała gdzie, należało miesięcznie dostarczać 221 wagonów mąki, 99 krup i 30 soli. Na zasiew potrzeba było 1.010 wagonów owsa i 824 jęczmienia. Brakowało nadto 21.000 koni niezbędnych do gospodarstwa. Domów mieszkalnych uległo było zniszczeniu 6.879 a kilkakroć tyle gospodarczych (np. w samym tylko powiecie tarnowskim 1.900). Siedem powiatów było całkowicie pozbawionych opieki lekarskiej przy braku środków dezynfekcyjnych i leczniczych. Choroby zakaźne, zwłaszcza zaś tyfus, groźnie podnosiły głowę.

Rosjanie, jak widać z powyższego, starali się bodaj w części zagoić rany, zadane gospodarce krajowej przez szalejącą od kilku miesięcy wojnę. I choć to ich postępowanie nie wykluczało dalszego niszczenia dobrobytu ludności, czego dowodem były choćby tylko przeliczne skargi na spasanie żołnierskimi końmi zielonej runi zbóż, niemniej jednak pomoc rosyjska stanowiła wyraźny symptom dobrej woli najeźdźcy i ludność odnosiła się do niej życzliwie, rozumiejąc, iż lepiej jest, że Rosjanie bodaj jedną ręką oddają to, co drugą zabierają, niż gdyby mieli grabić obiema. Wogóle zaś były to czasy pełne najrozmaitszych sprzeczności, które najwyraźniej występowały w dziedzinie stosunków politycznych. Istny bigos, który zwiększał się z godziny na godzinę. Dnia 3 maja, ku ogólnemu

zdziwieniu wszystkich, pozwolili Rosjanie na nabożeństwo w lwowskim kościele katedralnym na cześć Konstytucji 3 Maja, na udział w niem młodzieży szkolnej, na noszenie kokardek o barwach narodowych i na śpiewanie pieśni patriotycznych, zaś dzień poprzód zakazali żołnierzom mówić na ulicach po polsku. W dodatku popołudniu 2 maja w niedzielę, kiedy kościół katolicki obchodził święto Matki Boskiej Królowej Korony Polskiej, na cmentarzu założyli fundamenta pod kaplicę prawosławną (Chołm Sławy) a muzyka wojskowa, przeciągając przez miasto, napełniała je obcemi uchu polskiemu melodjami. Należy przypuszczać, że ów dzień majowy wybrano celowo i że całą tą manifestacją chciano zaznaczyć rzekomo wieczyście rosyjski charakter Lwowa.

Były to już jednak niejako ostatnie chwile, kiedy Rosjanie w starej stolicy kresów polskich czuli się tak dobrze. Niebawem w związku z przełamaniem obronnych linii wojsk rosyjskich pod Gorlicami miało przyjść bolesne nad wyraz otrzeźwienie, choć i tak nie dla wszystkich, bo ogromna masa patriotów rosyjskich, zwłaszcza dalej od frontu, żywiła nadal jeszcze myśli i mniemania, że wojna z mocarstwami centralnemi przemieni się szybko znowu w wielki triumf oręża carskiego. Zapatrzeni w bezmiar imperjum nie chcieli rozumieć, że o powodzeniu wojennem decyduje nie tyle masa ludzka ile wola zwycięstwa i sprawność sił walczących.

Takie przynajmniej wrażenie lekkomyślnego ciągle jeszcze traktowania spraw wojennych odniosłem z rozbawionego Kijowa, dokąd wyjechałem w tym czasie z ramienia jednego z banków, aby zakończyć i podpisać umowę z „Obszczestwem Potrebitielej Służaszczych Jugożapadnych Żelaznych Dorog (Towarzystwem spożywców służby południowo-zachodnich dróg żelaznych)” w sprawie dostawy żywności dla ludności miasta Lwowa. Umowy tej, rozglądając się na miejscu w siłach „obszczestwa potre-

bitielej“, atoli nie podpisałem, tem więcej, że równocześnie miałem wypłacić dużą sumę 80.000 rubli tytułem zaliczki, a wieści, jakie z frontu dochodziły nad Dniepr, nie wróżyły Rosjanom dobrego obrotu ich kampanji galicyjskiej. Widać było, że na placu boju zaszedł jakiś zwrot stanowczy, który może pociągnąć za sobą olbrzymie konsekwencje. Nawet urzędowe depesze, podawane przez kijowskie gazety, wskazywały na niebywale szybkie cofanie się armij rosyjskich i postępy ofensywy państw centralnych. Tego zdania byli też i miejscowi Polacy kijowscy, z którymi nawiązałem kontakt, jak adwokat przysięgły Józef Frycz, inżynier Milwild z zakładów Malczowskich, dyrektor „Samopomocy“ Wiliński, zasłużony działacz społeczny i uczony Joachim Bartoszewicz, redaktor naczelny znakomicie podówczas redagowanego „Dziennika Kijowskiego“ Edward Paszkowski, dyrektor kijowskiego zastępstwa fabryk „Tryugolnika“ Maciański, światły i doskonale orjentujący się w sytuacji Karol Waligórski oraz wielu innych.

I gdy po dwutygodniowym pobycie w Kijowie dnia 20 maja wróciłem do Lwowa, znalazłem tam rzeczywiście sytuację zupełnie różną od poprzedniej. Odczuć ją można było już zresztą i w drodze po całym gorączkowym ruchu kolejowym, a nawet wyczytać z min jeńców austrowęgierskich, jadących do Rosji, buńczucznych i zuchwałych, czego dotąd nigdy nie było. O Niemcach nawet nie mówię. Nieliczni jeńcy z armji niemieckiej nawet w niewoli budzili respekt swą postawą żołnierską i zrezygnowaną karnością. Nie zapomnę też nigdy postaci ciężko rannego ogromnego Prusaka, który sunąc się przy pomocy kija po dworcu w Wołoczyskach i podtrzymując z całym wysiłkiem trzymaną drugą ręką u boku pikielhaubę, choć niewolnik, zachowywał ogrom godności i powagi.

Lwów na widok ewakuacji miasta przez Rosjan ogarnęła panika nie mniejsza od tej, jaka tu panowała we wrześniu roku poprzedniego, gdy wychodzili Austriacy.

Ta tylko zachodziła różnica, że gdy wówczas lękającymi się zmiany władania byli przeważnie żydzi i urzędnicy, to obecnie w tej pozycji znalazły się przede wszystkim szerokie sfery mieszczaństwa chrześcijańskiego, które już zaczęło się przystosowywać do nowych warunków egzystencji a nawet nawiązywać dość ożywione stosunki z rynkiem handlowym rosyjskim. Jednak ci i tamci obawiali się, że gdy miasto przejdzie kilka razy z rąk do rąk, wtedy stanie się kupą gruzów. W trwałość zaś okupacji austriackiej nie wierzono. Dużo również dawały do myślenia głuche wieści o mających nastąpić w chwili ostatecznej ewakuacji ekscesach wojsk kozackich, oraz takie np. objawy jak żądanie przez Rosjan przedstawiania im surowych bilansów bankowych a przede wszystkim wzmożona robota prowokatorska i przeliczne aresztowania. Zaczęto też wzywać na policję stróżów kamienicznych i tam ich szczegółowo indagować na temat tego, co się dzieje po domach. Z ludzi wybitniejszych aresztowano wtedy chwilowo na podstawie fałszywego doniesienia: adwokata i prezesa Izby Adwokackiej we Lwowie Kamińskiego, przewodniczącego 6 okręgu Organizacji Narodowej Paszkudzkiego, kilku sędziów, pomocnika adwokackiego Hofmokla i innych. Tę niebezpieczną niejasność sytuacji zrozumieli łatwo też i żydzi. Nie chcąc narażać się na specjalne represje, podkreślali swą rzekomą neutralność wobec stron wojujących przez to, że uchwalili nie witać wkraczających ewentualnie do miasta Austro-Niemców i jak najrychlej zakomunikowali tę swoją decyzję Rosjanom.

Dnia 23 maja z więzienia, noszącego ludową nazwę „Brygidek“, wywieziono resztę jeńców austriackich, wziętych niegdyś w Przemyślu, a potem zabrano się do przewożenia ogromnych zapasów ubrań, broni i innego inwentarza wojennego. Znowu całe miasto zawałyły podwoły, które niedającymi się wzrokiem ogarnąć szeregami stały po wszystkich ulicach, zwyczajne chłopskie, szerokie skar-

bowe, nawet dwukołowe, zaprzężone w bawoły z pełnemi tarczami kół, wyciętemi wprost z deski, t. z. arby. Szczególnie ten archaiczny typ wehikułów, sprowadzonych z głębi Kaukazu, dawał dużo do myślenia o sprawności organizacyjnej i transportowej Rosjan w wieku automobili i pary.

Huku armat, bardzo wyraźnego w połowie maja, później słyhać przecież nie było, tożsamo znikły ciężkie dymy na zachodzie, które poprzednio przez trzy dni w związku z palącemi się zbiornikami nafty w Drohobyczu i Borysławiu zasłaniały słońce. Raz wraz szybowały tylko nad miastem, ostrzeliwane przez Rosjan, aeroplany austriackie czy niemieckie. Miały one za zadanie rzucać bomby na ludzi sypiących naokół Lwowa okopy i naprawiających tory kolejowe. Przymusowych tych robotników wyłapywano wszędzie i na ulicach i po kamienicach, zwłaszcza zaś nocną porą, nawet po cmentarzach i kościołach, jak to np. miało miejsce w niedzielę dnia 30 maja, kiedy podczas nabożeństwa majowego zamknięto kościół O. O. Bernardynów i zabrano sporo mężczyzn do robót. Czasem aresztowano też publiczność, zbierającą się naokół grającej na przynętę na którymś z placów publicznych muzyki lub odcinano kordonami całe ulice i wyszukawszy po domach ludzi silniejszych i młodszych pędzono wprost do szanćów. Tam wielu z nich ginęło lub odnosiło rany. Szczególnie ciężkie ofiary zanotowano dnia 28 maja.

Pod siekierą rosyjską w pobliżu Lwowa padały teraz całe lasy jak np. w okolicy Brzuchowic, a transporty żywności z Rosji, które dotąd głównie karmiły ludność, nagle zawiodły. Cofnięto nawet z drogi te wagony, które dotarły już do granicy galicyjskiej, między niemi jeden Komitetu Ratunkowego. Nieznośne też stały się rekwizycje otwarte i maskowane, boć przecież niczem innym nie było np. zamówienie u wielkiego miejscowego przemysłowca Wczelaka znacznej ilości futryn do okien, które mu kazano

robić po 1 rb. za sztukę. Rosjanie czynili zatem wszystko, aby swe ostatnie chwile pobytu w stolicy kraju zapisać jak najgorzej.

W takich warunkach topniały z dnia na dzień szeregi tych, którzy ze względu na ogólnopolską politykę opowiadali się dotąd po stronie rosyjskiej, widząc w niej niejako przedłużenie frontu państw zachodnich. Reszta, która wytrwała, tem usilniej skupiła się przeciw przy osobach Stanisława Grabskiego, redaktora Wasilewskiego i prof. Pawlikowskiego. I tym wodzom orjentacji antyaustriackiej i antyniemieckiej trzeba przyznać, że czynili wszystko, aby jak najmniej ludzi narazić na niechybne represje mściwych władz austriackich. W rezultacie wyszły ze Lwowa tysiące, w tem sporo młodzieży, której poza wszystkim groziła jeszcze służba w szeregach znienawidzonych armij. Wyjeżdżający zaopatrywali się w przepustki, wydawane im przez władze w myśl wskazówek Grabskiego i jego otoczenia. Grupa ta narazie stanęła przeciw całkowicie poza jakimikolwiek sympatjami ogółu. Jakie bowiem w tym momencie panowały we Lwowie nastroje, świadczyć mogą cyfry nakładu wychodzących tam gazet. Oto „Słowo Polskie“, organ narod. demokratów, dający utrzymanie kilku działaczom (Grabski, Wasilewski, Gubrynowicz, Opiola), bito zaledwie w 1.200 egz., zaś brukową „Gazetę Codzienną“ aż w 12.000.

Główna fala małopolskiej emigracji opuściła Lwów dopiero w połowie czerwca, kierując się przeważnie na bezpieczny narazie Wołyń. Świadkiem tego wyjścia jednak nie byłem, gdyż ze względu na różne sprawy natury publicznej i prywatnej musiałem już 1 czerwca wyjechać do Tarnopola. Mogę natomiast podnieść, że podróż odbyta ze Lwowa do stolicy małopolskiego Podola pouczyła mnie dosadnie o postępującem rozprzężeniu ruchu kolejowego. Na przebycie przestrzeni 140 km. pociągiem „pospiesz-

nym“ trzeba było aż 12 godzin czasu, względnie nawet 20, zważywszy, że wyjazd ze Lwowa nastąpił o 8 godzin później, niż to wynikało z rozkładu jazdy.

ROZDZIAŁ IX.

W Tarnopolu. Liczne aresztowania w pierwszych dniach czerwca. Zakładnicy. Huculi. Jeńcy. Rekwizycja metali. Próby rosyjskie niszczenia zbiorów polnych i bydła. Spirytus. Cholera. Sposób zarobkowania inteligencji. Finanse miejskie. Zmiany na stanowiskach naczelników powiatów. Obawa przed przymusową ewakuacją mężczyzn w wieku od 18 do 50 lat.

W Tarnopolu zastałem stosunki podobne do tych, jakie panowały we Lwowie, z tą chyba różnicą, że narazie nikogo tu nie chwymano do sypania szanów lub do naprawiania torów kolejowych. Aresztowano jednak ludzi na prawo i na lewo, a aresztów dokonywały aż sześciorakie władze, bo sztab, ochrana, żandarmerja miejska, żandarmerja kolejowa, gubernator i sąd. Najlepiej, rzec można, wychodzili jeszcze ci, których aresztowała ochrana, bo po zbadaniu sprawy aresztantów przeważnie bezzwłocznie zwalniała, najgorzej natomiast działo się owym, którzy za kraty dostali się z polecenia sztabu, zawsze prawie dalej nie interesującego się zatrzymanym. Niezbyt obszerne więzienie w Tarnopolu wypełniło się przez to powoli aż po brzegi i według relacji jego zarządcy, niejakiego Marjana Groszka, w dniu 24 czerwca mieściło aż 280 osób. Między nimi znajdował się tam także przez czas krótki, bo wypuszczony na wolność już w początkach czerwca, naczelnik urzędu pocztowo-telegraficznego Eugenjusz Herwy, zaaresztowany za to, że nie powiedział, iż w jego domu mieściła się sekcja zarządu telefonów.

Najliczniejszy zastęp uwięzionych przedstawiali ci, którzy zabrani zostali z miasta jako zakładnicy (Seidmann,

Breitmann, Adler, Dr. Rosenfeld i szereg innych) jak nie-
mniej skazani na deportację w głąb imperjum, dokonaną
przeważnie 3 lipca. Wywieziono wtedy 32 osób (Adolfa
Jawetza z synem, Adolfa Kannerera, sędziego Raka, prakty-
kanta starostwa Moszica, Turyna etc.). We wszystkich
tych zarządzeniach władz rosyjskich dopatrywano się głów-
nie ręki ochrony, której niestety, w myśl tego, co głosiła
opinja publiczna i co wyraźnie wobec mnie podniósł pre-
zydent miasta Dr. Stanisław Mandel, mieli służyć także
uczniowie szkół polskich. Ten niepożądany objaw moralnej
zgnilizny przypisywał on niesłusznie narodowej demokracji,
którą winił za złe wychowanie młodego pokolenia. Ale
takich zacierzewionych nieprzyjaciół narodowej demokracji
było więcej. Pewien lekarz w Tarnopolu opowiadał pu-
blicznie o znacym i powszechnie szanowanym doktorze
Zdzisławie Stobieckim, że przyjął prawosławie, mimo iż
nie było na tem cienia prawdy. Wszystko w roznamięt-
nieniu partyjnym, bo doktor Stobiecki, choć austriacki
lekarz wojskowy, od samego początku wojny znalazł się
w obozie wrogów państw centralnych.

Przez miasto przewijała się wielka ilość coraz to no-
wych typów. Raz wraz pokazywały się tłumy rusińskich
górali, t. z. Hucułów, uciekających z Karpat pod na-
ciskiem austro-niemieckiej ofensywy, podobnie jak to już
było poprzednio w zimie, obecnie jednak wywożonych
w otwartych wagonach w głąb Rosji, to znowu zjawiały
się masy żydów, pędzonych i wiezionych na wozach od
strony Śniatyna, Monasterzysk i Buczacza. Część tych
wyrzniętów pozostała w Czortkowie, gdzie Rosjanie miej-
scowej gminie żydowskiej kazali ich żywić.

Ponad wszystko, gdy idzie o zainteresowanie ogólne,
wybijały się jednak transporty jeńców wojskowych, już
choćby z tej przyczyny, że z ich składu, jakości i ilości
wnioskowano o tem, co się działo na polu walki. Wielo-
tysięczne eszelony szły ulicą 3 Maja, Mickiewicza i Smy-

kowecką między 1 a 6 czerwca, potem codziennie po kilkuset. Żołnierze pieszo, oficerowie na wozach, otoczeni kozakami, żandarmerją i pospolitakami. Między jeńcami, których razem mogło być do 10.000, znajdowała się także pewna Ukrainka imieniem Ołena w randze porucznika i 6 polskich legjonistów. W sobotę 20 czerwca pędzono także większy oddział Niemców, 500 do 600 chłopa, z 10 oficerami. Przystanęli na chwilę na placu Sobieskiego tuż przy kościele O. O. Dominikanów. Przypatrzyłem się im dokładnie. W czapkach z czerwonymi otokami i często gęsto w okularach, mimo całej tresury wojskowej, odbijali swym nędznym wyglądem od znacznie roślejszych i zażywniejszych Austriaków. Nierówne bywało postępowanie eskort. Jedne pozwalały na wręczanie pożywienia jeńcom, inne nie.

I jeszcze jedna sprawa czyniła duże wrażenie, a mianowicie dokonywana przez władze rekwizycja metali i warsztatów mechanicznych. Zabierano zatem całymi wagonami i odsyłano do Rosji dzwony kościelne, a w gorzelniach dobierano się do miedzianych części urządzeń tych zakładów przemysłowych. Smutny widok przedstawiały transporty porzniętych kotłów i armatur, które zrzucano na stos przed dworcem kolejowym, uzupełniając to rumowisko zarekwirowanymi po domach miedzianymi rondlami i kłankami. Kupcowi Hermanowi Grünowi zabrano ze sklepu wszystkie rzeczy mosiężne aż do łańcuszków klozetowych włącznie, zaś bronzownikowi Józefowi Steinhäuselowi polecono towary wywieźć w ciągu 2 dni do Rosji, grożąc w przeciwnym razie konfiskatą. Warsztaty mechaniczne zarekwirowano w całości lub częściowo u Mieczysława Głowińskiego, Antoniego Olszańskiego i Stanisława Aseńki.

Groźnie wyglądały również zarządzenia wydane rolnikom w związku ze zniwami, których wyniki chciano jak najbardziej zepsuć, polecając gdzie niegdzie jak np. w Zbarażczyźnie koszenie niedojrzałych plonów, jak niemniej

grożąc późniejszym zniszczeniem wymłóconych. Co do bydła i koni istniał plan przepędzenia stad do Rosji i niektórzy obywatele otrzymali dotyczące wskazówki, jak np. Jurystowski z Kurowiec, Dr. Świstun, wreszcie zarząd stadniny końskiej w Kołodziejówce, skąd pod dozorem własnych ludzi miała być ona ewakuowana do Charkowszczyzny. Tu i ówdzie spisywano także bydło włościańskie, zapowiadając jego rekwizycję. Koni najwięcej zabrano w Mikulińcach, zresztą i w wielu innych stronach po dworach. Wszystko, aby dokuczyć Austro-Niemcom i oddać im kraj bez żywności i siły pociągowej.

Z ogromnemi zapasami spirytusu, nagromadzonemi w rezerwuarach na dworcu kolejowym za czasów austriackich przez Bank Hipoteczny, dali sobie Rosjanie bardzo szybko radę. Produkt wartości 500.000 koron dnia 26 czerwca spuszczone do ścieków ulicznych, aby spłynął kanałami. Przy tej sposobności nie obeszło się jednak bez rozkradania przez ludność płynącego obfitą strugą alkoholu, a także, mimo wart, zapijania się nim żołnierzy. Kilku poniosło nawet z tego powodu śmierć, leżąc na ziemi i pijąc bez pamięci. Sam widziałem dwóch takich. Po stwierdzeniu owych faktów przedsięwzięto u żołnierzy rewizję manierek, usilono też ponieważ warty antyspirytusowe, wystawiając je teraz tam nawet, gdzie były najzupełniej zbędne, jak np. przed budynkiem Banku Kupieckiego przy ulicy Mickiewicza, gdzie przez 2 dni pilnowali kozacy na koniach szachtu węglowego, gdyż im ktoś powiedział, że to otwór kanałowy i że tędy płynie spirytus.

Miasto przedstawiało się jak duży obóz pełen ćwiczącego się, maszerującego i śpiewającego wojska, wyłącznie prawie piechoty, którą częściowo mieszczono także pod namiotami, rozbitemi na placach publicznych. Obozy z namiotami znajdowały się również w najbliższych wsiach, Petrykowie, Zagrobeli i Proniatynie. Sztaby zajęły sąd okręgowy. Na rogach ulic stały warty z karabinami.

Owa mnogość wojska pociągnęła za sobą usilną rekwizycję po domach prywatnych kwater dla oficerów i zakwirowanie wszystkich gmachów publicznych na szpitale. A zatem na cele szpitalne obrócono teraz budynki Krakowskiego Towarzystwa Wzajemnych Ubezpieczeń, szkoły realnej (200 łóżek), banku ruskiego i ruskiej bursy, gdzie pomieszczono oddział dla ostrozakaźnych. Nadto otwarto szpitale w Zagrobeli, Ostrowie i Bucniowie, wszystkie te zakłady wypełniając rannymi, między którymi zjawiał się nowy rodzaj, dotąd tutaj nieznany, a mianowicie poparzonych przez Prusaków. Wyglądali oni tak strasznie i tak jęczeli, iż sanitarjusze mówili, że Boga chyba niema, skoro pozwala człowiekowi nad człowiekiem tak się pastwić. Najwięcej tego rodzaju rannych przywieziono od strony Stryja. — Po dawnemu celom szpitalnym służyło też Towarzystwo „Szkoły Ludowej“, fatalnie dewastowane przy każdej zmianie szpitala. Gdy dnia 28 czerwca opuścił te gmachy szpital nr. 382, zabierając z niewiadomych powodów także niektóre szafy ze zbiorami szkolnemi, zniszczył równocześnie za sobą piece w kuchni, tak, że następny musiał je stawiać na nowo. Typowy przykład niesolidarności postępowania komend rosyjskich.

Przedłużająca się wojna, brud, oraz z każdym dniem coraz to lichsze odżywianie się ludności, stworzyły podłoże do zagnieżdżenia się epidemji cholery. Zapóźno też, bo dopiero 2 lipca po okresie dużych upałów, pomyślano o skrapianiu ulic i wychodków karbolem oraz o oddaniu miasta pod dozór pomianowanych specjalnie dzielnicowych komisarzy sanitarnych, między którymi dyrektor szkoły realnej Józef Trojnar objął najtrudniejszy może posterunek, jakim było śródmieście. Komisarze wiele zrobić jednak nie byli w stanie, gdyż brakowało środków dezynfekcyjnych, a kilo karbolu kosztowało 75 kopiejek. W rezultacie do dnia 5 lipca zanotowano już 8 wypadków cholery, z tych 2 śmiertelne. Do 13 lipca zachorowań było 50

a zgonów 25. Istniały też doskonałe warunki do zagnieżdżenia się ospy. Lekarze Witoszyński i Stobiecki jeździli wprawdzie po okolicy i przedsiębrali ochronne szczepienie, ale rezultaty jego przedstawiały się dość problematycznie, bo gatunek surowicy był lichey.

Wysoce antyosanitarne stosunki przedstawiał również tarnopolski cmentarz, gdzie tysiączne ciała zakopane w zbyt płytkich grobach wytwarzały niesłychany fetor. Wydobywał on się także z prowizorycznej kostnicy, w której gromadzono trupy, zwlekając nieraz po kilka dni z pogrzebem. Jeszcze mniej dbano o poobcinane ręce i nogi, wywożąc je mniej więcej co tydzień skrzyniami ze szpitala, znajdującego się w Towarzystwie „Szkoły Ludowej“, na cmentarz i jak bądź zakopując.

Ludność miejska na to wszystko powoli przyuczyla się patrzeć z obojętnością. Nawet cholera interesowała się bardzo mało. Przy zaniku zarobków i ogólnem ubóstwie wszyscy myśleli tylko o tem, jak zdobyć żywność dla siebie i swoich. W najgorszem położeniu znajdowali się atoli chyba urzędnicy, będący ciągle bez pensji. Kasa Oszczędności miasta Tarnopola, wyręczając rząd austriacki, wypłacała im wszystkiego raz jeden 66% jednomiesięcznej gaży w formie pożyczki na 8%, płacąc połowę w koronach a połowę w rublach. Tacy zaś szczęśliwcy jak np. radca budownictwa Wojciechowski, który za naprawianie szos pobierał od Rosjan od września 1914 do maja 1915 płacę miesięczną w wysokości 175 rubli, należeli do wyjątków. Ale zazdrościć im trudno było tych zarobków już choćby tylko ze względu na dasy i pogroźki austrofilów, którzy bezustannie straszili Wojciechowskiego i jemu podobnych zemstą władz austriackich, choć sami często wieszali się bezwstydnie przy Rosjanach a nawet, jak jeden z wybitniejszych dygnitarzy, chodzili bez szczególniejszej potrzeby na nabożeństwa za cara. Ratuując się przed głodem, żona prokuratora Lewandowska robiła

mydło, prof. gimnazjalny Andrzej Stopka rzeźbił talerze z drzewa, profesor Franciszek Kraśnieński malował, co mógł, do bazaru prowadzonego przez dyrektora gimnazjum Lenkiewicza, a mnóstwo pań szło i haftowało dla żon oficerów rosyjskich. Część ludzi rzuciła się też do handlu, jeżdżąc po towary aż do Kijowa i Berdyczowa i przywożąc je stamtąd czasem nawet furmankami. Był to handel doraźny, niezorganizowany, ale tym, którzy mu się oddawali, przynosił nieraz wcale znaczne zyski mimo podatków miejskich, nałożonych na handlujących. Obciążono też opłatami (akcyzą) dowóz artykułów spożywczych do miasta, które z tego źródła miało miesięcznie około 10.000 koron czyli według kursu z dnia 10 czerwca mniej więcej $4\frac{1}{4}$ tysiąca rubli. Tem cenniejszy był zaś ów zasiłek dla chudej kasy magistrackiej, że próby przysporzenia sobie dochodów z eksploatacji torfowisk, rozciągających się na miejskich błoniach nad Seretem, zupełnie zawiodły z powodu lichoty paliwa. Wielki kłopot sprawiały handlującym tylko przepustki, przez Rosjan coraz częściej odmawiane i zdobywane dopiero po złożeniu sporych opłat, przyczem naczelnik powiatu Dobrogorski to ściąganie haraczu urządził przy pomocy puszki, patrząc jednak dokładnie, co kto w nią wrzuca. I inne dokumenty nie mało kosztowały. Na otwarcie sklepu z ubraniami Kohna pozwolono dopiero po wrzuceniu 300 rubli do puszki u gubernatora i ujezdnego. Gdy przeto Dobrogorski, obławiający się, jak widzimy, na prawo i na lewo, w połowie czerwca został wreszcie usunięty z urzędowania i przeniesiony do Kijowa, gdzie miał oczekiwać dalszych zarządzeń władz, wśród tarnopolan zapanowała niemała radość. Żal zostawił tylko między żydami, bo ci najlepiej jeszcze umieli trafiać do niego swojemi argumentami. Na miejsce jego wyznaczony został radca tytularny Bazyli Krasowski. Usunięciu Dobrogorskiego ze stanowiska towarzyszył także cały szereg innych przesunięć na Podolu na stanowiskach

naczelników powiatów. W Zaleszczykach te funkcje objął chorąży Włodz. Nesterenko, w Buczaczu radca dworu Włodz. hr. Kronhelm, w Brzeżanach radca dworu Aleks. Woronowski.

Wracając do Dobrogorskiego, zaznaczyć należy, że nie stanowił on zgoła jakiegoś szczególnie niekorzystnego wyjątku wśród urzędników rosyjskich. Według relacji Komisarza Łukomskiego, który wiele ciekawych rzeczy wiedział również i o dawnych administracyjnych urzędnikach austriackich, nie mniejszym łapownikiem był także ujezdny w Stanisławowie.

Wypada przeto podziwiać tupet władz rosyjskich, częstujących kraj tego rodzaju typami i równocześnie pragnących powodzenia w nim akcji rusyfikacyjnej. Cóż bowiem z tego, że na Sokole, gdzie umieszczono cerkiew, sterczał krzyż prawosławny, że niektóre z zaagitowanych wsi okolicznych, jak Toustoług i Kutkowce, zgłosiły formalnie przejście na prawosławie, rozumie się odliczając nielicznych tamtejszych Polaków, że w Toustoługu instalował się nawet młody ksiądz prawosławny, Galicjanin, że chłopcy ruscy w Skałaczuźnie okazywali zrazu coraz to większą gotowość do przyjęcia prawosławia, przypuszczając, że w związku z tem dostaną w podziale grunta pańskie. Wszystko to były tylko odbłaski dawnego powodzenia na polu walki a nie sukcesy moralne. Obecnie wobec odwrotu Rosjan one tylko śmieszyły a rusińscy chłopcy skałatcy tak gotowi poprzednio do prawosławia, przekonawszy się, że z podziałem gruntów pańskich nie taka łatwa sprawa, natychmiast w swych zapałach ostygli. Myśleli raczej jak wyleźć z całej kabały, skoro naokół słyszeli, że Austro-Niemcy już 4-go lipca mają zająć Tarnopol.

Walorów moralnych strony rosyjskiej nie były też w stanie podnieść takie dodatnie postaci jak ujezdnego w Skałacie koniuszego dworu Bielowskiego-Żukowskiego,

podobno syna z morganatycznego małżeństwa któregoś z Wielkich Książąt. Traktowano go jako wyjątek i jego osobą nie ilustrowano wcale dodatnich kart historii pobytu Rosjan w granicach Galicji. Owszem dzięki niezdarności okupantów zapisywano je coraz to czarniejszymi wspomnieniami, zwłaszcza teraz, jak się zdawało, już na ostatecznym wychodnym wojsk rosyjskich. Bardzo za złe wzięto np. Rosjanom, że procesji w święto Bożego Ciała dnia 3 czerwca nie pozwolono chodzić po mieście, jak to wymagała tradycja, lecz tylko naokoło kościoła. Zastanawiała również rewizja, którą przeprowadzono dnia 21 czerwca w kościele parafjalnym po zamknięciu jego drzwi, szukając zdaje się telegrafu bez drutu, do czego powód mogła dać chyba ta okoliczność, że o opuszczeniu Lwowa przez Rosjan w dniu 20 czerwca mówiono w Tarnopolu już tego samego dnia wieczorem, choć, nawiasem mówiąc, cała ta operacja wojenna ostatecznie skończyła się dopiero 22-go czerwca w południe. Jednak dwudziestego istotnie się zaczęła.

Coraz to mniej podobało się także zachowanie się wojsk rosyjskich. Zaczęły one pozwalać sobie znacznie więcej niż przed kilku jeszcze miesiącami, napędzając zwłaszcza strachu żydom, którzy i w Tarnopolu, podobnie jak we Lwowie, dla zaznaczenia swej neutralności rozgłosili, że ewentualnie wkraczających do miasta Austrjaków nie będą witać żadnymi specjalnymi manifestacjami. Rosjanie przecież nie interesując się wiele owymi politycznymi nastrojami, podyktowanymi strachem, ani też nie bardzo wchodząc w to, co żydowskie a co chrześcijańskie, obrabowali młyn na Zagrobeli, wiele piwnic a wreszcie dnia 4 lipca w niedzielę w południe opieczętowali kasy w Miejskiej Kasie Oszczędności, gdzie nagromadzono powoli około 50.000 koron nowych wkładek a przez lombard własnych książeczek wkładkowych i pożyczki na zastawy niejednemu dopomagano w jego obecnej biedzie. Tak

samo położono rękę i na pieniądzech w magistracie, tak, że miasto od tej pory posługiwało się jedynie gotówką, znajdującą się w miejskiej elektrowni.

Okolo 30 czerwca zaczęła odchodzić IX armja a przychodzić XI, od 4 lipca sadowiąc swój sztab w Ostrowie a kancelarje w sądzie obwodowym¹⁾. Owa zmiana miała ten skutek, że pokazali się teraz w mieście kozacy kubańscy, którzy swój pobyt zaczęli od gwałcenia dziewcząt, przyczem głośną była krwawa awantura z córką rzeźnika Schwarca z Ruskiej ulicy, który stanął w obronie dziecka. Także i po kasarniach, przed którymi rozdawano ludziom zupę i kaszę, do późnej nocy słyhać było gzy z dziewczkami, czego w tych lokalach dotąd nigdy nie zauważono. Raz wraz powtarzały się również i rabunki. Wytworzyła się atmosfera wielkiej niepewności zarówno osobistej jak i w handlu, tak iż sklepów albo całkiem nie otwierano albo tylko częściowo. Do zaniepokojenia się mieszkańców miasta przyczyniły się wielce i takie okoliczności jak ewakuowanie szpitali, wzięcie zakładników z pośród żydów, wywożenie więźniów politycznych z sądu obwodowego i t. p. Równocześnie przekonano się także i o tem, że Rosjanie brali zakładników na prawo i lewo. Ze Złoczowa wzięto 24, których pędzono piechotą do Tarnopola, wśród nich hr. Dzieduszyckiego i ks. Kwiatkowskiego. Pomiedzy zakładnikami z Pomorzan zauważono ks. Arcta, z Brzeżan Michała Köhlera. Tajemnicą poliszynela, wróżącą niebezpieczną dla spokojnego obywatela zmianę sytuacji wojennej, było i to, że Rosjanie nie mają amunicji. Niedostawało im nawet karabinów. Bez broni wysyłali na plac boju całe oddziały. Tyczyło się to zwłaszcza t. z. opołczeńców czyli pospolitaków, którzy co wieczora głośno modlili się w szeregach i swemi czarnymi mundurami oraz krzyżami na czapkach wyróżniali się od reszty żołnierstwa rosyj-

¹⁾ Sztab IX armji osiadł w Husiatynie.

skiego. Dostrzeżono również, że Rosjanie nie posiadali w dostatecznej ilości map Podola, skoro szukali po sklepach najpospolitszych sytuacyjnych, szkolnych i t. p.

Ogół mieszkańców począł czynić zapasy żywności, poczęści gotując się do przetrwania okresu zmian, poczęści zaś, aby zaopatrzyć tych, którzy mieli miasto opuścić. Głośnem bowiem się stało, że wszyscy mężczyźni w wieku od 18 do 50 lat będą ewakuowani na Wołyń, względnie w głąb Rosji¹⁾. Po domach zatem szyto wszędzie plecaki i przygotowywano się do drogi. Zapasów żywności było tymczasem coraz mniej, bo żydzi schowali wlot cukier, mąkę, sól, mięso a także i tytoń, zaś na targach pokazywało się bardzo mało ludzi, bojąc się, aby nie odebrano im koni i wozów. Wyjątkowo tylko wieprze były łatwe do nabycia. Za dużego przy końcu czerwca dawano za ledwie 14 koron, przyczem ich kurs ówczesny równał się 7 rublom. Na szczęście rychło cofnięto zarządzenie o ewakuacji koni i bydła, które zabierano włościanom i z dworów albo kazano pędzić do Rosji. Zarzucono również rekwizycję darmową zboża a zaczęto je kupować, płacąc 1,75 rub. za pud pszenicy a 1,50 rb. za pud żyta. To sprawiło, że po kilkutygodniowym okresie ogólnej niepewności nastąpiło jakieś odprężenie panicznych nastrojów, aczkolwiek tylko w dziedzinie spraw gospodarczych. Polityczne po dawnemu stały pod wielkim znakiem pytania, co austrofilom, niemówiąc już o żydach lub Rusinach, dawało doskonałą sposobność do obnoszenia się ze swoim patryotyzmem habsburskim i rzucania otwarcie

¹⁾ W Tarnopolu publicznie takiego rozporządzenia nie ogłoszono, ale ponieważ podano je swojego czasu do publicznej wiadomości w gazetach we Lwowie, przeto ogół ludności z zupełną słusznością liczył się z zastosowaniem rygorów ewakuacyjnych również i na Podolu. Ostatnie gazety lwowskie, zawierające rozporządzenie ewakuacyjne, dotarły do Tarnopola w piątek 18. VI. Potem jedynem źródłem informacyjnym był „Dziennik Kijowski“.

już pogródźek pod adresem inaczej myślących. Planowali oni wielką akcję denuncjatorską. Ludzie w miarę przedłużania się wojny zaczęli coraz to bardziej podleć.

ROZDZIAŁ X.

Postanowienie wyjazdu do Rosji w lipcu 1915. Przybycie do Kijowa. Życie polskie w stolicy Ukrainy. Lwowski Komitet Ratunkowy w Kijowie. Wieści z Tarnopola. Kijowskie kobiety. Wszechrosyjski Związek Ziemstw i Miast. Obojętność ludności dla bohaterów frontu. Echa zajęcia Warszawy przez Niemców. Polskie szkolnictwo.

Rozwój operacyj wojennych, coraz to mniej zapowiadający Tarnopolowi spokój, a co za tem idzie coraz to wyraźniejsze zbliżanie się niebezpieczeństwa grożącego wszystkim tym, którzy nie ujawnili dotąd swej miłości dla państw centralnych, albo co gorzej jeszcze ściągnęli na siebie, jak ja, zarzut „moskalofilstwa“, skłoniły mnie wreszcie do decyzji wyjazdu z miasta i do udania się w głąb cesarstwa rosyjskiego. Do tego postanowienia wyjazdu w niemałej mierze przyczyniły się również dwie rozmowy, które udało mi się nawiązać ze znanymi mi osobami jeńcami wojennymi, prowadzonymi przez Tarnopol. Postępowanie władz austriackich z t. zw. „zdrajcami“ w miejscowościach świeżo zajętych, kreślili oni w tak czarnych barwach, iż w wyniku ich opowiadań musiałem przyjść do przekonania, że w razie zajęcia Tarnopola czekać mnie mogło co najmniej więzienie lub deportacja do obozu dla internowanych. Były to przeto perspektywy mało zachęcające do pozostawania na miejscu, tem bardziej, że ewentualna ofiara, jakąbym poniósł, dając się wzięć, nie miała żadnego celu. Nikomu nie przyniosłaby była ona najmniejszego pożytku, gdy natomiast wyjazd mój z Tarnopola wydawał się o tyle korzystnym wyjściem z sytuacji, iż

równocześnie odciążał on wielu z ewentualnych zarzutów niezycliwego wobec Austrii postępowania. Na nieobecnego można było złożyć to lub owo, z czego trzeba się było tłumaczyć przed austriackimi „kriegskommissaerami“.

Po zdobyciu pozwolenia na wyjazd do Rosji, co udało mi się tylko dzięki przedstawieniom tarnopolskiego sędziego Łukawieckiego, starorusina, pełniącego funkcje urzędowe przy gubernatorze, opuściłem Tarnopol w nocy z 7 na 8 lipca pociągiem, który w stronę Wołoczysk według planu miał odejść o godzinie 8,30 wieczorem, wyszedł zaś dopiero o pierwszej po północy. Ten dzień 7 lipca był szczególnie przykry dla tarnopolan, gdyż zdejmowano podówczas dzwony z wieżyc kościoła parafjalnego. Miejscowy mechanik Stanisław Aseńko, do którego zwrócili się Rosjanie z wezwaniem, aby podjął się usunięcia dzwonów, wymówił się od tej niemiłej czynności, wskazując na innego fachowca Mieczysława Głowińskiego. Ale i ten uchylił się od proponowanej roboty. Ostatecznie wykonali ją żydzi i straż pożarna.

Rankiem 8 lipca dobiłem do Wołoczysk, lecz pociągu idącego do Kijowa już tam nie zastałem. Trzeba było czekać na niego niemal całą dobę, bo prawie do godziny 3 w nocy, tak, że w Kijowie znalazłem się dopiero dnia 9 lipca gdzieś około godziny 6 wieczorem. Długi postój w Wołoczyskach w zgiełku i ścisku a następnie podróż do Kijowa utkwily mi na zawsze w pamięci. Z towarzyszków mojej podróży nie zapomnę nigdy np. jakiegoś, zresztą miłego, inżyniera z Kamczatki, który chętnie informował mnie o tamtejszych stosunkach. Przydzielony do wojsk rosyjskich w Galicji, zbudował on tutaj 23 mostów. Wszystko jednak niepotrzebnie, gdyż wszystkie te objekty zniszczyli sami, opuszczający kraj, Rosjanie. Pesymizm w charakteryzowaniu stosunków w rosyjskiej armji aż ociekał z jego wynurzeń, przyczem nie krępował się on zgółtem, że w przedziale wagonu nie byliśmy sami, lecz obok

siedzieli oficerowie policji, jakiś kapitan z trupią główką na mundurze i inny z cyfrą 121 na epoletach, wreszcie podpułkownik, ozdobiony krzyżem orderu św. Włodzimierza.

Swoich rodaków i ich poglądy musiał on atoli znać nienajgorzej, gdyż po defetystycznym jego wywodzie wszyscy przeszli zgodnie do tak samo ostrej krytyki stosunków rosyjskich a następnie do wygadywania na Polaków galicyjskich, szczególnie zaś na prezydenta miasta Lwowa Rutowskiego, któremu zarzucali, że wprowadzając pieniężne znaki miejskie lwowskie, obciążył znacznymi sumami skarb rosyjski, że Rosjan nienawdził, co miało się objawić w tem, iż odmówił gmachu teatru miejskiego we Lwowie na rosyjskie przedstawienia i t. p. Na końcu wzięto się do generałów Bobrińskiego i Połowcewa. Tu już nie krępowano się zupełnie. Słowa „durak“ i inne tego rodzaju padały na cały wagon, przyczem wszyscy ci arcypryncypali rosyjscy ani chwili nie zainteresowali się tem, że ich głośnych rozmów słuchają także ludzie stojący na korytarzu wagonu.

W Kijowie, dusznym z powodu niebываłych upałów, przytem pozbawionym wody w związku z zepsuciem się naówczas wodociągów, przepelnionym transportami rannych, gwarnym i drogim, do czego znowu nie mało przyczyniał się brak drobnej monety obiegowej, zastałem już bardzo wielu Polaków, którzy opuścili Lwów jeszcze przy końcu drugiej dekady czerwca i w stolicy naddnieprzańskiej zgrupowali się przeważnie pod skrzydłami Polskiego Lwowskiego Komitetu Ratunkowego, mieszczącego się chwilowo przy ulicy Puszczyńskiej nr. 20, a potem przy Podwalnej 14. Komitet wyłonił z siebie niektóre sekcje i zrazu opierał się na własnych funduszach. Dopiero później zasilany był sumami, otrzymywanymi z Rady Okręgowej, która tworzyła organ wykonawczy przedstawicieli towarzystw polskich, niosących pomoc ofiarom wojny na

południu Rosji. Sumy te były wcale znaczne. Np. w listopadzie 1915 r. otrzymał Komitet z tego źródła kwotę 65.000 rubli.

Nie wszyscy jednak szukali tam pomocy materialnej, gdyż wielu przywiozło ze sobą pewne zapasy pieniężne, inni zaś szybko otrzymali wcale dobrze płatne zajęcia, głównie u zamożniejszych Polaków ukraińskich, którzy w tych przełomowych dla polskości chwilach wydobyli ze siebie wiele altruizmu i uspołecznienia. Liczne zastępy uchodźców przytuliły zwłaszcza ukraińskie cukrownie. Niektórym, choć nielicznym obywatelom austriackim wypłacał zasiłki konsulat Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej. Dodać także należy, że część emigrantów galicyjskich pozostała w Równem na Wołyniu, inna zaś ze znanym działaczem politycznym, profesorem Gwalbertem Pawlikowskim, zatrzymała się w Sławucie. Profesora Stanisława Grabskiego nie było w Kijowie, gdyż wyjechał był podówczas do Piotrogradu. Z instytucyj lwowskich ewakuowano zdaje się tylko banki. Prócz Krajowego znalazły się w Kijowie także Przemysłowy i Hipoteczny. Pieniądze tych banków i walory, zapieczone w oddzielnych kufrach, zdeponowano w rosyjskim Banku Państwa. Najznaczniejsze kwoty posiadał Bank Krajowy, bo około 3 $\frac{1}{2}$ miliona koron.

Na powrót profesora Grabskiego czekano dość długo, gdyż aż do 29 lipca. Przyjęto go ucztą, poczem Grabski raz jeszcze udał się do Piotrogradu, złożwszy poprzednio wizyty różnym kijowskim dygnitarzom i napisawszy kilka artykułów w „Dzienniku Kijowskim“. Ponieważ jednak kierunek tego pisma naogół nie szedł wcale po linii koncepcyj politycznych narodowej demokracji, stąd postarała się ona dla dotychczasowego redaktora „Słowa Polskiego“ we Lwowie Zygmunta Wasilewskiego o pozwolenie wydawania w Kijowie własnego organu p. t. „Nowiny“. Rzecz przecież nie doszła do realizacji a to zarówno

z powodu braku pieniędzy jak i papieru. Zatem polskiej ludności w Kijowie i na Ukrainie, bardzo licznej, bo dochodzącej tylko w trzech zachodnich guberniach do miliona głów, wystarczać musiał wkońcu „Dziennik Kijowski“, redagowany przez Edwarda Paszkowskiego. Poza tem wychodziły jeszcze, redagowane przez Jana Ursyna-Zamarajewa, materialnie zaś i moralnie popierane przez szereg osobistości polskich z Karolem Waligórskim na czele, wcale poważnie przedstawiające się „Kłosay Ukraińskie“, miesięcznik czy dwutygodnik ilustrowany.

Życie artystyczne emigracji kijowskiej wyłoniło ze siebie szybko nadewszystko polski teatr, którego sterze stałą pensją 500 rb. miesięcznie objął zrazu literat lwowski Kornel Makuszyński. Personel składał się z 36 osób. Pierwsze przedstawienie („Wesele“ Wyspiańskiego) dało 1.200 rb., drugie zaś 800. Władze rosyjskie patrzyły przecież krzywem okiem na te objawy polskiego życia duchowego, starając się dokuczyć bodaj przez zajęcie na cele państwowe polskich gmachów z salami, jak to się stało np. z „Ogniwem“ przy Kreszczatyku. Mimo to jednak teatr zdołał się utrzymać, osiadłszy na stałe przy ulicy Meryngowskiej.

Z pośród wszystkich Polaków galicyjskich najwięcej zainteresowania w świecie kijowskim, poza profesorem Grabskim, niewątpliwie budzili ewakuowani nad Dniepr prezydenci miasta Lwowa. Przymusowa ich ewakuacja zaszła w ostatniej niemal chwili przed zajęciem miasta przez Austriaków. Wiceprezydent dr. Stahl opowiadał mi, jak to już po opuszczeniu Lwowa przez generał-gubernatora hr. Bobrińskiego, w niedzielę dnia 24 czerwca, wezwane zostało nagle całe prezydjum miejskie do gmachu namiestnictwa i na rozkaz ostatniego gubernatora wojennego Szeremetjewa wyjechało ze Lwowa o godz. 6 wieczorem etapowym pociągiem pod dozorem kapitana, który ewakuowanych oddał pod opiekę „głowy“ miasta Kijowa.

Zgody wśród tych najwyższych dygnitarzy lwowskich atoli nie było. Obaj wiceprezydenci, Dr. Leonard Stahl i Dr. Filip Schleicher, mieli pretensję do prezydenta Rutowskiego, że ciągle jeszcze chce sam jeden reprezentować miasto i że za pieniądze miejskie żyje zbyt wystawnie, zamieszkawszy w Grand - Hotelu.

Prezydent Rutowski i w dalszym ciągu nie zapominał przecież o opiece nad rodakami. Na jednym z posiedzeń kijowskiego oddziału „Piotrogradzkiego Towarzystwa Pomocy Ofiarom Wojny“ wręczył on 10.000 rubli, ale dodał, że przeznacza je dla tych tylko, którzy wyjechali z Galicji pod przymusem nie zaś dobrowolnie. Osoba prezydenta Rutowskiego była w Kijowie bardzo popularna i szanowana. Na cześć jego, a także obuch wiceprezydentów Lwowa, urządzono, między innymi, wycieczkę Dnieprem, w czasie której statek wiozący dostojnych zakładników otaczały łodzie sekcji wioślarskiej Polskiego Towarzystwa Gimnastycznego pod komendą Stanisława Zielińskiego¹⁾.

Generał-gubernator hr. Bobrinski ze swoim sekretarzem, Polakiem Feliksem Huzarskim²⁾, i jednym z adjutantów urzędował przy Bibikowskim bulwarze nr. 24, likwidując tutaj te sprawy, których Rosjanie we Lwowie załatwić już nie byli w stanie. Między innymi płacili oni niektóre rachunki, przedstawione im z tytułu dostaw w Galicji, zaś galicyjskim wychodźcom wystawiali świadectwa prawomyślności, do których wydania warunkiem było oświadczenie się członków Lwowskiego Komitetu Ratunkowego Dra Władysława Michejdy i Dra Stefana Bryły. Owe świadectwa prawomyślności bardzo ułatwiały poruszanie się zbiegom galicyjskim po obcym im dotąd terenie, choć i ci, którzy nie mieli takich dokumentów nie

¹⁾ Późniejszego konsula generalnego Rz. Pol. w Berlinie.

²⁾ Później w służbie polskiej radcą Najw. Kontroli Państwa. Zmarł w 1931 r. w Warszawie.

mogli się zalić na jakieś specjalne ograniczenia. Nawet wywiezieni do Kijowa wybitni austrofile jak dyrektor Dr. Aleksander Czołowski, jezuita ks. Sopuch, sędzia Lubieniecki lub profesor Dunikowski nie byli niczem niemal krępowani w swych ruchach. Tem mniej reszta zakładników, jak kupiec Kauczyński, Dr. Gawlikowski i inni. Natomiast mnie, który zaopatrzyłem się w ten ubezpieczający dokument, spotkała w nocy dnia 30 lipca nagła rewizja żandarmsko-policyjna. Rozumie się, że nie dała ona żadnego kompromitującego rezultatu a zabrane mi papiery, po poskarzeniu się mojem za pośrednictwem Huzarskiego u generał-gubernatora hr. Bobrinskiego, żandarmerja szybko zwróciła, przepraszając zarazem za niepotrzebne najście. Podobnie nieprzemyślaną lub opartą na fałszywych denuncjacjach była także rewizja dokonana 18 lipca u ewakuowanego ze Lwowa dyrektora Banku Krajowego Józefa Milewskiego, którego nawet chwilowo zaaresztowano.

Ze znanych mi bliżej Polaków lwowskich, prócz już wymienionych, zaraz w pierwszych dniach pobytu spotkałem w Kijowie adwokata Roińskiego, architektkę Zacharjewicza, dziennikarzy Biege, Gubrynowicza i Opiole, z tarnopolan zaś Dra Józefa Topolnickiego, który nad Dniepr dostał się jako jeniec austriacki, wzięty w Przemyślu, i Dra Celestyna Podleskiego. Ten ostatni opuścił Tarnopol z tych samych przyczyn, dla których i ja wyjechałem, tylko nieco później odemnie, dlatego też mógł mi opowiedzieć o zdarzeniach, jakie zaszły podczas mojej nieobecności. Dowiedziałem się zatem od niego, że Austriacy zaczęli rzucać na miasto bomby z aeroplanów, że w nocy z dnia 28 na 29 sierpnia spłonął w Tarnopolu ogromny młyn Galla, że obrabowano a częściowo wywieziono Muzeum Podolskie Towarzystwa „Szkoły Ludowej“, że Rosjanie w charakterze zakładników do wspomnianych już wyżej żydów dobrali jeszcze Ukraińca ks. Gromnickiego, ks. Klementowskiego, ks. infułata Twardowskiego i bur-

mistrza Dra Mandla, nie wywożąc ich jednak z miasta. Burmistrzem Tarnopola został dyrektor seminarjum nauczycielskiego Emil Michałowski, którego poprzednio na 1^{1/2} dnia uwięziono, ale szybko zwolniono, przekonawszy się, że zarzuty mu czynione są bezpodstawne. Tak samo wypuszczono uwięzionych na kilka dni, choć zdecydowanych austrofilów, Dra Jana Promińskiego i urzędnika Kasy Oszczędności Stanisława Samolewicza.

Dr. Topolnicki, który, mimo iż był jeńcem, pełnił funkcje lekarza w jednym ze szpitali kijowskich, pobierając za to 60 rubli miesięcznie, doniósł mi znowu o smutnym fakcie śmierci szlachetnego i dla sprawy polskiej na kresach wielce zasłużonego tarnopolanina inżyniera Zygmunta Geberta, który w szeregach austriackich poległ w czerwcowych walkach o Lwów. Kula armatnia urwała mu głowę.

Mając wiele wolnego czasu przypatrywałem się pilnie toczącemu się naokół mnie życiu kijowskiemu. Przewszystkiem rzuciły mi się w oczy tłumy zdrowych i młodych mężczyzn, zorganizowanych w t. z. Związkach: Wszechrosyjskim Związku Ziemstw (Ziemszki Sojuz) i Miast (Sojuz Gorodow). Ubrani po wojskowemu i niezłe płatni zapelniali oni całemi tysiącami kancelarje, pracujące rzekomo na potrzeby armji i wojny. W istocie chodziło o to nadewszystko, aby uchylić się od służby na froncie, bo owi pracownicy, pogardliwie przez wojskowych zwani „ziemgusarami“, do świadczeń wojskowych z bronią w rękę pociągani nie bywali. Wśród „ziemgusarów“ duży procent stanowili żydzi a potem Polacy z Małopolski, którzy przez różne stosunki dostawali się do Związków, aby znaleźć kawałek spokojnego chleba. Szerokie pole obserwacji dawały również kijowskie kobiety ze sfer średnich, niekiedy piękne i inteligentne a zawsze prawie wesołe, jednak w stosunku do tych, które spotykałem w Polsce, nieporównanie rozwiązlejsze a przynajmniej towarzysko swobodniejsze czy bezceremonjalniejsze i roszcące sobie naogół pretensje do

wyższej skali życiowej niż ta, jaką się widziało np. w Małopolsce, a także do większego znaczenia w społeczeństwie. Swemi wymogami, nieposkramianemi należycie, kiedy pora na to, przez dom rodzicielski a później przez dobrodusznych mężów, ciążyły one na ich życiu jak głąz i jeżeli w Rosji spotykało się tak wiele nadużyć, gdy idzie o dobro publiczne lub wogóle o grosz ogółu, to w znacznej części przypisać to należy wpływowi kobiety rosyjskiej. Od mężów chciały one przedewszystkiem dwóch rzeczy, t. j. pieniędzy i rozkoszy. Prowadzenie się wielu z tych kobiet, choć często żon dygnitarzy cywilnych lub wojskowych, bywało niekiedy takie, iż przenikało ono do kronik miasta, zresztą samym bohaterkom skandalu zdaje się bardzo mało szkodząc w ich pozycji towarzyskiej. Dziwna była na owym punkcie tolerancja ludności.

W tym światku naddnieprzańskim nieszczęśliwie wyglądała również i kobieta polska, które to spostrzeżenie dla mnie, wyrosłego w przekonaniu o niepodlegającej żadnej dyskusji wyższości etycznej Polki na Wschodzie, było nie byle jaką i przykrą nowością. Bo zapewne znacznych Polek, stojących na straży godności narodowej i osobistej nie brakło na Ukrainie¹⁾, szczególnie w sferze ziemiańskiej, ale poza nią odporność inteligentnej kobiety polskiej na wpływy środowiska rosyjskiego nie zaznaczała się wyraźniej. Najjaskrawszym tego dowodem był fakt, że inteligentne Polki wręcz tysiącami wychodziły za Rosjan

1) Z kijowianek wspomnę bodaj, wymawiane z najwyższą czcią, nazwiska: bohaterskiej pracownicy suterren Jadwigi Brunakówny i jej matki Maksymowiczowej, Katarzyny Brzezińskiej, Jadwigi Przyborowskiej, Marji Sarcewiczówny, Stanisławy Ułaszyn, Anny Łowienieckiej, Bilówny. Z pośród tych szlachetnych i znakomitych Polek, pracownic na niwie oświatowej i organizacyjnej, działających zawsze z narażeniem się na twarde represje władz rosyjskich, osobiście poznałem tylko starszkę Stanisławę Ułaszyn, która do końca życia oddana była sprawie polskiej, żyjąc nią i wszystkie siły swoje jej poświęcając.

zamaż, rusyfikując się przytem aż nadto często w sposób zupełny i szybki, oraz zapominając o swoich niedawnych związkach z kościołem katolickim. Można niemal zaryzykować twierdzenie, że w Rosji, zwłaszcza na południu, prawie każda prawosławna rodzina inteligentna spokrewnioną była w ten lub ów sposób z domami polskimi, gdyż spotykało się również licznych Polaków, biorących za żony Rosjanki, co znowu poczęści wywołane było także względami politycznymi. Poprostu ułatwiało to ludziom robienie kariery.

I jeżeli takie stosunki panowały w sferze inteligencji, to nie inaczej bywało i w warstwach robotniczo-rzemieślniczych, gdzie polskość okazywała jeszcze mniej odporności. Ale tu na szczęście dość dużą zaporą dla trwałych związków rodzinnych polsko-prawosławnych były poniekąd zwykane władz państwowych odnośnie do kościoła katolickiego. Nie pozwalając wychowywać dzieci, pochodzących z małżeństw mieszanych, w wierze katolickiej, zarządzenia władz rosyjskich przestrzegały często, choć mimowolnie, przed nieopatrznymi krokami życiowymi. Inną i jeszcze ważniejszą tamę dla zbyt pochopnego współżycia tworzył ciągły przypływ nowych zastępów robotniczych polskich z zachodu, szukających w Rosji zarobku i dobrobytu. Jednak w wielkiej retorce życia rosyjskiego, najczęściej już w trzeciej, choć nierzadko nawet w drugiej generacji, ginęły te rzesze wychodźców, pomnażając szeregi naszych wrogów.

Wyrazem niezmiernej obyczajowej rozwiązłości były przede wszystkim tłumy zawodowych i półzawodowych prostytutek, Rosjanek, Ukrainek, Polek, Greczynek, Grużinek i innych, które w dzień i w nocy snuły się po więcej ruchliwych arterjach Kijowa. W sporej liczbie zjechały również prostytutki lwowskie. W związku z ewakuacją stolicy Galicji znalazły się nad Dnieprem, licząc tu na lepsze zarobki. Zapytać się jednak godzi, kto poza temi ofi-cjalnemi kapłankami Wenery nie oddawał się nierządowi.

A zatem wszystkie prawie siostry miłosierdzia, panny biurowe, kupcowe aż do straganiarek włącznie, znudzone długą niebytnością mężów żony żołnierskie i oficerskie, słowem cały prawie Kijów. Nie potrzeba także dodawać, jakie wynikały stąd niekiedy straszliwe tragedje rodzinne, jak również jak źle tego rodzaju wiadomości o zachowywaniu się ludności na tyłach armji oddziaływały na żołnierzy frontowych.

Ale nie tylko te rzeczy demoralizowały siły rosyjskie. Wracając na chwilowy odpoczynek spotykał się bohater frontu wszędzie prawie z obojętnością ogółu, czasem wręcz z niechęcią. O tem przynajmniej, co bywało udziałem zachodniego żołnierza, w Rosji nie było wręcz mowy. Iskry współczucia nieoficjalnego nie umiano wydobyć z siebie nawet w odniesieniu do nieszczęsnych inwalidów. Świadkiem takiej typowo rosyjskiej sceny byłem 28 lipca 1915 r. z okazji obchodu tysiąclecia śmierci św. Włodzimierza. W uroczystości wzięli udział także gremjalnie inwalidzi z ostatniej wojny. Gdy gdzie indziej obrzuconoby ich kwiatami, tu tłum nie zareagował nawet jednym bodaj okrzykiem lub gestem. Przeszli setkami, stukając głucho swemi szcudłami po bruku kijowskim, i koniec. Oczy tłumu ciągnęła raczej wspaniała wystawa szat liturgicznych prawosławnego kleru i ta cała parada, w której rozwijaniu Rosjanie tak bardzo celowali. Zrozumiałem jest także, że wśród tego rodzaju nastroju mas małe wrażenie czyniły wieści najpierw o ewakuacji Warszawy a potem o jej wzięciu przez wojska niemieckie. Jedyne troska, która ogarniała zepsuty i tępy tłum rosyjski, to myśl, że Niemcy gotowi dotrzeć aż do Kijowa, co atoli ze względu na wielką odległość tego miasta od frontu wydawało się narazie czemś niedość jeszcze aktualnem. Niemniej jednak ludzi ostrożnych nie brakowało. Gdy dotąd w Kijowie, skupiającym w sobie bardzo wielu przybyszów, mieszkania z każdym niemal dniem drożały, to wielkie sukcesy wojenne Niemców nad

Wisłą dały ten wynik, że bardzo wiele osób, szczególnie zaś zamożniejszych, poczęło nagwałt Kijów opuszczać i wyjeżdżać na wschód lub do Moskwy. Nie mając co zrobić z zajmowanymi mieszkaniami, oddawano je obecnie nawet za darmo pod dozór osób w Kijowie pozostających, co znowu wlot odbiło się i na wysokości czynszów mieszkaniowych wogóle, które poczęły teraz wykazywać wyraźne tendencje zniżkowe. Rozumie się, że był to objaw chwilowy.

O zaszłym w dniu 5 sierpnia upadku Warszawy rozpisywano się w prasie zresztą niewiele, starając się to zdarzenie wojenne zlekceważyć albo też wywołać wrażenie, że na odcinku frontu nad średnią Wisłą mogą zajść jeszcze każdej chwili stanowcze zmiany sytuacji wojennej. Rozpuszczano przedewszystkiem wieści, że ludność Warszawy toczy z Niemcami zażarte boje, oczekując z utęsknieniem powtórnego wkroczenia Rosjan do stolicy. Z inteligentnych Polaków nikt przecież tych doniesień prasowych nie brał na serjo i wszyscy wierzyli, że nad Wisłą dokonały się zmiany bardzo decydujące i względnie trwałe, choć nie wiedziano jeszcze czy dla spraw polskich korzystne czy też szkodliwe. Potwierdzeniem niejako tej opinii były również wieści, które nadeszły z Piotrogradu o życzliwej Polakom dyskusji w Dumie Państwowej. Tak mało kiedy odzywano się tam dobrze o Polsce, że sam fakt zajęcia wobec spraw polskich odmiennego niż zazwyczaj stanowiska, był dla ludzi wyraźnym potwierdzeniem całkowitego przeistoczenia się położenia w Królestwie Polskiem. Wnioskowano nie bez słuszności, że Rosjanie musieli ponieść decydującą tam klęskę i że nie mają nadziei na szybką zmianę sytuacji, kiedy ryzykują taki wylew słowiańsko-braterskich słów. Innym rysem, charakteryzującym rozwój stosunków polsko-rosyjskich, było także zdobyte teraz zezwolenie władz piotrogrodzkich na spolszczenie wzorowo urządnego przy ulicy Wielkiej Wło-

dzimierskiej gimnazjum żeńskiego Waclawy Peretjatkowiczowej, względnie na otwarcie przy istniejącym zakładzie rosyjskim klas równorzędnych polskich. Za tą zmianą w położeniu polskiego szkolnictwa na Rusi poszły szybko inne. Od września 1915 otworzyła swe podwoje nowa szkoła polska Zofji Żukiewiczowej a także za wiedzą władz powstały, jako zawiązek przyszłego polskiego gimnazjum, komplety dla chłopców. Choć kuratorjum okręgu naukowego kijowskiego z najwyższą niechęcią odnosiło się do tych wszystkich polskich zdobyczy w dziedzinie szkolnictwa, musiało jednak ostatecznie poddać się dyktatowi Piotrogradu. Zresztą drogę do tej kapitulacji miejscowych rusefikatorów utorowała już rosyjska ustawa o szkolnictwie prywatnem z dnia 1 lipca 1914 r., która w § 7 wyraźnie zaznaczała, że „wybór języka wykładowego w prywatnych zakładach naukowych, klasach i kursach pozostawia się założycielom (utrzymującym) szkołę, jednakże z tem zastrzeżeniem, żeby języka i stylistyki rosyjskiej a także historii i geografii Rosji uczono w języku państwowym“. Szkoły dla wysiedleńców jako czasowe, t. j. takie, które po ukończeniu wojny względnie po likwidacji ruchu wysiedleńczego działać już nie miały, na skutek starań Rady Zjazdów w Moskwie zostały rozporządzeniem ministra oświaty zarówno pod względem organizacyjnym jak i dozoru powierzone kuratorowi okręgu naukowego warszawskiego. Tyczyło się to szkół wysiedleńczych w gubernjach wołyńskiej, podolskiej, kijowskiej, czernichowskiej i połtawskiej oraz w gubernjach Kaukazu. Zarządzenie to w warunkach chwili zupełnie niemal wyzwalało szkolnictwo polskie od wszelkiej ingerencji miejscowych urzędów i rad szkolnych (uczyliszcznyje sowiety).

Kijów zaroił się zatem od młodzieży polskiej, uczęszczającej do własnych szkół, a jedyna wielka miejscowa księgarnia polska pod firmą Leona Idzikowskiego przy Kreszczytku ledwie sprostać była w stanie przeróżnym

stawianym jej żądaniom w zakresie podręczników szkolnych i książek pomocniczych. Bo i przygotowana do tego była ona słabo, zajmując się głównie wydawnictwami z działu muzycznego i prowadzeniem ogromnej, gdyż do 100.000 tomów liczącej, wypożyczalni książek. Własnych wydawnictw z dziedziny podręczników szkolnych a nawet z zakresu nauki lub literatury pięknej księgarnia dotąd prawie że nie podejmowała się¹⁾. Do tej działalności nie brała się również i druga, mała zresztą, księgarnia polska Gieryna.

ROZDZIAŁ XI.

Chwilowa bezcelowość mojego dalszego pobytu nad Dnieprem. Wyjazd na Polesie Zadnieprzańskie we wrześniu 1915 r. Podróż statkiem po Dnieprze i Sożu. Dobrusz i jego fabryka. Rzeku Ipuć. Uchodźcy z Polski. Działalność Centralnego Komitetu Obywatelskiego. Dzielnicowe uprzedzenia do Małopolan. Ła-pówka. Postępy drożyzny. 28 dywizjon ciężkich moździerzy. Jeńcy niemieccy. Omal nie wysiedlenie.

Pobyt mój w Kijowie z powodu trudności znalezienia sobie tu na miejscu odpowiedniego zajęcia stawał się coraz to bardziej bezcelowy. Także wyczerpywały się szybko te skromne zasoby pieniężne, które przywoziłem ze sobą z Tarnopola. Zwiedzało się nie wiedzieć już po raz który wspaniałe i przebogate w zabytki Miejskie Muzeum Historyczne przy ulicy Aleksandrowskiej, odbywało się przechadzki po wyniosłym i zarosłym pysznymi ogrodami pu-

¹⁾ Z cenniejszych książek, wydanych przez księgarnię Idzikowskiego, stanowiących atoli nikły tylko procent wśród ogromnej masy jej wydawnictw muzycznych, wymieniamy kilka dzieł Marjana Dubieckiego, utwory Rulikowskiego, Paszkowskiego, Mniszkówny i Przybyszewskiego. W r. 1915 wydał Idzikowski rzecz Makuszyńskiego „Perły i wieprze”. Księgarnią, założoną w r. 1860 przez Leona Idzikowskiego, w r. 1915 kierował syn jego Władysław.

blicznymi zachodnim brzegu Dniepru, skąd roztacza się niezrównany widok na obszerne przeciwległe równiny, czyniąc Kijów jednym z najpiękniej położonych miast świata, przypatrywało się ruchowi na potężnej rzece i, rzecz jasna, nie tyle parowcom ile osobliwym wielkim barkom, które dziwnie przypominały stare statki Wikingów z charakterystycznymi na przodzie białymi rysunkami, robiło się dalsze wycieczki w okolice, np. do uroczej, pokrytej starym borem Puszczy Wodicy, dokąd wiódł wygodny tramwaj elektryczny, wreszcie uczęszczało się w południe na dość tanie ale niezłe obiady w lokalu polskiego klubu „Ogniw” przy Kreszczatyku Nr. 1, gdzie w wielkiej tamtejszej sali, wśród gwaru i ożywionych dysput politycznych, gromadziła się codziennie cała niemal małopolska dobrowolna „emigracja” na czele z Stanisławem Grabskim, Zygmuntem Wasilewskim, Kornelem Makuszyńskim i kilku innymi osobami wybitniejszymi. Rano i wieczór kupowało się regularnie dzienniki polskie i rosyjskie, a poza tem siedziało się w domu i pisało drobne gratisowe artykuły dla „Dziennika Kijowskiego”, odżywiając się przeważnie chlebem i mlekiem, nabywanem znowu od mleczarek, które wówczas roznosiły nabiał po Kijowie w ten sam zdaje się jeszcze sposób, w jaki czyniły to za czasów ś. p. księcia Jarosława Mądrego. Szereg wydłużonych, małych garnuszków, nanizanych za uszy na długim kij, przypominających swym kształtem starą wykopaliskową ceramikę grecką z nad brzegów morza Czarnego.

To był rozkład czynności dnia nietylko mój ale z pewnymi odchyleniami sporej zdaje się części małopolskich emigrantów, o ile nie wpadło im tymczasem w ręce jakieś zajęcie. Zamienialiśmy się powoli w brukotłuków kijowskich, znudzonych i trapiących się myślą o nadciągającej jesieni a potem zimie. Tych bowiem, którzy wierzyli, że wojna skończy się lada moment, było już całkiem niewiele. Dlatego też z ogromną radością przyjąłem zaofiarowane

mi zajęcie w Dobruszu na Polesiu Zadnieprzańskim. I choć ta miejscowość leżała w odległości setek kilometrów od Kijowa, nie zrażało mnie to wcale. Sądziłem, że jakiegokolwiek i gdziekolwiek zdarzające się zajęcie jest przecież czemś lepszym niż próżniactwo w Kijowie. Jedyłą trudnością, jaka się przy tem nastęrczała, to była podróż. Najpierw planowałem odbyć ją koleją żelazną, układając sobie jazdę na Bachmacz. Wnet jednak przekonałem się, że to sprawa nie taka łatwa. Potężne pchnięcie ku wschodowi frontu armij walczących odbiło się na tyłach takim zupełnem podporządkowaniem wszelkiego ruchu transportu wojskowym, że o jakiegokolwiek pewności a przede wszystkim szybkości podróży nie było wówczas wręcz mowy. Jeżeli zresztą poza wojskiem i materiałem wojskowym przewożono kogo koleją, to w pierwszej linii t. z. „bieżeńców“ czyli cywilnych, dobrowolnych uchodźców lub niedobrowolnych wysiedleńców, których milionowe wręcz masy podążały ku wschodowi z Chełmszczyzny, Wołynia, Podlasia i Białej Rusi. Ta smutna wędrówka odbywała się głównie drogami gruntowymi i szosami, ale i koleje musiały tu w wielu razach pomóc, zwłaszcza gdy szło o transporty dalsze, bo niektóre z nich kończyły się przy Kaukazie, na stepach orenburskich a nawet na Syberji. W tym zaś momencie, kiedy wypadła moja podróż (początki września), był właśnie punkt kulminacyjny owego pochodu ku wschodowi. Świadczył o tem już sam widok dworca kolejowego w Kijowie, zapchanego zewsząd ludźmi i ich dobytkiem. Zalegali oni także, tworząc całe obozowiska, wszystkie ulice prowadzące do stacji kolejowej, a w dalszej perspektywie sąsiednie pola i ogrody. Na widok tego wszystkiego wyrzekłem się myśli podróży koleją żelazną, a postanowiłem odbyć ją statkiem dniewowym. Wiedziałem, że i tu przepełnienie będzie duże, w każdym jednak razie nie takie żywiołowe.

Dnia 14 września 1915 r. około południa opuściłem

wreszcie Kijów, aby po dwudniowej blisko podróży Dnieprem i Sożem stanąć w Homlu. Podróż wlokła się tak długo dlatego, że niski, późnoletni stan wód nie pozwalał na swobodne poruszanie się statku. Szybkości żeglugi nie sprzyjały również ogromnie liczne i gwałtowne zakręty, jakie czynią tutejsze nieuregulowane rzeki. Zresztą statek zatrzymywał się wszędzie, gdzie tylko zażądał tego któryś z podróżnych. Czasem wprost zastanawiało to wysiadanie na puste, płaskie, bezdrzewne, moczaryste brzegi, przy których w najgłębszej nawet oddali nie majaczyła żadna wieś lub siedziba ludzka. Widać jednak, że i tu ludzie gdzieś żyją. Naogół prawy brzeg Dniepru, wśród tutejszego ludu zwany pospolicie polskim, przedstawiał się jeszcze puściej niż lewy, wyjąwszy najbliższe okolice Kijowa, gdzie, spiętrzając się miejscami na kilkadziesiąt metrów, on właśnie tworzy piękne krajobrazy i gromadzi stosunkowo dość gęsto ludzkie osiedla.

Po przybyciu do Homla znalazłem takie przepełnienie hoteli, iż o zatrzymaniu się tutaj nie było mowy. Zresztą można się było bez tego obejść, gdyż od Dobrusza, celu mojej podróży, dzieliło mnie wszystkiego zaledwie 26 kilometrów, Homel zaś ze swoją nieciekawą ludnością, cholera i drożyzną nie nęcił do postoju człowieka nawet najbardziej znużonego. Chodziło tylko o to jak odbyć drogę, czy koleją czy wozem. Zasięgnąwszy wiadomości, że na przebycie owej krótkiej przestrzeni potrzebują obecnie pociągi nieraz kilkunastu godzin, wybrałem rzecz prosta podróż chłopskim wozem i jeszcze tego samego dnia t. j. 16 września stanąłem na miejscu. Krótki ten przejazd dla mnie, znajdującego się po raz pierwszy w życiu na Polesiu, był bardzo ciekawy, choć wspomnienie po nim pozostało smutne. Znowu bowiem widziało się ciężką dolę „bieżeńców“, ciągnących karawanami ku wschodowi, a jako ślad po tych zastępach wznosiła się przy drodze co kilkadziesiąt metrów świeża i pospiesznie usypana mogiła, kry-

jąca zwłoki tych, którzy pochodę nie wytrzymali. Owych mógł nie brak też było i wzdłuż toru kolejowego, jak również i po podmokłych tutejszych lasach.

Dobrusz zrobił na mnie z zewnątrz wrażenie jakby wycinka zachodniej Europy, rzuconego daleko na bagna poleskie. Ogromna i rozległa papiernia, zatrudniająca liczne setki rąk roboczych i skupiająca naokół siebie trzy- czy czterytysięczną ludność, imponowała ładem i wynikami swej pracy. Wprawdzie pierwszymi twórcami zakładów nie byli Polacy, niemniej jednak cały rozrost i doskonałość wyrobów zawdzięczała fabryka inżynierom i majstrom polskim, w szczególności zaś dyrektorom Polakom. Z kolei byli nimi przez liczne dziesięciolecia panowie Stulgińscy, a mianowicie zmarły rok czy dwa przed moim przyjazdem ojciec i syn jego Henryk, kierujący fabryką za mojej bytności. Duże też zasługi położył czynny w Dobruszu w ciągu lat kilkunastu inżynier Zygmunt Ślósarski.

Naokół wielkiego warsztatu pracy, nad którym zdaleka już widniało kilka wysokich kominów, wyrosła cała kolonja mniej lub więcej wykwintnych domów i mieszkań dla robotników, z parkiem, elektrownią, lecznicą, kooperatywą i szkołą, słowem centrum o pewnej kulturze i niewątpliwej wartości. Do zakładów prowadziła odnoga kolejowa, po której kursowały własne fabryczne pociągi towarowe i osobowe. Dodać przytem należy, że fabryka była własnością nie polską lecz rosyjską, a mianowicie należała ona do księżnej Paszkiewiczowej z Homla, wnuczki zdobywcy Warszawy w r. 1831. Księżna takie miała przeświadczenie o uczciwości i sprawności polskiej administracji, że ani słyszeć nie chciała o powierzeniu Rosjanom zakładów, które w ciągu lat 30 (nie licząc ogromnych i z własnych zasobów pieniężnych poniesionych wydatków na inwestycje) dały 8 milionów rubli czystego dochodu. Ta znaczna dochodowość przedsiębiorstwa sprawiała też, że raz wraz powstawały myśli, aby kierownictwu fabryki

dobruskiej oddać w ręce także założenie nowego podobnego warsztatu pracy na południu Rosji.

A przecież administracji w Dobruszu nie można było nazwać tanią. Główny dyrektor w różnej formie pobierał kilkadziesiąt tysięcy rubli rocznie, nie mówiąc o wielorakich korzyściach w naturze. Inni pracownicy opłacani byli nieporównanie skromniej, ale także dostatnio.

Stosunki we fabryce odznaczały się dużą patriarchalnością. Nikt z zachodu Europy wyobrazić sobie nie potrafił jaki autorytet posiadał główny dyrektor zakładów. Cała fabryka stanowiła niby wielkie jego domostwo, gdzie wszystko działo się jakby dla niego i wskutek niego. Że zaś z fabryką związany był byt całej ludności Dobrusza i w sporym promieniu okolicy, dlatego nie kto inny, lecz właśnie dyrektor uchodzić mógł za właściwego rządcę tego kraiku nad Iputią. Nawet miejscowy przystaw, niejaki Bojko, dygotał na myśl o niezadowoleniu z niego dyrektora. Wyjeżdżając z Dobrusza musiał się u niego zawsze zgłaszać. I nikomu nie przychodziły nawet myśli, że może być inaczej, a niejednokrotnie ludzie inteligentni przywiązywali się szczerze do fabryki i nie pragnęli niczego więcej, jak tylko pozostania na tem bezludziu i w tych osobliwych warunkach. Przyznać jednak należy, że ogromnego swojego wpływu używał dyrektor w znacznej części także na wzmocnienie tu polskości. Prystaw musiał nie wiedzieć o tem, że w Dobruszu czynna była polska szkoła, a każdy lepszy kęs chleba dostawał się Polakowi. Tylko szeregi zwykłych robotników składały się z miejscowego elementu białoruskiego, nawiasem mówiąc bardzo pierwotnego, rozpitego i tak niedbałego, że bez surowej dyscypliny byłby on nie do użycia. Jednak i tak bywały dnie, w których zdarzało się aż po kilka nieszczęśliwych wypadków przy pracy, prawie zawsze z winy samych robotników.

Położenie osady fabrycznej nad wcale dużą rzeką

lputią, spiętrzoną tu zaporami dla zyskania siły do poruszania turbin, nie należało do brzydkich, sama zaś rzeka, pełna wysp, kanałów i ciągnących się kilometrami rozlewisk, przedstawiała widok bardzo zajmujący i typowo polski. Lekką tutejszą łodzią, wydrążoną z jednego pnia, a dla swej wywrotności zwaną powszechnie „duszegubką“, można było całymi dniami bujać po wodnych przestrzeniach i tylko niezmiernie tu liczne komary zatruwały tę przyjemność. W rozległych i wzorowo urządzonych lasach, rozciągających się naokół Dobrusza, a stanowiących również własność ks. Paszkiewiczowej, żyły jeszcze łosie i rysie, a obok nich mnóstwo dzików i wilków. W rzekach znajdowały się gniazdami bobry, które niekiedy zapędzały się nawet i na teren samej fabryki. Brak było tylko zajęcy, a i sarny należały do rzadkości. Wskutek tego polowania uchodziły tu za dość liche. Plaga wilków, nieraz groźna, za mojego pobytu w Dobruszu nie dała się odczuć. Wiedzano, że drapieżce krążą stadami po 5 do 6 sztuk, że docierają do ukrytego w lasach, lecz niedaleko od głównej drogi leżącego cmentarza starowierów, ale od opłotków osady trzymały się one naogół w przyzwoitej odległości. Przypisać to niewątpliwie należy ówczesnej niezbyt śnieżnej i surowej zimie na Polesiu, choć tylko tutaj, bo dalej na wschód w Smoleńsku i Moskwie mrozy były znaczne.

Podczas przechodu „bieżeńców“ przez Dobrusz zapoznałem się z kilkoma z nich, Polakami, głównie ze sfery ziemiańskiej. Pochodzili oni przeważnie z Grodzieńskiego i z Kowieńskiego, a strony swoje opuścili pod przymusem. Przebyli 900 wiorst wozami, których do Dobrusza doprowadzili jeszcze kilkanaście a także kilkadziesiąt koni. Podczas pochodu, według ich relacyj, gościńce roiły się taką masą ludzką, że często trzeba było długo wyczekiwać na moment, aby z wozami wejść w kawałkadę jadących. Stąd nierzadkie posługiwanie się fatalnymi drogami bocznymi,

do których ich wozy były znowu za ciężkie. Za zniszczone przez wojska rosyjskie zbiory ziemianie otrzymywali z reguły tylko część wartości. Niejaki Olszewski opowiadał mi, że gdy zażądał sumę 13.000 rb. jako czwartą część wartości zniszczonych plonów przez drugą armję rosyjską, wypłacono mu 8.000 rb. Ale i to była znaczna pomoc w trudnem położeniu. Innej, ważniejszej, udzielił mu miejscowy ziemianin rosyjski senator Gerard, były generał-gubernator Finlandji, przyjmując Olszewskiego do zarządu swoich dóbr. Syn jego objął znowu płatne funkcje w oddziale Centralnego Komitetu Obywatelskiego w Homlu.

Ta znajomość z młodym Olszewskim pozwoliła mi zorientować się nieco w lokalnej działalności humanitarnej Komitetu. Oto w Dobruszu istniał zorganizowany przez Komitet punkt żywnościowy, który wydawał codziennie 1.000—2.000 obiadów. Jednak wśród tej żywionej rzeszy było wielu ludzi miejscowych, niepotrzebujących zgoła żyć z dobroczynności i mających zatrudnienie. W rezultacie akcja, przynajmniej w części, chybiała celu. Za drogo także nabywano żywność dla punktu, płacąc np. za chleb najwyższe ceny w Dobruszu. Również za dużo w owym punkcie znajdowało się płatnych funkcjonariuszów, którzy otrzymywali średnio mniej więcej po 75 rb. miesięcznie, a ci, którzy mieli funkcje objazdowe, mogli nadto taką samą kwotę zaoszczędzić sobie z diet. Niektórzy z tych funkcjonariuszów Komitetu, jak np. niejaki Suchodolski, który był generalnym lustratorem punktów żywnościowych, pobierali jeszcze znacznie więcej. Gospodarka zatem nie była wcale oszczędną, i to w momencie, kiedy literalnie całe pociągi dzieci polskich z obszarów przyfrontowych, dla braku funduszy na stworzenie przytułków, odsyłano w głąb cesarstwa do rosyjskich ochronek (pryjutów). To wszystko raziło mnie szczególnie, który w Małopolsce przywykłem do tego, że funkcje obywatelskie spełniano tam zawsze prawie, choćby z największą ofiarą osobistą,

całkiem bezinteresownie. Tu jednakże ludzie do tych spraw odnosili się przeważnie inaczej. Obok tych bardzo nielicznych, którzy nie szczędzili grosza na cele ogólne, najczęściej atoli nie tyle polskie ile katolickie, i niektórych pań, które nieraz latami z ogromnem poświęceniem się pracowały tajnie, ucząc w zakazanych przez rząd szkółkach, jak żona inżyniera fabryki dobruskiej Karolina Ślósarska, wychowawca sławnego Hotelu Lambert w Paryżu, cała reszta inteligencji polskiej dla pracy narodowo-obywatelskiej miała co najwyżej tylko piękny frazes, którego treść zależała od tego wiele i co czytała, bo przyznać należy, iż w niejednym zapadłym dworze czytano dość dużo i gromadzono niezłe księgozbiory.

Odzywanie się z krytyką i zagajanie dyskusji na tematy powyższe przezemnie, jako Małopolanina, nie dałoby było żadnego zgoła rezultatu, tem więcej, iż Małopolska prawie że jednomyślnie nie cieszyła się zgoła względami w opinii tutejszej inteligencji i uchodziła za kraj może ludzi wykształconych, ale niepraktycznych głodomorów, a w dodatku znajdujący się pod rządami żydów, w co czasem powątpiewali tylko ci, co pilnie czytywali liberalną prasę rosyjską, która naodwrot znowu pieniała się za rzekomy ucisk żydostwa. W istocie zarzut szczególniejszego popierania żydów w Małopolsce, oglądany przez pryzmat tutejszych stosunków, mógł tylko śmieszyć, bo jeżeli gdzie, to tu na miejscu mimowolnie stworzono warunki specjalnie im dogadzające. Dość powiedzieć, że w r. 1915 jeden z pięciu głównych handlarzy papieru w Rosji, żyd, zarobił na tym interesie 2,000.000 rubli. Także i drobny handel znajdował się całkowicie niemal w ręku kupiectwa żydowskiego. Nie inaczej również stały sprawy i z rękodziełem. Rzemieślnik żydowski był przeważnie lichy, wcale drogi i niesłowny, ale często jedyny na miejscu. Stąd jego powodzenie.

W każdym razie Polakom miejscowym, którzy prze-

ważnie nigdy w Małopolsce nie byli, nie imponowały takie rzeczy jak małopolski samorząd, uniwersytety, liczne szkoły, budowle, praca wielkich towarzystw jak Towarzystwa „Szkół Ludowej“, nawet duże stosunkowo sumy wkładów po kasach oszczędności i spółdzielniach kredytowych. O tem albo nie wiedzieli albo też wiedzieć nie chcieli. Natomiast sławna książka St. Szczepanowskiego „Nędza Galicji“ z przed lat kilkadziesiątu, podówczas już zupełnie przestarzała, tam na Białej Rusi owym ludziom wschodnim tkwiła ciągle jeszcze w głowach jakby świeżo wydana i to znowu nie dlatego, że ją tak pilnie tam czytano, bo takich było najmniej, ale z tej przyczyny, iż o niej ani na chwilę nie pozwalał zapomnieć rząd rosyjski i popierająca go prasa. Agitacja rosyjska, zmierzająca do zaostrenia różnic międzydzielnicowych w Polsce, eksploatowała przez całe dziesięciolecia tę książkę, aby zohydzić wszystkim t. z. swobody austriackie jako prowadzące rzekomo do biedy, tej zaś tutejsi ludzie więcej bali się niż dżumy. W związku z tem za najbliższe centrum pochwały godnej kultury uchodził Piotrogród, a w dalszej perspektywie kroczyła Warszawa i Odesa. Czasem z respektem spoglądali niektórzy na Kijów lub Moskwę, przy czem odrazu już przerzucano mosty do Paryża lub Londynu. Ktoby tam z przeciętnych szlachciców polesko-białoruskich szukać miał czego w Krakowie lub we Lwowie. U niektórych z nich ta niechęć do Małopolski dochodziła do granic nienawiści, zwłaszcza u tych, którzy rzadko wychylali nosa poza opłotki swojej wsi. U nich nawet i Warszawa nie cieszyła się wielkimi względami, a najniebezpieczniejsi z pomiędzy tych krytyków byli już ci, którzy przesłużyli czas jakiś w rosyjskiem wojsku, zwłaszcza w gwardji, albo ci, którzy byli czynownikami po różnych kątach szerokiego imperjum. Dla nich Polska a specjalnie już Małopolska to obiekt godny prawdziwego lekceważenia. O Polsce jako całości w ten sposób wśród Polaków

nie mówili jednak zbyt głośno, cedząc tylko dyskretnie zarzuty przez zęby, ale zato tem natarczywiej o Małopolsce, na której rachunek wpisywano także niegodziwy w ich pojęciu czyn organizacji legjonów. Dla nich nie był to bowiem wyraz szlachetnego uniesienia, choćby może pełnego błędów politycznych, ale nadewszystko produkt roboty żydowskiej i antysłowiańskiej.

W Rosji tym typom było wygodnie. Byli to Polacy z języka i wyznania, ale duszą Ignęli już do innego świata, do szerokiego wschodu, do imperjum rosyjskiego. Nie raziło ich nawet w transie zachwytów prorosyjskich łapownictwo Rosjan, uważając, że oni mają jakby przyrodzone prawo do łapówek, które nie ustawały zgoła i w okresie wojny oraz w czasie niebywałych niepowodzeń oręża rosyjskiego na froncie niemiecko-austrjackim. Wspomnę, że bez łapówki nawet fabryka dobruska nie mogła zbywać rządowi swych znakomitych wyrobów. Za mojego pobytu intendent rosyjski wraz z 2 pomocnikami przy odbiorze papieru dla skarbu na kwotę 9.500 rubli wziął 500 rubli, węgle zaś tak potrzebne fabryce, która coraz więcej pracowała dla potrzeb armji, wytwarzając także papier na bieliznę i onuckowy, dostawały się do Dobrusza tylko po dobrem opłaceniu się komu należało a zresztą jako paliwem trzeba było posługiwać się mało wydatnem drzewem. Także i innych niezbędnych surowców, np. kalafonji, fabryce nie dowożono z powodu nieopłacenia łapówki. Dostarczona przez Japończyków, znajdowała się daleko na Syberji na rz. Amurze.

Z innych faktów, charakteryzujących stosunki rosyjskie, zacytuję zaszły w połowie listopada 1915 r. przepęd przez Dobrusz dużych stad cennego bydła rasowego. Były to sztuki głównie pozabierane po polskich dworach i ewakuowane na wschód, zdaje się z myślą, aby nie wpadły w ręce Niemców. Wychudłe na szkielety, zmęczone, z rozbitymi racicami, głośno porykując, wlokły się tysiącami

a wreszcie dla poszukania sobie paszy, wpędzane do okolicznych lasów, ginęły tam setkami, aby w porze zimowej stać się żerem wilków. Zaiste osobliwy był widok tych białawych plam, rozrzuconych szeroko po ciemnym lesie a znaczących miejsce, gdzie leżała padlina. Dla podkreślenia zaś niedołęstwa administracji rosyjskiej podniosę, że właśnie w tym momencie, gdy tak nielitościwie marnowano wielkie dobro, po tej samej okolicy uwijali się intendenci, zakupujący bydło dla armji i płacący nawet znacznie wyższe ceny niż targowe. Trudno dociec jak to potem motywowano w odpowiednich instancjach kontrolnych. Ale to przepłacanie stosowane było i przy innych dostawach, np. siana, które w dodatku zlewano wodą, aby mu dodać wagi.

Wogóle zaś płynęło się już pod flagą wzrastającej drożyzny. Widać ją było po sklepach, gdzie manufaktura i galanterja podrożały o 250—300%, po rzemieślnikach, biorących dwa lub trzy razy tak wysokie wynagrodzenia jak przed rokiem a nawet w tak solidnem przedsiębiorstwie jak fabryka. Cena bibułki cygaretowej, z 19 rubli za pud, pod koniec roku 1915 dosięgła wysokości około 260. Humory mimo to jednak były. Choć alkohol urzędowo znikł z obiegu handlowego, ludzie pili prawie jak przed wojną, jedni wódkę gatunkową lub zwykłą „stolową“, drudzy samogonkę, a znałem stolarza fabrycznego, który doszczętnie wypił zapas polityry i z tego powodu z zarządem fabryki miał nawet niemałe kłopoty. Dużo także i o wielkie sumy grywano w karty, przyczem gorliwymi uczestnikami tej zabawy byli szczególnie stacjonowani w Dobruszu oficerowie 28 dywizjonu ciężkich moździerzy, który rozbity przez Niemców na froncie i wskutek tego cofnięty na głębokie Polesie, tu się organizował i uzupełniał. Zresztą owe oficerskie towarzystwo zbyt wybredne w zabawie nie było. Sam widziałem jak oficerowie w klubie grywali w bilard z lokajem, co nie bardzo lico-

wało z tym nimbem, jakby arystokracji zawodowej, w jakim chcieli oni chodzić. Najkorzystniej z pomiędzy nich wyróżniał się pułkownik Klimowicz. Gładki, uprzejmy i towarzyski a nawet nieco mówiący po polsku, co przypisywał długiemu pobytowi w Warszawie i matce Polce, spędzał ze mną niemało czasu na przechadzkach, dostarczając mi sposobności do lepszego poznania swej osoby. Rezultat był jednak ten, iż do końca mojego pobytu w Dobruszu sądziłem, że ten sympatyczny oficer, noszący na szyi krzyż orderu św. Włodzimierza, to rdzenny Rosjanin a nawet patriota rosyjski. Jakież zatem było moje zdziwienie, gdy w odrodzonej Polsce, gdzieś w r. 1920 lub 1921, spotkałem Klimowicza na ulicy w Warszawie w mundurze polskiego pułkownika artylerji i dowiedziałem się od niego, że jest stacjonowany w jednej z miejscowości Pomorza. Oto takich typów jak Klimowicz w armji rosyjskiej było wiele. Nie sposób ich potępiać, ale z pewnością nie był to materiał na polskiego oficera.

Inną taką niespodziankę, choć w odmiennym stylu, wyprawił mi niejaki Piotr Andrejewicz Łapicki, student uniwersytetu pietrogradzkiego, syn leśniczego z Dobrusza. Mimo polskiego nazwiska był to Rosjanin, nawet patrijotycznie nastrojony, lubo podbity nieco liberalizmem. Także cały dom Łapickich był rosyjski i związany szeregiem ścisłych stosunków z otoczeniem, oddanem spokojnej wegetacji na głębokiej prowincji. Obchodził również z pietyzmem zwyczajem miejscowym wszystkie święta prawosławne, łącząc je z reguły z ogromną pijatyką. Przy jednej takiej w dzień Wielkiej Nocy 1916 r. byłem nawet obecny, odwiedzwszy Łapickiego i nie wiedząc, co się w jego domu święci, gdyż całe towarzystwo, w tem panie w dekoltach, zastałem pijane na podłodze. Ten tedy Łapicki, o którym przypuszczałem, że wyrośnie na przeciętnego rosyjskiego czynownika i łapownika, dwa lata później w momencie, gdy wybuchła rewolucja bolszewicka, przedzierzgnął się

w wielkiego jej zwolennika i w Dobruszu należał do najgroźniejszych przeciwników zarządu fabryki, zmusiwszy go przy pomocy podburzonych robotników do ucieczki.

W ciągu całego mojego pobytu w Dobruszu zrzadka tu tylko dochodziły wieści o tem, co się działo na szerokim świecie. Jedynym źródłem informacyjnym była prasa. Nic również prawie nie wiedziano o bliskim teatrze wojennym litewsko-białoruskim. Bo choć stopniowo znikły nawet trudności w podróżowaniu kolejami, jednak wielka magistrala dwutorowa, wiodąca z Homla do Brjańska a przecinająca Dobrusz, życia tu nie wznosiła. Mało kto zaglądał nad Ipuć, aż wreszcie osadę zupełnie odcięły od świata słoty jesienne i błota, o których nikt niema pojęcia, kto nie był na Polesiu. Raz tylko gdzieś w początkach listopada 1915 r. zaroił się błotnisty i wodą zalany szlak, wiodący od naddnieprzańskiej Rzeczycy do Nowozubkowa i dalej w głąb Rosji. Mianowicie przez Dobrusz pędzono kilkuset jeńców Prusaków i garść Austrjaków. Rozmawiałem z nimi. Byli w doskonałych humorach, zwłaszcza, że ich w Dobruszu dość przyzwoicie zakwaterowano na nocleg, wykąpano, a prystaw miejscowy dał im jeść. Niewiedzieli, że pędzeni w okolice północnej Syberji przeważnie nie mieli już więcej oglądać swych stron rodzinnych. Przy sposobności prystaw z niewiadomych powodów, zdaje się spełniając jakiś tajny rozkaz, chciał się i mnie pozbyć z Dobrusza. Pół godziny przed wymarszem jeńców, wczesnym rankiem kazał mi przygotować się do podróży i przyłączyć się do maszerujących. Zrobić to musiałem pod przymusem wobec stojącego mi nad karkiem żołnierza i z małym tobołkiem, ubrany tylko w lekki płaszcz jesienny, cały dzień idąc w ostatnim szeregu, mięsiłem głębokie błoto poleskie do momentu, aż w tym uciążliwym i powolnym marszu w gęstym lesie całą kolumnę przed popasem zachwyliła dżdżysta i ciemna noc. Szybko się decydując, przez przykucnięcie do ziemi oddzieliłem

się od kolumny i rozpocząłem krajem lasu, a potem w obawie pościgu, zapuszczając się nieco głębiej, powróć do Dobrusza, gdzie dotarłem nad ranem i od razu zgłosiłem całą przygodę dyrektorowi, który mnie osłonił przed wysiedleniem, a prystawa niewątpliwie energicznie poskromił za jego zapędy urzędowe. Poszło zaś to tem łatwiej, iż obok funkcyj pedagogicznych, polegających na przygotowywaniu dzieci tamtejszej inteligencji polskiej do kilku klas gimnazjalnych, zajmowałem we fabryce także stanowisko chemika, a zatem pracowałem „na obronę państwa“. Potem raz tylko jeszcze w styczniu 1916 r. niepokoił mnie prystaw przeglądaniem moich papierów i badaniem prawomyślności ich właściciela.

ROZDZIAŁ XII.

Powrót do Kijowa. Stosunki w Lwowskim Komitecie Ratunkowym. Podróż do Charkowa. Działalność oddziałów „Piotrogrodzkiego Towarzystwa Pomocy Ofiarom Wojny“ w Kijowie i na Ukrainie. Rada Okręgowa Kijowska. Gabrjel Możdżyński. Karol Wilkoszewski. Opieka nad polskim dzieckiem. Szkoły. Józef Kühmayer. Teatry. Wygląd Kijowa w r. 1916. Ceny. Upadek autorytetu. Biskup Dubowski. Spóźnione zakusy rusyfikacyjne. Minister spraw wewnętrznych i polskie hymny narodowe. Polskie oddziały wojskowe. Wyższe Kursy Naukowe w Kijowie (Polskie Kolegium Uniwersyteckie).

Dobrusz opuściłem d. 15 maja 1916 r. po blisko dzieściomiesięcznym tam pobycie, w porze, kiedy na Polesiu przyroda jest najpiękniejsza. Owe lasy brzozowe, stojące w wodzie spokojnej jak lustro, powietrze przejrzyste jak kryształ, cudna barwa łąk są niezapomniane. Żał mi też było serdecznie Dobrusza i dlatego, że rzucając to spokojne osiedle wpływałem na niepewne fale różnych przygód, które mogły bardzo rozmaicie się skończyć. Na nikogo też liczyć nie byłem w stanie w tem zupełnie mi

obcem środowisku rosyjskiem i wszystko zależało od przypadku.

Narazie udałem się do Kijowa, znowu odbywając tę podróż parostatkiem po rozlanych szeroko na wiosnę wodach. W Kijowie pierwsze moje kroki skierowałem, rzecz prosta, do Lwowskiego Komitetu Ratunkowego, nie tyle dlatego, żebym liczył tam na jakąś pomoc, ale aby zobaczyć się z różnymi znajomymi i zasięgnąć języka w najrozmaitszych kwestjach. To, com jednak widział w Komitecie, nie ucieszyło mnie wcale. Prof. Stanisław Grabski nie zaglądał tam już prawie nigdy, a ster spraw komitetowych ujął niepodzielnie w swe ręce jeden z redaktorów lwowskiego „Słowa Polskiego“ Stanisław Biega. Była to osobistość jak najmniej do tego odpowiednia. Nie mając potrzebnego autorytetu miał się Biega niejednokrotnie metod działania, które bezwzględnie zasługiwały na krytykę, a których jedynym wynikiem było to, że powaga Komitetu zupełnie zanikała. W połowie r. 1916 organizacja ani nie dawała nikomu na wspomnienie zasługującej pomocy materialnej, prócz garści urzędników komitetowych, ani też nie reprezentowała małopolskiej emigracji w Rosji. Słowem była najzupełniejszym prawie przeżytkiem, zajmując się co najwyżej wystawianiem świadectw tym, którzy ich potrzebowali dla udowodnienia tożsamości osoby i t. p. W rzeczonym zakresie najpożyteczniej działał urzędnik Komitetu Feliks Ossoliński, który istotnie o zapewniające ludziom bezpieczeństwo papiery umiał wystarać się szybko i sprawnie. Z instytucyj Komitetu na wspomnienie w tym czasie zasługuje chyba tylko szwalnia, kierowana przez kupca lwowskiego Adama Kauczyńskiego i zatrudniająca 20 robotnic. Kuchnia i schronisko komitetowe były całkowicie bez znaczenia, choć pochłaniały sporo pieniędzy. W kuchni np. w lipcu 1916 r. jadało zaledwie 5—6 stołowników, a zresztą żywiła ona usługę i dziewczęta z szwalni.

W Kijowie bawiłem krótko, bo zaledwie dwa tygo-

dnie, a nie mogąc i teraz znaleźć tu zajęcia, udałem się do Charkowa, chcąc objąć tam zaofiarowaną mi posadę w oddziale firmy handlowej Borkowski i Spółka, Tow. Akcyj. Owa podróż była jedną z najosobliwszych, jakie w życiu odbyłem. Do niesłychanie przepełnionego wagonu dostawać się trzeba było, choć z biletem pierwszej klasy, przez okno przy pomocy dwóch wynajętych za 20 rubli bagażowych, którzy podróżnego wpychali do środka siłą i nad głowami współjadących umieszczali np. na półce na rzeczy, co właśnie mnie przypadło w udziale. Nie potrzeba dodawać, w jakim stanie dobiłem się do Charkowa i jak niesłychanie znużony, boć przecież o opuszczeniu tak zajętego miejsca, nawet na chwilę, nie było mowy. Na dole znajdował się w przedziale wagonu zbity tłum ludzi, gdzie i „szpilki wetknąć“ nikt nie potrafił. A trzeba jeszcze i to dodać, że dzień był gorący, jak to zazwyczaj bywa na przedleciu na Ukrainie, podróż zaś trwała kilkanaście godzin.

Wreszcie wysiadłem w Charkowie z szczątkami kołnierza, z poobrywanymi guzikami i w podartem ubraniu, uważając się za szczęśliwego, że w tej podróży nie pozabawiono mnie zawartości mojej chudej kieszeni. Charków nie przypadł mi do gustu. Jakieś dziwnie źle i niedbale zabudowane miasto, w którym tylko nieduża część przypominała, że to centrum wielkich kapitałów i wielkiego przemysłu górniczo-hutniczego. Dlatego też niezbyt się zgryzłem, gdy kierownik charkowskiego oddziału firmy Borkowski i Spółka, niejaki Malina, zbagatelizował sobie zupełnie telegram centrali piotrogrodzkiej, nadający mi posadę, i oświadczył, iż mnie u siebie nie zatrudni, wysuwając jako motyw, że tymczasem zmieniło się naczelne kierownictwo firmy w Piotrogradzie, tak jakby tego rodzaju sprawy mogły wpływać na zatrudnienie lub niezatrudnienie jakiegoś podrzędnego pracownika. Notuję zaś ten epizod, bo niezłe charakteryzuje on jak w Rosji rozpręgly się

już podówczas pojedyncze ogniwa administracji nawet w handlu i przemyśle. Każdy kierownik jakiejś placówki uważał się za uprawnionego do działania zupełnie według swego uznania, co znowu było wynikiem długiego trwania wojny, trudności komunikacyjnych i braku nadzoru.

W Charkowie odwiedziłem ekspozyturę Lwowskiego Komitetu Ratunkowego, pomieszczoną w Domu Polskim, i poznałem cały szereg bawiących tam Polaków, jak Dra Brandowskiego, Konarskiego i innych. Przekonałem się również, że lubo Charków leżał bardzo daleko od frontu, jednak i tutaj widziało się obrazy wojenne, choćby pod postacią setek zwożonych rannych.

Z Charkowa odbyłem szereg podróży informacyjnych po Rosji, zapuszczając się na południe nad brzegi morza Czarnego, a na wschód aż na obszary Azji rosyjskiej. Motywem tej włóczęgi była poczęści ciekawość, ale równocześnie badałem także możliwości zarobkowe. I niewątpliwie istniały one, i nietylko dla mnie, bo w Rosji ginął chyba niedołęga lub próżniak, niemniej jednak żadnego tam zajęcia nie przyjąłem, gdyż w międzyczasie doszły mnie wieści od moich przyjaciół, że otrzymać mogę odpowiadającą mi pracę w oddziale kijowskim Piotrogradzkiego Tow. Pomocy Ofiarom Wojny. Z radością zatem wróciłem znowu do Kijowa, gdzie czułem się najlepiej. Tamtejsze duże środowisko polskie pozwalało mi całkowicie zapomnieć o tem, że znajduję się na obczyźnie. Nad Dnieprem podówczas żyło się wśród swoich i pracowało dla swoich.

Dziś po wielu latach, niemając dość szczegółowych notatek w rękę, nie jestem w stanie nakreślić nietylko jako tako wiernego obrazu działalności Piotrogradzkiego Tow. Pomocy Ofiarom Wojny, ale nawet jego oddziału kijowskiego. Zaznaczę tylko, że to była praca wielka i bardzo chwalebna i że skupiała ona w sobie wszystkie niemal siły duchowe i organizacyjne, jakimi wówczas w Kijowie i na Rusi rozporządzaliśmy. Podziwiać też należy różne

tempo, w jakim pracowano. W r. 1915 nie było jeszcze niczego prawie, a w połowie r. 1916 wyrósł już cały las przeróżnych instytucyj.

Piotrogrodzkie Towarzystwo Pomocy Ofiarom Wojny, noszące urzędową nazwę „Towarzystwo pomocy biednym rodzinom Polaków, uczestniczących w wojnie oraz zubożalej przez wojnę ludności polskiej“, powstało w r. 1914 i pod datą 29 sierpnia wpisane zostało w poczet stowarzyszeń miasta Piotrogradu. Na pozwoleniu urzędowem znajduje się podpis księcia Oboleńskiego, ówczesnego naczelnika miasta Piotrogradu, w roli zaś założycieli stowarzyszenia występują: redaktor „Głosu Polskiego“ Remigjusz Kwiatkowski, adwokat przysięgły Bolesław Olszamowski i rzeczywisty radca stanu oraz poseł ziemi Wileńskiej Henryk Świącicki. Towarzystwo pozyskało sobie zaufanie władz i obfite subwencje ze źródeł publicznych, które pozwoliły mu na szybkie rozwinięcie działalności na całej przestrzeni państwa. W połowie r. 1915 na Rusi znajdujemy 52 oddziały Towarzystwa, 112 w Rosji Europejskiej i 15 w Azjatyckiej. Wszędzie powstają polskie ochronki, warsztaty, szwalnie, biblioteki, czytelnie i przeróżne inne instytucje, pozwalające na grupowanie się naokół nich polskiego żywiołu, co miało nietylko wielkie znaczenie humanitarne, ale także i unaradawiające. Zaznaczyć jednak należy, że Piotrogrodzkie Towarzystwo Pomocy Ofiarom Wojny nie było jedyne, które podjęło się tej wielkiej pracy. Wraz z niem działał także i Centralny Komitet Obywatelski, o którym wspomniałem już wyżej. Funkcje między obie organizacje podzielono atoli w ten sposób, że gdy Piotrogrodzkie Towarzystwo udzielało swej pomocy ludności w miastach oraz w tych miejscowościach (przemysłowych), w których znajdowała się siedziba tej organizacji, to Centralny Komitet Obywatelski rozciągał opiekę nad ludnością, żyjącą poza miastami, tam, gdzie już nie sięgał bezpośredni wpływ działaczyw miejscowych, przyczem wszędzie C. K. O.

winien był opiekować się nie tylko ludnością z Królestwa Polskiego, ale wszystkimi Polakami, przebywającymi poza centrami miejskimi i przemysłowami. Jako nadbudowa nad wszystkimi organizacjami polskimi, działającymi na przestrzeni gubernij kijowskiej, podolskiej, wołyńskiej, połtawskiej i czernihowskiej, od jesieni r. 1915 zjawia się następnie „Rada Okręgowa Kijowska Polskich Towarzystw Pomocy Ofiarom Wojny“. W skład Rady wchodziłi delegaci polskich towarzystw pomocy ofiarom wojny, będący równocześnie członkami Rady Zjazdów¹⁾, delegat Komitetu Chełmskiego i członkowie kooptowani przez powyższe gremjum. Poza koordynacją pracy, najważniejszym zadaniem Rady Okręgowej był rozdział funduszków między pojedyncze oddziały Towarzystw Pomocy Ofiarom Wojny. A były to kwoty znaczne²⁾. Np. budżet ustalony na wrzesień i październik 1915 r. dla całego okręgu kijowskiego wynosił 270.000 rubli, z czego Ukraina otrzymała kwotę 38.440 rb., Kijów 80.000, Podole 18.375, Wołyń 13.355, a czernihowska gubernja 10.970. Jeszcze znaczniejszy budżet ustalono na miesiąc listopad 1915, bo zamykający się w kwocie 307.600 rb. Rada Okręgowa zbierała następnie na zlecenie Rady Zjazdów pogłównie w wysokości 1 zł. 20 groszy (25 kop.) na rok od wszystkich Polaków z przeznaczeniem utworzenia funduszu na najważniejszą potrzeby narodowe, gromadziła ofiary dobrowolne, deklarowane przez różne osoby na potrzeby bieżące cierpiącej ludności polskiej, rozwijała akcję u władz w sprawie uzy-

¹⁾ Najwyższa polska organizacja w granicach Rosji, powołana do życia na zjeździe polskim w Moskwie dnia 8 sierpnia 1915 r. Prezesem jej wydziału był Aleksander Lednicki, funkcje wiceprezesów sprawowali Henryk Świącicki i Jerzy Zdziechowski, a członków Władysław Żukowski i Józef Ewert. Siedziba Rady Zjazdów znajdowała się w Moskwie (Milutinskij Zaulek nr. 4).

²⁾ W przeważnej części czerpano je z t. zw. „Tatianowskiego Komitetu“, noszącego swą nazwę od stojącej na jego czele drugiej córki cesarza Mikołaja II, Tatiany.

skiwania odszkodowań i zapobiegania licytacjom majątków polskich, uzyskiwania jeńców do robót polnych na wschód od linii Owruć—Żytomierz—Berdyczów—Humań, zapobiegała grożącym epidemjom, przedsiębrała ochronę zażytków polskich od zagłady, wydawała książki szkolne, słowem spełniała wprost ogromne zadania narodowe i społeczne. I to ważne, że Rada Okręgowa otrzymała przywilej wydawania ważnych, uznawanych przez rząd rosyjski, paszportów, co wykorzystywano w ten sposób, że ludziom, których wydobyto z obozów jeńców, wystawiano paszporty jako wygnańcom z b. Galicji i b. Kongresówki, dzięki czemu pozyskano np. liczny zastęp wykwalifikowanych sił nauczycielskich. Pierwszym prezesem Rady Okręgowej był Joachim Bartoszewicz, a od początku r. 1917 hr. Roman Bniński, sprawując ten urząd aż do końca lutego 1919 roku. Ostatni, który wziął na siebie ciężki obowiązek kierownictwa Radą Okręgową był Jordan Pereświat-Sułtan, rozstrzelany następnie przez bolszewików.

Czynności prezesa kijowskiego oddziału Piotr. Tow. Pomocy Ofiarom Wojny sprawował prawie od początku pracowity i zapobiegliwy obywatel ziemski z Kijowszczyzny, Stanisław Horwatt, były członek rosyjskiej Rady Państwa, stanowisko zaś wiceprezesa zajmował hr. Roman Bniński, który, gdy idzie o rozwijanie pożytecznej działalności, prezesowi w żadnym kierunku nie ustępował, a nawet go przewyższał pod względem ruchliwości. Do zarządu wchodził: Stanisław Jezierski, Stanisław Zieliński i Antoni Czerwiński. Oddział kijowski rozpadał się na kilka sekcji, z których najważniejsze były dwie, t. j. opieki nad dziećmi i szkolna. Ster pierwszej z nich znajdował się w ręku inżyniera Gabryela Możdżyńskiego, sprawami zaś szkolnymi kierował Karol Wilkoszewski. Obaj dzielni ludzie, obaj pełni zapału i poświęcenia, ale jakże różni od siebie. Jednak doskonale dostosowani do funkcji, jakie złożono w ich ręce. Możdżyński żył sercem i wszystko, co czynił, wpły-

wało z tego gorącego serca, Wilkoszewski był nade-wszystko znowu statystą, mężem pełnym polotu i wiary w Polskę.

Sekcja opieki nad dziećmi uchodźców i wysiedleńców (ul. Meryngowska 10) swoją działalnością obejmowała za-równo niemowlęta, utrzymując dla 17 z nich żłóbek przy ul. Żyłańskiej 71, jak i dziatwę dorastającą, której w swych ochronkach dawała nietylko utrzymanie, ale także elemen-tarne wykształcenie ogólne oraz początki jakiegoś rzemiosła. Razem wszystkich zakładów należało do sekcji 19, a ogólną ich wadą było to, że jako zbyt małe pociągały za sobą niepo-trzebnie bardzo duże stosunkowo koszta administracyjne. Również za osobliwość, jak na te ciężkie czasy wojenne, i to bardzo kosztowną, trzeba uważać takie pomysły, jak czę-ściową wysyłkę dziatwy wygnańczej z ochron na liman pod Odesę i do Puszczy Wodnej pod Kijowem, co miało miejsce np. latem 1916 r. Bez tej wilegatury całkiem do-brze można było się obejść, a natomiast znacznie rozsze-rzyć zakres działania instytucyj sekcji.

Ochrony istniały na Sołomience, przy ulicy Żytomier-skiej l. 20, przy Bezakowskiej 5, przy Kuźnicznej 5, przy Bogoutowskiej 29, przy Andrzejowskim Zjeździe 15, przy ulicy Zofijowskiej 8, za miastem dwie w t. zw. „Arkadji“ i t. d.¹⁾. Wyjątkowo tylko w 2 ochronach dla dziewcząt i w 2 dla chłopców dzieci nie pobierały na miejscu nauki. Chłopcy ci pracowali w handlu i przemyśle, dziewczęta zaś uczęszczały na naukę ogólną i różnych robót kobie-cych do specjalnej szkoły sekcji dziecięcej przy ulicy Sto-łypinowskiej l. 41, którą dzielnie kierowała Zofja Medwie-dew Krystkiewiczowa. Ponad wszystkie zakłady wybijała się atoli ochrona i szkoła przy ulicy Bogoutowskiej l. 29. Przedewszystkiem był to zakład największy, gdyż samych

¹⁾ Spis dokładny zakładów sekcji opieki nad dziećmi pomieścił Jan Kornecki w swej książce: „Oświata polska na Rusi w czasie wiel-kiej wojny“. Warszawa 1922 (Macierz Szkolna).

tylko chłopców gromadził około 60, gdy inne ochrony przeważnie nie wykazywały więcej wychowanków, względnie wychowanek, jak 15 do 30, a rzadko tylko więcej, a powtórę znajdował się on w ręku osoby bardzo inteligentnej, pracowitej, pomysłowej i swym zadaniom pedagogicznym bardzo oddanej. Tak pojęte kierownictwo sprawowała Marja Falska, którą w wielu zakresach pracy dzielnie umiała zastąpić Zofja Waligórska. Jako kierownik warsztatów wywiązywał się doskonale ze swojego zadania inżynier Tomasiak. Entuzjastycznym kuratorem zakładu i jego gorliwym opiekunem był hr. Oskar Sobański, wielki katolik, gdy znowu Falska nie kryła się wcale z tem, że jest bezwyznaniową. Jednak szlachetna sprawa i umiłowanie Polski jednoczyło w jak najlepszy sposób usiłowania obojga tych ludzi. Zakład przy Bogoutowskiej to jedna z najpiękniejszych kart działalności sekcji opieki nad dziećmi w tych pamiętnych latach wojny. System wychowawczy Falskiej polegał na zbliżaniu się do dziecka i na wnikaniu w jego duszę oraz na rozbudzaniu autokrytyki dziecięcej np. przez prowadzenie gazetki, redagowanej przez samą działkę i t. p. Z wybitniejszych działaczy w sekcji opieki nad dziećmi wspomnę Joachima Wołoszynowskiego i jego żonę, inż. Wolskiego, Józefa Stemlera, Władysława Zielińskiego, panny Janinę Kühmajerównę i Szyszkównę, panie hr. Sołtanową, Zaleską, Kopernicką, Teodozję Bączkowską i hr. Magdalenę Ledóchowską, obnoszącą się jednak z takim osobliwym lekceważeniem wszystkich naokół, że współpraca z nią sił nauczycielskich stawała się nieraz bardzo trudna, co mnie, powołanemu na stanowisko wizytatora zakładów¹⁾, sprawiało często niemało kłopotów, tem bardziej, że nadmiaru nauczycieli i wychowawców, zwłaszcza jako tako kwalifikowanych, wcale nie było.

¹⁾ Po złożeniu przezemnie tych funkcji w połowie r. 1917 objął je Józef Stemler, który w roku 1918 po ś. p. Gabrjelu Możdżyńskim wziął w swe ręce także przewodnictwo sekcji.

Sekcja szkolna (Bibikowski bulwar 4) miała zadania podobne do dziecięcej, ale sprawa dostarczania dzieciom uchodźców dachu nad głową i pożywienia była tu podporządkowana problemom wychowawczym. Nazewnątrz ujawniało się to i w tem, że gdy ze szkół sekcji korzystały tysiące, to z internatów przez nią utrzymywanych nieliczne tylko setki.

Na czoło wszystkich zakładów sekcji wysuwały się przedewszystkiem szkoły średnie, męska i żeńska. Szkoła średnia z oddziałem filologicznym i realnym, której klasy niższe od pierwszej do trzeciej mieściły się przy placu Mikołajewskim l. 2, a wyższe od czwartej do ósmej przy zaułku Komercyjnym l. 3, w roku szkolnym 1916/17 liczyła 589 uczniów. Przy placu Mikołajewskim było klas 11, przy zaułku Komercyjnym 9. Nauka odbywała się popołudniu i wieczorem od godziny 3 do 9, co bardzo utrudniało prowadzenie zakładu. Pierwszym dyrektorem był Dr. Zielowski, drugim znany pedagog warszawski Zygmunt Gapszewicz. Ja i niejaki Popow w r. szkolnym 1916/17 sprawowaliśmy w zakładzie funkcje t. z. inspektorów czyli zastępców dyrektora, prócz tego ucząc po kilka godzin. Grono nauczycielskie składało się z 43 sił. Po części byli to zawodowi nauczyciele, po części zaś ludzie, którzy zajęli się szkołą dopiero teraz w okresie wojny, choć niektórzy z taką pilnością i talentem, że pod żadnym względem nie dawali się wyprzedzić fachowcom. Przytoczę niektóre nazwiska członków grona: Behm, Blicharski, ks. Dominczak, Glas, Marja Kopytowska, Korycki, Tomasz Kuźmiński, Franciszek Niemiec, Tadeusz Synowiec, Stanisław Trabsza, Tramer, Trzeciński, Tadeusz Turkowski, ks. Tuszyński, Heljodor Wierzejski, Willimek, Żmigrodzki. Odnoszenie się społeczeństwa do sił pedagogicznych było dość uprzejme, choć zimne. Nauczycieli traktowano jako najemników, nie okazując im wcale nadmiaru życzliwości. Zresztą i wynagrodzenie było bardzo skąpe. Płacono za

godzinę tygodniową w stosunku rocznym 50 a potem 75 rubli, honorując jeszcze osobno niektóre zajęcia (wychowawstwo klasowe i t. p.). Średnio przy 20 godzinach w tygodniu pracy nauczycielskiej dawało to dochód miesięczny w kwocie stu kilkudziesięciu rubli, gdy np. niżsi urzędnicy w Związku Ziemskim pobierali podówczas miesięcznie 200 rubli, zaś robotnicy kwalifikowani doprowadzili swój zarobek dzienny do kilkunastu.

Młodzież zorganizowana była w związku samopomocy i uprawiała skauting. Ruchliwa i ogromnie krzykliwa odznaczała się dobrocią serca i szlachetnym poglądem na świat, poza tem zwykłą młodzieńczą lekkomyślnością, spotęgowaną jeszcze wskutek atmosfery wojennej, co nieraz szkole sprawiało niemało kłopotów. Prowadzić ją jednak było nietrudno, o ile nie psuł jej dom rodzicielski, bo największe przeszkody dla wychowania stąd właśnie płynęły. Bardzo pożyteczną instytucją były dlatego t. z. rady rodzicielskie, w skład których wchodziłi delegaci rodziców po 2 na każdą klasę, wybierani na odpowiednich zebraniach. Przez nich szkoła mogła oddziaływać na środowisko domowe. To interesowanie się rodziców kwestjami wychowawczymi, choćby tylko w odniesieniu do własnych dzieci, bardzo zachęcało również grono nauczycielskie do wyętejzonej pracy. A były i inne jeszcze korzyści. Oto ponieważ wśród rodziców znajdowało się wiele osób zamożnych, przeto sekcja szkolna tą drogą przez rady rodzicielskie niejednokrotnie odzywała się do ofiarności ogółu. I trzeba podnieść z uznaniem, że składki na cele szkolne płynęły stosunkowo dość łatwo, przyczem wielkie zasługi położyły tu zwłaszcza niektóre panie, a między niemi największe może pani Gutowska, żona właściciela dóbr z Lubelskiego. Z innych wymienię bodaj kilka nazwisk, jakie mi się na pamięć nasuwają: rodzinę Fudakowskich, Michalinę Wężyk, Emilję i Karola Waligórskich, Marję Szeliską, Marję Wydzinyę, Ludwika Pannenko.

Szkoła średnia żeńska mieściła się przy placu Mikołajewskim l. 2, w tym samym lokalu co i niższe klasy szkoły męskiej, ale nauka odbywała się rano od godz. 8 do 2. Kierownictwo pedagogiczne spoczywało w ręku hr. Sołtanowej, przełożoną zaś zakładu była p. Girdwojnowa. Uczennic liczyła szkoła 352. Sił nauczycielskich było 42, przyczem zajęte były przeważnie nauczycielki a tylko w wyższych klasach kilku nauczycieli (Drogoszewski, Ryniewicz, Bator i inni). Rozprężenie wojenne, jakie dotarło do dziewcząt, sprawiało gronu nauczycielskiemu może jeszcze więcej kłopotów niż w szkole męskiej i utrzymanie należytej karności nie było zadaniem łatwym. Dziewczęta zaczepiały chłopców listami, niejednokrotnie pozostawiały na ścianach różnych ubikacyj szkolnych nieskromne napisy lub rysunki, co wszystko nie mogło być obojętne także kierownictwu szkoły męskiej, zajmującej ten sam lokal w godzinach popołudniowych.

Szkołami średnimi, ale już o charakterze fachowym, były kursy trzymiesięczne i roczne, urządzone pod kierunkiem Zofji Żukiewiczowej przy ulicy Nesterowskiej l. 25. Miały one kształcić nauczycielki i ochroniarki, co też w znacznej mierze spełniały. Szkoda tylko, że nie cieszyły się one znacznie większą frekwencją, bo w r. szkolnym 1916/17 uczęszczało na nie zaledwie 23 osób. Przy ulicy Nesterowskiej 25 znajdowały się również kursy przygotowawcze dla tych, którzy wskutek niedostatecznego przygotowania językowego lub spóźnienia się do szkoły wykazywali znaczne braki, wymagające uzupełnienia. Frekwentant, po przejściu odpowiedniej klasy na kursach, mógł złożyć egzamin w szkołach polskich, nie tracąc roku szkolnego. Z tych kursów korzystało 25 uczniów i uczennic a kierownikiem ich był nauczyciel Korsak.

Szkoł początkowych miała sekcja szkolna dwie, i tak przy ulicy Policyjnej l. 6, gdzie uczęszczało 226 młodzieży obojga płci, i złączoną z internatem przy ulicy Włodzi-

mierskiej l. 4, ale nieliczną, bo zaledwie z 32 dziewczynkami. Pierwszą z tych szkół kierował Piotr Sobotkowski, zakładem zaś przy ulicy Włodzimierskiej Zofja Nostitz-Jackowska.

Prócz tych siedmiu własnych instytucyj sekcja szkolna prawie całkowicie utrzymywała, zachowując sobie prawo dozoru, znajdującą się przy ulicy Bassejnej szkołę początkową wyższego typu Gustawa Kownackiego, z której korzystało około 300 młodzieży obojga płci. Nadto subwencji sekcji zasilaly kilka innych zakładów przez opłacanie w nich wpisów za pewną liczbę wychowanków, a mianowicie w zakładach Peretjatkowiczowej (ul. Włodzimierska 47) za 60 uczennic, w szkole początkowej Żukiewiczowej (ul. Włodzimierska 42) za 26 dzieci, w szkole początkowej Wąlickiej (ul. Nesterowska 12) za kilkoro dzieci. Dodać jeszcze należy, że, licząc się z realnymi warunkami, sekcja opłacała wpisy także za kilkadziesiąt młodzieży polskiej, uczęszczającej do rosyjskich zakładów średnich, tudzież za kilka osób przechodzących kursy buchalteryjne.

W celu udostępnienia nauki nawet najuboższym sekcja szkolna powołała do życia cały szereg internatów dla młodzieży wygnańczej. O jednym z nich, znajdującym się przy ulicy Włodzimierskiej l. 4, już wspomnieliśmy wyżej. Inne były następujące: przy ulicy Tereszczenkowskiej l. 13 dla 48 dziewcząt, przy ulicy Nesterowskiej l. 25 dla 14 słuchaczek kursów nauczycielskich, przy ulicy Tarasowskiej l. 3 dla 48 uczniów, przy ulicy Rejtarskiej l. 25 dla 25, przy ulicy Włodzimierskiej l. 28 dla 26, przy zaułku Kreszatyckim l. 13 dla 12, przy ulicy Włodzimierskiej l. 12 dla 6.

Sekcja miała również pod swoją opieką niektóre internaty prywatne. I tak Wolskiej przy ulicy Bassejnej l. 5 dla 4 uczniów, Lipińskiej przy ulicy Nesterowskiej 20 dla 6 i Krasuskiej przy ulicy Luterańskiej 33 dla 30 dziewcząt.

W braku odpowiednich internatów rozlokowała także sekcja za opłatą po t. z. stancjach 39 młodzieży obojga płci, 14 zaś staraniem sekcji znalazło tego rodzaju pomieszczenie i utrzymanie bezpłatnie.

Jak widzimy zatem działalność sekcji nazwać można wręcz imponującą, zwłaszcza uwzględniając ilość pracy. Z jakością było już nieco gorzej. Tu wypowiedzieć da się niejedno zastrzeżenie, szczególnie zaś w odniesieniu do szkół początkowych, gdzie naogół uczono dość lichy, głównie z powodu małego przygotowania do zawodu sił nauczycielskich. Jednak i na tym odcinku pracy zaznaczał się stały postęp w związku z ciągłymi wizytacjami szkolnymi i konferencjami gron nauczycielskich. W szkołach średnich raził brak środków pomocniczych do nauki. Kilka niezawsze całych i czystych map oraz skromna ilość mało użytecznych okazów przyrodniczych albo aparatów fizycznych, wypożyczonych ze szkół rosyjskich, to niemal wszystko, na czym nauczyciel mógł opierać swoje lekcje geografii lub przyrody. Z podawanych w szkołach przedmiotów najniżej stała przecież łacina, najwyżej, i to nawet wcale wysoko, matematyka.

Pod względem wyznaniowym młodzież była najzupełniej jednolita, bo, abstrahując od jednej jedynej żydówki w szóstej czy siódmej klasie szkoły średniej, wyłącznie chrześcijańska. Praktyki religijne w szkołach spełniano pilnie, choć nie zawsze tak jak należało. Za niefortunny np. pomysł uważać wypada równoczesne odbywanie w kościele rekolekcji wielkanocnych przez średnią szkołę męską i żeńską. Tłumne te zebrania religijne wcale nie osiągały celu zamierzonego przez katechetów, czyli, jak ich tam wówczas zwano, księży prefektów, a nawet nie obeszły się bez kilku gorszących incydentów.

Osobne, choć nieporównanie ciaśniejsze już pole pracy stworzyły inne sekcje kijowskiego oddziału Piotr. Tow. Pomocy Ofiarom Wojny: przytułkowa z jej zakładami

przy ulicy Borszczagowskiej, finansowa, odzieżowa, doraźnej pomocy, więzienna, opieki nad jeńcami wojennymi, poszukiwania pracy, rolnicza, wywiadowcza i rewizyjna¹⁾.

Działało także „więzienie polskie“, jedna z najosobliwszych instytucyj, które kiedykolwiek pod nazwą „więzienia“ powołano do życia. Oto chcąc oszczędzić zwożonym przez Rosjan do Kijowa, zwłaszcza z Galicji, różnym polskim zakładnikom i więźniom politycznym ponieważ po aresztach rosyjskich, kijowski oddział Piotr. Tow. Pomocy Ofiarom Wojny wynajął wygodny dom na Peczersku z ogrodem, dał kraty w oknach i przed drzwiami postawił dwóch policjantów, dobrze płatnych z kasy Towarzystwa, wskutek tego zawsze bardzo uprzejmych. Więźniowie, zamieszkujący ową realność, w obrębie jej zupełnie swobodnie się poruszali, używali przechadzek w ogrodzie i we własnym zarządzie prowadzili kuchnię oraz pralnię. Przy zastosowywaniu poręki indywidualnej i grupowej Piotr. Tow. Pomocy Ofiarom Wojny, stopniowo uzyskiwali wolność, opróżniając wygodne „więzienie“ dla nowych przybyszów.

Oddzielnie istniała przy ulicy Meryngowskiej l. 10 jadłodajnia dla inteligencji. Kierował nią bardzo sprężyste szlachetny i ofiarny przemysłowiec kijowski, założyciel i właściciel ogromnej fabryki mebli przy ulicy Mikołajewskiej, Józef Kühmayer, przynosząc wiele pomocy wygnańcom. Jadłodajnia żywiła tanio i dobrze, a co najważniejsza, uwalniała swych niezamożnych klientów od płacenia zwyczajem rosyjskim ogromnego haraczu kelnerom, którzy wprawdzie pieniądze chowali pilnie do kieszeni, ale zgoła nie poczuli się do obowiązku należytego, a nawet bodaj

¹⁾ W sekcji przytułkowej bardzo czynną była doktorowa Górka. Finansowej przewodniczył Stanisław Kopernicki, odzieżowej Aleksander Bayer, doraźnej pomocy Józef Kühmayer, rewizyjnej Więckowski, więziennej Feliks Krzyżanowski. W pracach sekcji więziennej wielkie usługi położyła Edwardowa Wilińska.

tylko uprzejmego, obsługiwania gości. I wyjątku pod tym względem nie czyniły nawet najbardziej renomowane polskie zakłady gastronomiczne Kijowa, jak np. restauracja i kawiarnia Franciszka Gołombka „François“ przy ulicy Funduklejowskiej lub zresztą doskonale prowadzona „Drewna Rus“ przy ulicy Zofijowskiej. Na Meryngowskiej w porze obiadowej gromadziło się codziennie po kilkaset osób, zamieniając ciasne sale jadalni w ważny ośrodek życia towarzyskiego, a nawet politycznego. Tu, jako na gruncie neutralnym, schodzili się ludzie różnych przekonań i wymieniali między sobą poglądy. Nie brakowało nawet galicyjskich Ukraińców, którzy w Kijowie, zrazu przynajmniej, wobec polskośći okazywali mniej ducha ofensywnego niż w Galicji.

Polskie życie Kijowa, które w r. 1915 zaczynało dopiero krzepnąć, po kilkunastu miesiącach stało się dziwnie jakieś pełne i ruchliwe. Może na to wpływała i ta okoliczność, że pod koniec 1916 r. wszyscy już prawie nabrali przekonania, iż wojna światowa doprowadzi do niepodległości Polski. Na temat powrotu do kraju snuto przeto jak najbardziej różowe sny, i to zarówno inteligencja jak i lud prosty. Nawet ci, którzy w Rosji porodzili się i tu osiweli, pragnęli wrócić do Polski, aby bodaj umierać na własnej ziemi. Fala optymizmu i patriotycznego uniesienia oddawna na Ukrainie nie zataczała tak szerokich kręgów.

Teatr polski przy ulicy Meryngowskiej, kierowany zrazu, jak o tem wspomnieliśmy wyżej, przez Kornela Makuszyńskiego a potem przez Rychłowskiego, zgromadził cały szereg dobrych artystów i zaczął stanowić jedno z ważniejszych centrów polskiego życia, co w rezultacie dawało ten wynik, że coraz mniej było takich, którzy chodzili do teatrów rosyjskich. Na Meryngowskiej wystawiono „Fircyka w zalotach“, „Śluby panińskie“, „Jasełka polskie“ (Rydla), „Damy i huzary“, „Wesele“, „Bolesława Śmiałego“, i cały szereg sztuk innych, a artyści pracowali

zdaje się tak jak nigdy, ani przedtem ani potem. Z pewnością też nie dla skromnej zapłaty, jaką otrzymywali, choć opowiadano sobie na ucho, że Rychłowski ma rzekomo z czego płacić, bo garnie nieraz po 1.500 rb. za wieczór. Osterwowie (mąż i żona), ulubieńcy publiczności, pobierali mocno już zdewaluowanych 700 rb. miesięcznie, Tarasiewicz 400, inni 150—200. A i z tego nierzadko trzeba było odłożyć jeszcze sporą część na garderobę teatralną. Dla powodzenia kijowskiej sceny polskiej i to było nie bez dużego znaczenia, że dekorator Drabik wyczarowywał cudowne wręcz kulisy, które mogły być ozdobą największego teatru. Z miejscowych scen rosyjskich żadna nie była w stanie takimi się pochwalić.

Drugi teatrzyk polski, ale dość marny, istniał w sali klubu „Ogniwo“, inny „Figliki“ w sali klubu bankowego przy Kreszczatyku 7, a wreszcie przy Kragłej Uniwersyteckiej 7 teatr „Studja“, znakomicie kierowany przez Stanisławę Wysocką-Stanisławską. Publiczności wszędzie było dosyć, gdyż bez przesady Polaków w tym czasie żyło w Kijowie przynajmniej 150.000, jeżeli nie więcej, w tem zaś bardzo dużo ludzi zamożnych i inteligencji.

Prócz tego, co dawało środowisko polskie, było w Kijowie w bród i innych jeszcze rozgrywek. Nieprzerwanie działała opera rosyjska, operetka „Zon“ i dobry teatr dramatyczny „Sołowcewa“ przy placu Mikołajewskim. Poza tem dla amatorów istniał nadto cyrk, oraz cały szereg luksusowo nieraz urządzonych kinoteatrów. W porze ciepłej wielką frekwencją cieszyły się także wyścigi konne. Po ulicach wśród tramwajów, samochodów i zwykłych ciasnych a małych dorożek, powożonych przez osobiście wyglądających i na wysokich kozłach siedzących, „izwoszczyków“, uwijały się eleganckie, dwuosobowe, mknące jak strzała pojazdy z rysakami, które z rosyjska zwano lichaczami. Oświetlenie ulic było bez zarzutu, policja jak zwykle na posterunkach. Ale przeciągająca się wojna zaczęła już

powoli rozpręgać codzienny tryb życia, szczególnie w jego odcinkach zależnych od pracy żywiołu mało kulturalnego. Ulice źle sprzątane i nieskrapiane stały się brudne i niechlujne, zimową zaś porą z powodu zwałów śniegu i nieusuwanego lodu wręcz niebezpieczne do przebycia, zważywszy, że Kijów spiętrza się przeważnie na pagórkach, które nieraz są bardzo strome. Woda z miejskiego wodociągu na górnych piętrach domów pokazywała się często dopiero o godzinie 1 w nocy, nadewszystko zaczęła jednak dokuczać drożyzna środków spożywczych, mieszkań i ubrań. Z pożywienia podrożały zrazu nadzwyczajnie szczególnie tłuszcze, wędlina i owoce, fala drożyzny bardzo szybko jednak objęła wszystkie prawie artykuły, zwłaszcza gdy od połowy grudnia 1916 r., w związku z mrozami, stanął Dniepr i ustała aprowizacja drogą wodną. Dnia 4 stycznia 1917 r. funt masła (0,4 kg.) kosztował 3,30—3,60 rb., szynki 2,20, kiełbasy 1,80—2,00, pomarańcza 0,40, cytryna 0,60—0,80, jabłko 0,40, zwyczajna bułka 0,11, ciastko cukierniane 0,15, czyli inaczej masło w stosunku do zwykłych cen rosyjskich przedwojennych zdrożało dziesięciokrotnie, owoce trzydziesto- lub pięćdziesięciokrotnie, pieczywo pięciokrotnie, a choćby tylko wobec cen z przed kilku miesięcy dwukrotnie. Czysz miesięczny za prymitywnie urządzonego pokój wynosił 40—70 rubli. Zwykle ubranie męskie kosztowało 180—200 rb., lepsze 260 i więcej, kostjum damski około 250, trzewiki męskie 50—60, damskie 65—90. Także i stare, nawet silnie przenoszone rzeczy posiadały dużą wartość. Dodać przytem należy, że ceny za różne towary nie miały wcale tendencji do ustalania się, lecz szybko rosły, co przyuczać zaczęło ludzi do ukrywania zapasów i spekulacji. Rzecz prosta, że ten proceder sztucznego wycofywania potrzebnych zapasów z obrotu towarowego ukryć się nie dawał i dochodził do wiadomości jak najszerzych sfer ludności, wzniecając wszędzie gniew i zawiść. Niemal do zaostrenia się tych

nastrojów przyczyniła się i surowa, śnieżna, aczkolwiek nieco spóźniona, zima z 1916/17 r. Mrozy nawet przy końcu lutego dochodziły w ciągu całych tygodni do 20 stopni, a zwały śniegu po ulicach jeszcze w połowie marca piętrzyły się gdzie niegdzie na wysokość 3 m. Ziemia zamarzała miejscami głęboko na 1,50 m., a także i Dniepr wykazywał wyjątkowo silne zlodzenie, co odbiło się znowu szkodliwie na rybostanie. Na wiosnę zapowiadała się powódź a w lecie nieurodzaj, jako skutki szybkiego spływania wód wiosennych po głęboko zamrożniętej ziemi.

Choć składy były jeszcze pełne towaru od najwytworniejszego, sprzedawanego po wygórowanych cenach na Kreszcziatyku, do jarmarcznego i ordynarnego, którym handlowano na Padole, zwłaszcza w Domu Kontraktowym, przecież jednak w zimie 1916/17 pokazały się po raz pierwszy tłumne ogonki przed sklepami, szczególnie z artykułami spożywczymi, a najliczniej przed piekarniami, gdzie już od godz. 3 z rana dobijano się o bułki i chleb. Podobnie było też i z tytoniem. Sprzedaży jego w paczkach wogóle zaniechano, a ofiarowywano już tylko papierosy i to po znacznie podwyższonych cenach. Ludzie na to wszystko sarkali, pocieszali się jednak wiadomościami o tem, że w Piotrogradzie jest podobno jeszcze gorzej, gdyż tam już od 2 miesięcy sprzedawano tylko czarny chleb, czego o Kijowie absolutnie powiedzieć nie było można. Zresztą uciążliwy proceder wystawiania godzinami w ogonkach ludzie uprawiali aż nadto często i bez wszelkiej konieczności, jak na to wskazywał fakt, że również i przed kasą opery stawały szeregi niekiedy już od godz. 3 rano, aby dopchać się jak najwcześniej do kupna biletu wstępu, który, rzecz prosta, bywał przedmiotem zyskowej spekulacji. Słowem szybko przyuczono się dobić o wszystko, a zawsze tłumnie i niesfornie, wśród kłótni i wyzwisk.

Zanikała uprzejmość w stosunkach między ludźmi

a równocześnie zapadał się w przepaść także wszelki autorytet, którym Rosja dotąd stała. Zanikał on całkowicie w czterech ścianach rodziny rosyjskiej, zostawiając tam przeważnie prymat rozwydrzonej kobiecie, kurczył się do minimalnych wymiarów w urzędzie, w szkole i w kościele, wreszcie bladł ogromnie w armji, i to w chwili, kiedy był on tam może najkonieczniejszy. Wszak przy końcu roku 1916 i na początku 1917 Rosja powołała pod broń siły zbrojne, jakich, gdy idzie o liczebność, nie miała ani przedtem ani potem. Dochodziły one podobno do 8 milionów ludzi i dzięki sojusznikom zaopatrzone zostały we wszystko, co potrzebne było do skutecznego działania na froncie. Oficerowie, podoficerowie i żołnierze francuscy, japońscy i belgijscy, spotykani nierzadko także i w Kijowie, krzżeli się nad wyszkoleniem Rosjan w tych rodzajach broni, w których oni mniej celowali, fabryki pracowały bez wytchnienia nad przygotowywaniem amunicji i oręża, a na front odchodziły coraz to nowe masy ludzi i wszelkiego materiału wojennego¹⁾. Przecież jednak różne ośrodki pracy, przedsiębranej dla potrzeb armji, nie ząębiały się o siebie poprawnie i skutecznie, a nawet niekiedy wzajemnie sobie przeszkadzały. Dość powiedzieć, że bywało, iż koleje rekwirowały węgiel fabryk wyrabiających pociski. Coraz widoczniejszy przeto był brak celowego i autorytatywnego kierownictwa ogromną machiną zbrojnego państwa, a ludność jego ogarnęło jakieś ogólne znużenie psychiczne. Może stało się to i dlatego, że już wierzyc przestano w skuteczność i szczęście oręża rosyjskiego, szczególnie zaś od chwili, gdy i sojusznicza Rumunja tak błyskawicznie prędko została przez Niemców pokonana.

Że postępujący zanik autorytetu nie oszczędzał nawet

¹⁾ Na froncie zaczęto ustawiać działa o niewidzianych dotąd u Rosjan rozmiarach. Według relacyj, otrzymanych od Dr. Celestyna Podleskiego, dnia 15 października 1916 r. przewożono przez Tarnopol 4 działa, z których każde ciągnęło 10 par koni.

wyżyn tronu, przekonałem się jesienią 1916 r. podczas bytności w Kijowie cesarza Mikołaja II. Ludność wobec swojego władcy zachowywała się obojętnie, a w każdym razie witała go bez wszelkiego zapału. Stojąc z młodzieżą polską na placu Cesarskim u stóp pomnika Aleksandra II, widziałem jak obie długie, schodzące się tam ulice, Kreszczatyk i Aleksandrowska, któremi przejeżdżał car z rodziną i świtą, były niemal puste. Gdyby nie młodzież szkolna, ustawiona w szpalerach, policja i wojsko, to nie byłoby wręcz komu wznieść nawet zwykłych okrzyków powitalnych. Dekoracja miasta chorągwiami wypadła również słabo, toż samo urządzona wieczorem iluminacja, ograniczająca się przeważnie do zwykłych kaganków z łożem, ustawianych w rzędzie przez stróżów na chodnikach wzdłuż rynsztoków ulicznych, co czyniono zresztą mechanicznie „po prikazu“ na wszystkie galówki.

Znowu w stosunkach polsko-rosyjskich, jeżeli nie znikanie autorytetu władzy, to w każdym razie lęku przed władzą, oglądać można było dowoli w związku z wizytacją szkół i instytucyj polskich przez senatora Neudhardta. Jako reprezentanta rządu, od którego funduszów w nie-małej mierze zależały placówki polskie, przyjęto go wprawdzie uprzejmie, ale też i zupełnie bez oglądania się na to, czy to, co widzi, dogadza rosyjskiej racji stanu lub nie. Senator, rozmawiając np. z chłopcami w zakładach przy ulicy Bogoutowskiej, przekonał się, że młodzież wychowuje się tam w duchu i języku polskim, bez śladu wszelkich koncesyj na rzecz rosyjskości. Poczciwi chłopcy na wszelkie stawiane im pytania nie umieli Neudhardtowi odpowiedzieć ani jednym nawet słowem rosyjskiem. Nie inne też spostrzeżenia mógł on wynieść również z wizytacji polskich szkół średnich. A przecież wizytujący dostojnik rosyjski tym razem był nad wyraz ustępliwy i wyrozumiały. Widział, że stwarzamy fakta dokonane, i w ich obliczu wołał w warunkach chwili milczeć, niż rozpo-

czynać wyraźną i trudną walkę z organizującą się polskością.

Że jednak tej walki w Rosji jeszcze nie poniechano, lecz nadano jej tylko inne formy, świadczyła choćby tylko zaszła w tym samym mniej więcej czasie nominacja na biskupa łucko-żytomierskiego ks. Ignacego Dubowskiego, której sobie po stronie polskiej nikt nie życzył, bo innych odpowiedniejszych kandydatów na to stanowisko było dosyć. Natomiast rząd protegował usilnie Dubowskiego, gdyż uważał go za najmniej dla siebie niebezpiecznego i za najbardziej uległego. Chodziły nawet głuche wieści, że Dubowski cieszył się szczególniejszemi względami głóśnego biskupa prawosławnego Eulogjusza. Na ucho w kołach polskiej inteligencji kresowej opowiadano sobie również, że Dubowski swojego czasu popełnił ten nietakt, iż niejakiemu Sadowskiemu, prystawowi kowelskiemu lub koreckiemu, zdać miał sprawę z istnienia i działania pewnej czytelnicy, która mu się nie podobała. Sadowski, człowiek porządny, przestrzegł podobno pocichu ową czytelnicę, aby usunęła książki niecenzuralne i rzecz skończyła się bez zwyczajnych w Rosji następstw. Chcę wierzyć, że to były tylko pospolite plotki bez cienia istotnej prawdy, gdyż plotkowano w tych stronach zawsze bardzo wiele, notuję je jednak, aby raz jeszcze podkreślić fakt, że Dubowski nie miał oparcia w społeczeństwie polkiem. O swoich ulubieńcach tak ono nigdy nie mówi. Ponieważ władza rosyjska też zdawała sobie z tego dobrze sprawę, przeto tem usilniej popierała Dubowskiego, licząc, że z biegiem czasu owe rozdzwięki między diecezjanami a nielubianym biskupem tylko wzrosną i że prędzej lub później będzie on musiał oprzeć się na czynnikach państwowych.

Spółczeństwo polskie fakt nominacji Dubowskiego, po zatwierdzeniu jej przez papieża, przyjęło jednak ze spokojem i, gdy dnia 19 lutego (4 marca) 1917 r. przybył on do Kijowa dla zapoznania się z tą częścią swej die-

cezji, stanęło przed swoim pasterzem z uległością i oddaniem się. Na probostwie św. Aleksandra przedstawili się biskupowi kierownicy instytucyj polskich i delegaci szlachty w osobach Franciszka hr. Potockiego, Romana hr. Bnińskiego, hr. Tyszkiewicza, hr. Dzieduszyckiego i inni. Dubowski zrobił wrażenie człowieka jak na biskupa jeszcze za młodego, a także mało wyrobionego. Zwrócił też wszystkich uwagę swoją słabą obrotnością w ujmowaniu myśli i rzadkim jak na duchownego brakiem wymowy.

Ale były inne dowody jeszcze, więcej bezpośrednio, że z głów rosyjskich a szczególnie z różnych kancelaryj nie ulotniły się dotąd dawne nałogi rusyfikacyjne oraz nadzieje na szczęśliwy powrót całej tej maszyny administracyjnej do „Kraju Priwiślańskiego“. Społeczeństwo polskie przyjmowało to często z serdecznym humorem. Sprawą taką, która mocno rozradowała wszystkich, a która chyba tylko przez przypadek dostała się do prasy, było np. zapytanie ministerstwa kolei pod datą 18 lutego 1917 r., wystosowane do ewakuowanej dyrekcji dróg żelaznych Nadwiślańskich, czy nie byłoby wskazaniem, aby nazwę stacji Opoczno, leżącej na linii Skarżysko — Tomaszów Mazowiecki, zamienić na Opoczna. Również powód do wielu kpin dały nowe nominacje rosyjskie w zajętem przez Niemców Królestwie Polskiem, jak policmajstra warszawskiego, wicegubernatora suwalskiego i t. p. Z repertuaru dowcipów, robionych z powodu niedorzecznych zarządzeń rosyjskich, znikła ostatecznie tylko sprawa hymnów polskich, która aż do końca roku 1915 ciągle niepokoiła różnych gubernatorów. Załatwienie tej kwestji nastąpiło przez ogłoszenie w pierwszych dniach stycznia 1916 r. we wszystkich gazetach rosyjskich komunikatu ministerstwa spraw wewnętrznych, który w całości zacytujemy z powodu jego bardzo charakterystycznej treści. Oto brzmiał on następująco: „Ołoniecki gubernator zwrócił się do ministerstwa spraw wewnętrznych z zapytaniem, czy może pozwo-

lić na wokalne wykonanie polskich narodowych hymnów. Pytanie to ze względu na jego wielką wagę, wywołało w ministerstwie spraw wewnętrznych ożywioną wymianę opinii (peregipsku). Ministerstwo spraw wewnętrznych wskazuje, że pod polskimi hymnami narodowymi rozumie się zwykle następujące trzy utwory: „Jeszcze Polska nie zginęła“, „Z dymem pożarów“ i „Boże coś Polskę“. Te hymny w przeciągu dziesiątek lat, złączone z polską duszą i jej nastrojami, które w miarę rozwoju historycznych stosunków rosyjsko-polskich były wogóle wrogie Rosji, wyrażały w rezultacie dziedziczne dążenie Polaków, skierowane w kierunku odzyskania niepodległości. Wskutek tego hymny te zostały zabronione. Nieprzestrzeganie owego zakazu było ścigane administracyjnie i sądownie. W listopadzie zeszłego roku (1914) z rozporządzenia byłego ministra spraw wewnętrznych N. A. Makłakowa nie pozwolono na rozpowszechnianie drukiem tych trzech hymnów, a to dlatego, że przyzwolenie na hymny, będące tak długo pod zakazem, potwierdziłoby wyraźnie prawdziwość podawanych w tym czasie w periodycznej prasie wyjaśnień odezwy Zwierzchniego Wodza Naczelnego, jako obietnicy obdzielenia Polski autonomją. Takie rozumowanie uznawał wówczas rząd za szkodliwe, w związku z czem przewodniczący rady ministrów w sierpniu 1914 r. wydał naczelnemu zarządowi dla spraw prasowych polecenie wyjaśnić redaktorom pism codziennych, że w prasie niewłaściwie tłumaczą myśl przewodnią odezwy Zwierzchniego Wodza Naczelnego. To zostało spełnione“.

„Ministerstwo spraw wewnętrznych wskazuje, że w obecnej chwili nie można nie brać pod uwagę zmian pierwszorzędного znaczenia, zaszłych w losach Polski i w stosunkach polsko-rosyjskich. Prezes rady ministrów na posiedzeniu ogólnem Rady Państwa dnia 19 lipca 1915 roku obwieścił Najwyższe postanowienie Jego Cesarskiej Mości o nadaniu Królestwu Polskiemu autonomji. Przytem w da-

nym momencie Priwislinskij Kraj znajduje się pod władzą wojujących z nami Niemiec. A zatem z jednej strony odpada przyczyna, która wywołała zakaz ogłaszania drukiem wszystkich wymienionych hymnów, a z drugiej publiczne wykonywanie ich nie może mieć obecnie tego podniecającego charakteru, przed którym obawa w listopadzie przeszłego roku (1914) zaleciła wydać zakaz wykonania ich na koncercie w Kiszniewie. Po powyższych wyjaśnieniach ministerstwo spraw wewnętrznych nie widzi przeto przeszkód do publicznego wykonywania wspomnianych wyżej polskich hymnów“.

Z indeksu rzeczy zakazanych skreślono polskie hymny narodowe stanowczo za późno, bo w momencie, kiedy najważniejsza część ziem polskich nie znajdowała się już w rękę rosyjskiem i kiedy nikt policjanta rosyjskiego tam nie pytał, czy mu wolno śpiewać o Polsce, czy nie. Niemniej jednak rozstrzygnięcie władz rosyjskich odnośnie do polskich hymnów miało pewne znaczenie dla wszelkich naszych występów publicznych w Rosji. Z pieśnią legionów na ustach weszły np. do Kijowa w pierwszych dniach lutego 1917 r. polskie oddziały, walczące po stronie rosyjskiej. Przypatrywano się im z niemałym zajęciem i wzruszeniem. Zewnętrznie nie różniły się wybitnie od wojsk rosyjskich. Ten sam krój odzienia, te same guziki z dwugłowym orłem rosyjskim, tylko naramienniki amarantowe. Korespondencja z władzami rosyjskimi rosyjska, komenda polska. Sztab dywizji przedstawił się dnia 7 lutego 1917 prezesowi Rady Okręgowej Kijowskiej Joachimowi Bartoszewiczowi.

Dnia tego społeczeństwo polskie w Kijowie przyjmowało także uroczyste publicznem zebraniem dyskusyjnem i bankietem w „Ogniwie“ handlową delegację włoską z markizem de Torreto na czele. Od wielu lat na tutejszym gruncie był to pierwszy wypadek bezpośredniej styczności obcych czynników oficjalnych z polską częścią lud-

ności. Markiz de Torreto podnosił to z naciskiem, wyróżniając z całego kompleksu europejskich spraw politycznych wyraźnie, choć oględnie, specjalne interesy polskie. Rzecz prosta, że całe audytorjum chłonoło w siebie każde słowo znakomitego Włocha. Wygląd zewnętrzny markiza był atoli fatalny. Człeczyna niedużego wzrostu z odstającymi uszama robił wrażenie jakiegoś zabiedzonego szewca z prowincji i tylko wyzierająca z pod fraka wstęga orderu z gwiazdą u boku wskazywały, że się ma przed sobą wysokiego dygnitarza. Lepiej już przedstawiało się jego włoskie otoczenie, dziwnie jednak ciemno-skóre i czarnowłose.

Kijów w miarę przeciągającej się wojny i dzięki ciągle nowym falom ludności polskiej, ściągającej do stolicy Ukrainy, zapełniał się szybko licznymi zastępami dorastającej młodzieży. Część jej szła na uniwersytet św. Włodzimierza w Kijowie, część do miejscowych szkół fachowych, część wreszcie wchodziła w szeregi wojsk polskich lub rosyjskich. Jednak poza wymienionymi grupami została jeszcze spora liczba takich, którzy z tych lub innych powodów nie mogli się znaleźć w żadnym zespole. Widząc to, podsunąłem Wacławie Peretjatkowiczowej, znakomitej organizatorce szkolnictwa polskiego w Kijowie, myśl, aby zakrzętnęła się około powołania do życia Wyższych Kursów Naukowych, choćby narazie bardzo jeszcze niezupełnych. Pomysł mój z miejsca został przyjęty i już we wrześniu 1916 r. odbyła się pierwsza w tym kierunku narada pod przewodnictwem Peretjatkowiczowej i innej miejscowej działaczki Grudzińskiej. Kursy zyskały bez trudu aprobatę władz. Przez zjednanie dla tej pracy niektórych bawiących w Kijowie profesorów uniwersyteckich szkół polskich oraz kilku osób, pracujących na polu nauki, Wyższe Kursy Naukowe kijowskie zorganizowały się szybko i już w marcu 1917 r. rozpoczęły swoją działalność. Wykładającymi zrazu byli Joachim Bartoszewicz, Aureli Dro-

goszewski, Emil Dunikowski, Stanisław Grabski, Wawrzyniec Kubala, Witold Nowodworski, Eugenjusz Piasecki, Władysław Szumowski, Bohdan Szyszkowski i Henryk Ułaszyn. Kursy mieściły się w lokalu szkoły Peretjatkowiczowej, a pierwszym ich dyrektorem został prof. Bohdan Szyszkowski. Przewodnictwo Rady Opiekuńczej Kursów objął Franciszek hr. Potocki.

Kursy przyjęły formę nie tę, o jaką zrazu chodziło ich inicjatorom, stawszy się uczelnią o nawskroś teoretycznym pokroju, do czego znowu podówczas znikome tylko istniały na miejscu warunki, niemniej jednak zaczęły wypełniać dużą lukę w życiu polskim Kijowa, zwłaszcza od chwili, kiedy w lecie 1917 r. zjawił się nad Dnieprem młody uczony polski Ludwik Janowski. Na skutek jego inicjatywy Kursy przekształciły się na „Polskie Kolegium Uniwersyteckie“, przeniósłszy swą siedzibę do „Domu Szkoły Polskiej“ przy Ryłskim zaułku 10, i, co najważniejsze, zgromadziły liczniejsze grono profesorów oraz 718 studujących, w tem 191 mężczyzn i aż 527 kobiet. Wykłady humanistyczne odbywały się w „Domu Szkoły Polskiej“, przyrodnicze zaś przeważnie w uniwersytecie św. Włodzimierza i na „Wyższych Kursach Żeńskich“. Rektorem Kolegium wybrany został Janowski. Rok akademicki 1917/18 zaczął się uroczystem inauguracyjnym zebraniem w „Domu Szkoły Polskiej“ w dniu 29 września¹⁾.

¹⁾ Miało to miejsce już w zupełnie zmienionych warunkach politycznych. Prócz Polaków przemawiał podówczas także delegat ukraińskiego ministerstwa oświaty Zajcew. Dodam z miejsca, aby do sprawy Kolegium więcej nie powracać, że instytucja przetrwała dwa lata, zamykając ostatecznie swą działalność po wyczerpującej walce o byt z końcem maja 1919 roku. Rektor Janowski dostał się do więzienia bolszewickiego.

ROZDZIAŁ XIII.

Wybuch rosyjskiej rewolucji. Manifestacje uliczne w Kijowie. Polityka Ukraińców. Centralna Rada. Niechęć Ukraińców do polskości. Żydzi jako rewolucjoniści. Pertraktacje Ukraińców z Tymczasowym Rządem rewolucyjnym w Piotrogradzie. Polacy ukraińscy i ich stosunek do ukraińskiej państwowości. Młodzież polska i rewolucja. Narady wiecowe nad problemami wychowawczymi. Powołanie do życia Macierzy Polskiej. Zakończenie roku szkolnego 1916/17.

Gdy w ten sposób krok po kroku, choć w ogromnie szybkim tempie, organizowało się polskie życie na Rusi, nagle pewnego dnia marcowego przedzierać się zaczęły, zrazu głucho i tylko szeptem powtarzane, po kilkudziesięciu godzinach jednak już i w prasie publikowane, wieści o niebywałej wagi wypadkach politycznych w Piotrogradzie¹⁾. Pamiętam te dni mroźne, śnieżne i wietrzne, świt rewolucji rosyjskiej. W pierwszym momencie wierzyć się nie chciało w prawdziwość różnych komunikatów, gdy atoli sypać się poczęły jedne po drugich i coraz to dokładniejsze, przysła wreszcie wątpliwość i człowiek stanął wobec faktów, których możliwość do wczoraj jeszcze nie przypuszczał. I jeżeli tak znowu ustosunkowywał się do zachodzących zdarzeń osobnik nie mający szczególniejszych powodów do wierzenia w niezniszczalność porządków rosyjskich, to cóż dopiero za myśli snuł przeciętny poddany cara, nierewolucjonista, w Rosji urodzony, tu wychowany i nie rozumiejący, że można żyć innem życiem i w innych warunkach ustrojowych niż dotychczasowe. Dla niego rewolucja rosyjska równała się jakiemuś kataklizmowi ogólnoludzkiemu, przewracającemu wszystkie walory świata.

¹⁾ Wypadki marcowe, zaszły w Piotrogradzie, były znane w Kijowie już 3 dni przed ogłoszeniem ich w gazetach. Wieści te rozchodziły się z biur kolejowych.

I rzeczywiście chciano ją widzieć odrazu już i w Anglii i we Francji i w Austrii, a nadewszystko w Niemczech. Cały dzień 4 (17) marca kursowały po Kijowie uparte wieści, że w najgwałtowniejszej formie przewrót zjawiał się właśnie w Berlinie, że cesarz Wilhelm zabity i t. p. Ostatecznie jednak wyjaśniło się wszystko. Przekonano się, że ruch rewolucyjny narazie objął tylko Rosję. A wtedy, gdy jedni widzieli w nim początek wielkiego odrodzenia państwa, to drudzy jego zgubę, rozsypkę i upokorzenie. Patryjotów rosyjskich niepokoił przedewszystkiem problem narodowościowy. I słusznie może, bo głęboko zgięte karki niewolnych ludów błyskawicznie wprost jęły się prostować. Niebawem po przewrocie w Piotrogradzie, w połowie marca, w prześliczny, słoneczny dzień przedwiośnia 1917 r. odbyła się w Kijowie na historycznym placu przed starożytną cerkwią św. Zofji pierwsza manifestacja ukraińska. Wśród powodzi czerwonych flag, najwyżej przed pomnikiem Bohdana Chmielnickiego wzniosła się ukraińska chorągiew niebiesko-żółta, a tłumy ludu, klęcząc wśród błota i wiosennych roztopów, przy potężnym akordzie cerkiewnych dzwonów śpiewały: „Szczę ne wmerła Ukraina“.

Zresztą wypadki i nastroje rozwijały się z nieprawdopodobną wręcz szybkością. Kto nie przeżył tych chwil na miejscu, ten nie może mieć nawet wyobrażenia co za kolosalne zmiany w poglądach najszerzych warstw ludności zachodziły w niebywale krótkich odstępach czasu. Ogólnie tylko powiedzieć można, że zrazu nastroje rewolucyjne ujawniały się jedynie w manifestacjach i że zdawało się, iż rosyjski przewrót będzie chyba najmniej krwawy ze wszystkich, jakie ludzkość kiedykolwiek już przeżywała. W pierwszych chwilach, choć uniesienie było wielkie, nie zamaćono również nigdzie ładu i porządku. Nawet kupujący na ulicach gazety cierpliwie czekali w ogonkach na swoją kolej. Ale to był zaledwie wstęp do wypadków, jakby namyślanie się tłumów i ich przewódców nad tem,

co począć i jaką pójść drogą. To pewna także, że niedo-
łężna postać centralna państwa, choć trwożliwie abdyku-
jąca, nie była jeszcze ogołocona z wszelkiego nimbu. Lud,
ten zwłaszcza, który nie brał do rąk gazet, uparcie po-
wtarzał po kątach, że „car chciał dać ziemię, a panowie
go za to usunęli“. I ktoby jeszcze w tym ostatnim mo-
mencie umiał wziąć w karby nastroje mas, pchnąłby był
z pewnością rewolucję na inne tory. Możeby się stała
szybkim odrodzeniem olbrzymiego państwa! Takiego czło-
wieka w upadającej Rosji carskiej jednak brakło. Byli
ludzie uczeni, byli dzielni oficerowie, dyplomaci i politycy,
ale wszyscy stworzeni tylko dla właśnie rozsypującej się
machiny państwowej. Gdy ona wypowiedziała posłuszeń-
stwo, i ich talenty niedopisały.

Dnia 6 (19) marca ogromne tłumy zgromadziły się
na Kreszczatyku przed ratuszem kijowskim, t. z. dumą,
która odtąd stała się centralnym punktem dla wszelkich
manifestacyj, wznoszący się zaś tam okazały i piękny pom-
nik Stołypina nabrał niejako charakteru miernika nastro-
jów, tkwiących w masach. Szóstego marca Stołypinowi
z pomnika owinięto tylko głowę czerwonym sztandarem,
aby ten bądź co bądź wielki mąż stanu carskiej Rosji nie
patrzył śnać na to, co się naokół niego dzieje. Było bo-
wiem czemu się dziwić! Godzinami całemi defilowały tędy
przy dźwiękach muzyki, grającej marsyljanke, pod prze-
wodem pułkowników wojska załogi kijowskiej z czerw-
nemi sztandarami, żołnierze i oficerzy przystrojeni w czer-
wone kokardy. Na sztandarach różne inwokacje wolno-
ściowe. W pochodzie wzięły udział także szkoły junkierskie.

Jeszcze większą manifestację urządzono nazajutrz
7 (20) marca. Wśród blasków ślicznego i ciepłego dnia,
jednak przy obfitem błocie na ulicy, jakby symbolizują-
cem spadek Rosji po starych rządach, odbyła się ponowna
defilada załogi kijowskiej, na której czele na żołnierskich
bagnetach niesiono czerwoną, olbrzymich rozmiarów płachtę

z napisem: „da zdrastwujet demokraticzeskaja respublika“. I znowu marsyljanka i znowu ci sami pułkownicy, kroczący już jednak piechotą a za nimi prowadzone konie. Tym razem w pochodzie znalazły się i oddziały polskie, których muzyka wygrywała „Jeszcze Polska nie zginęła“, „Boże coś Polskę“ i marsza sokolego. Pochód trwał 5 godzin. A lud przez cały ten czas aż do ochrypnięcia krzyczał „hurra“, zaś wysoko na niebie krążyły długo aeroplany. Pomnik Stołypina odsłonięty, jednak ludzie wyszli na jego załomy i, depcąc wspaniałe brzozy i granity, traktowali go jako przygodną estradę. Przy ogromnych rozmiarach głównej postaci pomnika wyglądali jak karły. I była już głęboka noc a jeszcze liczne grupy nie zeszyły z placu, wpatrzone w gmach dumy, z której balkonu rozlegały się coraz to nowe przemówienia.

Lud zaczął rozkoszować się powoli tem upajaniem się słowami. Na 10 (23) marca zapowiedziana była nowa manifestacja, została jednak odwołana może i dlatego, że tymczasem pogoda zepsuła się zupełnie. W nocy z 9 na 10 marca spadł obfity śnieg i na niesprzątanym od wybuchu rewolucji ulicach, bo stróże kamieniczni tak przedewszystkiem zareagowali na wypadki, zjawiała się gołoleź, która przy pagórkowatym terenie Kijowa równała się poważnym trudnościom komunikacyjnym.

Dzień 16 (29) marca poświęcono pamięci poległych w Piotrogradzie. Figura Stołypina, zdjęta z piedestału pomnika, zawisła na ogromnych łańcuchach na rusztowaniu. Miało się wrażenie, że wisi na wielkiej szubienicy¹⁾. Kadeci tworzyli szpaler w pobliżu dumy a Kreszczatyk zalało istne morze czerwonych chorągwi, niesionych przez

¹⁾ Pomnik Stołypina chciano ostatecznie postawić na jego grobie, ale sprzeciwili się temu deputaci robotników, tak, że to dzieło sztuki zniszczało, zdaje się przetopione w którejś z fabryk. Ocalał natomiast pomnik „cara oswobodziciela“, Aleksandra II, u wejścia do Kupieckiego ogrodu przy ulicy Aleksandrowskiej.

tlumy, które szły bez przerwy od 8 rano do 7 wieczorem przy dźwiękach muzyki i śpiewały pieśni rewolucyjne. Mało ogółowi ludności znane ich teksty, wydrukowane na kartkach, sprzedawano masami po wszystkich ulicach. Na przeszło tysiąc napisów, rozciągniętych nad głowami pochodu, bodaj ośmset żądało dla Rosji demokratycznej formy rządów. Inne domagały się dalszego prowadzenia wojny aż do zwycięstwa a jeszcze inne głosiły powszechną równość, braterstwo ludów i t. p. W pochodzie szli i żydzi z wielu sztandarami, zdobnemi w gwiazdę Dawida lub zwykłemi czerwonymi, Tatarzy z chorągwią zieloną, wreszcie Polacy ze swemi barwami narodowemi. Wszystko wśród śpiewów i okrzyków. Naczelny niejako sztandar polski miał napis: „Niech żyje wolna Ukraina“, jakby dla zaznaczenia, że rewolucja rosyjska tu nad Dnieprem powinna przedewszystkiem prowadzić do wyzwolenia narodu ukraińskiego. Tylko wtedy stanowiąc ona będzie dla tych stron zbawienny przełom. Ukraińcy atoli w tem wszystkiem, co się działo na ulicy kijowskiej, wyraźnego udziału nie brali, a pochodziło to z wielu i ważnych przyczyn. Natomiast wysoko, i to zaraz od pierwszej chwili przewrotu, na szczycie gmachu miejskiej dumy, powyżej czerwonej chorągwi, powiesili swój sztandar narodowy. Także coraz więcej żołnierzy, zamiast z czerwonymi kokardami na mundurach, chodziło z niebiesko-żółtami.

Od wszelkiego udziału w manifestacjach uchylili się również zwolennicy dawnego porządku w Rosji, którzy istnieli w poważnej liczbie, jednak w momencie, gdy sfanatyzowane tłumy demonstrowały swą liczbę i siłę, wychodzić na ulicę nie chcieli, bo wiedzieli, że skończyłoby się to niewątpliwie krwawą masakrą. Publicznie pokazali się oni bardzo późno, bo dopiero dnia 30. IV. (13. V.), gdy stosunki w Kijowie uległy zupełnej zmianie. Ale i wtedy, przy już względnem bezpieczeństwie, manifestacja rosyjsko-narodowa przedstawiała widok więcej niż marny.

Nieco dzieci, nauczycieli, gromadka sióstr miłosierdzia, garstka żołnierzy, junkrów i oficerów, nadto kilka sztandarów rosyjskich i nieliczne napisy w rodzaju: „Niech żyje konstytucyjna monarchja“, „Niech żyją sprzymierzeńcy“ i t. p. To wszystko! Nieduży pochodzik dotarł tylko do placu dumy, gdzie został rozbity a manifestanci poturbowani.

Powściągliwie w pierwszej chwili, gdy idzie o manifestacje zewnętrzne, zachowujący się Ukraińcy, tem skrupulatniej przygotowywali się do wydobycia z rewolucji maksimum korzyści. Wręcz z podziwienia godną szybkością i energią wypłynęli oni na powierzchnię życia i wykorzystali znakomicie położenie, jakie stworzyły w Rosji wypadki piotrogrodzkie. Niemal natychmiast po przewrocie znaleźli się w Kijowie przedewszystkiem zesłany przez rząd carski w głąb Rosji profesor Hruszewskij oraz bawiący w Moskwie literat i dramatopisarz Winniczenko. Prócz nich zjawili się także i inni działacze, a jeszcze inni zaczęli przebiegać cały kraj w charakterze emisariuszów i agitatorów. Posługiwano się głównie hasłami rozdziału ziemi wielkiej własności między małorolnych i bezrolnych i pod tym względem zgodne ze sobą były wszystkie trzy główne partje ukraińskie: socjalni demokraci, socjalni rewolucjoniści i ukraińscy nacjonałiści. Błyskawicznie niemal, ale co prawda z ogromnem zachwianiem szacunku dla wszelkiej władzy, przeistoczono obsadzone dotąd przez Rosjan ziemstwa gubernjalne i powiatowe, które przez dokonanie nowych wyborów zupełnie się zukrainizowały; unarodowiono zarządy gminne (wołosti), wreszcie, co najważniejsze, nie zdobywając od nikogo na to sankcji, stworzono coś w rodzaju sejmu narodowego w postaci Centralnej Rady Ukraińskiej. Wyszła ona z łona wielkiego zgromadzenia narodowego, poprostu wiecu, obradującego w pierwszej połowie kwietnia 1917 r. pod przewodnictwem prof. Hruszewskiego, początkowo w ukraińskim teatrze

Ludowym przy ulicy Wielkiej Wasylkowskiej. Przewodniczącym wydziału czy zarządu Centralnej Rady Ukraińskiej wybrany został również prof. Mykoła Hruszewskij.

Rzecz znamienna, że ów wiec, poprzedzający ukraińską konstytuante, zajął odrazu stanowisko wobec polskości niedwuznacznie nieprzychylnie. Dość, że pierwsza o charakterze politycznym uchwała tego pierwszego zjazdu ukraińskiego w „wolnej“ Ukrainie nietylko zwrócona była przeciwko Polakom, ale powzięta została we formie tak nieuprzejmej, wręcz dzikiej, iż gdyby Polska i Ukraina były podówczas państwami samodzielnymi, to po takim wypowiedzeniu się, musiałyby przyjść niewątpliwie do zerwania stosunków dyplomatycznych. Uchwała ta zapadła jednogłośnie po oficjalnych wynurzeniach przyjaźni z naszej strony i po nocy warszawskiej Rady Stanu, która zgłosiła agresywnych zamiarów wobec Ukraińców nie okazała.

Ruch ukraiński miał dwa wyraźne oblicza, narodowe, które pchało społeczeństwo do jak najszybszego organizowania własnej państwowości, i socjalno-rewolucyjne, które zmierzało znowu do przebudowy życia mas ludności, przedewszystkiem zatem włościństwa. Tłumy, rzecz prosta, więcej interesowała ta druga strona ruchu. Już w marcu 1917, narazie skrycie, a potem coraz jawniej, zaczęto podpalać wiejskie dwory wielkiej własności a równocześnie także domagać się jak najszybszego podziału ziemi. Wiosenne roboty polne, przeprowadzane po majątkach przez dotychczasowych właścicieli, niemal dziwiły ludność, która uważała je za bezcelowe, tak silnie bowiem uwierzyła, że podział ziemi jest już sprawą załatwioną. Tymi jednak, którzy w pierwszej linji mieli płacić swem mieniem za hasła rewolucyjne i „samookreślanie się“ ukraińskie, byli Polacy.

I ten wzgląd przy liczebnej dysproporcji rozagitowanej ukraińskiej masy ludowej do garści bezbronnych pol-

skich posesjonatów sprawił, że polityka nasza wobec Ukraińców od pierwszej chwili stała się skrajnie ugodową. Nawet narodowi demokraci byli takimi ugodowcami a przewodca ich Joachim Bartoszewicz w tym sensie przemawiał w języku rusińskim na jednej z manifestacyj ukraińskich na Zofijskim placu u stóp pomnika Chmielnickiego. Profesor Hruszewskij podziękował mu wtenczas za to uprzejmie i przyjaźnie. Ale niestety to, co się działo niekiedy w Kijowie, nie obchodziło wies ukraińska. Tam raz zaostrzone stosunki w związku z upadkiem powagi władzy państwowej, nie chciały i nie mogły powrócić do stanu dawniejszego. Zresztą i w Kijowie dostrzegać się dawały stale przebłyски niechęci Ukraińców do polskości. Na wiecu, który jeszcze w marcu 1917 bezpośrednio po przewrocie pietrogradzkim zwołała młodzież ukraińska do gmachu uniwersytetu, słychać było wyraźne okrzyki: „Domagamy się uniwersytetu ukraińskiego, a nie chcemy rosyjskiego lub polskiego“, przyczem pod polskim rozumiano dopiero co organizujące się kursy uniwersyteckie, o których mowa była wyżej. Ta niechęć młodzieży ukraińskiej do polskości schodziła i do szkół średnich. Gdy we wszystkich rosyjskich szkołach pod wpływem przewrotu pietrogradzkiego zaczął się zamęt i potworzyły się grupy uczniowskie, Ukraińcy połączyli się tam z żydami i wybrali swoimi delegatami żydów lub Ukraińców. Wówczas uczniowie Rosjanie zaofiarowali wspólny front swym kolegom polskim. Rozumie się, że sprawa tego sojuszu była przedmiotem długich narad w polskiej szkole średniej, prowadzonych zresztą porządnie i oględnie.

Do pewnego zaostrenia się stosunków polsko-ukraińskich przyczynił się także fakt, iż Ukraińcy zaczęli się szybko wyodrębniać również i w armji z tłumu żołnierskiego i oficerskiego. Dotąd w oddziałach wojskowych, o ile sięgło tam już uświadomienie narodowe, panowało przeważnie porozumienie ukraińsko - polskie, które swoim

ostrzem zwracało się przeciwko Rosjanom jako tym, którzy posiadali władzę. Obecnie zmieniła się sytuacja. Obok potężnych zastępów ukraińskich polskie grupy żołnierskie niemal znikają przy swojej mniejszej liczebności, a traktowane niechętnie lub obojętnie, szukały często porozumienia z Rosjanami. Tych nastrojów nie zmieniły również takie fakty, jak zwołany do Kijowa zjazd wojskowych Ukraińców i sformowanie się w stolicy Rusi narodowego pułku ukraińskiego imienia Bohdana Chmielnickiego. Owa okoliczność miała natomiast ogromnie doniosły wpływ na dwie kwestje, a mianowicie na miejscowe stosunki ukraińsko-żydowskie i na tok pertraktacji z piotrogrodzkim Rządem Tymczasowym.

Co do pierwszej sprawy zauważyć należy, że żydzi kijowscy na wieść o przewrocie piotrogrodzkim, wobec podziwienia godnej bierności Rosjan i całkowitego jeszcze rozprószenia sił ukraińskich, tak szybko i tak zupełnie opanowali ster miejscowej władzy, iż w ciągu kilku pierwszych tygodni oni byli panami położenia w Kijowie. Ujawniło się to przedewszystkiem w ogromnej i nieznośnej bucie, z jaką zaczęli wszędzie występować. Z żydowskich akademików, ze studentów żydów najwyższych klas szkół średnich oraz z żydowskiej młodzieży rzemieślniczej błyskawicznie prędko potworzyły się oddziały, które przyjęły na siebie rolę milicji i w tym charakterze zawładnęły miastem, nie spotykając się z żadnym oporem lub bodaj protestem zarówno władz cywilnych jak i, co najdziwniejsze, czynników wojskowych. Policję rozbrojono bez wszelkiego z jej strony oporu a uzbrojono milicję. Ponieważ jednak milicja, nieświadoma zewnętrznych funkcji policyjnych, pełnić ich nie mogła, przeto posterunki uliczne z reguły składały się wówczas z dwóch osób: z rozbrojonego, choć umundurowanego policjanta i stojącego obok niego żyda w cywilnem ubraniu z przewieszonym przez ramię karabinem. Przed kijowskim ratuszem (dumą) stało przez czas

dłuższy w marcu 1917 r. dwóch takich żydów, trzymających w ręku karabiny i otoczonych prawie stale gromadą żydówek, przyglądających się ciekawie niezwykłym wartownikom. Nikły nad wyraz procent milicjantów chrześcijan zupełnie nie wchodził w rachubę. Najosobliwszy widok przedstawiali jednak żydowscy milicjanci na koniach, rekrutujący się przeważnie z akademików. Krótki studencki surdut podczas jazdy podciągał się w górę, spodnie zaś opadały w dół, tak, że w rezultacie jeździec świecił gaciami. Zwieszająca się przez ramię szabla dodawała jeszcze więcej komizmu całej postaci.

Szumowiny uliczne podpatrzywszy to wszystko, co się działo w resorcie bezpieczeństwa, przyszły bardzo szybko do wniosku, że jeżeli kiedy, to obecnie, mogą sobie pozwolić na niejedno. Zaczęły się zatem napady, rabunki i włamywania do sklepów, przyczem nielada osobliwością, stwierdzoną przez ówczesną prasę, był fakt, że rabowanymi i rabującymi byli przeważnie żydzi. Żydowskie też kupiectwo, niedowierzając sprawności i użyteczności żydowskiej milicji, choć coraz tłumniej występującej i snującej się po ulicach całemi oddziałami, zwróciło się do wojska o pomoc. I uzyskało ją, ale w formie zgoła niedostatecznej. Tylko po niektórych narożnikach ulic pełniły służbę bezpieczeństwa konne posterunki wojskowe, w dodatku przez okres bardzo krótki. W istocie zatem miasto i jego bezpieczeństwo, wobec całkowitej bierności innych czynników ładu publicznego, znajdowało się stale w ręku żydów. Łatwo też pojąć, że stan tego rodzaju kolidował z państwowotwórczymi poczynaniami Ukraińców. Zrazu jednak nic tu zmienić nie byli w stanie. Dopiero gdy w Kijowie zjawił się narodowy pułk ukraiński, Centralna Rada poczuła się więcej samodzielniejszą w swem głównem środowisku działania. Miała już jakiś organ egzekutywy.

Taką samą rolę poważnego argumentu odegrał za-

wiązek własnego wojska, gdy nad Nową późną wiosną 1917 r. wyjechała ukraińska delegacja dla pertraktowania z Tymczasowym Rządem rewolucyjnym. Żądała ona utworzenia przy tym rządzie ministerjum dla spraw ukraińskich, a także udzielenia Ukrainie natychmiastowej i bardzo obszernej autonomji z własnym gabinetem ukraińskich sekretarzy generalnych, którzyby tylko w sprawach ogólnopństwowych byli uzależnieni od władz piotrogrodzkich. Dodamy odrazu, iż pertraktacje te przeciągały się tygodniami, co atoli nie przeszkadzało, że Centralna Rada Ukraińska czuła się coraz to pewniejszą w Kijowie, przyjmowała tam hołdy obywateli Ukrainy, a także była odwiedzana przez oficjalnych przedstawicieli rządu piotrogrodzkiego. Dla rozmów z nią przyjeżdżali nad Dniepr ministrowie, jak Tereszczenko, Ceretelli, a nawet sam Kierskij. I Rząd Tymczasowy miękł powoli, zgadzając się ostatecznie na komisarza dla spraw Ukrainy w piotrogrodzkim gabinecie ministrów, na udzielenie autonomji Ukrainie na obszarze gubernij wołyńskiej, podolskiej, kijowskiej, połtawskiej i czernihowskiej, wreszcie na generalne sekretarjaty dla spraw wewnętrznych, handlu i przemysłu, pracy i aprowizacji, finansów lokalnych i rolnictwa. Nie chciano natomiast ze strony rosyjskiej ustąpić w przedmiocie autonomicznego zarządu na Ukrainie sprawami międzynarodowemi, wojskowością, skarbowością, kolejami, pocztą i telegrafem. Innym punktem sporu był także obszar, na jaki miała się rozciągać autonomja Ukrainy. Mianowicie Rząd Tymczasowy nie zgadzał się na objęcie nią gubernij: charkowskiej, ekaterynosławskiej i chersońskiej. Ostatecznie układy rozbiły się, a Centralna Rada Ukraińska na gremjalnem posiedzeniu w sali Muzeum Pedagogicznego przy ulicy Wielkiej Włodzimierskiej przeszła do porządku dziennego nad propozycjami Rządu Tymczasowego. Uchwalono, nie oglądając się na jakiegokolwiek konsekwencje, stworzyć Generalny Sekretarjat Ukrainy, na przewodniczącego tej

instytucji powołać Winniczenkę, rozciągnąć władzę sekretarjatu na 9 gubernij czarnomorskich i ująć w swe ręce organizację narodowego wojska ukraińskiego, bank państwa, pocztę i telegraf. Innem ważnem postanowieniem było również powołanie do życia Generalnego Sekretarjatu narodowościowego z trzema podsekreterzami: dla spraw polskich, dla spraw rosyjskich i dla spraw żydowskich. Zgodzono się także na nadanie Centralnej Radzie Ukraińskiej nowego oblicza o tyle, że uzupełniono ją (z pomocą delegowania z łona partyj politycznych) przedstawicielami, mieszkających na Ukrainie mniejszości narodowych, Polaków, Rosjan i żydów.

Wyraźny stempel specjalnie rosyjskiego typu rewolucji i oddziaływania jego na sprawy wewnętrznie ukraińskie wycisnęła wreszcie na wszystkim t. z. Mała Rada Ukraińska, stała reprezentacja ludowa, złożona z kilkudziesięciu delegatów. Działała ona obok gabinetu Generalnych Sekretarzy (ministrów) jako organ kontrolny i prawodawczy na wzór rosyjskiej Rady Delegatów Robotniczych i Żołnierskich.

Dodać należy, dla odtworzenia ówczesnych nastrojów, że Polakom, którzy w ten sposób zaczęli brać czynny udział w kształtowaniu się ukraińskiej rzeczypospolitej, wszystkie owe formy nowych autonomicznych porządków na ziemiach czarnomorskich nie przedstawiały się przecież zadowalniająco. Polacy w ogromnej swej większości, bo niemal wszyscy poza grupą narodowo-demokratyczną i to niecałą, w swych dążeniach odnośnie do przyszłości ukraińskiej szli znacznie dalej niż narazie Ukraińcy i niejednokrotnie tym swym poglądom dawali wyraz, przestrzegając przed traceniem czasu, przed niebezpiecznym kierowaniem swych aspiracyj terytorjalnych na zachód, aż prawie pod mury Lublina, szczególnie nie ubezpieczywszy się należycie nad Dnieprem i Donem, a w końcu przed bagatelizowaniem sprawy zajęcia silnej postawy nad brze-

gami morza Czarnego. Właśnie wiosną i latem 1917 r. był moment, kiedy cała, rzec można, inteligencja polska na Ukrainie byłaby się chętnie oddała sprawie ukraińskiej niezawisłości. Jednak Ukraińcy z tego nastroju nie skorzystali. Gdy się wreszcie ocknęli na chwilę, że źle robią i że Polacy są ostatecznie jedynymi ich naturalnymi nad Dnieprem sojusznikami, wtedy było już za późno. Rewolucyjna Rosja, organizująca się pod sztandarami bolszewizmu, przystąpiła do ponownego „zbierania ziem ruskich“.

To, co powiedziałem o stosunku Polaków do spraw ukraińskich, uzupełnić mogę jeszcze uwagą, że społeczeństwo polskie, traktowane jako całość, już od pierwszej chwili rewolucji zajęło wobec wypadków stanowisko inne niż grupy narodowościowe: rosyjska, żydowska i ukraińska. Mniej lub więcej gorąco interesowało się ono rewolucyjną rzeczywistością, bo interesować się nią musiało, ale czynny jego udział w żywszych odruchach rewolucji był minimalny. Nas nie obchodziły zbytnio hasła socjalne, śledzimy natomiast wszędzie bacznie za tem, co Polska jako całość może na rewolucji zyskać lub stracić.

Wyjątek pod tym względem stanowiła chwilowo poniekąd tylko młodzież szkolna, lecz i ona skłonność do rewolucyjnych demonstracji, w właściwym tego słowa znaczeniu, okazywała słabą i stosunkowo przez krótki okres czasu. Pochodziło to stąd, że rady pedagogiczne, a szczególnie kierownictwa szkół polskich, stanęły odrazu i bez wahania na wysokości zadania i nie wypuściły steru dusz młodzieży z swych rąk, uważając rewolucję nadewszystko za doskonały moment do oczyszczenia polskiego szkolnictwa z resztek wpływów rosyjskich. Poza tę sferę działania nauczycielstwo przeważnie nie wychodziło i młodzieży wykraczać nie pozwalało. Pierwszy czyn, który wykrystalizował się natychmiast po wybuchu rewolucji, bo już 4 (17) marca, na posiedzeniu rady pedagogicznej szkoły średniej, utrzymywanej przez Piotr. Tow. Pomocy Ofiarom Wojny,

była uchwała, aby egzaminy w szkole polskiej odbywały się bez delegata rosyjskiego. Automatycznie zaś niejako przypadły raz na zawsze wszystkie t. z. galówki, czyli dni uroczyste z racji imienin lub urodzin członków domu panującego.

W dniu 6 (19) marca odbył się następnie wiec polskiej młodzieży klas wyższych, a w tem także szkoły średniej Piotrogr. Tow. Pomocy Ofiarom Wojny, na którym uchwalono usunąć ze sal szkolnych portrety cesarza i wiel. ks. Tatiany. Inne uchwały wiecu domagały się utrzymania dobrych stosunków z młodzieżą ukraińską, inne jeszcze dotyczyły się tego, co się działo nad Wisłą. Usiłowania członka grona nauczycielskiego szkoły średniej Popowa, chcącego koniecznie prowadzić polską młodzież do rewolucyjnego „postępu“, wiele zdziałać nie potrafiły, tak samo jak i zabiegi dwóch innych nauczycieli, odurzonych rewolucją, Stanisława Kalinowskiego i Aurelego Drogozewskiego, którzy Popowa jak najusilniej popierali.

Najwięcej zamieszania ta trójka, pragnąca nieogłędnie fermenty rewolucji rosyjskiej przeszczepić na grunt polskiej szkoły, narobiła jeszcze w zakładzie Peretjatkowiczowej, zwłaszcza gdy uzyskała pomoc części tamtejszego, słabo orjentującego się w wypadkach, grona nauczycielskiego. Kalinowski, zresztą wcale nie po myśli życzeń Peretjatkowiczowej, zwołał na wiec dziewczęta 4 klas wyższych i wytworzył tam tego rodzaju nastroje, że następnie sam zażądał wydania odezwy uspakajającej przez wydział oświatowy Polskiego Komitetu Wykonawczego, który w tym czasie zawiązał się w Kijowie, jako narazie prowizoryczny naczelnny organ kierowniczy życia politycznego i społecznego ludności polskiej. Cała zaś sprawa wyglądała tem osobliwiej, że znowu nie kto inny, jak właśnie ów Kalinowski był chwilowo prezesem wspomnianego wydziału oświatowego. Aby położyć wreszcie koniec tym stosunkom, rozprzegającym zwykły ład szkolny, odbyła się na

życzenie Peretjatkowiczowej pod mojem przewodnictwem narada grona nauczycielskiego jej zakładu, która po burzliwej dyskusji pociągnęła za sobą secesję części nauczycieli, przedewszystkiem zaś Popowa i jego protektorów. Wówczas i tutaj nastąpiło uspokojenie.

Do nowego zdezorientowania młodzieży kijowskiej poza tem mogły dać powód zwoływane najzupełniej niepotrzebnie zebrania publiczne rodziców i nauczycieli, na których w sposób nie dość oględny dyskutowano nad różnemi wychowawczemi zasadami i problemami. Wprawdzie nikt młodzieży na te zebrania nie zapraszał, niemniej jednak wciskała się ona do sal i przysłuchiwała się teom rzekomo bardzo postępowym i na czasie, będącym atoli w istocie albo tylko refleksem wypadków i nastrojów rewolucyjnych albo tak jeszcze czemś niewypróbowanem, że mogły stanowić dopiero podstawę do rozstrząsań teoretycznych w najściślejszem gronie fachowców, nie zaś do działania praktycznego lub omawiania na wiecach. Zdarzyło się nawet, że w zapale dyskusyjnym jedna z osób (pani) doradzała szkole poświęcać uwagę uświadamianiu płciowemu młodzieży klas wyższych. I choć nad tym pomysłem zebrani przeszli szybko do porządku dziennego, niemniej jednak sam fakt poruszania podobnie drażliwych spraw na wiecach wskazuje, że sprawom szkolnym wiele pożytku przynieść one nie były w stanie. Pierwsze tego rodzaju zebranie, zresztą bezdyskusyjne, odbyło się dnia 26 marca (8 kwietnia) pod formą wiecu nauczycielskiego w sali „Ogniwa“ przy Kreszczatyku. Wygłaszano tam referat po referacie w nudnej i nużącej kolei, przyczem zebranie tem było jeszcze osobliwe, iż między referującymi o sprawach polskiej szkoły znaleźli się i Rosjanie. Przewodniczył wspomniany wyżej Kalinowski. Najwięcej szkody narobił przeciw wiec kobiet, zwołany dnia 2 (15) maja, również do sali „Ogniwa“. Wygłoszono tam wówczas aż 14 referatów, a wśród referentów znalazł się także profesor Stanisław

Grabski, który między innymi wywodził, że nie rozumie kultu dla nauczycieli, że nie uznaje wpływu wychowawczego szkoły a wreszcie zapewniał, że jest wrogi temu, aby dziewczęta uczone były przez mężczyzn, bo to ma wywierać zły wpływ na moralność kobiet. Gdy skończył, oklaskom zebranych pań nie było końca, właściwy jednak komentarz do tego wykładu oraz do innych podobnych dorobił dopiero krotocwilny „Zielony Balonik“, goszczący w tejże samej sali „Ogniwa“ i niemiłosiernie wysmiewający ówczesnych polityków i działaczy czynnych na gruncie kijowskim.

Tymczasem jednak zarówno szkołom jak i wszystkim polskim instytucjom na Rusi zaczęło zagrażać nowe a bardzo poważne niebezpieczeństwo, wywołane niedostatkiem funduszy na utrzymanie działalności. Subwencje rządowe przestały płynąć, innych zaś zasobów nie było, a nawet brakło organizacji, któraby się mogła o nie postarać, docierając do jak najszerzych warstw społecznych. Wówczas powstała myśl stworzenia Macierzy Polskiej i przekazania jej naszego dorobku w dziedzinie oświaty, szkolnictwa i opieki nad dzieckiem. Pomysł ten bardzo szybko został urzeczywistniony. Statut opracował adwokat Władysław Łukaszewicz, nadając w nim zupełną samodzielność zarówno lokalnym zespołom Macierzy, jak i związkom gubernjalnym, a pod formą Związku Macierzy Polskich na Rusi stwarzając samoistną organizację nadrzędną¹⁾.

Macierz Polska w Kijowie powstała w lipcu 1917 r. Prezesem swoim wybrała ona przybyłego w związku z wybuchem rewolucji z wygnania w Astrachaniu Józefata Andrzejewskiego, znakomitego działacza oświatowego na

¹⁾ Zaczęła ona działać znacznie później, bo dopiero po zjeździe delegatów Macierzy z całej Rusi, który się odbył w dniach 25 i 26 września 1918 r. Zarząd główny tego Związku nazwano Kuratorjum Oświecenia na Rusi, wybierając jego prezesem Wacława Skibniewskiego.

Rusi, który w tej dziedzinie pracował już w latach ośmdziesiątych ubiegłego stulecia, a zatem nawet za najgorszych czasów ucisku rządów carskich, a w r. 1906, kiedy prześladowania nieco zelżały, był w Kijowie prezesem jawnego towarzystwa „Oświata“¹⁾. Wiceprezesami Macierzy zostali Karol Wilkoszewski, ks. Teofil Skalski i Władysław Łukaszewicz, sekretarzami Jan Kornecki i Józef Stołyhwo, skarbnikiem Oskar Sobański, zast. skarbnika Marja Wydźdzyna. Przyjmując z rąk Piotrogr. Towarzystwa Pomocy Ofiarom Wojny instytucje i szkoły, Macierz podzieliła się na 6 sekcji. Szkoły średnie, kursy nauczycielskie i niektóre internaty znalazły się w ręku Karola Wilkoszewskiego, polskie szkoły początkowe istniejące i nowoorganizowane (z których potem cztery w r. 1918 przeszły na budżet miasta Kijowa) były pod kierownictwem Jana Korneckiego, zaś opiekę nad dziećmi zrazu sprawował Gabrjel Możdżyński a potem Józef Stemler. Szereg kół Macierzy, działających na obszarze gubernji kijowskiej, we wrześniu 1918 r. utworzył Związek Macierzy Polskiej Ziemi Kijowskiej. Takie same związki stworzono już wcześniej, bo w r. 1917, na Wołyniu i Podolu. Prócz tego istniała Macierz homelska, odeska, charkowska i t. d.

Solidarnie w tych pracach wzięły udział wszystkie warstwy uświadomionej polskiej ludności a między niemi i obywatelstwo wiejskie. Dzielnie również dopomagał Centralny Komitet Obywatelski, który w swym okręgu kijowskim, kierowanym przez pełnomocnika Stanisława Moskalewskiego, utrzymywał w tym mniej więcej czasie 66 różnych zakładów dla polskich dzieci, ochron

¹⁾ Wiele szczegółów z życia tego wielkiego patrioty i najofiarniejszego pracownika zawiera broszura p. t. „Pamiętka Jubileuszu Józefata Andrzejowskiego“, Warszawa 1929 (Polska Macierz Szkolna). Andrzejowski z działaczy polskich ostatni opuścił Kijów, bo dopiero przy końcu 1921 r. Pracując jako zwykły robotnik, czuwał do samego końca nad polskimi szkołami kijowskimi, które tajnie odwiedzał.

i szkół¹⁾. Nie dość tego jednak. Pod kierunkiem Oskara Sobańskiego grupujące się konsorcjum polskie kupiło wiosną 1917 r. za milion rubli wielopiętrowy gmach gimnazjum rosyjskiego księdza Stelmaszenki przy Ryłskim zaułku, przeto w samym centrum starożytnego Kijowa, i przeznaczyło go na cele polskiego szkolnictwa. Z ramienia ad hoc zawiązanego Towarzystwa Popierania Szkoły Średniej powstały tam nowe polskie uczelnie, męskie i żeńskie, tak, że z początkiem r. szk. 1917/18, łącznie z zakładami Wacławy Peretjatkowiczowej i Zofji Żukiewiczowej, zaczęło działać w Kijowie aż 9 polskich szkół średnich, a doliczając do tego szkołę koedukacyjną Kownackiego i kursy gimnazjalne dla dorosłych, nawet 12. Największe z tych zakładów, obok szkół średnich Macierzy Polskiej czyli dawnych Piot. Tow. Pomocy Ofiarom Wojny, znajdowały się pod kierunkiem cenionego pedagoga Stanisława Trabszy. Były to męskie gimnazjum i szkoła realna Towarz. Popierania Szkoły Średniej. Liczyły one w 16 oddziałach 601 uczniów. Istniało także tegoż towarzystwa gimnazjum żeńskie, które w 8 oddziałach zgromadziło 337 uczennic. Zakładem tym kierował Jan Jankowski.

Rok szkolny 1916/17 skończył się wcześniej niż zazwyczaj to bywało, bo już 12 maja (29 kwietnia). Zarządzenie to, obejmujące wszystkie polskie szkoły w Kijowie, wywołane zostało różnemi okolicznościami. Oto z jednej strony wypadki rewolucyjne niezbyt sprzyjały spokojnej pracy szkolnej i młodzież, zwłaszcza klas wyższych, zaczęła wyraźnie stronić od książki i demoralizować się, powtórze zaś i grona nauczycielskie nie przedstawiały już tej solidarnej całości jak na początku roku szkolnego. Były albo niekompletne albo ze sobą skłócone. W zakładzie Peretjatkowiczowej secesja z grona nauczycielskiego objęła

¹⁾ Wyliczone w Kalendarzu Macierzy Polskiej na rok 1919. Kijów 1918.

13 sił; w średniej szkole żeńskiej Piotrogr. Tow. Pomocy Ofiarom Wojny zjawilo się ostre przesilenie wewnętrzne na punkcie wyboru kierowniczkii pedagogicznej zakładu, przy czem rozchodziło się, czy to stanowisko ma utrzymać nadal hr. Sołtanowa czy też objąć Cecylja Niewiadomska; wreszcie w męskiej szkole średniej dużego zamieszania narobił sam prezes sekcji szkolnej, zacny i oddany sprawie, lecz nieraz grzeszący bezpotrzebnym uporem, Karol Wilkoszewski, nie chcąc uznać wyłonionej z grona nauczycielskiego komisji dla spraw organizacyjnych (Bazanowski, ks. Domińczak, Korycki, Srokowski, Trziński, Turkowski). Poza tem grona nauczycielskie przemęczone nadmiarem zajęć, licho płatne i niezadowolone, również wiele z siebie dać już nie potrafiły, rodzice zaś młodzieży pozamiejscowej, a tej była przewaga, woleli w tych przełomowych czasach mieć dzieci przy sobie niż zdala w Kijowie. Przeto z tych wszystkich względów najracjonalniejszym było przyspieszenie końca roku szkolnego ¹⁾. Przedtem jednak urządzono jeszcze z inicjatywy Polskiego Komitetu Wykonawczego uroczysty obchód konstytucji Majowej. Dnia 3 maja n. stylu po nabożeństwie w kościele św. Aleksandra do tłumów zgromadzonych przed świątynią przemówił jezuita ks. Sopuch, popołudniu w jednej z sal kijowskich Tadeusz Turkowski, wieczorem zaś Dr. Józef Flach. Dla tych znowu, którzy nie mogli wziąć udziału w uroczystości, gdyż był to dzień powszedni, przeznaczono niedzielę 6 maja. Wówczas do zgromadzonych wieczorem w Teatrze Polskim przy ulicy Meryngowskiej znowu ja przemawiałem.

¹⁾ Dla wyjeżdżającej młodzieży postarano się o wszystkie możliwe udogodnienia na kolejach a nauczycielstwo grupy uczniowskie, uporządkowane według miejscowości, do których się udawały, odprowadzało na dworzec. Działo się to dlatego, iż na dworcu panował niesłychany chaos, a otrzymanie dogodniejszego miejsca w pociągu połączone było z wielkimi trudnościami. Szczególnie żołnierze bez względu na wykupione przez pasażerów bilety lokowali się we wszystkich klasach wagonów.

ROZDZIAŁ XIV.

Polskie kluby polityczne. Stosunek polskiego społeczeństwa na Ukrainie do problemu formowania własnego wojska. Charakterystyka polskich oddziałów wojskowych. Polski Komitet Wykonawczy na Rusi. Zasługi Małopolan. Gwałtowny wzrost drożyzny. Tłum kijowski. Wieści z prowincji. Stosunki na obszarach przyfrontowych. Swary w obozie polskim.

Gdy sprawa młodzieży szkolnej, po jej rozpuszczeniu na długie, bo aż czteromiesięczne wakacje, zesłała poniekąd z pola głównych zainteresowań społeczeństwa, tem silniej zaczęła narzucać się uwadze publicznej inna kwestja, a mianowicie t. z. orjentacyj, która inteligentny ogół polski nurtowała już oddawna, bo od początku wojny, ale tu na gruncie kijowskim znajdowała się jakby w uśpieniu. Chodziło mianowicie o to, czy słuszność mają ci, którzy drogę, wiodącą do wolności narodu, widzą w popieraniu państw centralnych aż do formowania polskich sił zbrojnych sojuszniczych włącznie, czy też ci, co stoją na wprost przeciwnym biegunie i utrzymują, że klęska państw centralnych jest właśnie koniecznym warunkiem wyzwolenia się Polski, a zatem życzyć sobie należy zwycięstwa mocarstw zachodnich i sprzymierzonej z niemi Rosji. Dotąd debatowano nad tem nad Dnieprem jakby półgłosem. Na wyraźne i chcące działać partje podzieliłiśmy się w Kijowie dopiero wiosną 1917 r.

Zacząło się od zorganizowania Polskiego Klubu Narodowego w lokalu Polsk. Tow. Gimnastycznego (Patagonji) w dniu 25 marca (7 kwietnia) 1917 r. na zebraniu zwolenników prof. Stanisława Grabskiego. Nazajutrz znowu t. j. 26 marca zawiązał się Polski Klub Demokratyczny, reprezentujący wprost przeciwne poglądy. W niezbyt szczęśliwie prowadzonym założycielskiem zebraniu Polskiego

Klubu Narodowego wzięli liczny udział także oficerowie wojsk polskich, stojących w Kijowie. Łudzano się tam nadzieją, iż w ostatniej jeszcze chwili uda się przeszkodzić widocznemu dla wszystkich rozbiściu społeczeństwa polskiego pod względem politycznym i dlatego nawet wiążący się Klub Narodowy nie wybrał władz klubowych a uchwalili natomiast wysłać delegację do Klubu Demokratycznego z propozycją zjednoczenia się obu organizacji. Myśl ta atoli między „demokratami“ nie znalazła oddźwięku. I od tego czasu zjawiała się stała, wyraźna, dwutorowość polityki polskiej na Rusi, która nam nieraz wiele szkody przynosiła, gdyż w momentach przełomowych, a tych teraz było wiele, czyniła nas słabymi i niezdecydowanymi. W związku z tem i oddziały wojsk polskich na Rusi i wogóle w Rosji nie miały nigdy silnego gruntu pod nogami. Orientacja narodowo-demokratyczna dopominała się od nich aktywności oraz trzymania się frontu państw zachodnich, a przeto i Rosji, orientacja zaś demokratyczna wprost przeciwnie chciała widzieć te oddziały jak najdalej od rosyjskiej linii bojowej. Tylko, gdy idzie o traktowanie bolszewików, byliśmy więcej zgodni. To jednak aktualne stało się dopiero później. A zatem polskie oddziały wysilały się poniekąd na własne koncepcje polityczne, przecież atoli nieprzemysłane, dorywcze, i w szczegółach przystosowane do działania po linii najmniejszego oporu. Sprawie polskiej na gruncie rosyjskim czy ukraińskim w najlepszym razie przynosiło to korzyści minimalne, raczej szkody, choć wobec ogromnej liczebności żywiołu polskiego w armji rosyjskiej, mogło być wprost przeciwnie, tem bardziej, że pierwotnie i predyspozycja duchowa owych wojsk oraz dowództwa była temu sprzyjająca.

Podczas uroczystego nabożeństwa, jakie urządziło wojsko polskie dnia 24 marca (6 kwietnia) 1917 r. w Świątoszynie pod Kijowem z powodu ogłoszenia proklamacji

piotrogrodzkiego Rządu Tymczasowego ks. Lwowa¹⁾), zapowiadającej utworzenie samodzielnej Polski, deputacja żołnierska 1 pułku zjawiła się przed oficerami i oświadczyła, że karnie i bez wszelkich zastrzeżeń poddaje się rozkazom władzy przełożonej. A było to właśnie w czasie, gdy wszystkie prawie oddziały rosyjskie wobec korpusu oficerskiego, w znacznej zresztą części na skutek niebывale nieroztropnych zarządzeń rosyjskiego ministra wojny i marynarki A. I. Guczkowa, ustosunkowywały się na podstawach, wobec których zwykła karność wojskowa całkowicie zanikała.

Owych pułków polskich, tworzących dywizję, w tym czasie na obszarach Ukrainy i Białej Rusi było cztery. Istniała jednak możliwość, jak to zaznaczyliśmy wyżej, szybkiego zwiększenia tych sił przez nowe wydzielanie ich z łona armji rosyjskiej, co było zresztą konsekwencją wyżej wspomnianej odezwy Rządu Tymczasowego, likwidującej dotychczasowy stosunek między Rosją a Polską. Rozumie się, że Rząd Tymczasowy liczył na energiczny współdział Polaków w dalszej wojnie z państwami centralnemi, czego znowu nie życzyła sobie wpływowa polska frakcja demokratyczna w Rosji. Wojsko polskie poza tem, jak przekonałem się z rozmowy z wyższymi oficerami, obawiało się, aby nie było użyte do tłumienia rozruchów i wolnościowych dążeń Ukraińców.

Oddziały polskie, pominąwszy lichą muzykę, przedstawiały się niezłe i zachowywały się z godnością. Gdy na ulicach Kijowa raz po raz żołnierze sprzedawali różne odezwy rewolucyjne i gazety lub zbierali coraz to inne składki jużto na cele ogólnie rewolucyjne, jużto na rzecz oddziałów ukraińskich, to wojsko polskie do tego rodzaju akcji nigdy

¹⁾ Wydana dnia 30 marca 1917 r. Naogół była ona wielką niespodzianką dla szerokich kół polskiego społeczeństwa, które po nowym rządzie rosyjskim nie spodziewało się wobec spraw polskich przychylniejszego stanowiska od tego, jakie zajmowały dawniejsze rządy carskie.

nie przykładano ręki. W skład korpusu oficerskiego zaczęli też wchodzić Polacy z wojska austriackiego i legjonów. Dnia 26 marca (8 kwietnia) 1917 w polskich oddziałach było ich już 17. Oddziały polskie nie wybrały również, wzorem innych formacji, żadnej delegacji do Polskiego Komitetu Wykonawczego. Wojsko polskie reprezentował tu wówczas generał Bylewski, przyczem między nim a częścią Komitetu (szczególnie St. Horwatem) przychodziło nieraz do konfliktów na tle ogólnej linii politycznej, jaką mają postępować wydziałające się z armji rosyjskiej oddziały polskie.

Do najostrzejszego i najsmutniejszego rozdzwiewku w sprawie wojska polskiego przyszło na wielkim zjeździe polskim¹⁾, odbytym w Kijowie w dniach 18—24 czerwca 1917 r. a obesłanym przez 556 delegatów rozmaitych organizacyj na Rusi. Wprawdzie manifestacyjne opuszczenie sali obrad przez część delegatów (blok demokratyczny) pod wodzą Karola Waligórskiego miało miejsce dnia 21 czerwca, a dyskusję na temat wojska przeprowadzono dopiero nazajutrz, niemniej jednak powód secesji stał się zupełnie jasny dla każdego, gdy prezes zjazdu Zdzisław hr. Grocholski oraz przez zjazd wybrani Wacław Skibniewski i generał Aleksander Radowski usiłowali nawiązać styczność z opozycją i sprowadzić ją na wspólną salę obrad. „Blok demokratyczny“, wyznaczwszy ze swego ramienia trzech przedstawicieli w osobach Romana Knolla, Karola Waligórskiego i Stanisława Stempowskiego, postawił dwa nieodwołalne warunki powrotu na zjazd, a mianowicie: wybór nowego prezydium zjazdu z obowiązkową zmianą prezesa zjazdu i wycofanie z pod obrad sprawy wojska polskiego. — Zebranie tego rodzaju żądań

¹⁾ T. zw. trzecim. Dwa poprzednie miały miejsce w marcu 1917. Na pierwszym z nich obrano komitet z dziesięciu członków dla pilnowania spraw polskich w momencie rozwijającej się zawieruchy rewolucyjnej, na drugim zaś Polski Komitet Wykonawczy na Rusi, który urzędował aż do zjazdu czerwcowego.

nie uwzględniło i przyjęło rezolucję następującej treści: „Zjazd Polski na Rusi uważając, że dążenie wojskowych Polaków do skupienia się w oddzielną jednostkę wojskową jest naturalnym narodowym odruchem żołnierza polskiego, wita uchwałę Zjazdu Wojskowych Polaków, żądającą zespolenia rozprószonych w szeregach rosyjskich żołnierzy polskich w jedną siłę zbrojną“¹⁾.

Do zadrażeń różnego rodzaju w kołach polskich przychodziło zresztą coraz to częściej, ale też i do sojuszów nieraz bardzo osobliwych, jak np. jezuita ks. Sopuscha ze znanym lwowskim radykałem Breiterem, słynącym z nieprzychylności dla katolickiego kleru. W tym wypadku kitem, łączącym tych dwóch ludzi, reprezentujących tak różne poglądy, był gorący austrofilizm. Pogorszył się również niemało stosunek do Małopolan, jednak już nie na tle politycznym, ale dzielnicowo-kulturalnym. Małopolanie na gruncie rosyjskim, wszędzie gdzie posiadali swobodę ruchów, złożyli doskonale egzamin ze swej poradności, zapobiegliwości, pracowitości, wytrwałości i innych zalet obywatelskich. Mnóstwo rzeczy powstawało tylko dzięki ich obecności, a przede wszystkim dzięki nim mogło istnieć i rozwijać się polskie szkolnictwo średnie i powszechne. Małopolski nauczyciel, jeden dla idei, a drugi choćby tylko dla kawałka chleba, szedł w najbardziej zapadłe kąty kraju i spełniał tam ogromną misję budzenia duszy polskiej z wiekowego nieraz uśpienia. Małopolanie byli pracowitymi referentami najrozmaitszych spraw w polskich organizacjach, a nie stroniąc także od handlu stworzyli cały szereg drobnych wprawdzie, ale kwitnących interesów (drzewo, skóry, narzędzia i t. p.). Jeszcze inni prowadzili administrację majątków miejscowej szlachty, nie mającej często ochoty w tych burzliwych czasach samotnie przesiadywać na od-

¹⁾ Bliższe szczegóły obrad znaleźć można w obszernej książce p. t. „Zjazd Polski na Rusi w Kijowie w dniach 18—24 czerwca 1917 roku“. — Winnica (Drukarnia Polska) 1917.

ludziu. Już atoli sama ludowość inteligencji Małopolan wobec miejscowej polskiej, tkwiącej jeszcze głęboko korzeniami w warstwie szlacheckiej, raziła i odpychała od „Galileuszów“. Brakowało im tego specjalnego tupetu, który cechuje właśnie całą inteligencję szlachecką, byli jakimś zespołem szarym i skromnym. A skromność w tej Gaskonji naddnieprzańskiej była przeważnie złą legitymacją. Obchodzono się przeto z Małopolanami nieraz brutalnie i bez skrpułów, a jeszcze częściej sądzono ich porywczo i niesprawiedliwie. Między sprawami tego rodzaju nie bez żalu omawiano np. w kołach Małopolan bezwzględne obejście się prezesa Joachima Bartoszewicza z kierownikiem biura Polskiego Komitetu Wykonawczego Lachowskim, przed wojną dyrektorem gimnazjum w Stanisławowie. I nie chodziło tu nikomu tyle o sam fakt bezprzyczynowego usunięcia Lachowskiego i pozbawienia go podstawy egzystencji materialnej, gdyż tęgi ten człowiek znalazł sobie natychmiast zajęcie jako dyrektor polskiego gimnazjum w Żytomierzu, ile o sposób, w jaki rozwiązano stosunek służbowy z pracownikiem, pochodzącym z Małopolski, na co nigdy nie pozwolono by sobie w odniesieniu do człowieka z Ukrainy.

Mówiąc o początkach rewolucji podkreśliłem fakt, że zrazu nie zamącono nigdzie ładu publicznego i że dopiero później, dzięki niedołężności żydowskiej milicji, która wzięła na swoje barki utrzymywanie w mieście porządku, dały znać o sobie różne szumowiny uliczne, głównie ze świata złodziejskiego. Ta idylla minęła przecieź prędko i niebawem raz po raz zaczynało coś poważnie szwankować w skomplikowanym mechanizmie wielkiego miasta, to elektryczność, to tramwaje, to wodociągi i t. d. Najgorzej zaś było pod względem aprowizacyjnym. Funt (400 gramów) chleba, którego zresztą co kilka dni w mieście brakowało, kosztował 20 kop., gdy rok wstecz 6 kop., a przed wojną 3 kop. Ale w tym stosunku, albo jeszcze jaskrawszym, wzrosły

ceny i innych artykułów żywnościowych. Oto wykaz niektórych:

	przed wojną	latem 1916	latem 1917
400 gr. mięsa wołow.	0,18 rb.	0,40 rb.	1,00 rb.
„ „ sera białego	0,05 „	0,20 „	1,00 „
„ „ kiełbasy	0,50 „	1,20 „	2,80 „
„ „ cukru	0,13 „	0,17 „	0,29 „
„ „ masła	0,60 „	1,00 „	3,00 „
„ „ kawy	1,20 „	3,00 „	6,50 „
1 litr mleka	0,05 „	0,20 „	0,60 „
(sztuka) jaje	0,01 „	0,05 „	0,12 „

Artykuły spożywcze, i to najpotrzebniejsze, podniosły się zatem w ciągu ostatniego roku w cenie średnio 3 razy. Ceny za artykuły t. z. luksusowe, do których zaliczamy owoce, biskity, miód, konserwy i t. p., poszły w górę jeszcze więcej. Nie lepiej też stała sprawa z ubraniem, bielizną, mieszkaniem, opałem i innymi potrzebnymi rzeczami. I tak płacono za:

	przed wojną	latem 1916	latem 1917
sążeń drzewa	60,00 rb.	75,00 rb.	280,00 rb.
pokój	15,00 „	35,00 „	60,00 „
obuwie męskie	8,00 „	20,00 „	55,00 „
ubranie „	30,00 „	70,00 „	200,00 „
podeszwy	1,00 „	3,00 „	10,00 „
kąpiel	0,50 „	1,00 „	3,00 „
pranie koszuli	0,15 „	0,25 „	0,75 „
usługę fryzjera	0,30 „	0,50 „	1,00 „
zapalki	0,01 „	0,03 „	0,07 „

Zdrożała również bardzo robocizna, przyczem chętnie pracujących było coraz to mniej. Konduktor tramwajowy (prócz munduru) otrzymywał miesięcznie 125 rb., motowrowy 150, składacz (zecer) w drukarni według sprawności 300 do 500 rubli. Prawie tyle zarabiał czeladnik szewski lub kelner. Stolarz nieco więcej, bo do 600 rb. Najmizer-

niej wyglądał urzędnik państwowy lub nauczyciel, chociażby szkoły średniej, szczególnie zaś prywatnej. W polskich szkołach średnich, gdzie płacono rocznie 75 rb. od godziny tygodniowej, musiałby nauczyciel udzielać aż 40 godzin lekcyj w tygodniu, aby osiągnąć miesięcznie 300 rb., stanowiących w tym czasie minimum egzystencji samotnego inteligenta.

Służba domowa już w marcu usiłowała od pracy uchylać się po godzinie 6 wieczorem, hotelowa zaś nawet w maju, kiedy dzień zaczyna się około 3 rano, nie myślała brać się do zajęć wcześniej jak o godzinie 7³/₄. Podobnie było w restauracjach, kawiarniach i innych tego rodzaju lokalach, które dlatego przybierały stopniowo wygląd coraz to brudniejszy i smutniejszy.

Stosunki między lokatorami i właścicielami realności a stróżami kamienicznymi odrazu ułożyły się jak najgorzej, bez względu na to jak byli dotychczas traktowani i opłacani, a dodać należy, że płaćeni byli nieźle. Ludzie ci dali się niezmiernie łatwo opanować agitacji i odpowiednio do swego niskiego poziomu intelektualnego na wszystkie podnieoty i podszepty rewolucyjne reagowali we formie jak najsurowszej. W wielu kamienicach pierwsi zaczęli do lokatorów bez względu na wiek, płeć i stanowisko przemawiać przez „ty“, bić ich i czynić im najrozmaitsze przykrości. W kamienicy, w której mieszkałem (przy ulicy Strietieńskiej 3), stróż przy czynnej pomocy innych szwajcarów z sąsiedztwa wpadł do adwokata Stołyhwy, pobił go, podarł na nim ubranie i tak się zachowywał, że pani Stołyhwowa przypłaciła to ciężką słabością. Zniknął wszelki respekt dla wiedzy zdobytej nauką, nawiasem mówiąc, w Kijowie z jego wschodnimi właściwościami i tak niezbyt ugruntowany, a miejsce jego zajęła nienawiść do ludzi wykształconych. Rozpoczęło się panowanie tłumu, gatunkowo jeszcze bardzo nisko stojącego, złożonego z ludzi o instynktach niszczycielskich, osobników przeważnie nie-

ściłych w pracy, niesprawiedliwych, tchórzliwych, okrutnych i gwałtownych. Tłum ten porywać się dawał każdą podsuwaną mu racją, o ile ona szła po linii jego wygód lub interesów. Na jednym ze zgromadzeń ulicznych, na którym zalecano porzucanie szeregów armji, słyszałem taki np. zwrot: „ja chaziain (gospodarz) mojego słowa, mogę je dać i mogę wziąć“. I zwrot ten, jak widać było z oklasków, najzupełniej przemówił do umysłów zgromadzonych.

Wszystkie takie zwyczaje jak np. dotrzymywanie umów i t. p. uznawać zaczęto za przeżytki burżujskie. Wogóle słowo „burżuj“ w oczach tłumu szybko nabrało specjalnego, wielostronnego, a zawsze pogardliwego znaczenia. Izwoszczyk, a wszyscy oni byli gorącymi sympatykami rewolucji, okładając konia batem, z wysokości swego kozła nie inaczej wykrzykiwał na swą szkapinę jak od „burżuja“, podobnie dwóch konkurentów od czyszczenia butów, posprzechawszy się na ulicy, po wyładowaniu całego repertuaru przezwisk, kończyło go z reguły na „burżuju“. Zdarzali się jednak i tacy na ulicy kijowskiej, którzy pod owe słowo podkładali właściwe pojęcie, nie zmieniając zresztą swojego wrogiego do wszelkiej burżuazji stanowiska. Jakiś izwoszczyk, nazwiskiem Kowal, z którym wdałem się w dłuższą pogadankę, aby coś niecoś dowiedzieć się z pierwszej ręki o tem, co pokutuje po ciemnych głowach tłumu kijowskiego, wywodził mi szeroko i z przekonaniem, że wszyscy inżynierowie po fabrykach są niepotrzebni i że doskonale pójdą one i bez burżujów, „bo czy biorą oni do rąk młoty lub czy palą pod kotłami“. Dla niego poprostu nie istniał inżynier kierownik i dusza wielkiego warsztatu pracy, bo w swej naiwności nie zdawał sobie sprawy z tego, jak on powstaje i jaki jest związek jego ze światem wiedzy naukowej. Praca mechaniczna i fizyczna zasłoniła mu sobą cały poprzedzający ją i towarzyszący jej proces myślowy. Tak zaś, jak ów Kowal, rezonowali na tysiącnych wiecach

i przewodcy rewolucji, ci rozumie się wiedząc znowu doskonale, że głoszą świadome kłamstwa. Niemniej jednak skutek ich nawoływań był ten, iż zacierały się różnice w wynagradzaniu za pracę wyżej i niżej kwalifikowaną. Służące w Aleksandrowskim szpitalu dostawały w lecie 1917 r. miesięcznie po 72 rb. i utrzymanie, lekarze zaś po 79 rb. i utrzymanie. A takich przykładów przytaczaćby można bezliku. Robotnicy, nawet po fabrykach, pracujących na obronę państwa, mimo wysokich zarobków (kwalifikowani 17 do 22 rubli dziennie), strejkowali albo z byle jakiej przyczyny okazywali niezadowolenie. W kijowskiej fabryce Jaroszyńskiego, gdzie wyrabiano pociski, wagony kolejowe i konstruowano statki rzeczne, robotnicy wypędzili inżyniera Schmidta, a tak samo działo się również i w innych wielkich miejscowych warsztatach pracy. Rozpróżniane tłumy wylęgały natomiast coraz to rojniej na ulice, gdzie w przelicznych budach, których dawniej nie było, sprzedawano gazety rewolucyjne. Nagabywano też bezustannie przechodniów o datki i składki. Bezczelna pomysłowość owych kwestarzy nie miała wręcz granic. Sam byłem świadkiem, jak żołnierz rosyjski stojący przed hotelem „Continental“, widząc idący ulicą wojskowy oddział sanitariuszy francuskich, uznał, że należy skorzystać z tej sposobności i zaczął z miejsca zbierać składki rzekomo na owych Francuzów, obrzucając równocześnie obelgami i groźbami tych, którzy mu ich odmawiali. A było to już po wydaniu przez generała Kornilowa ostrych zarządzeń przeciw maruderstwu na tyłach armji. Najgorsze jednak stosunki wytwarzały się w niedziele i święta. Wtedy wogóle trudno było wychodzić z domu. Równocześnie zamykano tak szczelnie wszystkie lokale publiczne i jadalnie, rozumie się znowu ze względu na chcącą rozkoszować się „wolnością“ służbę, że ludzie cały dzień chodzili zgłodniali i spragnieni. Dodać zaś należy, iż już od maja, po ostrej, długiej i pełnej nawrotów zimie, rozpoczęły

się nieznośne upały, które trwały przez całe lato. Z tego rozpróżniaczenia się tłumu rosyjskiego czy ukraińskiego najwięcej korzystali jeńcy wojenni. Uzyskawszy w ten lub ów sposób wolność, zgłaszali się do pracy i wszędzie byli oni poszukiwani jako element chętny i nie stawiający wygórowanych warunków. I rzecz osobliwa! Indolentny robotnik kijowski nie występował przeciwko tej niebezpiecznej dla niego bądź co bądź konkurencji, jakby zadowolony, że ktoś za niego pracę wykonuje, a może i dlatego, iż zatrudnianie jeńców uważał za sprawę całkiem przejściową a natomiast wierzył święcie, że zapowiadana socjalizacja wszystkich warsztatów pracy przyniesie mu zupełny dobrobyt przy najmniejszym wysiłku własnym. Stanąwszy raz przy tym zasadniczym i wygodnym poglądzie niechętny wzrok kierował także na toczącą się wojnę, która traciła coraz bardziej na popularności. Z każdej rozmowy z robotnikiem można było wyczytać pragnienie zakończenia jej za wszelką cenę, choćby z zupełną ujmą dla honoru narodowego i ze stratą terytorjalną. Przeto wobec tych nastrojów kręcące się po Kijowie instruktorskie oddziały żołnierzy francuskich, belgijskich i innych stawały się wręcz śmieszne przez swą karność i poważne pojmowanie roli obrońców cudzych interesów państwowych, których swoi bronić już nie chcieli. Szerokie tłumy kijowian przestały się interesować obcym żołnierzem i tylko kijowianki po dawnemu darzyły go swojemi względami, nie przebierając nawet w rasach. Na Kreszczatyku i na innych pierwszorzędnych ulicach widzieć można było ubranych we francuskie mundury murzynów, jak skutecznie zdobywali względy niewieście.

Ale wszystko to, co się działo w Kijowie, o ile idzie o rozprzęganie się obowiązujących dotąd zasad życia społecznego, ładu publicznego i obowiązków wobec państwa, nie daje się zgoła porównać z tem, co miało miejsce na prowincji a zwłaszcza na obszarach przyfrontowych. Już

pewną lekcją poglądową w tym kierunku była pierwsza lepsza wycieczka na dworzec kolejowy, gdzie widziało się pijanych skażonym spirytusem, t. zw. handzą, żołnierzy, wydobywających się lub napychających się do przedziałów pierwszej klasy i brutalizujących całe otoczenie, a zwłaszcza nieszczęsnych podróżnych, którzy z wykupionemi w kasie kolejowej biletami chcieli znaleźć dla siebie jakieś miejsce. Poza tem cały kraj roił się od rozzuchwalonych dezertorów. Jeżeli latem 1917 r. w Kijowie w biały dzień na moich oczach dezertery ograbili przy ruchliwej ulicy Wielkiej Włodzimierskiej dwóch przechodniów, to cóż dzieć się mogło tam, gdzie żołnierz-dezerterski był zupełnym panem sytuacji. Szczególnie zaś samotne, zasobne dwory padały ich ofiarą. Zbierali się w gromady po kilkudziesięciu ludzi i zajawszy jakiś dwór plądrowali go i niszczyli nieraz kilka dni z rzędu (np. hr. Stefanowej Brzozowskiej w Brzozowie), aż wreszcie przekonawszy się, że już więcej nic zrabować i wycisnąć nie są w stanie, opuszczali nieszczęsną sadybę, aby poszukać sobie innej, chyba że spłoszył ich przeciągający przypadkowo oddział kozaków, którzy w ogólnem rozprężeniu rosyjskich sił zbrojnych wykazywali nieporównanie większą odporność na prądy destrukcyjne niż inne formacje. Wśród kozaków oficer zachowywał ciągle jeszcze jakie takie znaczenie. Pozdrawiano go po dawnemu wojskowym ukłonem i nie było chyba kozaka, któryby się ośmielił, poklepując np. po ramieniu pułkownika, żądać od niego ognia do papierosa, na co sobie pozwolić potrafił zwyczajny piechur i co widywało się na ulicach Kijowa. Kozaków witano też wszędzie, zarówno na wsi jak i w mieście, z radością jako symbol pewnego ładu. Jeden z wyższych urzędników kolejowych opowiadał mi, że gdy żołnierze pociągu wojskowego, w którym zniknął posłuch dla oficerów, na stacji Mironówce pod Białą Cerkwią z okrutnej swawoli ukamienowali 4 jeńców niemieckich a następnie, zajechawszy do

Fastowa, zabili tam strażnika kozackiego, pilnującego wozowego ogrodu i ów ogród straszliwie zniszczyli, kozacy na wiadomość o tem pociąg w polu zatrzymali i, rozstrzelawszy mnóstwo niesfornych żołnierzy, przywrócili z miejsca wojskową dyscyplinę.

Jak zaś postępowały na obszarze przyfrontowym nawet regularne wojska, i to z biedakami, wówczas jeszcze, kiedy w początkach rewolucji utrzymywał się tam jaki taki ład, choćby ze względu na stojącego o kilka kilometrów nieprzyjaciela, poucza ustęp listu, który pod datą 23 maja 1917 r. otrzymałem od jednego z włościan z Jezierny pod Tarnopolem. Przytoczę obszerny wyjątek z tego pisma dlatego, iż rzuca ono zarazem pewne światło na warunki gospodarki rolnej, prowadzonej tuż za linią okopów.

Oto słowa rzeczzonego listu:

„W owej trzechletniej wojnie przeżyliśmy już cztery przemarsze armji austriackiej i trzy rosyjskiej, a więc siedem, a zatem, z wykluczeniem czasu owych paru miesięcy walk prowadzonych pod Karpatami, prawie cały czas wojna odbywa się w naszym powiecie.

Trzy razy niszczone nam plony doszczętnie, siedem razy zabierano nam konie i wozy, których może nigdy więcej nie ujrzymy. Zagrody nasze częścią leżą w gruzach, częścią nawpół rozwalone. Synów naszych od lat 17 zabrano na wojnę a ich ojców do lat pięćdziesięciu. Pozostały wśród nas tylko dzieci i zniedołężniali starcy, przeto brak rąk do wiosennych robót w polu.

Kiedy panował w Rosji rząd stary, płacono nam za pud kartofli po 80 lub 90 halerzy, wówczas gdy w Rosji dawano po 2 rb. i więcej. Za jęczmień lub owies po 1,20 rb., gdy w Rosji płacono po 2 i 2,40 rb. Ale cóż było zrobić? Dziś zabłysła dla Rosji jutrznia swobody, a zatem należałoby się spodziewać, że i dla nas nieszczęsnych nadeszła jakaś szczęśliwsza dola. Ale gdzie tam! Oto nastąpiła wiosna, więc jaki taki chce chociaż parę morgów ziemi

zasiać, by na przyszlą jesień i zimę z głodu nie umrzeć. Wyciąga przeto nawpół połamany wóz, ciągnie do kowala, ostatnim groszem opłaca za zreperowanie, lecz zaledwie jako tako sprzęt został do użytku złagodzony, już go wojskowość potrzebuje. Ma który jeszcze jakiego zdechlaka w domu, więc dawaj, bo ma iść na podwodę. Owies dziś opłacamy sami w Tarnopolu po 4 rb. za pud a za furmankę, chociażby w największe błoto np. do Załoziec czy do Kozłowa lub i dalej, więcej nie zapłacą jak 1,75 rb.

Władza wojskowa natomiast wynajmuje nam swoje konie do obrobienia pola, za które musieliśmy płacić od morgi po 5 i 6 rb., a prócz tego trzyrazowy furaz dla koni, no i jedzenie dla żołnierza. Samo przez się rozumie się, że i żołnierzowi trzeba dać chociażby tego marnego $\frac{1}{2}$ rb., co, licząc wszystko razem, wypadnie, że ów móg ziemi, za samo obsianie, kosztuje nas około 11 rubli. Ale niechby tam! Już co kosztuje to mniejsza, dobrze że chociaż obsiane.

Lecz niestety na tych zasiewach, z takim trudem i takim nakładem obrobionych, obecnie pasą się setkami a może i tysiącami wojskowe konie i z rozpaczą w oczach musimy przyglądać się temu nowemu nieszczęściu. Brak nam już cierpliwości, brak nam słów, któremi moglibyśmy przemówić do serc skamieniałych, brak nam łez, bo źródła ich dawno już wyschły“.

Ta ciężka sytuacja ludności przy froncie¹⁾ a także i głęboko na tyłach linii bojowej doznała fatalnego jeszcze

¹⁾ Pewne ulgi w pasie przyfrontowym zaszły tylko w dziedzinie szkolnictwa i możności swobodniejszego wypowiedania swoich uczuć narodowych. Już przy końcu listopada 1916 r. pozwolono na działanie w Tarnopolu gimnazjum, szkoły realnej i dwóch szkół ludowych z jęz. wykładowym polskim, oddając przeprowadzenie tej sprawy w ręce komitetu obywatelskiego, któremu przewodniczył dyrektor Trojnar. W grudniu zaś 1916 r. zezwolono na odśpiewanie w kościele podczas nabożeństwa żałobnego za Sienkiewicza pieśni „Boże coś Polskę“.

pogorszenia w związku z nieudałą letnią „ofensywą Kiezeńską”. Wtedy rozprężyły się już wszystkie wędzidła ładu i uczciwości. Cofając się z frontu, zajmowanego przez dwa lata, bo od jesieni 1915 r., spalono wówczas i obrabowano także część Tarnopola, co nie było przecież następstwem rozkazów dowództwa wojsk rosyjskich lecz, jak się następnie pokazało, dziełem potężnych band maruderów. Rzeczy zrabowane w Tarnopolu dotarły aż do Kijowa i w miesiąc później, jak to bez wszelkiej wątpliwości stwierdzono, część ich sprzedawano na Siennym Bazarze. Publiczność, choć wiedziała o pochodzeniu rzeczy, mimo to kupowała je. Sprawa znana była także i milicji.

Ludzie, którzy w tym czasie musieli się stykać z cofającymi się wojskami rosyjskimi, opowiadali wprost horrendalne rzeczy o ich zachowywaniu się. W Galicji koło Kołomyi hulał w lipcu t. z. martowski pułk, złożony z byłych więźniów. Naoczny świadek, niejaka Tomaszewska, urzędniczka rosyjska, opowiadała mi jakto żołnierze tego pułku wpadali do chat i zabierali na wozy ze sobą, w oczach zrozpaczonych matek, napotykanie tam dziewczęta. Gdzie indziej znowu wśród zgrai żołnierskiej wyrobili się specjaliści, głównie żydzi, od wydzierania ludziom uzębienia złotego z ust. Mój w tym względzie informator, niejaki Rzeszotarski z Hałuszczyniec w pow. skałackim, widząc co się dzieje, wyjął sam sobie z ust złote uzębienie i przywiózł je ze sobą w kieszeni do Kijowa. Inny znów znajomy, dzierżawca majątku, Aslan z Baworowa, w pow. tarnopolskim, skazany na deportację do Rosji, przede wszystkim został pozbawiony znalezionych przy nim pie-

W roku 1917 po wybuchu rewolucji zakres tej wolności znacznie się zwiększył. Dnia 3 maja odbył się w Tarnopolu, znowu pierwszy od 3 lat, obchód konstytucji 3 Maja z nabożeństwem, w którym wzięła udział młodzież i stowarzyszenia. Także odbył się wtedy pochód przez miasto przy dźwiękach muzyki wojskowej i z współudziałem wojskowych polskich, znajdujących się w służbie rosyjskiej.

niędzy, gdy zaś zażądał od władz wojskowych kwitu na zebraną mu gotówkę, wówczas za ten dokument kazano mu jeszcze dodatkowo zapłacić 150 rubli. I takich niegodziwości, jak właśnie przytoczone dla przykładu albo raczej o wiele jeszcze jaskrawszych, było teraz coniemiarą. Wszak rzeź w Kałuszu, wyprawiona przez dwa pułki rosyjskie, może nie co do liczby ofiar, ale co do swej okropności, potrafi godnie stanąć obok rzezi przedmieścia warszawskiego Pragi za czasów Suwarowa. Podobnie też jak tamta i rzeź kałuska uszła niemal zupełnie bezkarnie i pułki rosyjskie, sprawcy masakry, nadal pozostały w składzie armji. Komenderujący generał Kornilow próbował te żołnierskie łotrostwa poskromić dyktowanemi przez siebie karami, jednak napróżno. Wypytywani przezemnie oficerowie rosyjscy, przybywający z frontu do kijowskich szpitali, wszystko to, co się tam działo po załamaniu się letniej ofensywy rosyjskiej z r. 1917, a szczególnie w okresie od 6 do 20 lipca, określali krótko słowami: „priamo užas (okropność)“. Wiele dowiedzieć się można było także z gazet, pomieszczających korespondencje z frontu, zwłaszcza zaś z coraz to więcej teraz czytwanego, konserwatywnego „Kiewlanina“. Doskonałym dokumentem, ilustrującym te straszne czasy, był również urzędowy komunikat generała Kornilowa. Tożsamo głośny rewolucjonista Guczkow, nie mogąc wstrzymać swego oburzenia na widok morza bezprawości, w pismach swych porównywał wojska rosyjskie z Hunnami. I laik nawet w sprawach wojny rozumiał, że takie wojska jak rosyjskie z drugiej połowy 1917 r. nie były w stanie stawić skutecznie czoła Austrjakom a tem mniej Niemcom¹⁾, tem bardziej, że i wszystkie

¹⁾ Choć na front rosyjski Niemcy wysyłali formacje przeważnie mniej wartościowe, jednak i one wysoko dzierżyły tu sztandar armji Hohenzollernów. Rosyjski lekarz wojskowy Urbanowicz dla charakterystyki owych Niemców, walczących z armją rewolucyjną, opowiedział mi ciekawy szczegół. Oto na pewnym odcinku frontu galicyjskiego, latem

organy głębokich tyłów aż do kancelaryj wojskowych włącznie straciły swoją sprężystość działania a stały się polem popisów agitatorów, zasiadających tam pod postacią żołnierzy frontowych, delegowanych dla kontroli. Każdą asygnatę, wychodzącą z kancelarji wojskowej w Kijowie, podpisać musiało trzech takich żołnierzy-delegatów, gdyż inaczej nie miała ona waloru.

Sprawa tak pierwszorzędnego znaczenia, jaką było poczynające się rozpadanie frontu rosyjskiego, powinna była ocknąć przewodców polskich i zmusić ich do jednolitego działania, choćby z tem dla niektórych łączyła się nawet gruntowna rewizja dotąd obowiązujących poglądów czyli t. z. orjentacyj. Wojska frontu rosyjskiego nic już więcej Polsce dać nie mogły prócz nowych spustoszeń kraju i zdziesiątkowania naszej młodzieży, walczącej w szeregach armji rewolucyjnej. Ową młodzież należało przeto jak najszybciej stamtąd usunąć, skoro zresztą istniała sposobność takiego działania. Ale tu właśnie nie było zgody w obozie polskim i nie tyle znowu co do kwestji wyodrębniania się formacyj polskich, ile co do tego, co począc z wyodrębnionymi. Narodowi demokraci chcieli niemi, jak to zaznaczyłem już wyżej, podeprzeć walący się front rosyjski, aby podtrzymać walkę z mocarstwami centralnymi, polskie zaś stronnictwa lewicowe pragnęły stworzyć samodzielną i zdolną do przyszłego działania w sposobnym momencie polską siłę zbrojną, co atoli, wobec pewnej bierności wydzielanego lub wydzielić się dającego z sze-

1917 r., skutek natarcia Rosjan, oddział niemiecki, około 150 ludzi, został zewsząd otoczony w lesie i wezwany do poddania się. Niemcy przecież nie usłuchali i strzelali jeszcze czas dłuższy aż wystrzelali ostatnie patrony. Wtedy na komendę złożyli broń w kozły i poddali się. Było można wyraźnie słyszeć słowa komendy. Pytani następnie o patrony przez pułkownika rosyjskiego oburzyli się, jak można ich posądzać, że jeszcze je mają, bo skoroby tak było, to z pewnością strzelaliby dalej.

regów rosyjskich materiału żołnierskiego a nawet i oficerskiego, nie zapowiadało zbyt wielkich możliwości na polu poczynić nieco śmielszych i ryzykowniejszych. Bo to podkreślić należy, iż materiał ten cechował raczej duch defensywy niż ofensywy, i nigdy go zestawiać się nie powinno z tem, co przedstawiały polskie legjony, walczące u boku mocarstw centralnych. W rezultacie na polu organizacji armji polskiej w Rosji zdziałano niedużo i ani w części nie wyzyskano tych daleko idących możliwości, które się tu nastęrczały, a które np. tak po mistrzowsku wygrali Czesi. Z 800.000 polskich żołnierzy, powołanych do armji rosyjskiej, zgromadziło się ostatecznie we wszystkich oddziałach polskich w Rosji niespełna 40.000, z 20.000 zgórą oficerów Polaków około 3.000, ze 102 generałów kilku czy kilkunastu. Zwłaszcza żołnierz szeregowy nie biegł chętnie pod sztandary narodowe. Ledwie jeden na dwudziestu przywdziewał barwy polskie, brakiem patriotyzmu upodabniając się do Rosjan. Brakło agitacji, brakło podniet, brakło ludzi, którzy umieli i chcieli do masy żołnierskiej przemówić. Dlatego też, gdy od polskich oficerów żądano, aby przyprowadzali ze sobą bodaj po 50 szeregowców, uzależniając nawet od tego zatrzymywanie funkcyj oficerskich, mało który był w stanie dostosować się do tych wymogów.

Kogo zaś za to, co się stało z polskimi siłami zbrojnymi w Rosji, więcej winić należy, czy narodowych demokratów czy też stronnictwa lewicowe, dziś wyrokować nie chcę i nie mam ochoty brać udział w bezpotrzebnej kłótni, która i obecnie jeszcze roznamiętnia różne polskie grupy polityczne. Zresztą wiele nowego powiedzieć nie potrafię, bo stałem zbyt daleko od instancyj, w których zapadały ważne w tym względzie postanowienia. Dla charakterystyki chwili podniosę tylko, iż opowiadano sobie wiele po Kijowie, że niektórzy wybitni demokraci polscy są albo bezwiednym narzędziem w cudzem a wrogiem

Polsce rękę, albo też wprost zapłaćeni przez agentów rządów państw centralnych i że dlatego udaremniają powołanie do życia armji polskiej. Wskazywano nawet na to, że są między nimi tacy, co żyją dostatnio, choć bardzo mało zarabiają, że niektórzy z nich odbywają kosztowne podróże i t. p. Nie wierzyłem przecież owym wieściom, bo wśród tak oczernianych demokratów znałem ludzi, którzy poprzednio długie lata poświęcili bezinteresownej pracy dla Polski. Natomiast osobiście zraziłem się podówczas bardzo silnie do narodowych demokratów, zarówno za to, iż w obliczu bezskutecznego zresztą marszu dyszącego reakcją generała Kornułowa na Piotrogród w sierpniu 1917 r. odrazu stanęli ze swemi sympatjami przy jego boku, jak i za ich bierność i obojętność wobec tych nieszczęść, które w związku z rozprężeniem się frontu rosyjskiego spadły na naszych rodaków w Małopolsce, na Wołyniu i gdzie indziej. Nie mogę wprost zapomnieć tych rozmów, jakie o świeżych, strasznych i powszechnych gwałtach żołnierskich prowadziłem w owym czasie z wybitnymi narodowymi demokratami. Zwykłą ich taktyką było niedawanie wiary opowieściom i świadkom, choćby naczynym, albo wręcz kpienie sobie z wszystkiego, przy czem z reguły twierdzono, że to, co się działo lub dzieje, to zwykle zjawiska wojny, które żadnej silniejszej reakcji w duszach polskich wytwarzać nie powinny i które tem samem nie uprawniają do żadnej interwencji lub zbiorowej manifestacji na rzecz gnębionych, krok zaś taki mógłby być źle widziany w Piotrogradzie i u zachodnich mocarstw sprzymierzonych. Doktryna unieruchomiła i powoli zjadała tu nad Dnieprem to tak niegdyś zasłużone dla sprawy polskiej stronnictwo narod.-demokratyczne, pozbawiając je resztek elastyczności oraz wszelkiej swobody decyzyj. Szczęście, że mniej doktrynerskimi, jak się później okazało, byli ci przewódcy stronnictwa, którzy działali na za-

chodzie Europy i w Ameryce. I dlatego wyniki ich pracy tak wiele dały sprawie polskiej.

Zupełnie takie same niezdecydowane stanowisko wobec problemów chwili zajmował również i znajdujący się pod przeważnym wpływem narodowych demokratów, Polski Komitet Wykonawczy na Rusi. Aby przez głośne stawianie żądań polskich nie zrazić sobie decydujących sfer piotrogrodzkich, i on nie oprotestował tych nieprawości, których dopuszczano się na froncie wobec ludności polskiej, choć doskonała do tego sposobność zdarzała się niejednokrotnie, aby zaś nie narazić się Ukraińcom, nie pisał znowu i słowem, gdy swojego czasu, wiosną 1917 r., na stanowisko cywilnego komisarza przy władzach okupacyjnych rosyjskich w Galicji i na Bukowinie powołano głośnego i nieprzychylnego polskości agitatora Doroszeńkę. Również bez wszelkiej energii zachował się Komitet Wykonawczy i wobec wyborów do kijowskiej dumy miejskiej w lipcu 1917 r. Słaba agitacja polska¹⁾ i partyjnicтво wraz z towarzyszącem mu rozbiściem się głosów polskich po rozmaitych listach sprawiły, że do tego ciała przedstawicielskiego wesłiśmy w minimalnej liczbie zaledwie kilku radnych, choć w Kijowie stałe osiadły żywiól polski dochodził do 10% ogółu ludności. Ze spraw drobniejszych natomiast udało się Komitetowi Wykonawczemu, między innymi, ochronić nas przed utratą lokalu polskiego gimnazjum i szkoły realnej przy placu Mikołajewskim w Kijowie, które to zakłady naukowe z początkiem sierpnia 1917 r. przeszły pod zarząd Macierzy Polskiej. Oto gdy dnia 19 sierpnia a zatem na 2 tygodnie przed początkiem nowego r. szkolnego zjawiła się tam nagle komisja, zło-

¹⁾ Najsilniejszą i połączoną z największem rozwydrzeniem agitację prowadzili żydzi, którzy odnieśli też przy wyborach największe sukcesy. Sam widziałem, jak znajoma mi żydówka, żona lekarza z ulicy Podwalnej, mimo grożących za to ciężkich kar, zrywała własnoręcznie i ostentacyjnie z murów niedogadzające jej odezwy wyborcze.

żona z urzędników magistratu i kolei, rekwirując sale szkolne na pomieszczenie ewakuowanego do Kijowa kierownictwa galicyjskich kolei żelaznych, depesze Komitetu Wykonawczego do generała Kornilowa jako dowódcy frontu a także i inne zabiegi podejmowane ze strony reprezentacji polskich oddziałów wojskowych (głównie przez niejakiego ppor. Smólskiego) sprawiły, że rekwizycję cofnięto. Ale już sam fakt, iż miejskie władze kijowskie w pierwszej linii sięgły po lokal szkoły polskiej, mając setki innych w wielkim mieście, dowodzi jak nikłą była nasza pozycja polityczna tu nad Dnieprem za dni przewrotu rewolucyjnego. Co się zaś tyczy skutków owej niedosłej rekwizycji, bo i one się zjawily, to następstwem jej był duży odpływ uczniów do nowopowstającego gimnazjum t. z. Rodzicielskiego, przy Ryłskim zaułku. Rodzice, nie wiedząc czy z braku lokalu szkolnego Macierz Polska nie będzie musiała na czas dłuższy zawiesić nauki, przynosili młodzież do nowej uczelni.

ROZDZIAŁ XV.

Ustępstwa Rosji wobec autonomicznego państwa ukraińskiego. Sprawa ukraińska a sierpniowa kijowska rewolta bolszewicka 1917 r. Semen Petlura. Niedostatki aprowizacyjne. Upadek ładu publicznego. Samosądy. Panowanie motłochu. Powtórne rozruchy bolszewickie w Kijowie w ostatnich dniach października 1917 r. Wzrastający antagonizm między rządem ukraińskim a bolszewikami. Trzeci Uniwersał Ukraińskiej Rzeczypospolitej Ludowej i jego skutki.

Dla dogasających walk na froncie austro-niemieckim zainteresowanie ogółu powoli zupełnie zanikało. Ludzie przyszli wreszcie do przekonania, że wojnę tu przegrano i że o szybkim odegraniu się w polu niema co narazie myśleć. Zato tem więcej zaczęto zwracać uwagę na proces

wyłaniania się nowej państwowości ukraińskiej, czego zresztą nie widzieć nie można było, bo wypadki toczyły się na oczach wszystkich i ze względu na swe skutki wszystkich musiały obchodzić.

W połowie lipca 1917 r. uzyskali Ukraińcy oficjalną sankcję pietrogradzkiego Rządu Tymczasowego dla stworzonego nad Dnieprem Generalnego Sekretarjatu Ukrainy, toż samo dla Małej Rady i dla innych powołanych do życia instytucyj. Zgodzono się także podówczas na zukrainizowanie kijowskiego Banku Państwa, oraz na ukraińskiego komisarza dla spraw wojskowych, którym został wybitny działacz narodowy Semen Petlura. Tylko sprawę granic autonomicznej Ukrainy pozostawiono w zawieszeniu a to głównie z dwóch względów, mianowicie, aby nie wypuścić z rosyjskich rąk węglowego basenu donieckiego, a powtóre, aby nie stracić dostępu do morza Czarnego. To usankcjonowanie autonomji Ukrainy wywarło wielkie wrażenie w całym kraju, szczególnie zaś w Kijowie, przyczem przez Rosjan, bez względu na partje, przyjęte zostało z żywą niechęcią. Tak samo i żydzi, aczkolwiek najgorliwsi rzecznicy rewolucji, w ogromnej większości oświadczyli się przeciwko autonomji Ukrainy i w tych sprawach zaczęli iść zgodnie z Rosjanami. Tylko przeważna część Polaków, a zwłaszcza już z ugrupowań lewicowych, cieszyła się sukcesami bratniego narodu. Ukraińcy jednak tego widzieć nie chcieli i sympatje polskie lekceważyli. Liczyli nas a nie ważyli. Woleli ponad naszymi głowami mozolnie skarbić sobie nietrwale względy krystalizującego się bolszewizmu rosyjskiego, głoszącego „bezwzględną wolność“ wszystkich ludów i upajać się hasłami ludowładztwa, będącemi znowu, w części przynajmniej, koncesją na rzecz nielicznej, rodzimej, z ludu pochodzącej inteligencji. Wszyscy niemal przypisali się do partyj socjalistycznych, choć realne warunki gospodarcze wymagały całkiem innego ugrupowania się. Takie zaś, jakie stworzono, wróżyło kra-

jowi nieszczęście, żywiłowi zaś ziemiańskiemu na Ukrainie, przeważnie polskiemu lub rosyjskiemu, całkowitą ruinę bez wszelkiej dla młodego państwa korzyści. Mimo to jednak, gdy ze strony ukraińskiej zwrócono się do Polaków o wzięcie oficjalnego udziału w rządzie i w Izbach Prawodawczych, lewicowe ugrupowania polskie chętnie na to przystały. Rozchodziło się o zajęcie dwóch miejsc w Małej Radzie i dziesięciu w Centralnej, gdyż tyle tylko przyznawali nam Ukraińcy, obliczając ilość polskiej ludności średnio na całym obszarze Ukrainy (9 gubernij) na 2%. Stanowisko podsekretarza dla spraw polskich w Generalnym Sekretarjacie narodowościowym objął adwokat kijowski Mieczysław Mickiewicz, wiceprezes Polskiej Centrali Demokratycznej, wyłonionej w Kijowie w czerwcu 1917 r. na zjeździe kilku ugrupowań lewicowych. Razem z Mickiewiczem, jako referent dla spraw polskiego szkolnictwa na Rusi, znalazł się w podsekretarjacie także nauczyciel fizyki Stanisław Kalinowski. Narodowi demokraci, koła bezpartyjne i polscy konserwatyści w Izbach Prawodawczych ukraińskich reprezentowani nie byli.

Bardzo ważną zmianę sytuacji politycznej na Ukrainie przyniósł sierpień 1917 r. Oto wówczas uzbrojeni robotnicy arsenału wojennego w Kijowie, rozwinąwszy sztandary ruchu bolszewickiego, zdobyli szturmem sztab kijowskiego okręgu wojennego, kierowanego dotąd przez rosyjskiego generała i rosyjskich oficerów sztabowych. W związku z tem w południowej dzielnicy Kijowa, na Peczersku, rozpoczęły się walki uliczne a sztab rosyjski zawezwał na pomoc pułk strzelców czeskich. Wtedy gabinet ukraińskich Sekretarzy Generalnych, wdawszy się w te sprawy, oświadczył, że on jest powołany do „bronienia rewolucji” na terytorjum Ukrainy i że solidaryzuje się z miejscowymi bolszewikami, ale żąda od nich zaprzestania walk ulicznych i zdania w jego ręce wszelkiej władzy w Kijowie, na froncie ukraińskim i w kraju. Bolszewicy zgodzili się na te

propozycje a zarząd kijowskiego okręgu wojennego, nie rozporządzając dostatecznymi siłami w mieście i w kraju, poza tem mając teraz przeciwko sobie i Ukraińców, poszedł drogą układów oraz niezmiernie daleko idących ustępstw. Zarząd wojennego okręgu kijowskiego objął pułkownik Ukrainiec, dotychczasowy zaś komisarz dla spraw wojskowych Semen Petlura ogłosił się generalnym sekretarzem wojny. Wydano także rozkaz o ukRAINIZACJI szeregu pułków i czarnomorskiej floty wojennej. Spraw mniejszej wagi ze strony ukraińskiej narazie nie ruszano, aby sytuacji nie komplikować.

Ukraińcy zbliżali się niemal do szczytu powodzenia i osiągnięte rezultaty działania mogły napełniać otuchą naród budzący się do samodzielnego życia. Wnet jednak pokazało się, że wszystko to w znacznej części było tylko złudzeniem i szczęśliwą grą polityczną, brakło zaś silnych podstaw, umożliwiających wzniesienie gmachu własnej państwowości, bo Ukraińcom niedostawało należytego uświadomienia narodowego. Ruch ukraiński, gdy idzie o masy, był ostatecznie tylko ruchem socjalnym nie zaś narodowym, a jako socjalny przelicytowany został przez inny radykalniejszy, przez ruch bolszewicki.

W tym czasie zdaje się najwyraźniej także zaznaczyły się ze strony ukraińskiej dążności do uprzejmiejszego nieco, niż to zrazu było, traktowania ludności polskiej. Oficjalni delegaci Generalnego Sekretarjatu przybyli zarówno na otwarcie nowego roku akademickiego w Polskiem Kolegium Uniwersyteckiem jak i na uroczystą akademję, urządzoną dnia 1 (14) października w sali kijowskiego ratusza (dumy) dla uczczenia stuletniej rocznicy śmierci Tadeusza Kościuszki. Kilku działaczy ukraińskich i generalny sekretarz dla spraw wewnętrznych wygłosili podówczas po ukraińsku mowy, życząc Polsce odrodzenia narodowego i państwowego. Do koncepcji współdziałania czynnego obu wyzwalających się narodów strona ukraińska wnieść

się jednak nie potrafiła, choć zdaje się, że było ono zupełnie możliwe. Nic nie stało na przeszkodzie nawet koncentrowaniu się na Ukrainie wojsk polskich, które w tym samym mniej więcej czasie skupiać się zaczęły na Białorusi w rejonie Mińska pod dowództwem generała-porucznika Józefa Dowbór-Muśnickiego. Owe wojska nie byłyby z pewnością groźne dla Ukrainy a w oparciu o zamożny kraj i liczną polską ludność oddałyby obydwom narodom poważne usługi w walce z bolszewikami. Wszak zupełnie udaną próbą możliwości polskiego udziału w dziele organizacji ukraińskich sił zbrojnych była współpraca Polaków w Generalnym Sekretarjacie wojskowym ukraińskim. Także Polak Rychłowski, nauczyciel szkół Macierzy Polskiej, uczył w ukraińskiej szkole wojskowej. Tymczasem generalny sekretarz dla spraw wojskowych Semen Petlura tak daleko szedł w niechęci do wszelkich zamierzeń polskich, przedsięwziętych w zakresie organizowania się polskich oddziałów wojskowych na Ukrainie, że trzy razy pokolei zabierał Polakom w jesieni 1917 r. wyszukany przez nich w Kijowie lokal dla polskiego punktu etapowego. Poza tem polecił zająć na rzecz marynarzy ukraińskich I piętro w polskim ogromnym hotelu François, przy ulicy Wielkiej Włodzimierskiej. Ukraińcy nie umieli jednak pozyskać sobie i Czechów, co do których chyba jeszcze mniej mogli mieć zastrzeżeń niż co do Polaków. Wszak prof. Masaryk, bawiąc w tym czasie w Kijowie, na zgromadzeniu galicyjskich Ukraińców wygłaszał nawet mowy przeciwko ewentualnemu przyłączeniu Galicji na wschód od Sanu do przyszłej Polski, co, nawiasem mówiąc, nie przeszkadzało mu wcale odbywać równocześnie konferencyj z prof. Stanisławem Grabskim. Atoli grupy wojskowe czeskie obserwowały wobec Ukraińców pełną rezerwę i obawiały wdać się z nimi w jakiegokolwiek bliższe związki.

W rewolucjonizującym się i ukrainizującym się coraz to bardziej Kijowie warunki życia codziennego, i tak już złe,

z każdym prawie dniem pogarszały się i ludzie z prawdziwą troską myśleli o zimie, tem bardziej, że z wielu stron podnoszono możliwość wybuchu strejku generalnego. Niemalą pociechą w tem wszystkim była przeto ówczesna długa, piękna i ciepła jesień, która pozwalała na czynienie znacznych oszczędności opałowch i uwalniała ludność od pospiesznego szukania cieplejszej przyrodziewy. Jeszcze dnia 17 (30) listopada termometr raniem wskazywał 11° C., pierwszy zaś śnieg spadł w Kijowie dopiero 6 (19) grudnia.

Odzieży powszechnie zaczynało brakować a wyraźnem potwierdzeniem wyczerpywania się zasobów odzieżowych była choćby ta okoliczność, że każde nawet jednorazowe tylko ogłoszenie w gazetach, iż się ma do sprzedania stara garderobę, wabiło natychmiast wielką ilość nabywców, płacących wysokie ceny. Rzeczy nowe dla ogółu niebawem stały się wręcz niedostępne. Wystarczy powiedzieć, że późniejszą jesienią para trzewików kosztowała już 150 rubli. Wielkie też znaczenie, przynajmniej dla Kijowa, miał fakt, że Wszechrosyjski Związek Ziemstw (Ziemskij Sojuz), rozporządzający sporemi magazynami różnych towarów odzieżowych, nie tyle ze względów humanitarnych ile aby ratować egzystencję swych licznych pracowników, zaczął publiczności wysprzedawać zapasy i w ten sposób, częściowo bodaj, regulować ceny rynkowe tekstyljów, skóry i t. p.

Drożyna artykułów spożywczych rosła dalej w coraz większej progresji, a chleb z reguły perjodycznie znikał teraz z handlu na kilka lub kilkanaście dni, aby pojawiwszy się znowu wznieść się w cenie o 30 albo i więcej procent. Dnia 17 (30) września funt (400 g.) chleba kosztował 30 kop., a dnia 29 października, a zatem dokładnie miesiąc później, już 40 kop. Funt masła 19 sierpnia 4,00 rb., w październiku 6,00 a późną jesienią 11 rubli. Funt zwykłej kiełbasy grubosiekanej, zwanej w Kijowie krakowską, kosztujący w lipcu 2,50 rb., w październiku narósł w ce-

nie do 4,40 rb. Za szklanę mleka w tymże samym czasie żądano 45 kop. Najbardziej przecież zwykowały importowane towary kolonialne i cukier. Gdy funt średnio-dobrej herbaty w czerwcu 1917 r. sprzedawano wszędzie mniej więcej po 3 ruble, to w połowie sierpnia po 9,20 rb., a w późniejszej jesieni po 15 do 20. Cukier (bez kartek) kosztował późną jesienią 5 rb. (funt). Tytoń w paczkach czy pudełkach należał już do rzadkości a sklepy tytońowe rozporządzały tylko papierosami i to w bardzo ograniczonej ilości. Owoce, nawet jarzyny, pominąwszy kartofle, dla ogółu stały się wprost towarem zakazanym. Najtańsze jeszcze były kawony (arbuzy), sprzedawane w sezonie średnio po $2\frac{1}{2}$ rb. za sztukę. Ci, co żywili się po publicznych restauracjach i kawiarniach, jeszcze więcej odczuwali drożyznę. Szklanka białej kawy już we wrześniu 1917 r. kosztowała 80 kop., w grudniu 1 rubla. Ludzie wskutek tego chodzili często głodni a zwłaszcza już inteligencja i młodzież. Na głód żaliły się nawet dziewczęta ze szkoły Peretjatkowiczowej, do którego to zakładu z małemi bardzo wyjątkami uczęszczała dotąd młodzież najzamożniejsza. Co przecież w tej drożyznie artykułów spożywczych na bogatej Ukrainie było dziełem lichego dowozu i bezczelnej spekulacji, uprawianej przez żydów i nieżydów, bo spekulować zaczęli prawie wszyscy, co zaś wynikało z postępującej dewaluacji rubla, ocenić mi jest trudno. Zaznaczę tylko, że złoto i wyroby złote oraz drogie kamienie coraz to bardziej podnosiły się w cenie. Dnia 17 (30) września za złołtnik (około 4,25 g.) złota płacono 75 rubli.

Rubli papierowych zwykłego typu było stosunkowo coraz to mniej, a miejsce ich zajmować zaczęły nowe bilety kredytowe t. z. ruble dumskie, a później ukraińskie (karbowańce), kupony od różnych papierów wartościowych i marki pocztowe, zastępujące bilon. Wydawano też całemi arkuszami, tak jak marki pocztowe, znaki skarbowe

(kaszubskie) przewane „kierenkami“. Dość pierwotne w rysunku i wykonaniu, nie budziły te papiery zaufania i dlatego także, że rozmiary ich były niebywale nikłe. „Kierenka“, reprezentująca 40 rubli, miała $5\frac{1}{2}$ cm. długości, a $4\frac{1}{2}$ cm. szerokości. To zbagatelizowanie formy znaku wymiennego wywarło jednak ogromny wpływ na masy ludności i rzec można, że dopiero po ukazaniu się arkuszów „kierenek“ nauczono się lekceważyć rubla.

Postępujący upadek ładu publicznego w mieście, dający znać o sobie już nazewnątrz przez wydeptane trawniki, zaniedbane skwery publiczne, połamane ogrodzenia i poręcze, zaznaczał się również w coraz to większej ilości rabunkowych napadów ulicznych na spokojnych przechodniów i w coraz to większej ilości dokonywanych kradzieży, którym usiłowały zapobiec samosądy ludności. W lecie 1917 r. kończyły się one jeszcze jako tako dla schwytanego sprawcy, uchodzącego najczęściej z życiem z rąk tłumu, ale rzadko tylko bez dotkliwych ran i okaleczeń. W zimie atoli samosądy przyjmowały nieraz formę okrutną. Byłem świadkiem któregoś zimowego popołudnia takiej sceny samosądu na pryncypalnej ulicy Proreznej, prowadzącej od Kreszczatyku w górę do Wielkiej Włodzimierskiej. Kilka okrzyków „wor! wor!“¹⁾, pędzący ulicą człowiek, a za nim gromada stróżów, robotników i kobiet. Po kilkunastu sekundach domniemany złodziej znalazł się w ręku ścigających, a następnie wśród tłumu wyrosłego jak z pod ziemi, miotającego się, gestykulującego i krzyżącego. Co się działo w środku tej skłębionej gromady ludzkiej nie wiem, dość, że gdy wreszcie tłum zaczął rzednąć i gdy po dobrej półgodzinie pokazał się milicjant, na bruku jezdni leżała krwawa masa odarta zupełnie z odzienia, po którejby nikt nie przypuszczał na pierwsze spojrzenie, że to trup człowieka. Przykryto go lekko słomą

¹⁾ „Złodziej! złodziej!“.

i sprzątnięto za jakąś godzinę, nie wiedząc i nie badając zdaje się, kogo zabito i za co, a całkiem dobrze mógł to być człowiek zupełnie niewinny. Może tylko głodny, który zebrząc po domach, ściągnął na siebie podejrzenie.

Ale tak wyglądał tłum kijowski, który przestał się bać odpowiedzialności, bo w tym kierunku urabiały go hasła rewolucyjne, głoszące, że on jest władcą wszystkiego, nieomylnym i nieograniczonym. Obserwowałem również, gdyż czynić to musiałem, jak pojedynczy reprezentanci tego tłumu pojmowali swoje już i tak bardzo zredukowane obowiązki. Pokojowa, Ukrainka z pod Połtawy, usługująca w pokojach umeblowanych przy ulicy Strietieńskiej, z których jeden i ja zajmowałem, literalnie całymi tygodniami nie interesowała się przyjętymi na siebie obowiązkami, zato jednak podpiwszy, krzykami i śpiewami co noc prawie zatruwała lokatorom spokój. I nie było mowy o zwróceniu jej jakiegokolwiek uwagi, a to ze względu na stałe towarzystwo całej gromady rozwydrzonych żołnierzy-amantów, z którymi zadzierać nie należało teraz do rzeczy praktycznych. Żołnierstwo, po „ukrainizacji“ wielu pułków, o której mówiłem wyżej, pozwalało sobie coraz to więcej. Dnia 3 (16) września wieczorem żołnierze zatrzymali tramwaj na Kreszczatyku i wyrzuciwszy z niego wszystkie jadące osoby cywilne, kazali się wieźć motorowemu do koszar. Gdy przechodzący generał zwrócił im uwagę na nie stosowność zachowania się, wezwali go do milczenia. I generał rzeczywiście zamilkł, gdyż egzekutywy dla swoich poleceń nie mógł się spodziewać żadnej. W teatryku rosyjskim przy ulicy Mikołajewskiej, gdzie słynny aktor, przy współczuciu przeważnej części słuchaczy, śpiewał pieśni okolicznościowe o nieszczęśliwym losie oficerów rewolucyjnej armji, żołnierze, zakupiwszy najtańsze miejsca, lokowali się w łozach, wypychając z nich siedzącą tam publiczność a także i oficerów, jakby na ironję. I tak było wszędzie. Motłoch panował nad wszystkim. Podburzyć

go było niesłuchanie łatwo, uspokoić zaś bardzo trudno. Masy chodziły po ulicach jak naelektryzowane. Niejaki ks. Wołczański opowiadał mi jak to w pierwszych dniach listopada 1917 r. do ludzi zgromadzonych w pobliżu kościoła parafjalnego św. Aleksandra w Kijowie, przeważnie zresztą katolików, podszedł jakiś jegomość i rozpoczął wymownie po polsku wyjaśniać, że ludowi przysłano z Ameryki pieniądze, a „panowie“ kupili sobie za to „uniwersytet“ (gmach gimnazjum Rodzielskiego przy Rylskim zaułku). Budynek trzeba przeto odebrać. I tłum, jak to widać było z okłasków i z pojedynczych odezwań się, zaczął już aprobować rzucane mu myśli. Ledwie go uspokojono.

Wśród rozszerzania się i utrwalania takich niebezpiecznych nastrojów dotarła do Kijowa w ostatnich dniach października 1917 r. wieść o przewrocie bolszewickim w Piotrogradzie. Ale zanim ona została należycie przez ogół ludności zrozumiana, wybuchły już niepokoje w stolicy naddnieprzańskiej. Zapanował nastrój trwogi a w związku z tem ludzie chowali się po domach, bo ciągle liczyli się z możliwością rozpasania się krwawych walk ulicznych. Zwłaszcza Rosjanie zniknęli z ulic. Polacy mniej interesowali się wypadkami, czego wyrazem choćby ta okoliczność, że w Teatrze Polskim przy ulicy Meryngowskiej odbywały się przedstawienia, np. w sobotę 28 października. Publiczność jednak, aby być każdej chwili przygotowaną do wyjścia, na sali siedziała w płaszczach.

Miejscowi wyznawcy bolszewizmu, w podobny sposób jak nad Nową, próbowali i na Ukrainie dojść do władzy. Jednak to im nie powiodło się. Po trzydniowych niepokojach, barykadach i t. p. Generalny Sekretarjat Ukrainy wziął górę. Szczególnie niespokojną była niedziela 29 października. Od godziny 6¹/₂ wieczorem słychać było strzały armatnie a ulicami z najeżonemi karabinami jeździły automobily ciężarowemi oddziały piechoty. O godzinie 10¹/₄

przejechał także Kreszczatykiem szwadron konnicy. Główne środowisko niepokojów leżało przecież poza właściwym miastem, bo na Peczersku, stąd z tego wszystkiego, co się tam działo, do centrum dochodziły tylko głuche odgłosy.

Zwycięstwo rządu ukraińskiego było atoli bardzo względne, gdyż raz zasłyszane hasła bolszewickie o „dyktaturze proletariatu“ tliły się dalej w duszach ludności kraju i posiadały wiele mocy atrakcyjnej. Do walki z t. z. burżuazją można było zmobilizować zawsze całe tłumy zarówno na wsi jak i po miastach, do mozolnej zaś pracy nad ugruntowaniem bytu niezależnej ojczyzny tylko niezmiernie rzadkie wyjątki. I o tem wiedział doskonale rząd Lenina i Trockiego oraz generalissimus rosyjski chorąży Krylenko. Rozpoczęli zatem domagać się usilnie od Generalnego Sekretariatu wprowadzenia w życie i na Ukrainie różnych dekretów, ogłoszonych już w Rosji, jako to unarodowienia banków i fabryk, konfiskaty kapitałów, socjalizacji ziemi, zniesienia szarży oficerskiej i t. d. Pertraktacje prowadzono przy pomocy bezpośredniego kabła łączącego Piotrogród z Kijowem. I choć Generalny Sekretariat niewątpliwie zdawał sobie sprawę, iż spełnienie tych żądań odbije się jak najgorzej na przyszłości kraju, niemniej jednak ustąpił, nie mając należytego oparcia w masie ludności. Najpierw zgodził się na zniesienie szarży oficerskiej w armji ukraińskiej a następnie na jednym z posiedzeń Małej Rady przeprowadził t. z. Trzeci Uniwersał Ukraińskiej Rzeczypospolitej Ludowej, znosząc nim zupełnie prywatną własność ziemską i ogłaszając przejście całej ziemi na rzecz ludu, względnie do rąk nieistniejących jeszcze nigdzie „komitetów rolnych“, bez wykupu i bez bliższego określenia, jak to ma być przeprowadzone. Własność ziemska co najwyżej miała obejmować 40 dziecięcin. Ów Uniwersał, który natychmiast zaczął działać a którego ostrze w praktyce zwracało się nadewszystko

przeciwko polskiej ludności, wykopał niezgłębioną przepaść między Polakami a tworzącym się państwem i był powodem najdzikszego spustoszenia Ukrainy. Rujnowanie kraju, poza obszarami przyfrontowymi przedtem tylko sporadyczne, teraz objęło całą Ukrainę jak długa i szeroka. Wypędzano posiadaczy ziemskich z dworów i pałaców, rozbijano śpichlerze i obory, niszczone doszczętnie cenne dzieła sztuki i dostojne pamiątki przeszłości, wycinano w pień sady i ogrody, trutowano hodowle selekcyjne, nie przebaczano nawet żywemu inwentarzowi, wyrzynając go gdzie niegdzie do szczytu lub marnując w inny sposób. Prócz tego odbywano jeszcze nad ograbionymi posiadaczami ziemskimi albo nad ich pełnomocnikami potworne nieraz sądy doraźne, które pociągnęły za sobą przeliczne ofiary. Między zamordowanymi przez ciemne chłopstwo nie brakło nawet kobiet i dzieci oraz najlepszych czasem przyjaciół idei wolności i samodzielności Ukrainy. Zamachy mordercze z rąk chłopskich sięgały nawet samego Kijowa. W ten sposób dnia 17 listopada 1917 r. zginął w swem kijowskiem mieszkaniu ceniony adwokat, Polak, Dyonizy Chojecki, którego wystrzałem z rewolweru zabił chłop, niezadowolony z przegrania sprawy w sądzie, cóż bowiem znaczyło rezunowi, zaprawionemu do mordowania na wsi, to samo spróbować i w mieście. Słowem nad całym krajem rozlały się szeroko fale dzikiej anarchji i Generalny Sekretarjat stał wobec nich całkowicie bezradny. I ta okoliczność zadecydowała niemało o jego przyszłych losach. Chłopstwo widząc, że rząd niema dostatecznej siły, skoro nie umie przeciwstawić się pożodze, rabunkom i mordom, zaczęło go lekceważyć, nieufać mu a nawet wręcz niewierzyć w możność urzeczywistnienia zarządzeń Trzeciego Uniwersału. Że zaś owe odczucia tłumów były trafne, pokazały niebawem dalsze zarządzenia w dziedzinie agrarnej. Oto zasady „reformy rolnej“, przewidziane w tak fatalnie nieprzemysłanym Trzecim Uniwersale, zostały ostatecznie

przez Centralną Radę odrzucone, a w miejsce nich większością głosów wprowadzono socjalizację ziemi, dobierając się przez nią już i do majątków zamożniejszych włościan ukraińskich, których w kraju było bardzo wielu. Powstało nowe zamieszanie i tworzenie się włościańskiego frontu „chliborobów“, zwróconego przeciwko idei socjalizacji. Słuszna i rozumna reforma rolna była teraz dalszą od urzeczywistnienia, niż na początku całej akcji.

ROZDZIAŁ XVI.

Wojna ukraińsko-rosyjska. Proklamowanie zupełnej niezawisłości Ukrainy w pierwszych dniach stycznia 1918 r. Trzecia rewolta bolszewicka w Kijowie. Rząd Hołubowicza. Wolni Kozacy. Zdrada pułków ukraińskich. Dwutygodniowe walki o Kijów. Ucieczka rządu ukraińskiego. Wkroczenie wojsk bolszewickich pod dowództwem pułkownika Murawiewa. Krwawe rządy bolszewickie. Udział żydów w wypadkach kijowskich. Komitety domowe i straże kamieniczne. Układ rządu ukraińskiego z państwami centralnymi w lutym 1918 r. Bolszewicy na rozkaz Lenina opuszczają Kijów. Przemarsz Czechów. Zajęcie dworca kolejowego przez wojska niemieckie. Pomysły niektórych Polaków witania wkraczających Niemców.

Gdy ukraińskie czynniki rządzące własnymi niejako rękoma wznieciły w kraju chaos i przyprawiły go o ogromne straty materialne i moralne, rząd rosyjskich Komisarzy Ludowych, mimo wszystko dopatrujący się burżuazyjnych tendencji władz ukraińskich, zerwał stosunki z Generalnym Sekretarjatem i generalissimus Krylenko ogłosił wojnę z Ukrainą. Z Moskwy ruszyła na Kijów robotnicza „czerwona gwardja“ a inne oddziały bolszewickie zaczęły zajmować różne punkty naokół stolicy Ukrainy, odcinając ją od styczności ze światem. I teraz dopiero w pierwszych dniach stycznia 1918 r. proklamowano w Kijowie zupełną niepodległość kraju, Generalny zaś Sekretarjat przemiano-

wano na Gabinet Ministrów. Ale wszystko to nie uchroniło ani Ukrainy ani też Kijowa przed bardzo ciężkimi przejściami i walkami bratobójczymi.

Zaczęło się od tego, że kijowscy robotnicy, należący do partji bolszewickiej, dnia 15 stycznia 1918 r. podnieśli bunt w arsenale na Peczersku i ogień artylerji skierowali na lokal Małej Rady, znajdujący się w Muzeum Pedagogicznem przy ulicy Wielkiej Włodzimierskiej, uszkadzając przy tej sposobności wiele innych budynków. Wynikłe stąd walki uliczne, prowadzone z niemałą zawziętością, objęły niebawem wszystkie dzielnice miasta, głównie zaś jego centrum. Od zewnątrz zagrażały znowu miastu znaczne oddziały bolszewickich wojsk rewolucyjnych. W tym krytycznym momencie, przerażony grozą położenia, premier Winniczenko wraz z całym gabinetem podał się do dymisji a władzę wziął w ręce młody, dwudziestokilkoletni inżynier Hołubowicz, jeden z delegatów ukraińskich na konferencji pokojowej w Brześciu Litewskim. Nowy premier zamianował komendantem miasta energicznego działacza Kowańkę, który ogłosił w Kijowie stan oblężenia. Powołał on także pod broń kilka tysięcy „wolnych kozaków“, należących do różnych warstw społeczeństwa i zwrócił się o pomoc do stojących w Kijowie pułków ukraińskich. Te atoli zdradziły sprawę Ukrainy w obliczu nadciągającego wroga zewnętrznego i ogłosiły swą neutralność. Rządowi ukraińskiemu, przyjmując nawet w rachubę świeżo powołanych „wolnych kozaków“, pozostały wskutek tego w rękę zbyt nikłe siły, aby mógł nimi wywalczyć sobie zwycięstwo. Nadrabiano zatem strasznym terorem, ale i on na niewiele się przydał. Jak zaś wyglądał ów terror zacytuję bodaj jeden przykład, choć mógłbym ich przytoczyć znacznie więcej. Oto Ukraińcy zabili znanego mi urzędnika z Centrosacharu za to tylko, że w sklepie wobec kupca wyraził pewne wątpliwości co do wartości pokrycia puszczonego w obieg karbowanów.

Po dwutygodniowych walkach ulicznych i okrutnej obustronnej kanonadzie, do miasta wygłodzonego, porozbijanego i brudnego, bo pozbawianego raz po raz wody i elektryczności, rankiem dnia 26 stycznia wkroczyły wojska bolszewickie pod dowództwem pułkownika Murawiewa, przedtem zaś w nocy z 25 na 26 z całym rządem i z wybitniejszymi przedstawicielami Małej Rady w kierunku na Żytomierz wyjechał premier Hołubowicz. Ku Żytomierzowi również wycofały się nieliczne siły ukraińskie i garść wojsk polskich, w czem duży procent oficerów. Opuszczenie Kijowa nastąpiło przecież tak nagle, iż ten wypadek wprost zaskoczył bardzo wiele osób, które za to później zapłaciły życiem.

Zwycięscy zaraz w kilka godzin po wkroczeniu przystąpili do niezmiernie krwawych egzekucyj, rozstrzeliwując bez sądu tysiące ludzi zarówno z pośród nierewolucyjnie nastrojonych Rosjan jak i Ukraińców. Tu i ówdzie ten los spotkał także Polaka. Na usprawiedliwienie bolszewików chyba to tylko podnieść można, iż poczęści była to odpowiedź na mnóstwo czynów teroru, popełnionych przez Ukraińców. Takich jednak hekatomb ludzkich jak tych, jakie urządzili bolszewicy, nikt się nie spodziewał. Wnet na ulicy pokazali się znowu ze strzelbami na grzbietach żydzi, którzy w czasie walk o Kijów, pominawszy bandytów żydowskich i niektórych specjalnie bolszewikom oddanych osobników, zniknęli całkowicie z oczu ludzkich, przesiadziawszy ten czas w piwnicach. Jedyłą ochroną mieszkańców miasta, w którym działały się teraz dantejskie sceny, były straże kamieniczne, zorganizowane i jako tako uzbrojone tam szczególnie, gdzie znajdował się energiczniejszy nieco komitet domowy. Skład owych straży lokatorskich, przynajmniej w połowie był polski, bo Rosjanie od niebezpiecznych funkcji strażniczych ociągali się. Wejścia pryncypalne do domów pozostawiano drzewem opa-

łowem, pozostawiając tylko poboczne, a zresztą na ulicę wychodził ten tylko, kto musiał.

Rząd ukraiński wydobywszy się z Kijowa, nawiązał natychmiast układy z państwami centralnymi i przy końcu lutego 1918 r. podpisał z nimi traktat, który w danej sytuacji był może jedynym wyjściem, ale Ukrainę, jak się to później okazało, kosztował bardzo wiele. Państwa centralne zawarły sojusz z Ukrainą i wezwały rząd rosyjskich Komisarzy Ludowych do wycofania wojsk z Kijowa i z sąsiednich obszarów, co też nastąpiło na rozkaz Lenina w dniach 26—28 lutego i 1 marca. Wraz z bolszewikami opuściły prawobrzeżną Ukrainę także znajdujące się z nimi na stopie neutralnej oddziały czeskie. Dnia 1 marca 1918 r. wkroczyły do Kijowa wojska niemieckie, a dnia 6 marca wrócił do stolicy rząd Hułubowicza. I wtedy zaczęły się nowe egzekucje, już trzecie z rządu w ciągu dwóch miesięcy. Tak obficie jak na wiosnę 1918 r. Kijów nie spłynął krwią nigdy chyba od czasu najazdu Mongołów.

Oto co notuje mój diarjusz o tym smutnym okresie walk oraz scen pełnych grozy:

„Od 15 stycznia słyhać ciągle trzask karabinów maszynowych i pojedyncze wystrzały z broni ręcznej. Grzmią także armaty i to nie z wielkiej odległości, gdyż nocami widać blask wystrzałów. Dwa pociski uderzyły opodal domu, gdzie mieszkam, przy ulicy Strietieńskiej, w gmach dla położnych. Oglądałem skutki uderzenia o mur. Dziwnie nikłe! Przypisuję to znakomitej, zwięzłej, żółtej cegle kijowskiej. Zabito niemało osób, zwłaszcza przy przechodzeniu ulicą Wielką Włodzimierską, wzdłuż której rozlega się salwa po salwie. Ludzie nieraz zupełnie sobie lekceważą ogień zarówno karabinowy jak i maszynowy. Niekiedy leżą wprost pod obstrzał karabinów“.

„Z jedzeniem całkiem licho. Zdołałem kupić w sklepie przy ulicy Stołypinowskiej kilka funtów chleba po 3 ruble za funt i funt sucharów za 4 rb. Kielbasa, co prawda

marna, stosunkowo tania, bo 6 rb. funt. Jaje sztuka 28 kop. Smutnie siedzi się i pracuje przy świeczce. Za lichą żądano w sklepiku 1,25 rb. Dziś (20 stycznia) o godz. 6¹/₂ wieczorem w suterenach naszej kamienicy, ku radości wszystkich mieszkańców, pokazała się woda w wodociągach, zaś o godz. 10 wieczorem zabłysła elektryczność. Pod wieczór ucichła strzelanina i w mieście zupełnie spokojnie. Latarni ulicznych jednak nie zapalono“.

„Pełnimy straż na schodach, czasem na podwórzu, zawsze po dwie osoby razem, przyczem broń (karabin i nagan) przechodzi z rąk do rąk. Do ewentualnego zaalarmowania lokatorów w razie niebezpieczeństwa służy mosiężna miednica, zawieszona na sznurku. Mają iść na pomoc z czem kto może: siekierami, młotkami, nożami itp. Zmieniamy się co 2 godziny. Tak już od kilku dni. Pojedyncze zabłąkane kule karabinowe wybijają okna w kamienicy i dziurawią rynny. Co jakiś czas przychodzi ktoś z miasta i przynosi wiadomości, które potem przez cały dzień kursują po domu. Ja też dzisiaj (20 stycznia) wychodziłem i przedostawałem się przez niebezpieczną, ciągle ostrzeliwaną ulicę Wielką Włodzimierską, kierując się przez Proreznę ku Kreszczatykowi, na którym było już spokojnie i tylko od czasu do czasu rozlegały się strzały, głównie z ręcznej broni. Wyprawa ta, zresztą nie pierwsza i zdaje się, że nie ostatnia, była konieczna, aby dostać się do drukarni Polskiej i oddać tam korektę kilku stron mojej książki¹⁾). W tej przechadzce towarzyszyło mi niewątpliwie szczęście. W momencie, gdy z Wielkiej Włodzimierskiej wchodziłem w Prorezną, uderzył nademną pocisk armatni w mury szczytowe narożnej kilkupiętrowej kamienicy. Zostałem obsypany pyłem, powstałem z pokruszonego tynku, i tylko jeden większy odłamek muru

¹⁾ Zarys geografii fizycznej ziem polsko - litewsko - ruskich. Kijów, 1918.

gruchnął mnie w plecy, co przez futro robiło wrażenie silnego szturknięcia kułakiem“.

„Więcej do opowiedzenia emocjonujących zdarzeń mają jednak ci, którzy chodzili po wodę do Dniepru, a było to konieczne w ciągu 3 dni, kiedy wodociągi nie działały. Przy takiej wyprawie ułamkiem pocisku armatniego zabita została jedna ze służących naszej kamienicy. Szrapnel rozszarpał również przechodzącą koło klasztoru św. Michała znajomą mi lokatorkę parterowego domku, stojącego na rogu ul. Strietieńskiej i Strzeleckiej“.

„Najciekawsze rzeczy opowiada przecież przychodzący od czasu do czasu do naszej kamienicy, do swej matki tu mieszkającej, oficer ukraiński, stojący blisko Generalnego Sekretariatu, nazwiskiem zdaje się Andrejenko. Oto między rzeźmieszkami, rabującymi sklepy kijowskie, znajduje się mnóstwo żydów, którzy w swej niecej robocie, zupełnie nie oszczędzają interesów nawet współwyznawców. Zastrzelono jednego z takich nicponiów. Wręcz obciążony był wszelkiego rodzaju towarami: bucikami, czekoladą i t. p. Ale trafiali się i inni żydzi. Pewien żydbolszewik, były żołnierz, ukryty za kominami strzelał przez czas dłuższy z dachu do Ukraińców z karabinu maszynowego aż go wytropiono i zestrzelono. Żydzi ze swymi sympatjami stoją prawie bez wyjątku po stronie elementów wrogich Ukraińcom, choć oni, zdaniem Andrejenki, wszystko zrobili, aby ich pozyskać. Polacy natomiast biorą nieoficjalnie udział w kijowskich walkach ulicznych i wspomagają, gdzie mogą, oddziały ukraińskie. Jest także mała pomoc ze strony niektórych Czechosłowaków, a podobno i Czezeńców. Wywiad ukraiński według Andrejenki nie działa dość sprawnie, bo krzyżują go fałszywe wieści, rozpuszczane przez żydów. Dziś (20 stycznia) była np. wiadomość, że bolszewicy z rana zaczną bombardować cerkiew św. Zofji i gmach Izb Rządowych (prisustwiennija miasta), stojący na placu za pomnikiem Bohdana Chmielnickiego.

Wydano nawet ludziom polecenie opuszczenia tych stron. Pokazało się jednak, że alarm był fałszywy. Ciężkie walki toczono o dworzec kolejowy, który przechodził z rąk do rąk. Najdłużej trzymali się bolszewicy w szpitalu przy św. Michale i na Andrejowskim Zjeździe. Ogniem armatnim ciągle szukali oni zmienianej bezustannie siedziby rządu ukraińskiego i Małej Rady. Andrejenko opowiadał mi również w zaufaniu, że ze strony ukraińskiej rozpuszczono wiadomość, iż 34.000 Polaków od Mińska w pospiesznych marszach zdąży Ukraińcom na pomoc, jak i to, iż Polacy pojмали Krylenkę. Rozpowszechniano także pogłoski, że Austriacy posuwają się ku Dnieprowi, że zajęli już wschodnią część Wołynia i t. p“.

„Wszystkie te zabiegi i wysiłki Ukraińców okazały się przecież daremne. Utrzymać się w Kijowie nie zdołali i opuścili go w nocy z 25 na 26 stycznia. Zauważyłem dziś (26 stycznia), że zniknęli również trzej oficerowie polscy, którzy kwaterowali w umeblowanych pokojach w tej samej kamienicy, gdzie i ja mieszkam. Prawdopodobnie i oni wyszli z Ukraińcami. Andrejenko pozostał, bo o godz. 10^{1/2} rano wpadł do mnie z prośbą, aby go ratować przez udzielenie mu cywilnego ubrania, gdyż boi się uwięzienia albo „czego jeszcze gorszego“. Słyszał, że krasnoarmiejcy już kilka osób zamordowali. Dałem mu natychmiast jedno z moich ubrań, w które się u mnie przebrał, a mundur wojskowy zawiązał w papier i wyrzucił przez okno pokoju na niżej położony dach sąsiedniego dwupiętrowego domu. Płaszcz dać mu nie mogłem, bo zapasowego nie miałem. Ale stale jest tak ciepło, choć to styczeń, iż przypuszczam, że w ubraniu wytrzyma. Pożegnał się serdecznie i wyszedł, licząc, że dotrze szczęśliwie do oddziałów ukraińskich. Była to już chyba ostatnia chwila, ponieważ o godzinie 11^{1/2} rano weszli do kamienicy dwaj krasnoarmiejcy z karabinami i rozpoczęli jakieś poszukiwania. Straż domowa nie spisała się dobrze, bo wpuściła ich, jak się dowiedziałem,

nie pytając nawet o legitymacje. Byli i u mnie. Zaglądnęli do szafy i komody, poczem wyszli. Wylegitymowałem się, co robię i z czego żyję“.

„Ciężka nad wyraz była noc z dnia 25 na 26 stycznia. W kilku punktach nad miastem zjawiły się łuny pożarów. Jeszcze nigdy i tak zbliżona nie słyszałem takiej zawziętej i długotrwałej kanonady. Grzmiącym bez ustanku salwom armatnim towarzyszył silny blask wystrzałów, widoczny z mojego okna od strony południowo zachodniej. Wskazywało to, że bolszewicy przedostali się z artylerją na wzgórze, znajdujące się koło wsi Sawki, panujące nad okolicą, i to niewątpliwie rozstrzygnęło o nagłym opuszczeniu Kijowa w nocy przez Ukraińców. Ogień artyleryjski, bardzo żywy, zasypujący miasto setkami pocisków, utrzymywany był także z lewego brzegu Dniepru i z Peczerska, tak, że pozostawała tylko jedna droga do wyjścia, t. j. szosa żytomierska i to nie całkiem już pewna. W gwałtownej kanonadzie musiały też wziąć udział i cięższe działa, przynajmniej do 15 cm włącznie. Mówiono nawet o 6 calowych“.

„Koło południa 26 stycznia wyszedłem na miasto, które po blisko dwutygodniowej kanonadzie wydało mi się dziwnie spokojne. Oglądałem wyrządzone szkody. Niektóre rzucają się od razu w oczy, inne, gdzie pocisk, wierząc mur lub burząc okno, wpadł do środka domu, są mniej widoczne. Między innymi budynkami ostatniej nocy spłonął wielopiętrowy dom frontowy przy Bibikowskim bulwarze nr. 4, mieszkanie zaś prezesa sekcji szkolnej, Karola Wilkoszewskiego, znajdujące się w tej rzeczywistości, rozbił pocisk artyleryjski“.

„Może teraz zaczną miasto nieco przyprowadzać do porządku, zbierać trupy i usuwać padlinę. Koń zabity na rogu ul. Stołypinowskiej i Wielkiej Podwalnej już dnia 20 stycznia leżał tam 5 dni, a bezdomne psy wyszarpały spory kawał mięsa z jego zadu. Trup na ulicy Karawajowskiej leży już 7 dni nieoprzebany.

„Spotkałem znanego mi nauczyciela Ukraińca. Niesłusznie rozżalony jest na Polaków, że nie pomogli w walce z bolszewikami. Wyjaśniłem mu, iż podnosi niesprawiedliwe zarzuty, tem bardziej, że rząd ukraiński wszystko stale czynił, aby udaremnić szybką organizację polskich sił zbrojnych, a nawet zatruć dobre współzycie dwóch narodowości. Przecież jeszcze w ostatniej chwili władze ukraińskie zarekwirowały gmach polskiego teatru, choć miały do dyspozycji inne budynki. A i przydział gmachów szkolnych w Kijowie to niemniej krzyżująca niesprawiedliwość. Polakom oddawali Ukraińcy jeden tylko budynek szkolny, mianowicie gmach I. gimnazjum, Rosjanom 3, żydom 8, a sobie zatrzymywali 27. Wszystkie te argumenty nie bardzo jednak przekonywały mojego interlokutora“.

„Dowiedziałem się, że przy ratowaniu rannych zabity został skaut Balicki, uczeń szkoły polskiej, ale również i inną rzecz mniej budującą, a mianowicie, że były uczeń szkół polskich Łaski przystał do krasnoarmiejców. Żołnierze bolszewicy są bardzo dobrze wynagradzani. Za 5¹/₂ godzin służby otrzymują 10,50 rb. dziennie¹⁾. Jest ich podobno niedużo. Oddział t. zw. „czerwonej gwardji“, który wziął udział w zdobywaniu Kijowa, ma być złożony tylko z 500 żołnierzy. Wszyscy prawie krasnoarmiejcy ubrani są niedbale, mówią wyłącznie po rosyjsku i bratają się ostentacyjnie z żydami, chodzącymi z karabinami jak na początku rewolucji. Sporo żydów siedzi także na koniach i objeżdża ulice wskazując bolszewikom różne domy. Mówiono mi, że krasnoarmiejcy są wobec Polaków źle nastrojeni“.

„W ciągu dni 27 i 28 stycznia nic nie zanotowałem, bo, napatrzwszy się na niesłychane okropności i nasłuchawszy się strasznych wieści, nie chciałem to wszystko odrazu powierzać papierowi. Przedewszystkiem musiałem

¹⁾ W celach agitacyjnych rozpuszczali krasnoarmiejcy wieści, że żołd dzienny wynosi nawet 30 rb.

sprawdzić niejedno, a także odczekać na wiadomości uzupełniające. Dopiero wieczorem 29 stycznia przystępuję do kontynuowania zapisków“.

„Zdobycie Kijowa robi wrażenie najścia na miasto jakichś krwiożerczych bandytów, a gdy idzie o sprawę niepodległości Ukrainy, jest to znowu zwycięstwo i triumf rosyjskiego centralizmu. Ukraińskie instytucje skazane są na zupełną i brutalną zagładę. Niemniej brutalnie ma się dokonać przeistoczenie dotychczasowego systemu posiadania, a pierwszym zadaniem tego jest zdaje się doraźne niszczenie puszczonech przez Ukraińców znaków pieniężnych, co dla ogółu ludności połączone jest z ogromnymi stratami materialnymi. Wszędzie odbywają się rewizje domowe. Ale, że po jednej następuje nierzadko druga lub trzecia, przeto na wielu domach widoczne są kartki uwiadomujące, że rewizja już się odbyła. Straże kamieniczne działają dalej, co daje pewne złudzenie bezpieczeństwa, w istocie przecież żadnego nigdzie niema. Każdy człowiek i wszędzie może być bezkarnie zabity lub ograbiony. Bolszewicy ustanowili takse na artykuły spożywcze i jedyny jej skutek jest ten, że zniknęły one całkowicie z targu. Zwłaszcza brak chleba, co podnosi nastroje rewolucyjne“.

„Straszliwy terror! Sokolskiego, utalentowanego artystę teatru Miniatur przy ulicy Mikołajewskiej, rozstrzelano 27 stycznia za to, że w śpiewanych kupletach stawał dawniej niejednokrotnie w obronie oficerów. Dziś był jego pogrzeb. Za trumną szły tłumy ludzi, bo Sokolski był bardzo lubiany i popularny. To też musiało być przyczyną, że bolszewicy ciało wydali i na pogrzeb pozwolili. Dla innych swoich ofiar takich względów nie znają, ciała ich spychając do Dniepru albo grzebiąc lichy i płytko w ogromnych wspólnych mogiłach. Zresztą i to nie zawsze. Na placu Cesarskim leżą trupy wywleczonych z hotelu „Continental“ i rozstrzelanych oficerów rosyjskich: hr. Mussil-Puszki, ks. Wołkońskiego, ks. Szczerbatowa, Bobriczewa i ja-

kiegoś piątego, którego nazwiska nie umiano mi powiedzieć. Na dworcu kolejowym porzucono ciała trzech żołnierzy lub oficerów polskich, obdartych z butów i spodni, do rozpoznania tylko po polskich orzełkach. Na rogu ulic Wielkiej Włodzimierskiej i Bibikowskiego bulwaru, gdzie odbyła się jedna ze zbiorowych egzekucyj, trupów już niema, ale wielka struga krwi zastygła w zlewie ulicznym, spływając tędy dzięki pochyłości terenu aż prawie do przecznicy Tereszczenkowskiej“.

„Środkiem jezdni, zwłaszcza Kreszczatykiem, wiozą pospiesznie ku Dnieprowi nawet w biały dzień wozy trupów gdzieś pomordowanych, przeważnie poobdzieranych z odzieży, strasznie zakrwawionych i byle jako w najzupełniejszym nieładzie spiętrzonych. Z poza niedbale rzuconej i brudnej płachty, okrywającej transport i przywiązanej do pojazdu na krzyż sznurem, zwieszają się we wszystkich kierunkach chwiejące się ręce, nogi lub głowy, często z rozbitymi czaszkami. W środku wozu miejsca już nie znalazły! Za woźnicą albo za szoferem siedzi wysoko na płachcie na stosie trupów jeden lub dwóch krasnoarmiejców z karabinami i zawsze prawie dwóch lub trzech uzbrojonych żydów, surogat milicji, śmiejących się lub wykrzykujących coś na całą ulicę. Gapiące się na chodnikach młode żydówki powiewają do nich chustkami lub jeszcze częściej złożonemi drukami, nierzadko podskakując i podśpiewując sobie wesoło. Krew ścieka z wozów i zostawia ponurą smugę na bruku. Niewątpliwie większość pomordowanych to oficerzy. Inną grupę oficerską zamknęli bolszewicy narazie w operze. Dziś ma się odbyć nad nią sąd. Raz wraz powietrze przeszywa świst skądeś zawieruszonej kuli karabinowej. Zwłaszcza o zmroku wzmagą się ta bezładna strzelanina i chodzenie po mieście o tej porze jest niebezpieczne. Tramwaje, które zaprzestały kursować w połowie stycznia, jeszcze nie działają. Tu i ówdzie widzi się tłum ludzki, a wśród niego przemawiających agitatorów, naj-

częściej żydów. Przemawiał także publicznie zdobywca Kijowa, były carski pułkownik żandarmerji, Murawiew. Tłum wrzeszczał i szczególnie głośno aplaudował te zwroty w przemówieniu, które atakowały ostro burżuazję. Wogóle nienawiść tłumów do burżuazji a także i do wszelkiej inteligencji z każdym dniem się wzmacnia. I są tego głębokie powody. Burżuazja rosyjska roi się od nędznych spekulantów, ludzi twardych i egoistów, pozbawionych wszelkiej rycerskości. Co inteligentnego poza nią w Rosji, to z małemi wyjątkami albo mistycy albo przewodcy rewolucji. Wymieniano mi po nazwisku rosyjskiego senatora, który w momencie jesiennego przewrotu bolszewickiego bardzo żałował, że nie znajduje się w tym czasie w Piotrogradzie, bo wobec rabunku, dokonywanego w pałacach carskich, mógłby nabyć tanio wiele cennych rzeczy“.

„Zaczął obowiązywać nowy styl kalendarza. Wczoraj jeszcze było 31 stycznia a dziś już 14 następnego miesiąca. Mało przecież z tego powodu rozmów po mieście, bo wszyscy zaprzątnięci są brakiem żywności, pieniędzy i kłeską, jaka spadła na ludność pod postacią nieuznawania ukraińskich karbowanćców i kuponów od różnych pożyczek. Także nastąpiło przesunięcie wskazówek zegara o godzinę wstecz, co wywołuje przeróżne chwilowe niedogodności“.

„Już zaczęto obmurowywać pogruchotane przez pociski armatnie otwory okienne, bramy domów i t. d. Wszędzie stukają młotki, bryzga wapno i sypią się cegły. Niektóre wybite okna szklą na nowo, inne zabijają deskami. Słowem zjawił się swojego rodzaju przymusowy ruch budowlany w tak wczesnej porze roku. Sklepy, przez wiele dni zamknięte, znowu poczęści otwarte. Uderza fakt, że niektórzy żydzi wprost gorączkowo wyprzedają zapasy towarów. Są i tacy między nimi, którzy skupują karbowanćce, wypuszczone przez rząd ukraiński na sumę 20.000.000. Czyżby się spodziewali nowych zmian politycznych?“

„Długie szeregi ludzi, pragnących mieniać pieniądze, stoją przy budynku Banku Państwa. Słyszałem jednak, że pieniędzy przy zgłoszeniu chęci wymiany nie wypłacają, lecz tylko zapisują nazwiska zgłaszających się i wpłacających. Musi w tem tkwić jakiś podstęp bolszewicki. — Pokazały się niektóre gazety, ale o rzezi w nich głucho. Najlepiej jeszcze wygląda i najwięcej informacji przynosi „Dziennik Kijowski“, stąd nabywany nawet przez Rosjan“.

„Mordowanie masowe ludzi powoli ustaje i dziś (14 lutego) można już jako tako zorientować się w tem, co się działo. Najstraszliwsza i z największym sadyzmem dokonywana rzeź miała miejsce przy pałacu cesarskim. W dniach 27 i 28 stycznia leżało tam w stosach i bezładnych grupach do 1000 trupów poczęści straszliwie zmasakrowanych, bo z porozbijanemi głowami i otwartymi jamami brzuszными¹⁾). Ciała około 20 oficerów walały się po ulicy Bezakowskiej i mniej więcej taka sama ilość na rogu Wielkiej Włodzimierskiej i Bibikowskiego bulwaru, o czem wspominałem już wyżej. Zabijano od kadeta dwunastoletniego aż do generała pozasłużbowego, nieraz starca zwyż 70-letniego. Wiele osób zamordowano pod murem kamienic, na podwórzach i w mieszkaniach. Starego pułkownika pozasłużbowego Münicha oddział bolszewicki, wpadłszy do mieszkania, najpierw ograbił z 1.800 rubli, poczem po 10 minutach wrócił i zamordował. Młody Trzebiński zginął przy sposobności rewizji w mieszkaniu jego rodziców. Nic nie przeczuwając wszedł do przedpokojku ze szlifami oficerskimi na ramionach. Pochwycono go w oczach rodziców i rozstrzelano. Zginął hr. Zamoj-ski, porwany z „Continentalu“²⁾), hr. Möler-Zakomelski, jakiś generał Iwanow i inny Dragomirow. Były relacje dziś

¹⁾ Osobiście na placu egzekucji nie byłem, ale informacje zebrałem od osób, które tam dotarły i opowiadając mi, co widziały, wzajemnie prostowały niejedną szczegół.

²⁾ Informacja otrzymana w hotelu.

rano, z ust do ust podawane, że zamordowany został znany publicysta Szulgin, choć także krążyły wieści, iż gdzieś się ukrył. Mordowano również, gdzie spotkano, żołnierzy polskich, a sporo polskich oficerów leżało między trupami przy pałacu cesarskim. Wśród nich podobno któryś z pułkowników. Masę ludzi zabito w cyrku przy ulicy Mikołajewskiej, gdzie poprzednio egzekucje wykonywali także ukraińscy „wolni Kozacy“, rozstrzeliwując bolszewików, schwytanych w czasie walk ulicznych, co zresztą działo się i w innej jeszcze rzeczywistości przy tej samej ulicy, a mianowicie w podwórzu pod nr. 15. Liczbę tu zamordowanych trzeba oceniać na setki. Trupy, jak to stwierdził naoczny i zupełnie wiarogodny świadek, oglądający z okna to, co się działo, wywożono stąd w nocy, wozy i automobile ciężarowe niczem nawet nie przykrywając. Wszystkie ciała były albo zupełnie albo częściowo odarte z odzieży, przedewszystkiem zaś z butów“.

„Po mieście krążą bezustannie ciężarowe automobile wypełnione uzbrojonymi krasnogwardziejcami, a jeszcze więcej tych postaci uwija się po chodnikach ulic. Podobno między żołnierstwem bolszewickim znajdują się i kobiety. Pokazywano mi jedną taką, w szynelu żołnierskim i czapce, wysokich butach, z karabinem na plecach. Z twarzy surowej i zawziętej nikt nie domyśliłby się, że to przedstawicielka płci żeńskiej. Widzę, że i żydzi zaczynają się przebierać w szynele żołnierskie, choć dotąd typowym strojem żyda-rewolucjonisty, o ile on chciał się uzewnętrznic, był przewiązany wpół ciała rzemieniem, przylegający kaftan skórzany.

Wyszukiwanie dalszych ofiar, prowadzonych przez żołnierzy na stałe lub przygodne miejsce egzekucji, trwa ciągle jeszcze i polowanie na ludzi odbywa się nawet na ulicy. Dziś (14 II.) około godziny 11 przed południem widziałem na Dumskim placu jak z rewolwerem w rękę jechał żołnierz na koniu wzdłuż chodnika i bacznie przy-

patrywał się idącej publiczności. Może szukał jakiegoś po cywilnemu przebranego oficera rosyjskiego lub ukraińskiego. Strzelaniny po nocach od dwóch dni już jednak nie słychać. Wśród popółstwa kursują po mieście głuche wieści, że bolszewicy na wypadek konieczności wyjścia z Kijowa urządzą rzeź inteligencji i tak zwanej burżuazji. Ale takich plotek jest więcej, a między nimi niektóre zupełnie niedorzeczne jak np. o marszu Rumunów na Odesę albo o mającym wyjść dekreście, kasującym uniwersytety i wyższe klasy szkół średnich“.

„Rozleniwienie służby domowej zupełne. Obecnie na ogół nie chce ona spełniać żadnych prawie obowiązków i, pominawszy nieliczne wyjątki, dla pragnących ją zatrudnić jest raczej ciężarem nie zaś pomocą. Jedynym jeszcze hamulcem przed zbyt jaskrawymi wybrykami tej grupy są istniejące po domach komitety i straże kamieniczne. Ale i one nie zawsze pomagają. Gdzie może i jak może służba stara się następnie swych pracodawców upokorzyć i pokazać im brak szacunku. Gdy dozorczy domu, gdzie mieści się polska szkoła średnia, w jakiejś sprawie przyszli do prezesa sekcji szkolnej Karola Wilkoszewskiego, szczególnie zawsze służbie życzliwego, przedewszystkiem nieproszeni porozsiadywali się na fotelach i zażądali papierosów“.

„Rośnie także z każdym dniem rozluźnienie obyczajów. Po zapadnięciu zmroku można oglądać najgrubsze sceny erotyczne po wszystkich mniej uczęszczanych ulicach oraz we framugach bram wchodowych. Nawet niepogoda lub dojmujące chłody nie ostudzają zawziętych zapałów miłosnych. Jakikolwiek wstyd zanika a kapłanka wstydu, kobieta, w bardzo dużym procencie, i to nie tylko ta z ludu, staje się zwierzęciem. Potoki wylanej krwi i nieszczęsne losy tysięcy ludzi nic ją nie obchodzą. Nawiązałem na te drażliwe tematy kilka rozmów z inteligentnymi kobietami, Rosjankami. W rezultacie podziwiałem

bezczelność niektórych, z jaką usprawiedliwiały to wszystko, co się naokół nich dzieje pod względem obyczajowym. O każdej zaś sprawie miały sąd tak apodyktyczny jak tylko go mieć może człowiek ograniczony do oceniania świata jedynie przez pryzmat mdłych teoryj. Właściwa tym kobietom chęć użycia jeszcze bardziej wzrosła. Obecnie pójdą za każdym, kto im zapewni dobrobyt i swobodę oddawania się rozpuście. Ale i Polki tutejsze, w znacznym przynajmniej odsetku, nie mogą niestety imponować swoim poziomem etycznym. Nigdy nie wysoki nad Dnieprem, w przeciągu dwóch ostatnich lat jeszcze bardziej się obniżył. Gangrena wschodnia i polskie dusze potężnie nieraz przeżarła“.

„Dowiedziałem się od pewnego Ukraińca, że dzisiaj zarekwirowano lokal Związku Polaków Wojskowych przy ulicy Puszczyńskiej. Polacy wojskowi, wychodząc z Kijowa, nieopatrznie zostawili podobno wszystkie prawie papiery, co niebawem może być powodem wielu kłopotów a nawet tragedyj. Ów Ukrainiec opowiadał mi również, że oficerowie polscy wyszli piechotą szosą brzesko-litewską, uzbrojeni w karabiny i obładowani nabojami, których spory zapas mieli na taśmach. Iść prędko przecież nie mogli, gdyż byli bardzo zmęczeni już w Kijowie“.

„W 10 dni po zajęciu miasta odbył się pogrzeb bolszewików, padłych w bojach o Kijów. W niedzielę dnia 17 lutego o godzinie 12 posuwał się uroczysty pochód w dół ulicą Funduklejską. Otwierał go znaczny oddział huzarów na koniach i muzyka wojskowa. Niesiono wiele czarnych płacht z białymi napisami, głoszącymi wielkość ofiary poniesionej na rzecz rewolucji, ludu, wolności i t. p., a za tem wszystkiem toczył się długi korowód niedużych wózków wojskowych z trumnami, poczem raz jeszcze muzyka i szereg płacht agitacyjnych, ale już z napisami czerwonymi. Wszystkie lokale publiczne i jadłodajnie musiały być zamknięte“.

„Dziś 18 lutego jeszcze jeden pogrzeb marynarza, poległego pod Kijowem. Muzyka, trumna przykryta czarną osłoną z białymi napisami, koń wierzchowy za trumną, wreszcie doskonale odziany oddział krasnoarmiejców“.

„Wśród Polaków ogromne przygnębienie wywarła wiadomość, iż Austro-Niemcy pokojem w Brześciu Litewskim odstąpili Ukraincom Chełmszczyznę. Ale polscy sympatycy państw centralnych w Kijowie i w obliczu tego faktu usiłują jeszcze usprawiedliwiać zarówno Berlin jak i Wiedeń. Wręcz bierze pokusa uwierzenia złośliwym pogłoskom, iż tych panów z państwami centralnemi wiąże coś więcej niż nic poczucia wspólnego interesu politycznego. Niemniej zastanawia fakt, że Stanisław Grabski opuścił w tych dniach Kijów i według jednych pojechał do Piotrogradu, według innych zaś do głównej kwatery generalissimusa bolszewickiego Krylenki w Mohilewie nad Dnieprem. Jakież to mogą być układy i o co w nich może chodzić? Przecież udział Rosji w walce przeciwko państwom centralnym skończył się praktycznie i formalnie przez sam fakt zawarcia pokoju brzeskiego. Bolszewicy nie dadzą się również zachęcić do popierania wojskowych formacyj polskich w Rosji, chybaży ich ktoś przekonał, że armja polska zdobędzie na pewne dla nich Polskę i odda ją w szpony bolszewickie, co znowu nie może być celem zabiegów Grabskiego. Ale i przy takich nawet propozycjach bolszewicy byłiby z pewnością bardzo ostrożni, gdyż wyrosli protekcją niemiecką i dalej jej jeszcze potrzebują, narazie więcej nawet niż obszarów nad Wisłą. Chyba Krylenko zdaje sobie sprawę z tego wszystkiego“.

„Po mieście kursują coraz to nowe pogłoski o zbliżaniu się wojsk austro-niemieckich, a pośredniem niejako potwierdzeniem prawdziwości tego marszu jest popłoch, jaki zauważyłem wśród wojskowych francuskich. Ich szpital, dotąd tu czynny, dziś opuszcza Kijów i wyjeżdża zdaje

się do Moskwy. Nad Dnieprem Austro-Niemców spodziewają się za dni 10. Ale radości z ewentualnej zmiany obecnej okupacji na więcej kulturalną narazie nie widać żadnej, gdyż równolegle z omawianymi pogłoskami krążą uparcie i inne, a mianowicie o przygotowywanej rzezi inteligencji, która ma nastąpić na wypadek wycofywania się z Kijowa bolszewików. Równocześnie miasto ma być oddane motłochowi na rabunek. Tymczasem bolszewicy urządzili t. zw. „dzień niszczety“. Krasnoarmiejcy chodzili tu i ówdzie po domach, przeglądali szafy z garderobą i zabierali to, co uważali, że się przyda „niszczecie“, to jest ubogim. Być może jednak, że pamiętali przedewszystkiem o sobie. Zaglądnęli i do mnie, lecz nic nie wzięli, bo to, co możnaby było mi zabrać, już sam rozdałem różnym znajomym jeńcom wojennym, którzy, drogą na Kijów, uciekając z Rosji, odwiedzali mnie i nieraz potrzebowali odzieży a zwłaszcza bielizny“.

„Rządy bolszewickie zdaje się dobiegają końca. Ciągłe ta sama nędza, brud, główne bramy kamienic zamknięte i zatarasowane drzewem opałowym, komitety domowe pod bronią. Dziś w nocy, t. j. z 26 na 27 lutego, komitet domowy odparł atak na kamienicę, stojącą na rogu ulic Wielkiej Włodzimierskiej i Proreznej. Spisał się w każdym razie lepiej niż tydzień poprzednio komitet w domu Demczenki przy Mikołajewskiej. Oto marynarze w liczbie 4, choć odpędzeni od jednej bramy tej kamienicy, wdarli się do niej drugą od strony ulicy Olgińskiej i porwali Demczenkę na rozstrzelanie a syna jego wyrzucili przez okno“.

„Bolszewicką republiką ukraińską w charakterze ministra spraw wewnętrznych rządzi towarzyszka Bosz, ośm-nastoletnia żydówka, która jest zarazem honorowym szefem któregoś z korpusów czerwonej armji, finansami zaś państwa ukraińskiego kieruje 22-letni żydek Kreisberg. Opowiadają wprost horrendalne rzeczy o rozpuszcie uprawianej przez ową towarzyszkę Bosz, Kreisberga i cały ten

zespół rządzący, składający się z bardzo małemi wyjątkami wyłącznie prawie z żydów¹⁾). Poza tem Bosz jest główną sprężyną i organizatorką rzezi kijowskiej, nieugiętą, nielitościwą i szydzącą ze swych ofiar. Gdy pewien oficer, Rosjanin, kawaler orderu św. Jerzego, nadawanego za męstwo, zdoławszy dotrzeć do okrutnicy, zwrócił się do niej o rozpatrzenie sprawy, z miejsca odmówiła prośbie, dodając: „wszak pan jesteś kawalerem orderu św. Jerzego, a zatem śmierci bać się nie powinieneś“. Po godzinie oficer już nie żył. Jej to przypisać także należy rzeź wyprawioną wśród oficerów kijowskiej szkoły wojennej oraz świeżo, w sobotę 23 lutego, rozstrzelanie trzech oficerów, a w tem i Polaka Leszczyńskiego, na dworcu nr. 3 w Kijowie“.

„Gdy przedtem w ciągu kilku dni nie było słychać strzałów karabinowych, to teraz znowu zaczęły się rozlegać, zwłaszcza wieczorami. Nie brak ich jednak i za dnia białego, najwięcej zaś w okolicy Dumskiego placu i ulic schodzących ku Dnieprowi. Wreszcie dziś (27 lutego) o godzinie 2³/₄ popołudniu rozpoczęły huczeć po mieście wystrzały armatnie, które ludność mocno przestraszyły“.

„Powszechny rabunek sklepów sprawił, że ostatecznie niemal wszystkie zamknięto. Za potrzaskanemi szymbami

¹⁾ Przypomnieć należy, że prawie tylko z żydów składał się również rządzący Rosją t. zw. „Isполнителный Комитет центральново органа Совета рабочих и саідацких депутатов“. Na 30 osób, wchodzących w skład owego Komitetu, nie-żydami byli zaledwie: Czechejdzje (Ormianin), Ceretelli (Gruzin) oraz Skobielew, Sawinkow i Lunaczarski (Rosjanie). Żydowska większość, pominąwszy dwóch członków Komitetu (Lieber'a i Gotz'a), zamaskowała się pod nazwiskami czysto rosyjskiemi jak: Gorew (Goldman), Zinowiew (Apfelbaum), Kamieniew (Rosenfeld), Kamkow (Katz), Martow (Cederbaum), Suchanow (Gimmer), Stiekłow (Nachamkis), Trockij (Brunstein), Riazanow (Goldenberg), Bunakow (Finkelstein), Kamiński (Hofman), Naumow (Ginsburg), Zwiedzicz (Feinstein), Izgojew (Goldman), Sołncew (Goldstein), Czernow (Lieberman), Bogdanow (Silberstein także Joffe), Kierenski (Kobdes), Myszkowski (Goldenberg), Zagorski (Krochmal). Poza tem żyd Łurie przezwiał się Łarin'em, inny żyd Gurewicz Dan'em a Gilfeld Parvus'em

sklepowemi, które, gdy idzie o wygląd co lepszych magazynów, stanowią regułę, niema obecnie żadnych wystaw. Chleba stale brakuje, a jeżeli się gdzie wyjątkowo pokaże, to natychmiast zabierają go na swoje potrzeby oddziały bolszewickie. Łatwiej już jest z mięsem. Funt kielbasy kosztuje 7 rubli. Tramwaje, które przez kilka dni kursowały, ponownie przestały funkcjonować. Gazety, co prawda w bardzo zmniejszonych rozmiarach, wychodzą wprawdzie, ale nie zawierają żadnej treści, mogącej interesować ogół, stąd rzadko tylko brane są do ręki. Wszystkie warsztaty pracy zamierają a właściciele ich rozpuszczają robotników. Ten sam los grozi także drukarni Polskiej, co dla mnie osobiście ma szczególniejsze znaczenie ze względu na dobiegający tam już do końca druk mojej książki, składanej wśród najzawziętszych bojów w mieście. Robotnicy, tracąc pracę, co solidniejsi, rozpaczają i głośno narzekają nawet publicznie na wiecach (jak np. kelnerzy) na czasy, których dożyli. Nie krępują się niczem w swych żalach i wspominają dobrobyt z przed 2 lub 3 lat, kiedy o rewolucji jeszcze nikt nie myślał“.

„Dzisiejsza noc i dzień 28 lutego przyniosły nagłą ewakuację miasta przez bolszewików, gdyż Austro-Niemcy podchodzą już pod sam Kijów. Bolszewicy, ustępując, wywieźli w nocy także złoto nagromadzone w Banku Państwa¹⁾, coś na kwotę 4 milionów rubli oraz mniej więcej 20 milionów w karbowanćach i rublach papierowych. Pogłoski o możliwości zjawienia się nad Dnieprem Austro-Niemców sprawdziły się przeto, co znowu pomiędzy tymi, którzy w czemkolwiek w okresie wojny narazili się państwu centralnym i dlatego schronili się do Rosji, wywołuje wielkie zaniepokojenie a nawet opuszczanie Kijowa, obecnie szczególnie kłopotliwe i trudne. Dr. Władysław

¹⁾ Przypuszczam, że mieściło się w tem również złoto, które zdobyli bolszewicy, rozbijając po bankach skrytki, wynajęte tam przez ludzi prywatnych dla przechowywania cennych rzeczy.

Michejda już nawet wyjechał do Charkowa. Ja postanowiłem zaryzykować i pozostać z innymi na miejscu, przypuszczając, że na ewentualny wyjazd będzie czas wtedy dopiero, gdy niebezpieczeństwo, grożące ze strony austriackich sądów i wogóle władz, przybierze formy więcej realne“.

„Dzisiejszy nastrój w mieście (28 lutego) da się porównać chyba z tym tylko, jaki panuje w Wielką Sobotę przed rezurekcją. Jest to jakieś radosne oczekiwanie czegoś, co ma nastąpić. Rozlew bezustanny krwi, trwający od miesiąca, znużył wszystkich niepomiernie i wyrobił tęsknotę za spokojem i jaką taką pewnością egzystencji. Że bolszewicy jej dać nie umieją, wiedzą już wszyscy, nadzieje kierują się przeto ku tym, którzy mają zająć ich miejsce. Najciekawsze w tem wszystkim, że bolszewicy grozy już nie budzą jak 24 godziny temu, choć włóczą się jeszcze po mieście z karabinami na plecach, a nawet ciągną niedużemi oddziałami, kierując się w stronę Dniepru. Czuje się, że gdyby zechcieli teraz spróbować jakichś gwałtów, spotkają się z groźnym oporem, choćby tylko straży domowych, coraz to obficiejsz zaopatrujących się w broń, którą bolszewicy, wychodząc główną swą masą w nocy, porzucili w gmachu kolegjum Gałagana przy ulicy Funduklejowskiej. Widać, jak członkowie straży domowych zajądźdżają fiakrami przed gmach kolegjum i broń rozwożą. Wiadomo również, że przebywający w Kijowie wojskowi Gruzini i Ormianie, pierwsi zorganizowawszy się, objęli opiekę nad miastem. Sztab tej formacji znajduje się przy ulicy Proreznej. Żydzi, jako tłum, snujący się ostentacyjnie, zniknęli z ulic miasta, a jeżeli tu i ówdzie pokaże się jeden lub drugi, to bez prowokującej miny i zachowuje się skromnie jak zwykły przechodzień. Zeskromniał również bardzo i motłoch wielkowiejski. Dozorca domu przy Strietieńskiej, gdzie mieszkam, wyraźny stronnik bolszewików, bo już za czasów walk o Kijów próbował dać wyraz tym swym sympatjom, kłania się teraz wpół co poważniejszym

lokatorom a nadewszystko patrzy z coraz to większym respektem na broń w ręku straży domowej“.

„Przyglądając się temu wszystkiemu, niesposób mimowolnie nie poddać się rozważaniom, jakby to inaczej być mogło, gdyby Ukraińcy wykazali byli więcej nieco zmysłu organizacyjnego w okresie walki o Kijów i poprzednio. Dziś już wiadomo dokładnie, że siły bolszewickie, którym uległ Kijów, nie wynosiły więcej jak 4 do 5 tysięcy ludzi, czyli nie o wiele przenosiły liczbę rozstrzelanych i pomordowanych oficerów, ocenianą na 3 do 3¹/₂ tysiąca¹⁾. Przecież ci ludzie, odpowiednio zaagitowani, mogli i powinni byli za broń chwycić a jej chyba nie brakowało w arsenałach na Peczersku. Ale Ukraińcy umieli doskonale zmarnować również chęć współdziałania i grupy polskiej. W ostatnim momencie chcieli, aby pomogła, a poprzednio wszystko robili, aby nie dopuścić do jej silniejszego zorganizowania się. Natomiast łączyli się z żydami, którzy ich tak fatalnie zawiedli, a także szczepili w masach ludowych poglądy bolszewickie, aby uścielić niejako drogę swoim wrogom z północy. Dziś znowu sprawę ukraińską oddają z musu w ręce Austro-Niemiec czyli zgrywają się do końca, boć przecież tego rodzaju „sojusznicy“ każą sobie za ratunek słono zapłacić. A cóż wreszcie będzie w razie coraz to prawdopodobniejszego zwycięstwa sprzymierzonych i Ameryki na zachodzie? Z jakim czołem Ukraina zwrócić się może do nich z prośbą o uwzględnienie jej interesów? Między Polakami w Kijowie nie brak ludzi (Jan Ursyn-Zamarajew), którzy głoszą, że polityka ukraińska jest wręcz genialną w swej zręczności i zwrotności. Ja przecież tej genialności dopatrzeć się nie mogę, choć zaprzeczyć się nie da, iż pewne posunięcia taktyczne w stosunku do Piotrogradu były roztropne i celowe, natomiast odnośnie do miejscowych stosunków wszystkie prawie od samego po-

¹⁾ Liczbę tę, jako minimalną, notuję za autorytatywnem źródłem rosyjskiem. Ukraińcy obliczali ofiary kijowskiej rzezi bolszewickiej na 5.000.

czątku nacechowane brakiem logicznej, śmiałej, praktycznej i uczciwej linii postępowania. Życzę Ukrainie wolności, ale przypuszczam, że oddając się w ręce Austro-Niemiec jej nie zdobędzie, zresztą z wielką szkodą dla Polski, która wyzwoliwszy się stanie znowu na wschodzie wobec jednolitego frontu, ciągnącego się od Odesy do Piotrogradu“.

Wróćmy atoli do opisu wypadków, przedewszystkiem zaś tego, co się działo w nocy z 28 lutego na 1 marca. Oto pokazało się, że przezorność komitetów domowych, gdy idzie o uzupełnianie zbrojności, była bardzo potrzebna. Najgroźniejsze napady rabunkowe na domy wykonano właśnie tej nocy, jakby na odchodnem, posługując się przytem gdzie niegdzie karabinami maszynowymi i granatami ręcznymi. Wszystkie te napady, jak przy ulicy Luterańskiej (Anienkowskiej), Instytuckiej i inne, zostały zwycięsko odparte, a napad przy Instytuckiej, najgroźniejszy ze wszystkich i mający na celu rabunek jednej z największych kamienic¹⁾ w Kijowie, skończył się wręcz klęską napastników. Silna straż domowa, złożona w tej kamienicy wyłącznie z Polaków, po odparciu szturm, przeszedłszy do akcji zaczepnej, przy pomocy innych sąsiednich straży, odebrała napastnikom auto pancerne, „pożyczone“ zdaje się z arsenału na Peczersku, i wiele innej broni. Rozumie się, że nie obeszło się przytem bez rannych i zabitych.

Rankiem 1 marca ilość spotykanych już teraz tylko pojedynczo bolszewików bardzo zmalała. Tu i ówdzie widać było huzarów na koniach, zmierzających ku mostowi na Dnieprze. Pod pachą lub w kieszeniach płaszcza mieli po 2 lub więcej, srebrzących się swemi główkami, butelek wina szampańskiego, które, jak mnie informował przechodzień, pochodziły prawdopodobnie z rabunku piwnic

¹⁾ Dwunastopiętrowa, własność Gincberga.

Grand hotelu. Spokój wszędzie panował zupełny a rządy nad miastem objęła дума kijowska.

Około południa przy przepięknej, słonecznej pogodzie latał nad Kijowem całkiem nisko aeroplan niemiecki. W tym samym czasie przez Kreszczatyk w stronę Dniepru szły pułki czeskie, obłocone i zmęczone, bo dzień był ciepły. Grające muzyki nie dodawały jakoś wcale wesołości i rzeźkości temu pochodowi a na twarzach żołnierzy malował się jakiś głęboki smutek. Wiedli ze sobą artylerję i dużo karabinów maszynowych. Ponieważ władam językiem czeskim, zrównałem się z jednym z szeregow i próbowałem nawiązać rozmowę z oficerem, ale dowiedziałem się tylko tyle, że obecnie idą w głąb Rosji. Marsz Czechów trwał przeszło godzinę, bo do 1^{1/2} popołudniu, a po obydwóch stronach Kreszczatyku przypatrywał mu się w zupełnem prawie milczeniu ogromny tłum ludzki, nie rozumiejący należycie związku tego pochodu z mającą nastąpić okupacją miasta przez wojska państw centralnych.

Mniej więcej o trzeciej popołudniu posłyszano niespodziewanie w zachodniej stronie miasta krótką kanonadę, którą, jak się później okazało, całkiem niepotrzebnie wyprawili Niemcy, posyłający pociski armatnie w kierunku dworca kolejowego. Kilka z nich wpadło również i do miasta, a jeden eksplodował nawet na Czechowskim zaułku, ulicy położonej już na obwodzie środkowej części Kijowa, niedaleko placu Lwowskiego i gmachu Opery Miejskiej. Prawie w godzinę po tej strzelaninie dworzec kolejowy zajęli Niemcy, a równocześnie wszedł do miasta także oddział wojsk ukraińskich. Wśród ludności wieść o tem rozeszła się lotem błyskawicy i sprawiła, że wiele osób ruszyło w kierunku dworca kolejowego, aby własnemi oczyma stwierdzić czy to, co się słyszy, odpowiada rzeczywistości. Z naszej kamienicy wybrał się na ową wycieczkę wieczorem adwokat Stołyhwo i przekonał się, że

na dworcu stoi pułk saski. Oficerowie rozlokowali się w poczekalni drugiej klasy, żołnierze zaś, mimo zmęczenia, wzięli się odrazu do oczyszczania dworca. Może te zarządzenia niemieckiej komendy, opażniające ostentacyjne wejście wojsk do miasta, oszczędziły nam Polakom wielkiej przykrości i nie pozwoliły popełnić na obcym gruncie niebywałego nietaktu. Oto, jak mi opowiadał jeden z najwpływowszych miejscowych polskich demokratów a nawet członek zarządu Polskiej Centrali Demokratycznej, Dr. Józef Flach, stronnictwo jego wybierało się nie mniej i nie więcej jak z uroczystym powitaniem Niemców w Kijowie. Po rozwiązaniu Legionów polskich, po uwięzieniu Piłsudskiego w Magdeburgu, po pokoju brzeskim z jego fatalnymi dla Polski postanowieniami, po ogłoszeniu 14 punktów Wilsona, po przedarciu się Hallera przez front austriacki, taki krok demokratów wzbudziłby mógł w Niemczech tylko pogardę a w państwach zachodnich, gdyby się nim Niemcy pochwalili, głęboką niechęć do spraw polskich. Wszak w związku z zamierzonym podziałem Galicji na część zachodnią i wschodnią mówiono w Kijowie nawet o wybuchu polskiego powstania w tych stronach Polski.

ROZDZIAŁ XVII.

Wejście Niemców do Kijowa dnia 2 marca 1918. Mizerny wygląd wojsk niemieckich. Registracja obywateli nierosyjskich. Polacy w mundurach niemieckich. Kijów wraca do ładu. Oficerowie niemieccy. Repatryjacja. Obóz w Darnicy. Egzekucje ukraińskie. Rekwizycje niemieckie. Kłopoty walutowe. Fatalne stosunki bezpieczeństwa na prowincji. Skoropadski hetmanem Ukrainy. Usunięcie Petlury. Straszna eksplozja amunicji na Peczersku w dniu 6 czerwca 1918 r. Nowa fala drożyzny. Zanik polskiego życia towarzyskiego w Kijowie. Austrjacy. Oficerowie handlarze.

W mieście pokazali się Niemcy dopiero 2 marca i zdziwili wszystkich swoim wyglądem. Przeważnie drobni,

chudzi, często łysi i starzy, z dużym procentem krótkowidzów w okularach, nawet między szeregowymi. Odziani lichy. Z drugiej strony uderzało nas to, że mimo, iż niebawem temperatura opadła o kilka stopni poniżej zera, żołnierz niemiecki chodził przeważnie bez płaszcza, tylko w samej sukiennej bluzie, czego u Rosjan nigdy się nie widziało przy takich chłodach. Robiło to wrażenie znacznego zahartowania się żołnierza. Zauważyliśmy również, że i kwestję posłuchu czy karności w wojsku niemieckiem inaczej ujmowano niż w dawnym carskiem. Nie był to posłuch sztywny, że tak powiem drewniany, ale jakiś dostosowany do warunków chwili i otoczenia. Nie żądano też od żołnierza niemożliwości a nawet zostawiano mu pewną swobodę. Wszak sam widziałem jak warty niemieckie tam, gdzie traciły charakter reprezentacyjny, paliły papierosy, o czym oficerowie chyba wiedzieli.

Część wojsk niemieckich już trzeciego dnia po wejściu do Kijowa ruszyła przez most na Dnieprze w kierunku Darnicy i Browarów. Szli dość swobodnie a niektórzy na bluzy poubierali jakieś półkożuszki, brudne i obszarpane, które niekiedy widziało się i na oficerach, siedzących na przeważnie lichych i drobnych koniach. Gapiącemu się tłumowi przyglądali się oni bacznie, a ten znowu ze swojej strony śledził pilnie najdrobniejszy nawet szczegół zachowania się i zewnętrznego wyglądu owych Niemców, o których tak wiele słyszał i których teraz miał przed sobą o kilka kroków.

W Kijowie Niemcy postawili natychmiast warty przed wieloma budynkami publicznymi, a także przed hotelem Continental, gdzie zamieszkała, jak widać, starszyzna. Przed główną pocztą na Kreszczatyku stanęła podwójna warta, niemiecka i ukraińska. W kilka dni potem plakatami ogłosili Niemcy wezwanie do nierosyjskich obywateli, aby natychmiast zgłaszali się w specjalnym biurze meldunkowym, urządzonym przy Dumskim placu. Przypa-

trzywszy się należycie czy to wszystko nie pachnie jakimi ziemi skutkami i ja zgłosiłem się któregoś dnia do owej rejestracji. Ale jakież było moje zdziwienie, gdy zauważyłem, iż nie tylko ci z „Niemców“, którzy stali nawewnątrz budynku z bronią w rękę jako warta, ale wszyscy wewnątrz podoficerowie, przydzieleni do funkcji rejestracyjnych, władali zupełnie dobrze językiem polskim. Byli to zatem Wielkopolanie, Ślązacy lub Pomorzanie, celowo użyci przez niemieckie władze wojskowe. Rejestrujący, stawiając pytania w języku polskim, znacznie więcej mogli się dowiedzieć niż rozmawiając ze zgłaszającymi się po niemiecku.

Wydano kilka nowych zarządzeń, z których wyczuć można było odrazu, że nie Ukraińcy lecz Niemcy są tu właściwymi panami. Między innymi zjawilo się także polecenie ponownego cofnięcia zegara o godzinę i 8 minut, bo to potrzebne było wojskom niemieckim. Ważne było i to, że karbowaniec stał się znowu walutą obiegową.

Miasto szybko zaczęło wracać do powierzchownego bodaj porządku a sale w budynku głównego dworca kolejowego, może od początków ruchu rewolucyjnego należycie nie czyszczone, zostały wymyte i częściowo wybiełone. Pokazali się także na ulicach i podwórzach stróże z miotłami.

Ożywiły się lokale restauracyjne i kawiarniane a wśród nich również odgrywająca dużą rolę jako miejsce, gdzie się spotykała kijowska inteligencja, kawiarnia François przy Fundulejowskiej. Oficerowie rosyjscy i ukraińscy przywdziali ponownie mundury a nawet ordery i zjawili się tłumnie na ulicach. Część ich jednak, nie mająca środków utrzymania, podejmowała się różnych funkcji, które z zajęciami oficerskimi nic wspólnego nie mają. Najczęściej kelnerskich. W kawiarni François i Semadeniego kelnerzy zawodowi całkiem zniknęli a miejsce ich zajęli oficerowie rosyjscy. Styczności atoli między nimi a bywa-

jącymi w tych lokalach oficerami niemieckimi nie zauważyłem żadnej. Nadęci Niemcy z nikim przeważnie rozmawiać nie chcieli a zagadnięci o cokolwiek, choćby w sprawie naj-obojętniejszej, odpowiadali stereotypowym: „ich weiss nicht“ (nie wiem). Raz tylko w czerwcu 1918 roku udało mi się nawiązać dłuższą rozmowę z jakimś znudzonym oficerem niemieckim, siedzącym obok mnie na pokładzie parowca, kursującego między Słobódką Przedmostową a Kijowem. Dowiedziałem się wtedy od pyszałka, że Niemcy na całym świecie nie mają godnych siebie przeciwników i że wogóle z nikim w układy wdawać się nie będą. Przewódcy nieprzyjacielskich narodów zostaną wywieszani i niemieckie panowanie nad światem ugruntowane. „Świat musi do Niemców należeć (Die Welt muss deutsch sein)“. Gdym go zagadnął jak sobie przecież wyobraża przeprowadzenie tego programu, choćby tylko w Azji, której państwo czołowe, odległa Japonja, jest tak trudna do pokonania, zauważył bez zająknienia, iż Japończyków Niemcy też się nie boją, czego dowodem, że schwytyanych rozstrzeliwali.

Prawie natychmiast po ukazaniu się Niemców w Kijowie rozpoczął się żywiołowy wręcz powrót do kraju ludności polskiej, zwłaszcza rolniczej, ewakuowanej swojego czasu przez Rosjan z Królestwa Polskiego. Jechały pojedyncze osoby i familje a także całe grupy. Jedni koleją na Kowel a inni furami, nieraz temi samemi, któremi przybyli nad Dniepr, gdzie pędząc w tęsknocie żywot wygnańców, wyczekiwali tylko momentu, kiedy pękną linje frontu i zjawi się możliwość dostania się do stron rodzinnych. Niemcy zrazu nie zorientowawszy się w tem wszystkim, nie przeszkadzali repatrjacji, rychło jednak wydali zarządzenia, które ją ogromnie utrudniły i skomplikowały. Mianowicie w Darnicy pod Kijowem, na lewym brzegu Dniepru, stworzyli obóz, przez który musiał przejść prawie każdy, kto pragnął przedostać się do Polski. Zwie-

dzałem wielokrotnie ten obóz, otoczony gęsto drutem kolczastym i strażami, gdzie w brudnych, ciemnych i nieprzewietrzanych drewnianych barakach, zajętych po Rosjanach, znajdowało się zawsze stale kilka tysięcy ludzi, których stopniowo do Polski odsyłano, regulując dowolnie owe transporty, zależnie od najrozmaitszych okoliczności. Najwięcej miała tu jednak do powiedzenia „łapówka“, uiszczana do rąk komendanta obozu i jego przeróżnych pomocników. Większych „łapowników“, jak ci Niemcy z Darnicy, nie spotykało się nigdy nawet między Rosjanami, którzy mieli w tym kierunku ustaloną już reputację.

Po zajęciu miasta przez Niemców, słychać było, zwłaszcza w ciągu pierwszych pięciu nocy, w różnych stronach dość dużo luźnych strzałów, których pochodzenia nie umieliśmy sobie zrazu wytłumaczyć. Sprawa wyjaśniła się atoli szybko. Ludzie poczęli przypadkowo tu i ówdzie odkrywać leżące świeże trupy z przestrzelonemi głowami lub pierściami. Dr. Ryniewicz, dyrektor szkoły realnej Macierzy Polskiej, widział dwa trupy żydowskich akademików a także kawałki czaszek ludzkich w miejscu, gdzie przy wyciągu elektrycznym, służącym do zjazdu na Padol, kończy się linja tramwajowa, idąca ulicą Wielką Włodzimierską. Na trupa na ulicy Stołypinowskiej w biały dzień natknął się nauczyciel gimn. Macierzy Polskiej Trzeciński. Inni zauważyli trupy na Besarabce a jeszcze inni w tych lub owych stronach Kijowa. Pani Tomaszewska, urzędniczka rosyjska, była świadkiem jak w niedzielę 3 marca rozstrzelano jakiegoś mężczyznę w oczach jego żony w podwórzu hotelu Wersal przy ulicy Wielkiej Podwalnej. O dokonywanych w ich najbliższem sąsiedztwie egzekucjach opowiadały również dyrektorowi Ryniewiczowi polskie zakonnice, mające ochronkę przy końcu ulicy Włodzimierskiej w pobliżu Dniepru. Wszystko to niezbicie stwierdzało, że Ukraińcy po zajęciu miasta wzięli się do rozstrzeliwania bolszewików, a szczególnie żydów, ale czynili to z niepo-

równanie mniejszą ostentacją niż krasnoarmiejcy. Oczyszczali poprostu miasto z żywołów zbrodniczych, których namnożyło się niezmiernie wiele między pospółstwem.

Poprawne zrazu stosunki ukraińsko-niemieckie bardzo rychło zupełnie się zepsuły. Niemcy, opanowawszy Ukrainę aż po Don, rozpoczęli mniej lub więcej maskowaną grabież wszystkich możliwych zasobów. Pociąg za pociągiem wywoził surowce roślinne i zwierzęce, metale, produkty spożywcze, paszę, rudy i t. d. Codziennie widzieć można było takie pociągi idące na zachód, naładowane wszystkim możliwym, nawet gotowemi kołami wagonowemi. Niemcy za tę grabież literalnie krajowi nic nie dawali, bo jeżeli nawet za co płacili, to przeważnie fałszywemi papierowemi rublami, szczególnie zaś dziesięciuroblówkami, które od prawdziwych tem się różniły, że pod wyrażoną na nich serją znajdowała się kreska. Tychże samych rubli, puszczonej przez siebie w kurs, Niemcy atoli przyjmować nie chcieli, ale żądali zapłaty w markach. Ponieważ zaś stosunkowo bardzo mało ich wydawali, przeto pieniądz ten stale był poszukiwany. Tak samo ograniczony, choć z innych powodów i inaczej, miały obieg t. zw. kierenki i karbowańce. Niemcy ich wogóle nie uznawali a żydzi wytwarzali coraz to inne sytuacje na targu walutowym, dewaluując raz te to znowu owe pieniądze znaki obiegowe. Bardzo rychło w ich przeważnem posiadaniu znalazły się tylko najcenniejsze ze wszystkich, t. j. marki niemieckie. Że zaś stosunek ludności szczególnie do waluty ukraińskiej nie mógł być nacechowany pełnią zaufania, na to składało się bardzo wiele i ważnych okoliczności. Przytoczę choćby tylko, iż rząd ukraiński był tak pozbawiony wszelkich zasobów walut obcych, złota i t. d., że wielokrotnie nie posiadał nawet pieniędzy na zakupno papieru, potrzebnego do bicia karbowańców. Wiem to od niejakiego Millera, który mennicy państwowej między innymi owego papieru dostarczał i był

zmuszony od dalszych dostaw dla rządu ukraińskiego się uchylić, bo nie otrzymał należnej mu kwoty w rublach za dostawy już uskutecznione. I Bank Państwowy też nie chciał rządowi przez czas dłuższy zaliczyć potrzebnych pieniędzy na zakupno papieru do bicia karbowañców. A przecież rozchodziło się o niedużą sumę coś 150.000 rubli. Kurs niczem nie pokrytych karbowañców opierał się zatem całkowicie tylko na głośzonym przez rząd ukraiński przymusie przyjmowania tych znaków pieniężnych. Że zaś powaga owego rządu była minimalna, przeto karbowaniec stał na szarym końcu walut.

W praktyce rząd ukraiński zeszedł do poziomu jakiejś podrzędnej władzy autonomicznej, zobowiązanej służyć okupantowi niemieckiemu, który za to łaskawie pozwalał na pewne gesty suwerenności. Niemcy poobsadzali w całym kraju wszystkie linje kolejowe, budynki stacyjne, magazyny, co ważniejsze miejscowości i wtedy dopiero reagowali i to nawet bardzo brutalnie na otoczenie, gdy w ten lub ów sposób próbowano zaszkodzić ich interesom. Dość powiedzieć, że okupanci niemieccy nie troszczyli się nawet o to, czy w kraju wśród ludności panuje jaki taki spokój. Krwawa trzebież inteligencji za okupacji niemieckiej trwała dalej. Zamordowano obywatela ziemskiego Lipińskiego, mimo że był zawsze dobrodziejem chłopów i mimo że o darowanie mu życia błagała chłopstwo jego matka. W Łuce, gdzie przy cukrowni zostali sami tylko oficjaliści, wymordowano wszystkich, w myśl hasła „nema paniw, to budem riezat piwpankiw“, z wyjątkiem dyrektora, niejakiego Litkego, i jeszcze jednego. Gdzie indziej wyrznięto do nogi zatrudnionych w majątku jeńców austriackich i niemieckich narodowości polskiej. Słowem mord szerzył się po staremu, a Niemcy gminy, w których zaszyły tego rodzaju okropności, skazywali tylko na wysokie grzywny (np. 10.000 rubli), które sami ściągali, ale niekiedy zadawali sobie

także okupem, składanym w bydle lub ziarnie. Poza tem mordy i wszystkie zbrodnie uchodziły zupełnie bezkarnie.

Ferment rewolucyjny, którego w kraju rząd ukraiński opanować nie umiał, bo nie posiadał po temu sił, dostarczył Niemcom doskonałej podstawy do przeprowadzenia doniosłych zmian politycznych i do obalenia dotychczasowej władzy. Stało się to w drodze zamachu stanu. Na licznym wiecu „chliborobów“ w gmachu cyrku przy ulicy Mikołajewskiej obwołano dnia 10 maja 1918 r. generała carskiego a ziemianina połtawskiego, Skoropadskiego, hetmanem Ukrainy. Zmiana ustroju i władzy w państwie, organizującym się dotąd na całkiem innych podstawach, przeszła jednak tak bez jakiegokolwiek wstrząśnięcia, rzec można protestu, ze strony rewolucyjnej Ukrainy, iż już sam ten tylko fakt składa wymowne świadectwo, jak niezmiernie słabe były podstawy, na których opierały się dotychczasowe „rządy“ kijowskie. Zanotowano tylko w gazetach wiadomość, że jakiegoś generała Skoropadskiego obdarzono tytułem hetmana Ukrainy. Z osobą jego nie wiązano przecież żadnych więcej zasadniczych kombinacyj politycznych, bo wiadano, iż rządy ostatecznie znajdują się w rękę Niemców i to będzie, co oni zadecydują. I niewątpliwie Niemców wolało to było, aby z chwilą zjawienia się na widowni Skoropadskiego w kraju zapanował zwrot ku społecznej reakcji a nawet pewnego rodzaju rusyfikacji. Usunięto również z tych samych powodów z areny politycznej Petlurę oraz sporą ilość ukraińskich i społecznych działaczy. W nikim to atoli sprzeciwu nie wzbudziło, tem bardziej, że wśród inteligencji, nawet bez względu na narodowość, wytworzyła się, w związku z krwawymi wypadkami ostatniego roku, głęboka niechęć do szerokich mas ludowych, im zaś znowu to, co się działo w rządzie kijowskim, ostatecznie było całkiem obojętne. Nawet zdarzające się podówczas tu i ówdzie w Kijowie i poza jego obrębem zabójstwa, których ofiarą padali Niemcy, nie

można przypisywać jakiejś reakcji, mającej podkład polityczny. Poprostu były to akty zemsty osobistej lub rozboju. Również wybuchające gdzieś tam lokalne powstania chłopskie sprowadzić się dawały, gdy idzie o ustalenie ich przyczyn, do mianownika oporu przeciwko dokonywanej przez Niemców maskowanej lub otwartej grabieży zboża i innej żywności.

Nie ulega wątpliwości, że Niemcy, wywożący z kraju wszystko, co się dało, nie zapomnieli również i o ogromnej, zgromadzonej na Ukrainie, masie amunicji i różnego rodzaju sprzętu bojowego. Wszak bezpośrednio przed wybuchem rewolucji wszędzie w Rosji właśnie na punkcie zdobycia jak największej ilości środków walki rozwijano wręcz gorączkową akcję, przy której czynne były nie tylko siły miejscowe ale i specjaliści francuscy, angielscy, belgijscy, japońscy i inni. Tymczasem, z pełnych magazynów amunicyjnych i arsenałów, walki, prowadzone w r. 1917, pochłonęły stosunkowo niedużo, a w r. 1918 z zawarciem traktatu brzeskiego zaprzestano wogóle działań wojennych na rosyjskim froncie zachodnim. Niemcy, zajmując Ukrainę, mogli przeto dowolnie teraz rozporządzać wielkimi zapasami rosyjskimi i przerzucać je tam, gdzie wymagała potrzeba. W związku jednak z tem musiało się zjawić również i przeciwdziałanie państw zachodnich. Jak zaś ono w praktyce wyglądało, był Kijów świadkiem w dniu 6-go czerwca 1918 r.

O godzinie 10 rano targnął powietrze potężny jak sto gromów huk, po którym nastąpił cały szereg dalszych, przeciągających się aż gdzieś do dwunastej w południe. Wśród huków słyszalne były niezliczone wprost detonacje, podobne do tych, jakie wytwarza pękanie pocisków armatnich. I choć te eksplozje miały miejsce na przedmieściu Zwierzynca czyli na dalekim obwodzie Kijowa (bo np. od placu, na którym stoi cerkiew św. Zofji, w odległości 7 km), niemniej jednak całe miasto trzęsło się w posadach,

wypadały ramy okienne z szybami, a grube tafle szkła w wystawach sklepowych rozpryskiwały się w kawały. Leciały też szyldy, gdzie niedździe dachy, kawałki rynien i doznawało się wrażenia, że wszystkie domy zamieniają się w jedną kupę gruzów. Całą południową część miasta spowiły również szybko, mimo spokojnego i jasnego dnia słonecznego, wielkie masy białego dymu. W momencie, gdy się eksplozja zaczynała, znajdowałem się na IV. piętrze ogromnego budynku polskiej szkoły średniej przy Ryłskim zaułku. Miało się wrażenie, że gmach nagle przechyla się w kierunku południowym, tj. w tym, skąd słychać było owe przepotężne huki. Przedmieście Zwierzyniec w następstwie eksplozji na dużym obszarze przestało istnieć. Z wielu domów i ślad się nie zachował a wraz z tem niemało osób utraciło życie i nietylko z tych, którzy byli w mieszkaniach, ale i z przechodzących ulicą, gdyż powietrze nagle napełniło się gradem pękających pocisków, lecących belek, cegieł, blachy i innego materiału. Popłoch był tak wielki, że ludzie na Zwierzyńcu, Peczersku, w Demijówce i w sąsiednich stronach wybiegali z domów i uciekali na oślep, kto z czem mógł. Najczęściej ojcowie lub starsi bracia nieśli lub wlekli za sobą za ręce drobiazgi dziecięcy, matki zaś nadążały za nim z niewielkim tłumokiem na plecach. Widziałem jednak i takie, które mazały się niesieniem całkiem niepotrzebnych narazie gratów, np. ręcznej maszyny do szycia, lampy a nawet obrazu. Ogólnie da się powiedzieć, że całe południe miasto uciekało na północ. Około godziny 12-tej owe spłoszone tłumy wieloma ulicami dotarły do centrum Kijowa, przekroczyły Kreszczatyk, leżący jak wąż wśród zabudowanych szczelnie pagórków, i zaczęły uciekać dalej na północ, przebiegając nawet tak odległe strony, jak plac Kiryłowski, lub Kureniewski, gdzie remiza elektrycznej kolei-miejskiej. U niektórych refleksja co do zaniechania dalszej ucieczki przychodziła dopiero wówczas, gdy znaleźli się całkiem

poza obrębem miasta. Ta atoli wielogodzina niebytność w mieszkaniach, porzuconych często bez zamknięcia ich nawet, sprowadziła nową klęskę. Liczni złodzieje i włamywacze, zorjentowawszy się w tem, co się dzieje, zaczęli z miejsca swe niecne rzemiosło i bardzo wielu ludzi narazili na duże straty.

Późną wiosną 1918 r. spadła atoli na Kijów jeszcze jedna klęska, a mianowicie pożaru, który strawił znaczną część żydowskiego Padołu, najbardziej handlowej dzielnicy miasta. Ów pożar trwał bez przerwy kilka dni z rzędu, oglądany zaś z wysokiego brzegu Dniepru, budził tem większą grozę, iż ludzie powtarzali sobie na ucho, że to zemsta Ukraińców, wywarta na żydach za mordy, których oni dopuszczali się w łutym do spółki z bolszewikami. Ale czy taka była istotnie przyczyna olbrzymiej katastrofy, połączonej z niezmiernymi stratami i zubożeniem setek rodzin żydowskich, stwierdzić mi się nie udało, zaznaczę tylko, że straszemu żywiłowi pozwolono szaleć przez kilka dni z rzędu, choć warunki atmosferyczne niezbyt sprzyjały rozszerzaniu się ognia.

Ważnym skutkiem dotychczasowych przejęć politycznych i społecznych, łącznie z eksploatującą kraj okupacją niemiecką i chaosem walutowym, było ustalenie się drożyzny na niewidzianym dotąd poziomie. Dość powiedzieć, że funt chleba w połowie czerwca 1918 r. kosztował w Kijowie 3 ruble. Również wzrosły i żądania robotników. Zarobek dzienny wykwalifikowanego wahał się między 35 a 50 rublami. Dorożkarz mógł bez trudu zarobić nawet sto rubli, biorąc za kurs przeciętnie piętnaście. Liche upranie koszuli kosztowało 2 ruble, a cena bardzo mizernego obiadu w trzeciorzędnej jadłodajni dochodziła do 8. Tak samo zdrożały niesłychanie i mieszkania, a w dodatku pokazał się ich wielki brak. Dla inteligencji, zarabiającej ciągle jeszcze, bez względu na daleko posuniętą dewaluację pieniądza, przeciętnie po 250 do 300 rubli miesięcznie, za-

częły się przeto czasy niezmiernie trudne, gdy znowu robotnicy właśnie teraz poczęli naogół szafować groszem, jak nigdy poprzednio. W cukierniach i restauracjach ich tylko widziano, bo nawet oficerzy niemieccy, przekonawszy się o drożyznie tych lokali, przestali do nich uczęszczać. Tak samo oszczędny oficer niemiecki nie korzystał nigdy prawie z usług dorożkarskich.

Katastrofalne zubożenie szerokich kół inteligencji, opierającej swe utrzymanie na stałych poborach, pociągnęło za sobą także całkowite niemal bezrobocie w szeregach pracowników z t. zw. wolnych zawodów. Zwłaszcza lekarze znaleźli się zupełnie prawie bez środków utrzymania się, choć dla ich pracy teraz właśnie otwierało się ogromne pole działania. W Kijowie szerzyły się wszystkie słabości epidemiczne, szczególnie zaś tyfus brzuszny, którego bakterje dostały się do wodociągów miejskich. Donosiły o tem obwieszczenia magistratu, przestrzegające przed piciem nieprzegotowanej wody wodociągowej, a nawet przed używaniem jej w stanie surowym do mycia się i do innych podobnych celów. Ogłoszenia te przecież niewiele zdziałać mogły, zwłaszcza kiedy od połowy czerwca ustaliły się wielkie upały, zresztą prawie corocznie w owej porze nawiedzające Ukrainę. W tych warunkach coś pić trzeba było, a środki materialne inteligencji nie zezwalały na to, aby gasić pragnienie wodą sodową lub limonjadą, zwaną tu „sitro“. Butelka takiego płynu, niedającego poza tem wcale gwarancji całkowitego usunięcia z niego zarasków chorobotwórczych, kosztowała 2 do 3 rubli. Tylko robotnicy pozwalając sobie mogli na podobny zbytek.

Do uczynienia życia znośniejszem nie przyczyniała się również i ta okoliczność, że w lecie 1918 r. odpadło zupełnie prawie jedyne miejsce przechadzkowe w Kijowie, jakim był tu zawsze niezrównany w swej piękności wyniosły brzeg Dniepru, zajęty przez ogrody publiczne, Kupieckij Sad i znacznie rozleglejszy Maryjskij Sad, wy-

brany w lutym przez bolszewików na miejsce egzekucyj tysięcy ludzi. Ponieważ ofiary bolszewickich mordów masowych pochowane tu zostały w bratnich mogiłach bardzo niedbale i płytko, przeto cały ogród, zwłaszcza w dnie upalne, przepełniony był przykrą wonią psujących się ciał. Powiewy wiatrów owe trupie tchnienie roznosiły nawet po ulicach sąsiadujących z ogrodem. Kto zatem mógł opuszczał w niedzielę i święta Kijów i szukał wytchnienia w pięknej okolicy miasta: Bielicach, Motowilówce, Światoszynie, Puszczy Wodicy i w najbardziej ze wszystkich uroczem Międzygórzu (Mieżygorje), dostępnem przy pomocy statków kursujących po Dnieprze. Rozciągający się stąd wspaniały widok na przeciwległy płaski lewy brzeg rzeki współzawodniczył z widokami kijowskimi.

Życie towarzyskie w porównaniu z owem, jakie kipiało w Kijowie wśród miejscowej i przyjezdnej ludności polskiej dwa lub trzy lata temu, a nawet jeszcze w roku poprzednim, niezmiernie wyjałowiało i przygasło. Rzezie bolszewickie i liczne troski pochyliły ludzkie czoła i odebrały dużo werwy życiowej. Także wieści z Polski, przeważnie podówczas nienajlepsze, przyczyniały się niemal do ustalania się raczej nastrojów smutnych niż wesołych. Wiele emocyj, nieraz bardzo przykrych, interesującym się sprawami publicznymi dawały następnie opowiadania niektórych żołnierzy i oficerów legionów, które w lutym 1918 r. przedarły się przez front austriacki pod Rarańczą. Gdy po połączeniu się z oddziałami t. zw. Drugiego Korpusu Polskiego na Ukrainie i po stoczeniu z Niemcami dnia 11-go maja 1918 r. niepomyślnej dla naszego oręża bitwy pod Kaniowem, tem boleśniej znowu, że po wrogiej nam stronie walczyło wielu Polaków z Poznańskiego, udało się części legionistów uniknąć internowania w obozach niemieckich, ukrywała się ona przeważnie po rozmaitych patriotycznych domach polskich w Kijowie i tutaj snuła plany tułaczki po Rosji, aby, jak wiemy, następnie znaleźć się na

Murmanie. Oficerowie i żołnierze rozwiązanego przez Niemców Drugiego Korpusu Polskiego tak ukrywać się nie potrzebowali. Chodzili dalej w mundurach polskich. I one obok ukraińskich, obecnie zreformowanych, bo zniknęły z nich dotychczasowe kaftany i oseledcy na czapkach, dodawały, wraz z nielicznymi sylwetkami Niemców, charakterystycznego wyglądu ulicy kijowskiej. W połowie czerwca wśród tej umundurowanej mieszaniny ludzkiej zaczęli pokazywać się także i Austriacy. Szeregowych bardzo mało a natomiast wielu oficerów, z których każdy prawie zjeżdżał do Kijowa z ręcznym kuferkiem, często sporych rozmiarów, i z miejsca rozpoczynał żywot handlującego domokrażcy. Oto w oficerskich kuferkach mieściły się najrozmaitsze towary, a Austriacy, obchodząc miejscowe sklepy, częstowali niemi kupców i na tej transakcji niezłe zdaje się zarabiali. Jeden w kuferku przywoził damskie pończochy, inny jakieś dyskretne środki higieniczne, a jeszcze inny mydełka, krawaty, sacharynę, wogóle wszystko, co zdaniem tych panów mogło nad Dnieprem znaleźć pokup. Oficerowie austriaccy, biegnący po mieście z kuferkami i wpadający i wypadający ze sklepów, targujący się i zachwalający swój towar, robili wrażenie mocno komiczne, a w Niemcach, którzy takiego jawnego domokrażnego handlu bądź co bądź nie uprawiali, budzili lekceważenie, co zresztą dość wyraźnie manifestowało się nazewnątrz w tem, że nigdy nie można było spotkać na ulicy oficera niemieckiego idącego z austriackim. Prostu się go wstydził.

Austriakom do wzmocnienia dobrego mniemania o nich zarówno wśród Niemców jak i w szerokich kołach ludności Kijowa wiele nie pomogła nawet i ta okoliczność, że nad Dniepr zjechał jakiś wojskowy dygnitarz austro-węgierski, nazwiskiem Forgacz, rozumie się Madziar, i że utworzono przy ulicy Krągłej Uniwersyteckiej pod nr. 7b konsulat austro-węgierski. Jeżeli idzie o sprawy polskie,

to ów Forgacz nie miał dla nich zdaje się żadnego zrozumienia, tembardziej, że jego adjutantami i informato-rami byli: Madziar, żyd i dwaj Ukraińcy, zaś konsulat posiadał wprawdzie urzędników Polaków (Chłopecki, Kaczorowski), ale jakichś bardzo niewybitnych i styczności z polsnością nie umiejących utrzymywać. W praktyce konsulat austro-węgierski zeszedł przeto do roli biura, gdzie wydawano wizeny na wjazd do Austrii, nadewszystko znowu żydom, którzy z miejsca i tłumnie wzięli się do nawiązywania przerwanych przez czteroletnią wojnę stosunków handlowych.

ROZDZIAŁ XVIII.

Najświetniejszy okres polskiej pracy oświatowej na Ukrainie. Przeszło 80.000 młodzieży w polskich szkołach. Zasługi Rady Okręgowej Kijowskiej, Polskiego Komitetu Wykonawczego na Rusi i Macierzy Polskiej. Polski ruch wydawniczy. Bezcelowość departamentu oświaty przy wiceministrze dla spraw polskich w ukraińskim rządzie hetmańskim. Przywiązanie młodzieży do polskiej szkoły. Wykłady dla kolejarzy węzła kijowskiego. Ruch umysłowy wśród polskiej inteligencji. Swary i kłótnie.

W czasach, kiedy niemal każdy tydzień przynosił ogromne zmiany sytuacji politycznej, kiedy kraj wydany był na pastwę dzikiej soldateski i jeszcze dzikszej rabacji chłopskiej oraz zuchwałej bezwzględności żydowskiej, kiedy huczały armaty, kiedy trupy walały się po drogach i kiedy Ukraina jak długa i szeroka rozgorzała tysiącami łun pożarów, w pierwszej chyba linii powinna była zupełnie zamrzeć cała polska praca oświatowa. Jednak stało się wprost przeciwnie. Właśnie na ten burzliwy okres wypada jak najświetniejszy rozmach naszej działalności w szkole i przez szkołę. W roku 1917/18 zdołaliśmy pokryć dużą przestrzeń Ukrainy wcale już gęstą siecią polskich szkół początkowych, średnich a nawet fachowvch i nad tem

wszystkiem wznieść jeszcze coś w rodzaju nadbudowy pod formą Kolegium Uniwersyteckiego w Kijowie, o którym wspominałem już wyżej. W trzech tylko gubernjach, kijowskiej, podolskiej i wołyńskiej, w roku szkolnym 1917/18 działało 1247 polskich szkół powszechnych, do których uczęszczało 74.308 dzieci. W 36 polskich szkołach średnich pobierało naukę blisko 6.000 (5966) uczniów i uczennic. Szkół zawodowych było czynnych 9, z czego 7 w Kijowie. Największą ilość dziatwy, chodzącej do polskich szkół powszechnych, posiadała, przecięta linią frontu, gubernja wołyńska, bo aż 36.372, następnie podolska 26.702, a wreszcie kijowska 11.234. Odwrotnie było natomiast z frekwencją w szkołach średnich. W Kijowszczyźnie uczęszczało do nich 3.806, na Podolu 1.333, wreszcie na Wołyniu 827. Najsilniejsze skupienia młodzieży, pobierającej naukę w polskich szkołach powszechnych, przedstawiały powiaty żytomierski i płoskirowski (każdy ponad 7.000), nieco już słabsze (3.000 do 7.000) kamieniecki, uszycki, latyczowski, winnicki, koziatyński, jampolski i nowogródzko-wołyński. Najmniej liczną była młodzież polska we wschodniej Kijowszczyźnie i we wschodniej części Podola, ale nawet i tu nie brakowało powiatów (olgopolski i braclawski), w których polskie szkoły skupiały do 3.000 dziatwy.

Nad całą tą masą uczelni, rozrzuconych po wielkim obszarze, sprawowała zrazu ogólne funkcje opiekuńcze Rada Okręgowa Kijowska Polskich Towarzystw Pomocy Ofiarom Wojny. Gdy zorganizował się Polski Komitet Wykonawczy na Rusi, w jego ręku znalazł się ster tych spraw, a potem nadewszystko w ręku podporządkowanej Komitetowi Macierzy Polskiej. Po rosyjskim przewrocie, kiedy ustały subwencje państwowe, wymienionym organizacjom przypadło ciężkie zadanie wydobycia ze zubożonego już bardzo społeczeństwa wielomiljonowych sum na utrzymywanie przy życiu przelicznych ośrodków szkolnych.

Zadaniu temu jednak ostatecznie sprostano, gdyż z jednej strony pragnienie polskiej oświaty i jej ugruntowania było silne i powszechne, a z drugiej jako pracownik szkolny zjawił się w najzapadlejszych nawet osiedlach ludzkich nauczyciel, który za żebracze niemal wynagrodzenie, ale bywało, że i bez niego, bo tylko za wikt dostarczany przez włościan i kawałek dachu nad głową, jak to najczęściej miało miejsce z jeńcami wojennymi, dawał często ze siebie maksimum pracy i poświęcenia. Tylko kijowscy nauczyciele szkół powszechnych, pod względem wynagradzania ich pracy, znajdowali się w pozycji nieco lepszej.

Na trudności finansowe polskich organizacji społecznych, administrujących szkołami, wpływały bezpośrednio i w znacznej mierze wszystkie walki wewnętrzne, których terenem była Ukraina a zwłaszcza już Kijów. O jakichś rezerwach pieniężnych nie było i mowy a nauczyciele nawet średnich szkół kijowskich swoje skromne wynagrodzenie otrzymywali nieraz z opóźnieniem miesięcznym, co wobec rosnącej drożyzny podwajało straty materialne. Ale bywało i tak, że Macierz Polska lub Towarzystwo Popierania Polskiej Szkoły Średniej, aczkolwiek były w posiadaniu potrzebnych do wypłaty funduszów, nauczycielstwu nic dać nie mogły, gdyż pieniądź tracił nagle wszelką wartość, jak to się stało z karbowańcem po wejściu Murawiewa do Kijowa. Co więcej, wówczas na polecenie bolszewików Macierz musiała nawet oddać swe fundusze w kwocie 17.000 karbowańców władzom do rzekomej wymiany na ruble, co, jak się niebawem pokazało, było tylko podstępna konfiskata. Kiedy bowiem u ministra spraw wewnętrznych sowieckiej republiki ukraińskiej, towarzyszki Bosz, zjawili się dnia 25 lutego delegaci Macierzy, odpowiedziała im wręcz, iż zabranych pieniędzy nie wyda ani też nie wymieni na ruble, a dopiero po pewnym czasie, gdy stosunki się ustalały, Polacy mogą na szkoły otrzymać subwencję. Dzielną prezes sekcji szkolnej,

✓ Karol Wilkoszewski, czuwał przecież bezustannie i nadal nad tą sprawą. W momencie wychodzenia bolszewików z Kijowa zdołał on za pośrednictwem komunistów Polaków, a zwłaszcza niejakiego Leszczyńskiego, dotrzeć do kas sowieckich i wydobyć z nich przeszło 100.000 rubli i karbowańców czyli znacznie więcej niż wynosiła konfiskata.

Rada Okręgowa Kijowska, która tak wiele zdziałała dla pogłębienia i rozszerzenia akcji oświatowej na Rusi, zajęła się także wydawaniem podręczników szkolnych dla młodzieży lub też takich, któreby mogły służyć zarówno nauczycielowi jak i szkole, co wobec trudności w otrzymywaniu książek z Polski było często jedynym niemal wyjściem z sytuacji. Urzeczywistniając ową myśl, od grudnia 1915 do połowy czerwca 1917 wydano przy pomocy funduszków z Komitetu Tatianowskiego 30 podręczników szkolnych w ilości około 100.000 egzempli. W związku z dalszym rozwojem polskiego szkolnictwa na Rusi, który nastąpił po obaleniu caratu, owa praca jeszcze bardziej się wzmogła. Przedrukowano w skrócie, dokonany przez dra Bolesława Batora, nawet dzieła Tadeusza Korzona w ten sposób, iż powstała obszerna, jakby nowa książka „Historja Polski“¹⁾, dalej wydano niektóre podręczniki do nauki języków klasycznych, dra A. Ryniewicza „Początkowy kurs historii średniowiecznej i nowożytnej, ze szczególniejszem uwzględnieniem dziejów Polski“; E. Lavisse'a: „Wiadomości historyczne o narodach dawnych i nowych“, przekład rozszerzony do użytku polskich szkół przez B. Batora i T. Turkowskiego; czytanki dla szkół początkowych w opracowaniu J. Korneckiego, J. Stemlera i J. Wierzejskiego; dokonano przedruku używanej w niższych klasach szkoły średniej „Geografji Powszechnej“ Michała

¹⁾ Wydanie nadzwyczajne w zmienionym układzie. Kijów 1918 str. 372.

Siwaka, część I. (Europa), przyczem mnie polecono zredagowanie do niej nowego, wyjątkowo obszernego ustępu, zawierającego opis Polski i t. p. Na wezwanie Rady Okręgowej powstała także napisana przezemnie „Geografja fizyczna ziem polsko-litewsko-ruskich“¹⁾, pomyslna zarówno jako podręcznik dla uczniów najwyższych klas szkoły średniej jak i jako książka pomocnicza dla nauczycielstwa, którego wiadomości o Polsce były często bardzo niewystarczające. Razem nakładem Rady Okręgowej od marca 1917 do listopada 1918 wyszło 20 podręczników do szkół średnich i początkowych w ilości 158.000 egzemplarzy, kosztem 180.000 rubli. Nadto z kraju po zajęciu Ukrainy przez Niemców sprowadzono 80.000 egzempl. za zwyż 120.000 rubli.

Słowem organizacyjnie działano wiele i na wielu polach naraz.

Przeszkodą dla tej pracy i to dokuczliwą, była dopiero późną wiosną 1918 r. zaznaczająca się działalność departamentu oświaty, powołanego do życia przy wiceministrze dla spraw polskich w ukraińskim rządzie hetmańskim. Owym departamentem w tak niefortunny sposób kierował wspomniany już wyżej kilkakrotnie nauczyciel fizyki Stanisław Kalinowski, na szczęście jednak, jak się okazało, krótko, bo już w połowie 1918 r. opuścił on Kijów, aby wrócić do Warszawy. Departament zamiast być rzecznikiem polskich spraw szkolnych w rządzie ukraińskim, wyrabiał polskim szkołom prawa, a nadewszystko starać się dla nich o pieniądze, usiłował bezpośrednio i w szczególności oddziaływać na tok zajęć w zakładach, nie licząc się dostatecznie ani z Radą Okręgową ani z Polskim Komitetem Wykonawczym na Rusi ani też z Macierzą Polską. W rezultacie powstała szkodliwa dwutorowość w polskim zarządzie oświatowym, a wraz z nią idealna wręcz atmo-

¹⁾ Kijów, 1918. Str. 161.

sfera do sprzeczek i nieporozumień. Nie oglądając się np. na to, że polskie szkoły powszechne miały już w Kijowie, oddawna fachowego inspektora z ramienia Polskiego Komitetu Wykonawczego, względnie z łona Macierzy Polskiej, Jana Korneckiego, który powołał do życia bardzo wiele placówek, a nadewszystko znał nawylot cały ten resort, departament oświaty przy wiceministerstwie dla spraw polskich w ukraińskim rządzie hetmańskim te same czynności inspektorskie powierzył jakiejs nowicjuszcze nauczycielce. Do lustracji szkół średnich, bez której one jednak dotąd wcale dobrze się obchodziły, obok nauczyciela Aurelego Drogoszewskiego, mającego jeszcze jakie takie kwalifikacje, przydzielono nauczycielkę Szumowiczównę, która ucząc do-tychczas przeważnie tylko w szkołach rosyjskich, nieszcze-gólnie władała językiem polskim i łaciny nie znała, a mimo to wizytowała lekcje tego przedmiotu (jak np. u nauczy-ciela Uhmy). Podobnie było i z językiem niemieckim. Nie-jaka Heinemann, której oddano nadzór nad tym przedmio-tem w polskich szkołach kijowskich, miała tylko tę jedną kwalifikację do sprawowanych przez siebie funkcji, iż jako Niemka znała język niemiecki. I takich nieobmyślanych posunięć było więcej, przyczem niektóre z nich wywoły-wały wręcz oburzenie wśród kresowego społeczeństwa pol-skiego, jak np. nieprzyznanie zakładom zasłużonej Pretjat-kowiczowej praw szkół rządowych, choć je uzyskała już swego czasu po ciężkiej walce od władz rosyjskich. Wszystko to sprawiało, że trudna pozycja polskiego nauczyciela na Rusi stała się jeszcze przykrzejszą. W rezultacie kto tylko mógł zaczął myśleć o porzuceniu zajęć i o powrocie do kraju, co dla naszego szkolnictwa na Ukrainie prawie zawsze połączone było z wielką stratą, gdyż powstających luk nie było kim wypełniać¹⁾.

¹⁾ Po wyjeździe Kalinowskiego tarcia między departamentem oświaty a Komitetem Wykonawczym i Macierzą Polską ustąpiły. Pożytku jednak sprawie polskiej departament i wówczas nie przyniósł prawie żadnego,

W roku szkolnym 1917/18 w drodze wyboru dokonanego przez grono nauczycielskie w męskiej szkole średniej Macierzy Polskiej, która przyjęła ten zakład po Piotrogr. Towarz. Pomocy Ofiarom Wojny, dyrektorami, po rezygnacji Gapszewicza, wybrano dra Antoniego Ryniewicza i mnie. Dr. Ryniewicz miał kierować oddziałem realnym szkoły, ja zaś filologicznym. Ponieważ jednak zarówno wyższe klasy filologiczne jak i realne znajdowały się w budynku położonym przy Komercyjnym zaułku, wszystkie zaś niższe w całkiem innej stronie Kijowa, bo przy placu Mikołajewskim, przeto w praktyce było tak, że niższymi klasami w liczbie 11 ja kierowałem, 9 zaś wyższymi dr. Ryniewicz. I to usamodzielnienie obu części szkoły pod względem kierownictwa w ciężkich chwilach, jakie przeżywał Kijów w r. szk. 1917/18, było jedynie racjonalne. Młodzież starsza inaczej reagowała na to, co się naokół niej działo, niż dziatwa klas niższych a zresztą już same względy na bezpieczeństwo wymagały różnych tu i tam zarządzeń. Niejednokrotnie musiały być one wydawane natychmiast bez straty chwili czasu, bo zwłoka mogła pociągnąć liczne ofiary z pośród uczniów, tem większe znowu, że nauka w szkole męskiej Macierzy Polskiej odbywała się w porze popołudniowej i wieczornej, kiedy walki na ulicach były zazwyczaj najzaciętsze. W najgroźniejszych okresach szkoła wogóle przestawała działać. Tak było w drugiej połowie stycznia 1918 a potem w lutym, kiedy dnia 27 popołudniu rozpoczęły niespodziewanie strzelać armaty i zdawało się, że w Kijowie rozgorzeją ponownie ciężkie boje.

Gdy tylko wśród toczących się walk nastawało kilkogodzinne bodaj zacisze, można było być niemal pewnym, że szczerze i gorąco przywiązana do szkoły młodzież

ograniczając swoją działalność do czynności niemal tylko formalnych, jak rejestrowanie szkół i t. p. Funduszków na szkoły polskie nie uzyskał prawie żadnych.

natychmiast się w niej zjawi, tłumacząc sobie, że w mieście zapanował już spokój. Dlatego też wszyscy, którzyśmy stanowili grono nauczycielskie ukochanego przez nas zakładu, w takich właśnie momentach bieглиśmy na plac Mikołajewski, aby być tam na wszelki wypadek, bo nigdy nie można było przewidzieć, co się stanie. I ta nasza przeorność kilkakrotnie okazała się całkiem wskazana. Młodzież się zbiegła, lecz ledwie weszliśmy do sal szkolnych i zaczęliśmy lekcje, strzelanina podnosiła się znowu jak huragan i wówczas grono nauczycielskie, podzieliwszy wychowanków według ulic i stron miasta, odprowadzać ich musiało do mieszkań. Ciekawa rzecz, że przy tej sposobności nie zdarzył się ani jeden wypadek poranienia, choć kule świstały gęsto, nie mówiąc już o wybuchających tu i ówdzie szrapnelach. Odnosiło się wrażenie, że strzelający, widząc gromadkę młodzieży z książkami, przerywali ogień ręczny na najniebezpieczniejszych przechodach ulicznych. A może to tylko było złudzenie!

Poza szkołami i wychowawczemi zakładami dla młodzieży, pracy oświatowej, we właściwym tego słowa pojęciu, w łonie szerokich warstw społeczeństwa polskiego prowadzono niewiele¹⁾, co nie jest bez znaczenia dla charakterystyki ówczesnych stosunków na Rusi. Podnieść bowiem należy fakt, że w tym samym czasie Ukraińcy i żydzi rozwijali swojego rodzaju wprost olbrzymią pozaszkolną działalność oświatową, prowadzoną zapomocą szerzenia lektury broszur i gazet a nadewszystko przez bardzo liczne odczyty i wykłady. Owe nasze zaniedbanie się na tem polu tłumaczyć może tylko okoliczność, że z jednej strony tu na obcym gruncie brakowało nam silnych, własnych podniet polityczno-socjalnych, a wobec

¹⁾ W Kijowie działały tylko Polski Uniwersytet Ludowy i Uniwersytet Ludowy im. B. Limanowskiego. Biblioteki, zresztą nieliczne, zawierały przeważnie książki mało dla ludu odpowiednie. Największa z nich znajdowała się zdaje się w Berdyczowie i liczyła ponad 3000 dzieł.

istniejących, broniąc duszy polskiej, ustosunkowywaliśmy się raczej wrogo niż przychylnie, z drugiej zaś, że lud polski na Ukrainie przeważnie nie występuje w dość gęstych skupieniach, ale najczęściej małemi gromadkami, rozprószony wśród innych narodowości. Ściśle biorąc nie było go nawet wiele i w Kijowie. Nie dorównywał on tu zgoła pod względem liczebności nagromadzonej w związku z wypadkami wojennemi inteligencji polskiej. Wyjątek pod tym względem stanowiła tylko kolej. Tu pomiędzy tysiącami pracowników, Polacy tworzyli tak znaczny odsetek, że pozwalało to na urządzenie nietylko luźnych, a zawsze silną frekwencją cieszących się odczytów, ale nawet całych ich cyklów. Wiem to stąd, że osobiście w tej pracy brałem udział, wykładając w czerwcu 1918 r. przez przeszło miesiąc w jednej ze sal kolejowych w godzinach podwieczornych historję polską. Wdzięczniejszego i miłszego, a przytem wytrwalszego i pilniejszego kręgu słuchaczy ze sfer robotniczych i urzędniczych nigdy nie miałem ani przedtem ani potem, bo serca tych kolejarzy wprost rozpiekało pragnienie usłyszenia czegoś o Polsce i jej przeszłości, czemu mogli wierzyć i co nie poniżało ich dumy narodowej.

Nieporównanie więcej żywa i różniczkowana praca kulturalna, przynajmniej na oko, istniała wśród inteligencji polskiej. W istocie cechowało ją jednak niepotrzebne rozszczepianie się na wiele luźnych i sobie przeciwstawiających się usiłowań, na dnie których czaiła się często albo niezdrowa ambicja albo przysłowiona polska kłótność. O „Polskiem Kolegium Uniwersyteckiem“ w Kijowie była mowa już poprzednio. Teraz dodam, że opiekę materialną nad tą placówką objęło „Towarzystwo Popierania Polskiej Kultury i Nauki na Rusi“, któremu przewodniczył hr. Fr. Potocki. Niezależnie od tego zespołu wiąże się przecież „Polskie Towarzystwo Naukowe“, dalej „Towarzystwo Prawników Polskich“, „Polskie Towarzystwo Le-

karskie“, „Polskie Towarzystwo Krajoznawcze“ i t. p. Pism codziennych w r. 1918 wychodzi aż trzy („Dziennik Kijowski“, „Gazeta Narodowa“, „Przegląd Polski“), poza tem szereg tygodników i dwutygodników („Kłosa Ukraińskie“, „Świat Kobiety“, „Przegląd Naukowy i Pedagogiczny“, „Przewodnik Oświatowy“). Zjawiają się „Wiadomości Bibliograficzne“ Aurelego Drogozszewskiego, „Muzeum Polskie“, redagowane przez dr. M. Tretera, publikacja akademików „Literatura i Sztuka“, słowem druków jest wiele, ale czytelników stosunkowo nieporównanie mniej, a myśli twórczej w tem, co się drukuje, przeważnie już najmniej. Stąd polski dorobek naukowy i literacki Kijowa w czasie wojny jest nikły, choć zrazu te rzeczy zapowiadały się znacznie lepiej. I w wymienionych przed chwilą towarzystwach całkiem niewiele działo, tem bardziej, że i w nich rychło grupować się zaczęto według przekonań politycznych nie zaś około problemów i potrzeb naukowych. Pełno swarów i kłótni było również i w Polskiem Kolegium Uniwersyteckiem w Kijowie. Rektora na rok akademicki 1918/19 wybierano aż czterokrotnie, zanim te funkcje nie spoczęły ponownie w ręku profesora Ludwika Janowskiego. Tylko polscy malarze artyści nie zeszli na manowce bezpłodnej walki. Choć myśli założenia w Kijowie Szkoły Sztuk Pięknych zrealizować nie byli w stanie, zdołali jednak zorganizować w r. 1918 zbiorowy pokaz swoich prac, nieraz bardzo wartościowych, oraz stworzyć nieustającą wystawę obrazów, rzeźby i grafiki w t. z. „Salon d'Art“ w pasażu przy Kreszczatyku nr. 25.

ROZDZIAŁ XIX.

Myśli o powrocie do kraju. Podróż koleją do Podwołoczysk. Dworzec kolejowy w Podwołoczyskach. Internowanie w Tarnopolu. Starosta tarnopolski. Obóz dla internowanych (Heimkehrstätte). Tarnopol powojenny. Podróż do Lwowa. Żydzi filarem austriackiej służby tyłowej. Handel austriacki z Ukrainą. Zasiłki wojenne. Płace urzędników w czasie wojny. Ostateczne pożegnanie się z Tarnopolem. Wypadki krakowskie w dniu 31 października 1918 roku. Wolność Polski rzeczywistością.

Już z niektórych uwag poprzednich wynika, że pobyt w Kijowie dla wielu ludzi stawał się coraz to mniej ponętnym, szczególnie zaś od chwili, gdy w społeczeństwie polskim dokonał się wyraźny rozłam na dwie zawzięte zwalczające się grupy, z których każda prowadzić zaczęła własną politykę nawet w stosunku do Niemców, Ukraińców, Rosjan i żydów. Szczególnie zaś ci z Polaków musieli się dobrze zastanowić czy swój pobyt nad Dnieprem przeciągać dłużej, którzy tu znaleźli się przygodnie w związku z wypadkami wojennymi. Jakież bowiem cel mógł mieć udział w gorszących sporach partyjnych¹⁾ albo nawet w pracy,

¹⁾ Dodam dla informacji i charakterystyki stosunków kijowskich, że kłótnie, których głównym podkładem były owe tylekroć już omawiane orientacje polityczne, trwały nadal i po moim wyjeździe z Kijowa a nawet jeszcze bardziej się zaostrzyły. Świadczyły o tem nie tylko różne relacje osób, przybywających z Kijowa, ale i artykuły, pojawiające się w tamtejszej prasie polskiej prawie że bezpośrednio przed trzecim i ostatecznym zajęciem Kijowa przez bolszewików (numery „Dziennika Kijowskiego“ z 3, 13 i 15 listopada 1919, „Służba Ojczyźnie“ z 13 października 1919 i t. d.). Doszło do tego, że gdy dzieci polskie w ochronkach i przytułkach Macierzy Polskiej wprost puchły z głodu, jeden z wybitniejszych Polaków uznał za stosowne, podjąwszy od opuszczających Kijów władz sowieckich na akcję wychowawczą dla polskich dzieci kwotę 220.500 rubli, nie uwiadomić o tem ani Polski Komitet Wykonawczy na Rusi ani też Macierz Polską. Gdy sprawa ostatecznie doszła do wiadomości publicznej, ów mąż, któremu bolszewicy zaufali, oddał wprawdzie pieniądze (181.400 rb.), ale już zdewaluowane. Celowo użyto tylko kwotę 39.100 rubli.

choćby najkulturalniejszej, lecz w związku z ciągłymi zmianami politycznymi stale zagrożonej zniszczeniem od zewnątrz. Jako jedyna racja trwania nadal na posterunkach pozostawała dlatego dla wielu tylko młodzież i rozbudowane szkolnictwo polskie. Ale, zostawiając na uboczu szkoły powszechne, odnośnie do średnich nasuwało się pytanie, czy za miesiąc lub dwa w tej liczbie, w jakiej one działały w r. 1917/18, będą jeszcze potrzebne i czy w takim przepełnionym polskimi szkołami Kijowie nie zajdzie np. potrzeba ograniczenia się do dwóch lub trzech tylko zakładów. Wszak wyjeżdżające codziennie na zachód pociągi uwoziły setki rodzin, których żywicieli zdążali do Polski, aby stanąć przy porzuconych przez nich dawnych warsztatach pracy. Tem samym ilość młodzieży topniała z dniem każdym. A także i to, co się nad Dnieprem czytało i słyszało o Polsce, wskazywało, że mimo całej depresji, jaką tam stwarzały rządy okupantów, polska rzeczywistość państwowa krzepnie i potrzebuje może tych samych ludzi, którzy tu na kresach ukraińskich są już zbędni albo nimi rychło się staną.

Rozumie się, iż te myśli i mojej czepiały się głowy a w związku z nimi przychodziłem coraz to więcej do wniosku, że i dla mnie wybiła już godzina powrotu, zwłaszcza gdy dowiedziałem się, że władze austriackie, dotąd tak srogie wobec tych wszystkich, którym zarzucić można było niezyczliwe ustosunkowywanie się do państw centralnych, teraz dzikim represjom dają spokój, zarówno dzięki różnym amnestjom jak i zmianie całej sytuacji wewnętrznej monarchji naddunajskiej. Zdobywszy przeto w kijowskim konsulacie austriackim pozwolenie na wjazd do Austrii, względnie do Galicji, i kupiwszy bilet kolejowy do Podwołoczysk, dnia 9 lipca popołudniu opuściłem Kijów, żegnany na stacji przez grono przyjaciół i znajomych, którzy z tych lub innych powodów przeciągali jeszcze

swój pobyt nad Dnieprem, ale przeważnie też już myśleli o powrocie do Polski.

Podróż koleją zrobiła mi ogromną niespodziankę. Wagony czyste, brak ścisku, punktualność bez zarzutu, wszystko to mówiło, że Niemcy uporządkowali kolejnictwo na ważnej dla nich linii i że skończyły się czasy, kiedy „towarzysze“ żołnierze byli panami sytuacji. Po wagonie kręcił się nawet t. zw. przewodnik, w takim samym mundurze, jak za czasów carskich. Słowem podróż była wygodna, jak niegdyś przed wojną, a przytem i tem osobiwa jak na czasy wojenne, że nikt w ciągu całego jej trwania nie zainteresował się papierami osobistymi pasażerów.

Do Podwołoczysk przyjechałem z rana 10 lipca i od razu znalazłem się w ścisku, hałasie i brudzie, panującym zarówno w korytarzach jak i w dzierzawionej przez żyda restauracji kolejowej. Już kupno biletu do Lwowa przedstawiało nie byle jaką trudność, którą pokonałem, opłaciwszy się sowicie jakiemuś posługaczowi kolejowemu. Przy jego także pomocy dostałem się wraz z moim bagażem do niewygodnego i rozklekotanego a nadto niemiłosiernie natłoczonego wagonu, którym dojechałem tylko do Tarnopola. Tu na dalszą podróż nie zezwoliła żandarmerja kolejowa, przeglądająca podróżnych i ich legitymacje. Jakiś Czech z dwoma umundurowanemi żydami kazali mi opuścić pociąg i pod dozorem żołnierzy odstawiono mnie do zrujnowanego i leżącego za miastem budynku bursy żydowskiej, gdzie, oddany straży, miałem czekać na dalsze dyspozycje. I rzeczywiście po kilku godzinach pokazał się jakiś oficer Chorwat czy Madziar, który oświadczył mi, że zostałem wprawdzie internowany, ale on pozwala mi na słowo spędzić noc w mojem mieszkaniu, pod warunkiem, że nazajutrz stawię się znowu w bursie o godzinie 5 rano. Rozumie się, że żądanie to spełniłem i przyszedłem punktualnie, co tem bardziej było dla mnie korzystne, że o godz. 6 rano doczekałem się przybycia do bursy jesz-

cze innego oficera, który, jak się okazało, w sprawie mojej miał, narazie przynajmniej, najwięcej do powiedzenia. Był to żydek tarnopolski, niejaki Józio Teteles, porucznik piechoty, człowiek przyzwoity i uprzejmy. Rozmówiwszy się ze mną, zgodził się na tymczasowe internowanie mnie w mojem prywatnem mieszkaniu i pozwolił nawet zabrać tam moje rzeczy. Polecił mi jednak stawić się u siebie w kancelarji o godz. 11 rano, bo, jak oświadczył, ostateczna decyzja w sprawie mojej zależy i od innych czynników, przyczem, jak się wyjaśniło, miał on na myśli miejscowego, zresztą znanego mi osobiście, starostę Juljusza Friedricha. Gdym się zjawił w kancelarji, Teteles skierował mnie przeto do niego, dając mi równocześnie do poznania, że starosta ma jakieś wobec mnie zastrzeżenia i że w tem podtrzymuje go pewna znana figura tarnopolska, stały, pokątny doradca wszystkich miejscowych starostów. Friedrich przyjął mnie jak najgorzej. Podniesionym tonem obrażonego austriackiego patrioty, wypomniał mi moje zachowanie się wobec „państwa i c. k. armji“ a także i „najjaśniejszego pana“, zaznaczając z naciskiem, że to wszystko bezkarnie ująć mi nie może, nawet mimo ogłoszonej amnestji. Z lekceważącym uśmiechem wysłuchałem owej perory, zaznaczając tylko, że przed wojną żaden starosta tu w Tarnopolu nie zdobyłby się wobec mnie na taki ton, co rzecz jasna, jeszcze bardziej rozgniewało Austriaka. Rozstaliśmy się bez pożegnania. Rozumie się, że gorący patriotyzm austriacki Friedricha w tym czasie był już zjawiskiem wyjątkowym, o czem również przekonało mnie bezpośrednio potem spotkanie się z drem Marcinem Korotkiewiczem, zastępcą starosty. Korotkiewicz, inteligentny urzędnik i gorący Polak, dał mi cały szereg cennych wskazówek, wyjaśniając zarazem jak daleko zaszło już rozprzężenie w państwie i jak brak w niem wszelkich idei przewodnich.

Narazie przecież odnośnie do mojej osoby nie mogłem się spodziewać niczego dobrego. Zwiastunem tego

był agent policyjny, który wieczorem zjawił się u mnie w domu, aby się przekonać, czy nie uciekłem z Tarnopola. On także nazajutrz rano przyniósł mi urzędowy nakaz udania się do gmachu Towarzystwa „Szkoły Ludowej“, zamienionego na obóz dla internowanych, przybywających z Rosji (Heimkehrstätte). Dla większej pewności zamknięto mnie tutaj w osobnym pokoiku i oddano pod dozór jakiegoś kaprała Styryjczyka. Przez pięć dni byłem zupełnie odcięty od świata, a za cały sprzęt i posłanie służyły mi dwie deski, zbite nakształt lekko pochylonego koryta i ustawione na dwóch drewnianych kozłach. Rankiem na podwórze gmachu zajeżdżał beczkowóz z czarnym płynem, t. zw. kawą, którą wszyscy internowani, a było ich tutaj kilkaset, czerpali do różnych naczyń i w ciągu dnia wypijali. Na przekąskę, zastępującą zarazem cukier, służyły surowe buraki. W południe znowu pokazywał się taki sam beczkowóz z zupą, jakimś wstrętnym preparatem ze zwierzęcych flaków, kartofli i jarzyn. Już powąchanie tej zupy odbierało wszelki apetyt. Co trzy dni dawano wreszcie internowanym po jajku i po małej bułce, spieczonej z żyta, plew i kartofli. Niektórzy z internowanych przy takim wikcie siedzieli już po 5 a nawet po 6 tygodni, inni krócej, zależnie od tego wiele było potrzeba czasu do załatwienia tych lub owych formalności. Wszystkie wejścia do gmachu pilnowało wojsko, tak, iż ów tarnopolski obóz dla internowanych w istocie był więzieniem, z którego wydobyć się nie należało do rzeczy łatwych, już choćby dlatego, że załatwianie formalności władze mogły przedłużać w nieskończoność. Wśród internowanych, codziennie na krócej lub dłużej pokazywali się trzej oficerowie, a mianowicie wspomniany wyżej porucznik Józio Teteles, jakiś Ukrainiec z piórkiem na czapce i główna figura w tym zespole, nieznanym mi z nazwiska, żyd węgierski. Ciągłe internowanych o coś wypytywali, badali, spisywali, tak,

iż stwarzali atmosferę jakiegoś przeciągającego się i nie-
żnośnego śledztwa.

Mnie osobiście o nic nigdy nie wypytywano, a ja znowu nie byłem ciekawy tego, co ci panowie o mnie myślą. Raz tylko ów Ukrainiec, gdy zelał już nieco nadzór nademną i gdy mogłem już wychodzić na dziedziniec gmachu, zwrócił się do mnie i oświadczył mi, że mam sprawę o zdradę stanu jako współpracownik Stanisława Grabskiego i że oczekują co do mnie dalszych zarządzeń. Choć mnie to wcale nie pocieszyło, ale też i nie zgryźłem się zbyt o ową wieścią, wiedząc, iż w obecnej sytuacji w Austrii nic specjalnie złego spotkać mnie nie może. Zacząłem też w tym czasie odbierać odwiedziny przyjaciół. Zbliżając się do bramy i przekonując wartość jakimś brzęczącym argumentem, skłaniali ją do tego, że ona podawała mi list lub kartkę. Wówczas podchodziłem do wejścia i tam z odwiedzającymi mnie rozmawiałem. Pokolei byli u mnie Wilhelm Żyłowski, Stanisława Kochówna, Karol Kasztelewicz, Zdzisław Kirchner, Michał Dobrzański, dr. Koźmiński a nadewszystko i najczęściej budowniczy Wilhelm Schächter, który także zainteresował się uprzejmie sprawą dostarczenia mi żywności. Wieść o tem, że siedzę zamknięty w Tarnopolu, dotarła szybko także i do włościan. Pierwsi pokazali się gospodarze z Zagrobeli a potem i z innych wsi. O internowaniu mnie uwiadomiono również prasę lwowską, a wślad za tem niektórych posłów z Koła Polskiego w Wiedniu, którzy natychmiast interwenjowali u właściwych władz. W rezultacie po kilkunastu dniach uzyskałem wolność, ale z Tarnopola odrazu nie wyjechałem, bo chciałem się jeszcze nieco przypatrzeć tamtejszemu życiu i ludziom.

Piękne niegdyś miasto robiło smutne nad wyraz wrażenie. Całe ulice leżały w gruzach, a wśród nich kręcili się ludzie wygłodniai i zmęczeni. Głodny i obdarty chodził także żołnierz, którego wartość bojowa w tym czasie była wręcz minimalna. Na nędzy ogólnej niektórzy tylko

kombinatorzy porobili fortuny i wiele o tem po kątach mówiono. Tak jednak wszyscy byli przybici najróżnorodniejszymi przejściami, że owych niegodnych, a najczęściej pełnych tupetu ludzi, nie umiano jak dawniej postawić poza nawiasem polskiego życia. Pozostali w niem i obniżali, a wreszcie na stałe obniżyli jego polot.

Ceny wszystkiego bardzo wzrosły, a wielu artykułów był brak zupełny. Niedostawało materiałów włókienniczych, tytoniu, tłuszczów i t. p. Inteligencja w znacznym odsetku odżywiała się w specjalnie dla niej urządzonej kuchni. Inna taka dobroczynna instytucja istniała dla młodzieży, ale to były tylko słabe półśrodki, podtrzymujące wegetację. Życie nawet materialne, bo o duchowem niema co i mówić, straciło wszelki rozmach i wlokło się ospałe i blade.

Naokoło miasta spotykało się wszędzie dawne transeje i okopy, druty kolczaste a nadewszystko ogromne nieraz wyrwy w ziemi po pociskach wszelkiego kalibru. Podobnie jak w mieście tak i tutaj widoczne było nieznanne dawniej zaniedbanie w polu, w ogrodzie i w domu. Połamane płoty, pogruchotane kominy, porozwalane ściany domów i stodoł. Rozrósł się tylko leżący daleko za murami miasta cmentarz tarnopolski. Bo kogoż tam nie chowano? Nawet całkiem egzotyczni dla tych stron Belgowie legli długim szeregiem mogił.

Po kilku dniach poświęconych zwiedzaniu Tarnopola i zapoznawaniu się z miejscowemi warunkami życia wyruszyłem do Lwowa. Ale dostać się do jakiegokolwiek bądź pociągu nie było rzeczą wcale łatwą. W pierwszej linii te środki lokomocji przeznaczone były dla oficerów i żołnierzy, w drugiej dla uprzywilejowanych podróżnych, w ogromnej przewadze żydów, jadących za t. zw. zleceniem (*offene Ordre*), a na końcu dopiero dla zwykłych podróżnych. Wchodzili oni o tyle tylko w rachubę, o ile znajdowało się dla nich miejsce, a decyzja czy ono jest lub nie, należała do zmilitaryzowanych organów kolejowych. Sprze-

dawano bilet zatem z zastrzeżeniem, albo go wogóle sprzedać nie chciano. I znowu nie dlatego, aby miejsc nie było, zwłaszcza w klasach I. i II., ale przedewszystkiem z tego powodu, że każdy oficer rościł sobie pretensję przynajmniej do połowy przedziału osobowego, a niektórzy do całego. Podobnie też było z żydami, jadącymi za owemi zleceniami (offene Ordre). Ostatecznie dzięki uprzejmości zarządu stacji miejsce dla mnie się znalazło, zresztą nienadzwyczajne, bo po wykupieniu biletu pierwszej klasy na korytarzu drugiej, między oficerskimi ordynansami. Przystawszy tam 10 godzin, dnia 28 lipca wieczorem dobiłem do Lwowa.

Lwów po Kijowie zrobił na mnie wrażenie miasta małego i nad wyraz spokojnego. Nowością w nim były dla mojego oka liczne gromady chodzących po ulicach żydów z bagnetami u boku, w znacznej części brodatych a nawet pejsatych. Nosili oni mundury stare, przeważnie ciemnogrnatowe i tak połatane, że rząd austriacki musiał je chyba wydobyć z samego dna swoich składów. Gdym się następnie lepiej rozejrzał w stosunkach, dostrzegłem, że cała służba tyłowa w armji austriackiej znajduje się w ręku żydów. W bardzo nielicznym tylko procencie nieżydami byli wszyscy prawie lekarze po różnych szpitalach wojskowych, urzędnicy wojskowi, plac-komendanci i t. d. Tak samo miała się rzecz z centralnemi władzami wojskowemi. W Wiedniu, w ministerstwie wojny, istniał w tym czasie departament, w którym na 49 funkcjonarjuszów liczono 47 żydów. Przekonałem się o tem osobiście, bo zmuszony w sierpniu 1918 r. z ramienia pewnego banku do wyjazdu na kilka dni do Wiednia, z tem właśnie ministerstwem miałem do czynienia. Stwierdziłem wówczas także fakt, że cały handel z Ukrainą mieli w swem ręku wiedeńscy żydzi. A był to handel bardzo intratny. Towarzystwo handlowe Ost, dzieło Gerngrossa, kupca wiedeńskiego, w ciągu kilku tygodni zarobiło przeszło 100 milionów koron.

Innem takim towarzystwem była spółka Ezeg. W istocie rzeczy te i im podobne towarzystwa austriackie uprawiały przemysł, bo do otwartego handlu z Ukrainą mieli prawo przedewszystkiem Niemcy. Wszystkie owe obroty towarowe opierały się na ogromnych składach, znajdujących się w Podwołoczyskach. Przewalały się tam zapasy wartości miljar-dowej.

Ludność Galicji, niewyluczając i miejscowych żydów, w opisywanych obrotach handlowych brała udział całkiem znikomy. Przeważnem źródłem utrzymania dla najszerzych kół stały się w owym czasie zasiłki, pobierane za mężów, ojców, synów, braci i t. d., powołanych pod broń. Dla miasta na osobę, bez względu czy chodziło tu o starca, czy o dziecko, czy o ślubną, czy o nieślubną żonę, wynosił wspomniany zasiłek 1,80 K. dziennie, dla wsi 1,60. Niektóre przeto rodziny, więcej dietne, otrzymywały kwoty, bardzo znaczne, przy jednorazowej wypłacie dochodzące nieraz wysokości kilku tysięcy koron. Tak wydatne zasiłki pozwalały wielu ludziom nietylko na skromne życie, ale nawet na czynienie pewnych oszczędności.

Inną osobliwością ówczesnych stosunków było także bardzo znaczne podniesienie płac niższej służby państwowej. Woźny lub inny taki funkcjonarjusz brał często pobory dwa razy wyższe niż urzędnik. Gdy płaca zastępcy nauczyciela w gimnazjum przy 20 godzinach tygodniowo nauki, nawet razem z dodatkiem wojennym, wynosiła zaledwie 250 K., to pobory sługi w tymże samym zakładzie blisko dwa razy tyle. Tak samo było w administracji, sądownictwie i w innych władzach. Jako nieuniknione następstwo tak nierozumnego opłacania ludzi wystąpiło nieznanne prawie dotąd w kraju, a teraz powszechne niemal, łapownictwo, zaczynające się już od komisij zasiłkowych, a kończące na najwyższych instancjach administracyjnych. Wolne od niego, choć pograżone w największej nędzy, utrzymało się tylko sądownictwo. I dlatego, jeżeli dla kogo,

to właśnie dla urzędników było wielkiem dobrodziejstwem, że na kartki mogli otrzymywać, lichej wprawdzie, ale zato stosunkowo dość tani, chleb „magistracki“, bochenek wagi 1 kg w cenie 1,06 lub 1,36 K. Ludzie zarabiający dostаточно, a do grupy tej zaliczali się nietylko niektórzy pracownicy t. zw. wolnych zawodów, ale także liczni kupcy, rzemieślnicy a nawet robotnicy, posiadając pieniądze, mogli łatwo kupić po cenach rynkowych to, co potrzebowali, bo Lwów zaopatrzony był ostatecznie we wszystko, tylko w ilościach nieporównanie mniejszych niż przed wojną.

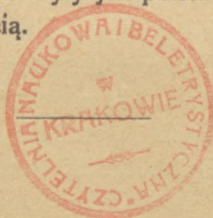
We wrześniu 1918 r. rozstałem się raz na zawsze z Tarnopolem, z którym mnie tak wiele wiązało wspomnień i trudów. Ale nie obeszło się to bez pewnej życzliwej manifestacji pożegnalnej. Zaproszono mnie na zebranie nadzwyczajne członków tarnopolskiego Koła Towarzystwa „Szkoły Ludowej“ i tam prezes okręgu sokolego, adwokat Józef Schmidt, skierował do mnie imieniem polskiego ogółu kilka słów serdecznych i podniosłych.

Były to już ostatnie dni przeżywane w niewolnej Polsce. Niebawem doczekałem się cudu, o którym marzyłem od dziecka i który z łaski Opatrzności oglądałem nie jako zgrzybiały starzec, lecz jeszcze jako człowiek pełen sił. Dnia 31 października rozbrojono w Krakowie i w innych miastach zachodniej Galicji załogi austriackie i władzę w tej części Polski wzięła w swe ręce Polska Komisja Likwidacyjna. W tym samym prawie czasie również i Lwów rozpoczął swoje bohaterskie boje o przynależność do Rzeczypospolitej.

Dzień 31 października zastał mnie w Krakowie. Wiedziałem zdejmowanie z gmachów państwowych zniechędzonych przezemnie dwugłowych orłów austriackich, zajęcie przez oddział żołnierzy polskich generała Roji budynku głównej warty na rynku krakowskim, przybycie do miasta kompanji Polskiej Siły Zbrojnej (Wehrmacht), zajmowanie obszernych lecz przeważnie prawie pustych magazynów woj-

skowych, a sam wziąłem udział w zatrzymaniu siłą na stacji kolejowej, przechodzącego przypadkiem w tym czasie, transportu koni, wieszonych z Bukowiny na front niemiecki w Belgji. W dwóch pociągach było ich około 370 sztuk. Wyładowane w Krakowie i odrazu posortowane co do swej użyteczności, oddane zostały do dyspozycji Polskiej Komisji Likwidacyjnej.

Więści, jakie w pierwszych dniach listopada docierały do Krakowa, świadczyły, że rządy austriackie zlikwidowano także na Śląsku Cieszyńskim i w południowej części Królestwa Polskiego. Wszystkich interesujących się losem Polski niewymowną tylko troską napawał fakt, że w Warszawie rządzi jeszcze niemiecki generał Besseler. Pokazało się jednak, że i jego dni były już policzone. Wolna Polska stała się rzeczywistością.



SPIS RZECZY.

Przedmowa	Str. III-V
---------------------	---------------

ROZDZIAŁ I.

Po wydaniu wojny Serbji. W drodze do kraju. Wybuch wojny austriacko - rosyjskiej. Tarnopol i Podole w sierpniu 1914 r. Miejscowe nastroje polityczne. Pierwsze doniesienia z okolicy o walkach austriacko-rosyjskich. Ekwipunek drużyn strzeleckich. Niepowodzenia wojsk austro-węgierskich. Ewakuacja Tarnopola	1
--	---

ROZDZIAŁ II.

Lwów przed upadkiem. Drużyny strzeleckie. Wymarsz Legionu Wschodniego. Odwrót wojsk austriacko-węgierskich. Ucieczka ludności cywilnej. Straż obywatelska. Anarchja i rabunki	22
---	----

ROZDZIAŁ III.

Wejście Rosjan do Lwowa. Powitanie ich na rogatce łyżczakowskiej. Pierwsze zetknięcie się moje z Rosjanami. Język polski w ustach rosyjskich oficerów. Rabunki w nocy z 3 na 4 września. Przemarsz armji rosyjskiej. Nastroje ludności. Echa walk toczonych na zachód od Lwowa. Drożynna. Gubernator wojenny hr. Szeremetiew. Gradonaczelnik v. Eiche. Strzelcy polscy w niewoli rosyjskiej	37
---	----

ROZDZIAŁ IV.

Podróż do Tarnopola. Broń porzucona przez Austriaków w piwnicach gmachu Towarzystwa „Szkoly Ludowej“. Rządy rosyjskie na Podolu. Wiadomość o sierpniowej bitwie pod Tarnopolem. Austrofilizm i jego podłoże	56
---	----

ROZDZIAŁ V.

Powtórnie we Lwowie. Zmiany w stolicy kraju. General-gubernator hr. Bobrinskij i poglądy w jego otoczeniu na sprawę Wschodniej Galicji. Panika wśród Rosjan. Ciężkie warunki egzy-	
--	--

stencji materialnej ludności. Lwów miastem szpitali. Dalsze przemarsze sił rosyjskich. Wieści z Podkarpacia, zachodniej Austrii i Przemyśla. Nadużycia władz rosyjskich	Str. 70
---	------------

ROZDZIAŁ VI.

Między Lwowem i Tarnopolem. Stosunki na kolejach. Rosyjskie szylidy sklepowe w Tarnopolu. Tamtejsza policja i straż ogniowa. Działalność pozostałych w mieście austriackich urzędów. Rosyjska gospodarka. Tarnopolski gubernator i ujezdni naczelnicy. Ranni legjoniści w Tarnopolu. Wieści z zachodu Austrii. Grabież na pobożowiskach. Jeńcy austriacy. Przemarsz przez Lwów „dzikich“ pułków jazdy. Rosyjskie gwałty i nadużycia. Audjencja u gubernatora tarnopolskiego. Postępy drożyzny. Imieniny Mikołaja II. w Tarnopolu. Święta Bożego Narodzenia. Nowy Rok 1915. Jordan. Postępy prawosławia. Profesor Stanisław Grabski w Tarnopolu. Szkoła rosyjska i kursy języka rosyjskiego. Postępy austrofilstwa. Gen.-gubernator hr. Bobrinskij w Tarnopolu. Pogłoski o klęsce rosyjskiej	89
---	----

ROZDZIAŁ VII.

We Lwowie i w Tarnopolu. Wzrost powszechnej nienawiści do Rosjan. Projekty formowania na Podolu oddziałów polskich po stronie rosyjskiej. Odgłosy podkarpackich walk rosyjsko-austriackich. Listy proskrybeyjne z nazwiskami t. zw. rusofilów. Lwowski Komitet Ratunkowy. Pomoc Warszawy. Wyjazd St. Grabskiego, prof. Kasznicy i hr. Pawła Dzieduszyckiego do Piotrogradu. Wysłka nowych sił rosyjskich na front. Tarnopol siedzibą sztabu armji walczącej we wschodnich Karpatach. Działalność żandarmerji. Wiadomość o upadku Przemyśla	118
--	-----

ROZDZIAŁ VIII.

Uroczystości rosyjskie we Lwowie w związku z kapitulacją Przemyśla. Założenie przez żydów we Lwowie nowego rosyjskiego pisma codziennego „Nasz Kraj“. Święto Wielkiej Nocy 1915 r. Przyjazd cesarza Mikołaja II. do Lwowa (22 kwietnia). Dni cesarskie. Działalność Lwowskiego Komitetu Ratunkowego. Obchód rocznicy konstytucji 3-go Maja we Lwowie. Mój dwutygodniowy pobyt w Kijowie. Nastrój Lwowa przed spodziewaną ewakuacją rosyjską. Próby Rosjan fortyfikowania Lwowa	134
--	-----

ROZDZIAŁ IX.

W Tarnopolu. Liczne aresztowania w pierwszych dniach czerwea. Zakładnicy. Huculi. Jeńcy. Rekwizycja metali. Próby ro-

syjskie niszczenia zbiorów polnych i bydła. Spirytus. Cholera. Sposoby zarobkowania inteligencji. Finanse miejskie. Zmiany na stanowiskach naczelników powiatów. Obawa przed przymusową ewakuacją mężczyzn w wieku od 18 do 50 lat. 152

ROZDZIAŁ X.

Postanowienie wyjazdu do Rosji w lipcu 1915 r. Przybycie do Kijowa. Życie polskie w stolicy Ukrainy. Lwowski Komitet Ratowny w Kijowie. Wieści z Tarnopola. Kijowskie kobiety. Wszechrosyjski Związek Ziemstw i Miast. Obojętność ludności dla bohaterów frontu. Echa zajęcia Warszawy przez Niemców. Polskie szkolnictwo 163

ROZDZIAŁ XI.

Bezczelowość mojego dalszego pobytu nad Dnieprem. Wyjazd na Polesie Zadnieprzańskie we wrześniu 1915 r. Podróż po Dnieprze i Sożu, Dobrusz i jego fabryka. Rzeka Ipuć. Uchodźcy z Polski. Działalność Centralnego Komitetu Obywatelskiego. Dzielnicowe uprzedzenia do Małopolan. Łąpówka. Postępy drożyzny. 28-my dywizjon ciężkich moździerzy. Jeńcy niemieccy. Omal nie wysiedlenie 176

ROZDZIAŁ XII.

Powrót do Kijowa. Stosunki w Lwowskim Komitecie Ratownym. Podróż do Charkowa. Działalność oddziałów Piotrogradzkiego Towarz. Pomocy Ofiarom Wojny w Kijowie i na Ukrainie. Rada Okręgowa Kijowska. Gabrjel Możdżyński. Karol Wilkoszewski. Opieka nad polskim dzieckiem. Szkoły. Józef Kühmayer. Teatry. Wygląd Kijowa w r. 1916. Ceny. Upadek autorytetu. Biskup Dubowski. Spóźnione zakusy rusyfikacyjne. Minister spraw wewnętrznych i polskie hymny narodowe. Polskie oddziały wojskowe. Wyższe Kursy Naukowe w Kijowie (Polskie Kolegium Uniwersyteckie) 190

ROZDZIAŁ XIII.

Wybuch rosyjskiej rewolucji. Manifestacje uliczne w Kijowie. Polityka Ukraińców. Centralna Rada. Niechęć Ukraińców do polskości. Żydzi jako rewolucjoniści. Pertraktacje Ukraińców z Tymczasowym Rządem rewolucyjnym w Piotrogradzie. Polacy ukraińscy i ich stosunek do ukraińskiej państwowości. Młodzież polska i rewolucja. Narady wiecowe nad problemami wychowawczymi. Powołanie do życia Macierzy Polskiej. Zakończenie roku szkolnego 1916/17 217

ROZDZIAŁ XIV.

Polskie kluby polityczne. Stosunek polskiego społeczeństwa na Ukrainie do problemu formowania własnego wojska. Charakterystyka polskich oddziałów wojskowych. Polski Komitet Wykonawczy na Rusi. Zasługi Małopolan. Gwałtowny wzrost drożyzny. Tłum kijowski. Wieści z prowincji. Stosunki na obszarach przyfrontowych. Swary w obozie polskim 236

ROZDZIAŁ XV.

Ustępstwa Rosji wobec autonomicznego państwa ukraińskiego. Sprawa ukraińska a sierpniowa kijowska rewolta bolszewicka 1917 r. Semen Petlura. Niedostatki aprowizacyjne. Upadek ładu publicznego. Samosądy. Panowanie motłochu. Powtórne rozruchy bolszewickie w Kijowie w ostatnich dniach października 1917 r. Wzrastający antagonizm między rządem ukraińskim a bolszewikami. Trzeci Uniwersał Ukraińskiej Rzeczypospolitej Ludowej i jego skutki . . . 256

ROZDZIAŁ XVI.

Wojna ukraińsko-rosyjska. Proklamowanie zupełnej niezawisłości Ukrainy w pierwszych dniach stycznia 1918 r. Trzecia rewolta bolszewicka w Kijowie. Rząd Hołubowicza. Wolni Kozacy. Zdrada pułków ukraińskich. Dwutygodniowe walki o Kijów. Ucieczka rządu ukraińskiego. Wkroczenie wojsk bolszewickich pod dowództwem pułkownika Murawiewa. Krwawe rządy bolszewickie. Udział żydów w wypadkach kijowskich. Komitety domowe i straże kamieniczne. Układ rządu ukraińskiego z państwami centralnymi w lutym 1918 r. Bolszewicy na rozkaz Lenina opuszczają Kijów. Przemarsz Czechów. Zajęcie dworca kolejowego przez wojska niemieckie. Pomysły niektórych Polaków witania wkraczających Niemców 268

ROZDZIAŁ XVII.

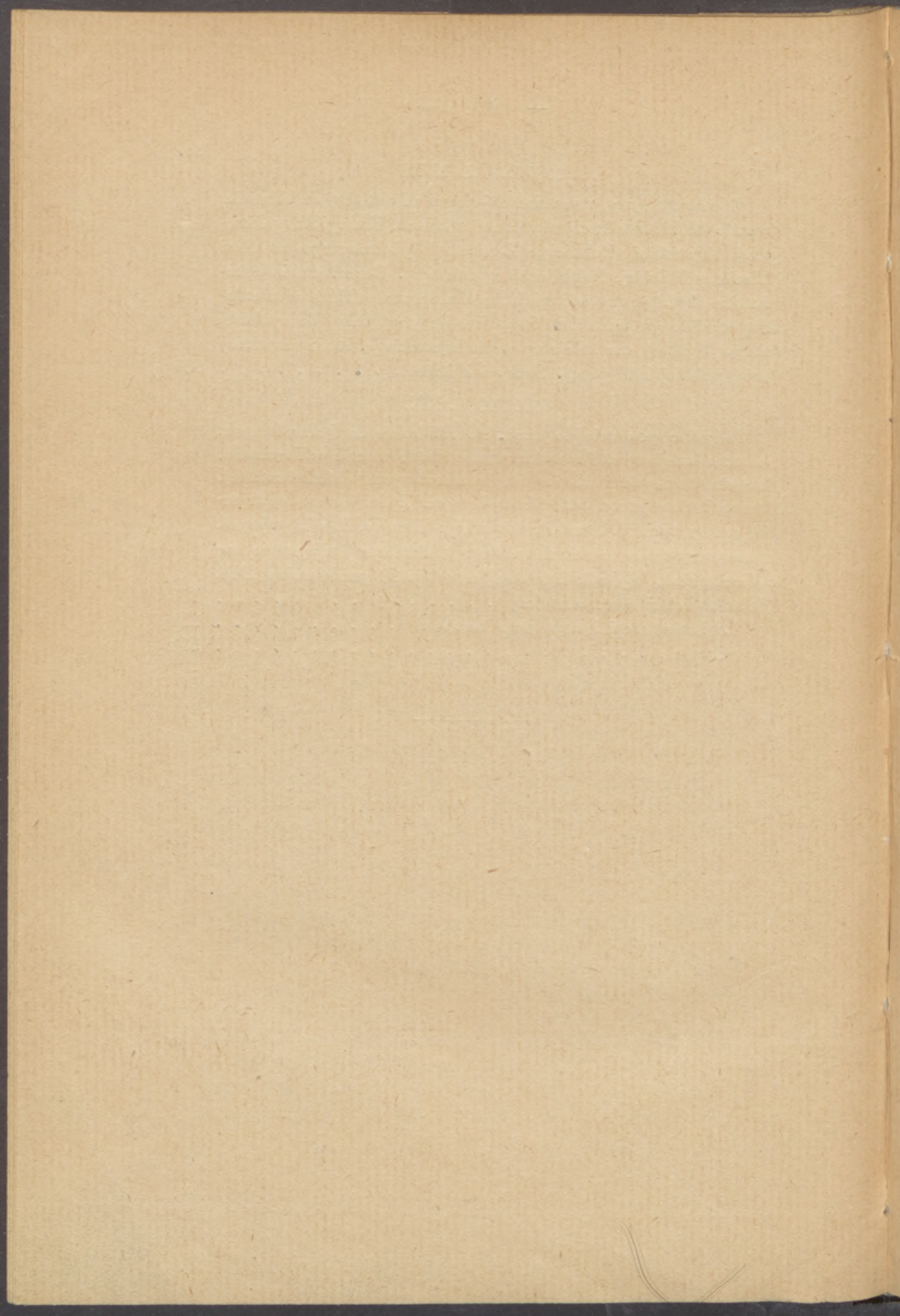
Wejście Niemców do Kijowa dnia 2 marca 1918 r. Mizerny wygląd wojsk niemieckich. Regestracja obywateli nierosyjskich. Polacy w mundurach niemieckich. Kijów wraca do ładu. Oficerowie niemieccy. Repatrjacja. Obóz w Darnicy. Egzekucje ukraińskie. Rekwizycje niemieckie. Kłopoty walutowe. Fatalne stosunki bezpieczeństwa na prowincji. Skoropadski hetmanem Ukrainy. Usunięcie Petlury. Straszna eksplozja amunicji na Peczersku w dniu 6 czerwca 1918 r. Nowa fala drożyzny. Zanik polskiego życia towarzyskiego w Kijowie. Austriacy. Oficerowie handlarze 292

ROZDZIAŁ XVIII.

Najświetniejszy okres polskiej pracy oświatowej na Ukrainie. Przeszło 80.000 młodzieży w polskich szkołach. Zasługi Rady Okręgowej Kijowskiej, Polskiego Komitetu Wykonawczego na Rusi i Macierzy Polskiej. Polski ruch wydawniczy. Bezcelowość departamentu oświaty przy wiceministrze dla spraw polskich w ukraińskim rządzie hetmańskim. Przywiązanie młodzieży do polskiej szkoły. Wykłady dla kolejarzy węzła kijowskiego. Ruch umysłowy wśród polskiej inteligencji. Swary i kłótnie 306

ROZDZIAŁ XIX.

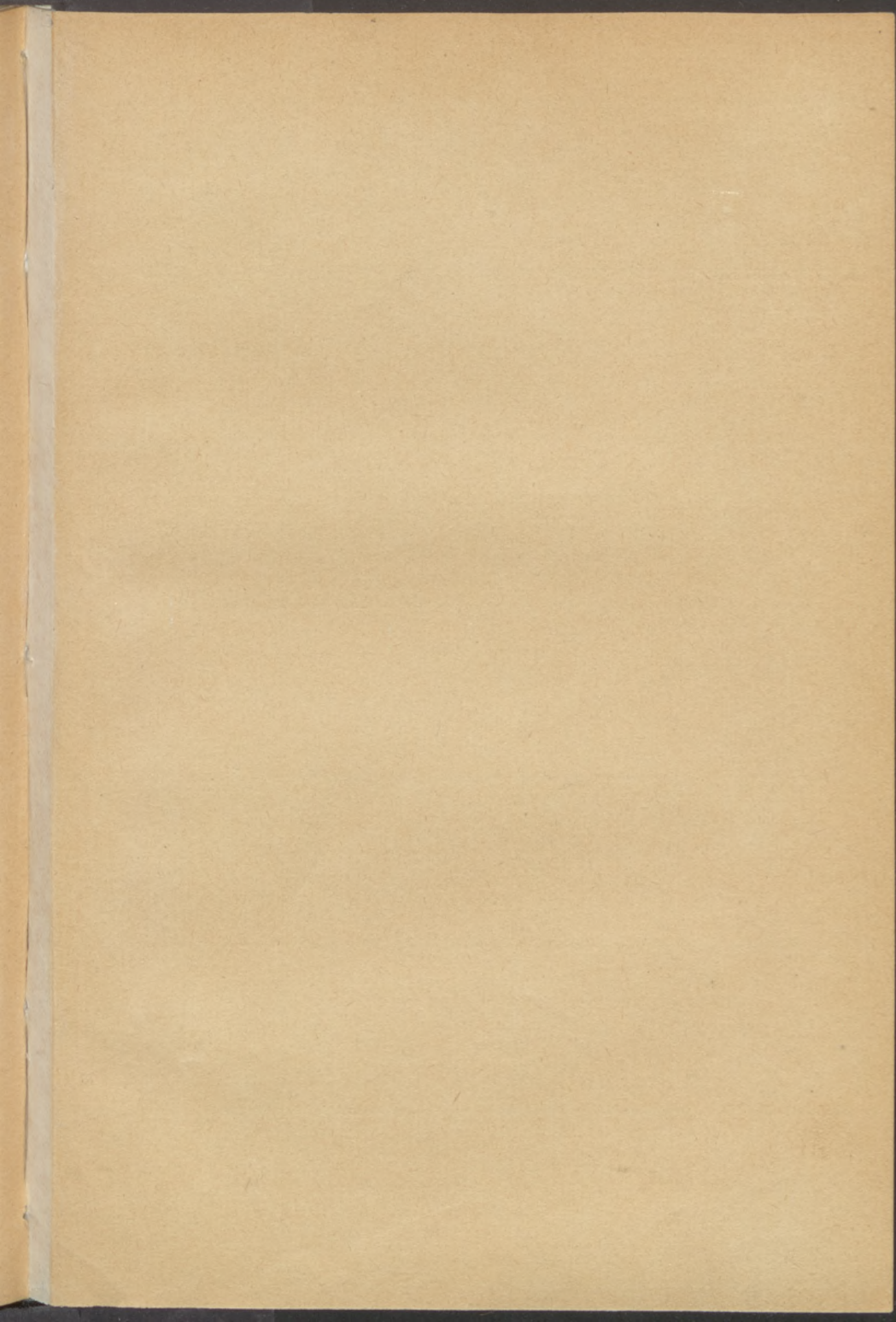
Myśli o powrocie do kraju. Podróż koleją do Podwołoczysk. Dworzec kolejowy w Podwołoczyskach. Internowanie w Tarnopolu. Starosta tarnopolski. Obóz dla internowanych (Heimkehrstätte). Tarnopol powojenny. Podróż do Lwowa. Żydzi filarem austriackiej służby tyłowej. Handel austriacki z Ukrainą. Zasilki wojenne. Plące urzędników w czasie wojny. Ostateczne pożegnanie się z Tarnopolem. Wypadki krakowskie w dniu 31 października 1918. Wolność Polski rzeczywistością 316
Spis ilustracji i map (poza tekstem) 333
Errata 334

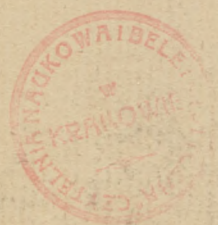


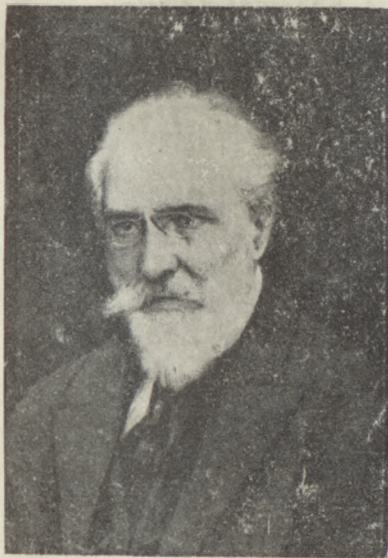
SPIS ILUSTRACYJ I MAP.

(Poza tekstem).

1. Tadeusz Rutowski, prezydent m. Lwowa.
 2. Stanisław Horwatt, prezes kijows. oddz. P. T. P. O. W.
 3. Joachim Bartoszewicz, pierwszy prezes Pol. Kom. Wykonaw. na Rusi.
 4. Wacława Peretjatkowiczowa, organizatorka szkół pols. w Kijowie.
 5. Antoni Ryniewicz, pedagog w Kijowie.
 6. Stanisława Ułaszyn, działaczka społeczna w Kijowie.
 7. Gabrjel Możdżyński, opiekun dziatwy polskiej w Kijowie.
 8. Zofja Żukiewiczowa, organizatorka szkół pols. w Kijowie.
 9. Prezydjum wydziału oświaty Pol. Kom. Wykon. na Rusi (Józefat Andrzejowski, Karol Wilkoszewski, Jan Kornecki i Józef Stemler).
 10. Wychowankowie przytulku „Arkadji“ w Kijowie.
 11. Zdzisław Grocholski, działacz na Ukrainie.
 12. Jordan Pereświet-Soltan, II prezes Pol. Kom. Wykon. na Rusi.
 13. Pisma Naczelnego Kom. Narod. wręczone oficerom Legionu Wschodniego po rozwiązaniu tej formacji.
 14. Roman Bniński, wiceprezes kijowskiego oddziału P. T. P. O. W.
 15. Fabryka papieru w Dobruszu.
 16. Bilet wejścia na obchód Kościuszkowski w Kijowie 1 (14) paźdz. 1917 r.
 17. Zaproszenie na uroczystość inauguracji Kolegium Uniw. w Kijowie.
 18. „Kierenki“.
 19. Kupon ukraińskiej pożyczki, używany jako znak pieniężny.
 20. Rubel sowiecki z r. 1918.
 21. Ukraińska moneta zdawkowa.
 22. Bilet kolejowy z okresu okupacji rosyjskiej w Galicji.
 23. Ukraiński znak pieniężny na 50 karbowanów.
 24. Plan Kijowa.
 25. Rozmieszczenie szkół polskich na Rusi.
-

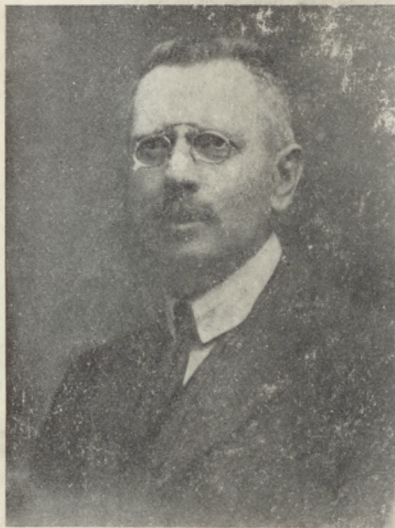






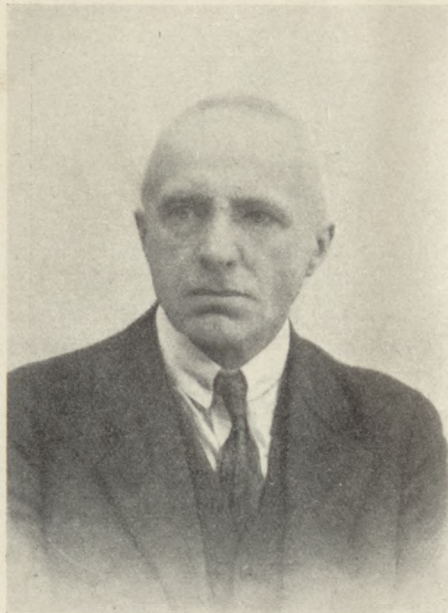
DR. TADEUSZ RUTOWSKI

znakomity prezydent miasta Lwowa w czasie
okupacji rosyjskiej (3. IX. 1914 — 20. VI. 1915).



STANISŁAW HORWATT

prezes kijowskiego oddziału Piotrogradzkiego
Twa Pomocy Ofiarom Wojny.



JOACHIM BARTOSZEWICZ
pierwszy prezes Polskiego Komitetu Wykonawczego
na Rusi.



WACŁAWA PERETJATKOWICZOWA
organizatorka i przełożona pierwszego polskiego
gimnazjum żeńskiego w Kijowie.



ANTONI RYNIEWICZ
dyrektor szkoły realnej Macierzy Polskiej
w Kijowie.



STANISŁAWA UŁASZYN
niestrudzona „Babcia”, opiekunka polskości
w Kijowie.



GABRJEL MOŹDŹYŃSKI, prezes Sekcji opieki nad dziećmi kijowskiego oddziału Piotrogrodzkiego Tow. Pomocy Ofiarom Wojny, wśród wychowawców i wychowanków zakładu przy ul. Bogoutowskiej.
(W drugim szeregu szósty od lewej strony).



ZOFJA ŻUKIEWICZOWA, kierowniczka Kursu Nauczycielskiego w Kijowie pośród absolwentek zakładu.
(W drugim szeregu czwarta. W trzecim szeregu, trzeci od lewej strony, organizator Kursu Jan Kornecki).

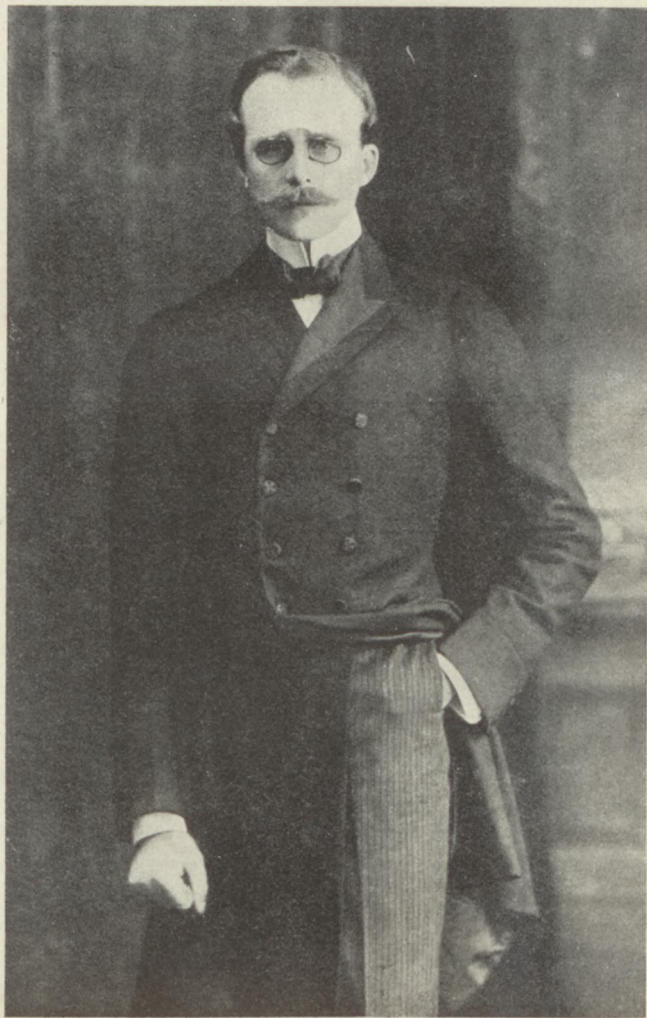


PREZYDJUM WYDZIAŁU OŚWIATY POLSKIEGO KOMITETU
WYKONAWCZEGO NA RUSI.

JÓZEFAT ANDRZEJOWSKI, prezes (pośrodku na prawo), KAROL WILKO-
SZEWSKI, wiceprezes i kierownik Sekcji szkół średnich (obok), JAN KORNECKI,
sekretarz (na lewo) i JÓZEF STEMLER, kierownik Sekcji szkół początkowych.



Zastęp „wilków”. chłopców oderwanych od rodzin wskutek działań wojennych na
ziemiach polskich i kształconych w „Arkadii” w Kijowie. Obok p. Józef Stemler,
przełożony tego schroniska a potem wizytator zakładów wychowawczych Sekcji
opieki nad dziećmi P. T. P. O. W.



ZDZISŁAW GROCHOLSKI
prezes Zjazdu Polskiego na Rusi w Kijowie
w dniach 18—24 czerwca 1917 roku.



JORDAN PEREŚWIET-SOLTAN

drugi z kolei prezes Polskiego Komitetu Wykonawczego na Rusi, Rozstrzelany przez bolszewików, w Kijowie w r. 1919.

Do JWielmożnego Pana

Jordan Pereświat-Soltan

Wydział wojskowy Naczelnego Komitetu Narodowego (Sekcja wschodnia) zaświadcza, że JWP. pozostawał jako *officer inkubantury* w oddziałach organizacyi wojskowych pozostających pod „Wspólną Komendą Drużyn Sokolich, Strzeleckich i Bartoszewych” aż do chwili przekształcenia tych oddziałów w 3. pułk podlegający c. i k. Komendzie I. Legionu polskiego i że JWPan obowiązki Swe jako oficer aż do końca z pełnem poświęceniem wiernie i honorowo spełniał.

Mszana dolna, dnia *24 września* 1914.

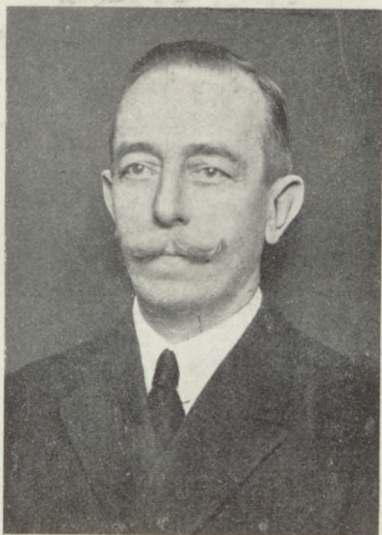


Wydział wojskowy
NACZELNEGO KOMITETU NARODOWEGO
(sekcja wschodnia.)

J. Haller
Skarbka

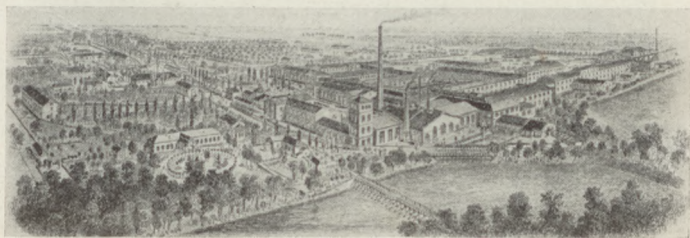
Pisma, jakie otrzymywali oficerowie rozwiązanego we wrześniu 1914 r. w Mszanie Dolnej Polskiego Legionu Wschodniego. Widnieją podpisy J. Hallera i hr. Skarbka.

(Połowa naturalnej wielkości. Ze zbiorów Tad. Królikiewicza).



ROMAN BNIŃSKI

wiceprezes kijowskiego oddziału P. T. P. O. W.



Wielka fabryka papieru w Dobruszu na Polesiu Zadnieprzańskim.

BILET WEJŚCIA

na uroczysty obchód 100-ej rocznicy zgonu

Tadeusza Kościuszki

urządzany przez Polską Centralę Demokratyczną na Ukrainie

w sali Ratusza m. Kijowa

w niedzielę, d. 1-go (14) października 1917 r., o g. 1-ej pp.

($\frac{1}{2}$ naturalnej wielkości).

COLLEGIUM PHILOSOPHICUM POLONORUM KIJOWIENSIS

QUOD ANNO PROXIMO CONDITUM ET INSTAURATUM, NUNC AUTEM IN MA-
JUS AUCTUM, CUM JUVENTUTEM EDUCARE ET AD HUMANITATEM INFORMA-
RE, TUM LITTERAS ATQUE ARTES INGENUAS PROMOVERE ET EXCOLERE
IN VOTIS HABET.

RECTOR ET SENATUS

PER HASCE LITTERAS PRAESENTES

TE, DOMINE REVERENDISSIME, VOCANT INVITANTEQUE, UT DIE VICESIMA NO-
NA MENSIS SEPTEMBERIS AD HORAM QUARTAM IN AULA COLLEGIUM SOLEMNIA
NOVI ANNI ACADEMICI INCHOANDI UNA CONGEBRES SCHOLISQUE INCI-
PIENDIS ADSESTERE CONDIGNERIS.

Zaproszenie na uroczystość inauguracji (29. IX. 1917) Polskiego
Kolegium Uniwersyteckiego w Kijowie.

($\frac{1}{2}$ naturalnej wielkości).



Wydawane całemi arkuszami t. zw. „kierenki”, które potężnie zachwiały zaufaniem ludności do waluty rosyjskiej.

(Wielkość naturalna).



Kupon na 18 grzywien ukraińskich. — Tego rodzaju kupony kursowały na równi z innymi znakami pieniężnymi.

(Wielkość naturalna).



Rubel sowiecki z r. 1918

(Wielkość naturalna).



Ukraińska moneta zdawkowa.
100 szagów = 1 grzywnie ukraińskiej.
(Wielkość naturalna).

II кл 0044 ✱ II кл

ЖЕЛѢЗНЫЯ ДОРОГИ ГАЛИЦИИ
Билетъ II класса
Львовъ-Центральный
Тарнополь
Прѣздъ 2 р. 97 к.
За 10 : багажа 7.59 коп.
Дѣйствителенъ на 1 сутки

Львовъ-Ц. 0044 ✱ Тарнополь

Bilet kolejowy na przejazd ze
Lwowa do Tarnopola w okresie
okupacji rosyjskiej.
($\frac{1}{2}$ nat. wielkości).



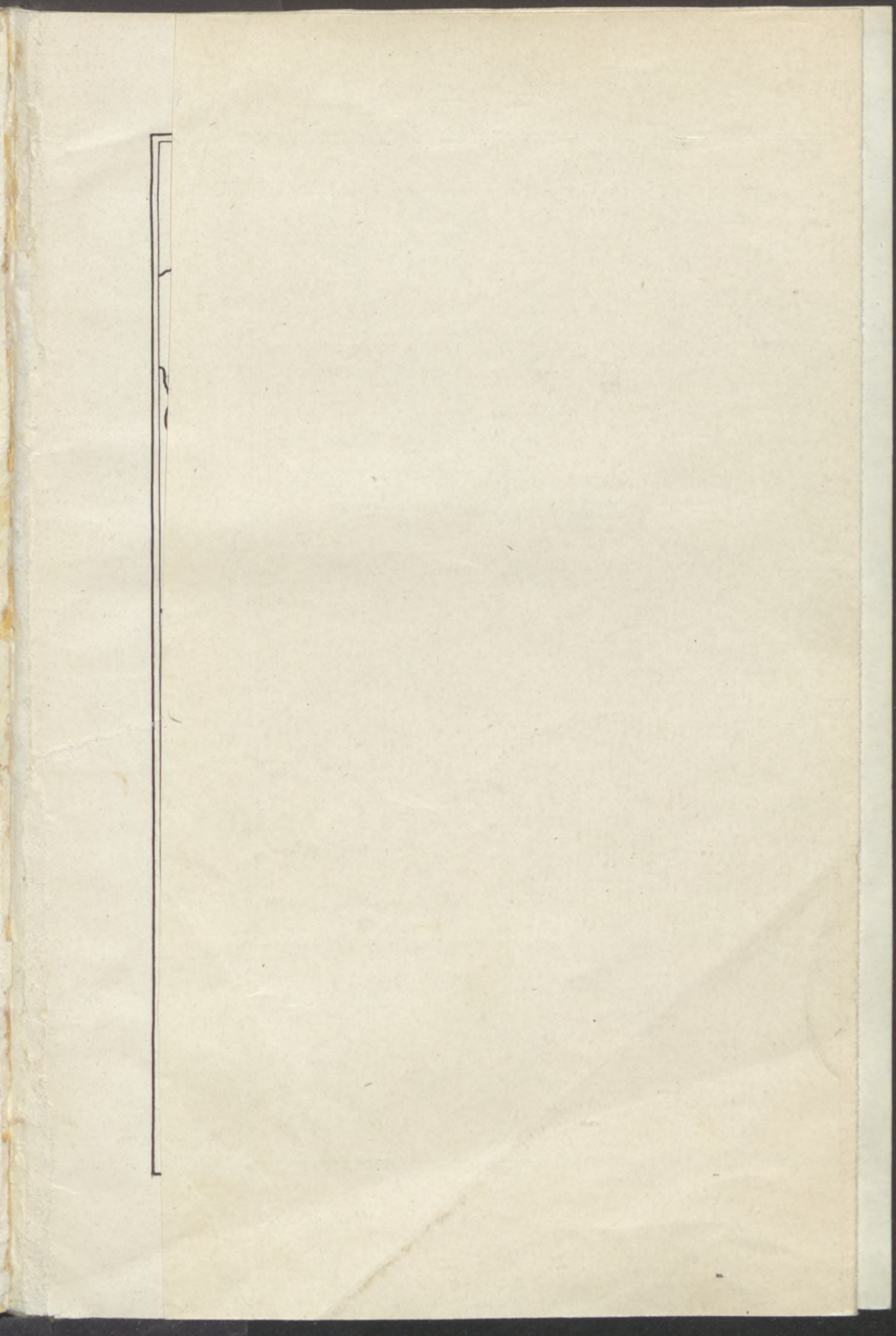
Ukraiński znak pieniężny na 50 karbowanców czyli rubli.
(Zmniejszony o $\frac{1}{2}$ wielkości naturalnej).



PLAN KIJOWA

Podziątka:
100 0 500 1000 m







	Liczba szkół:		Liczba uczniów szkół:	
	początkowych	średnich	początkowych	średnich
Gubernia kijowska	194	25	11234	3806
Gubernia podolska	507	8	26702	1333
Gubernia wołyńska	546	7	36372	827
Razem	1247	40	74308	5966

SZKOŁY NA RUSI

1917/18

----- Front z dnia 25 listopada 1917r.

Liczba uczniów szkół początkowych:



- Szkoła wyższa
- " — średnia
- " — zawodowa

Musikanta — 20.
Książki — 10
Charakterystyka — 90



